

WITOLD HORWATH

GENERAL
GENEALITY



KAK

KAK

WITOLD HORWATH

**GENERAL
ZEMSTY**

Warszawa 2024

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

Przypisy

Redakcja: Magdalena Gonta-Biernat

Korekta: Barbara Wrona

Projekt okładki: Tomasz Biernat

Skład: Marek Jadczak

Copyright by Witold Horwath 2024

Copyright for the Polish Edition by Wydawnictwo Noca,
Warszawa 2024

ISBN 978-83-68037-03-6



WYDAWNICTWO NOCĄ
ul. Filipiny Płaskowickiej 46/89

02-778 Warszawa

NIP: 9512496374

www.wydawnictwonoca.pl

e-mail: kontakt@wydawnictwonoca.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Pamięci Barlika i Milki

*Są generałowie brygady, dywizji, broni i armii,
których ludzki rząd karmi.*

*Lecz najwyższy jest tajny, piąty generał,
co je z ręki Boga, gdyż Bóg go wybierał.*

To generał zemsty!

MYŚLAŁEM, ŻE DWA TYSIĄCE CZWARTY TO BĘDZIE ROK JAK ROK, tyle że przestępny – most z trzystu sześćdziesięciu sześciu desek, po których spokojnie przejdę nad przepaścią. Fatum jednak zastawiło pułapkę i trzydziesty maja okazał się podpiłowany – skrzypnęło, trzasnęło, poleciałem.

Ale w górę, nie w dół. Jakbym to wcale nie był ja, tylko jakiś Superman, Miracleman czy Batman.

Szybuję i szybuję, a mój cień ściga się na szosie z prześliczną motocyklistką. To się nazywa mieć fart!

OKOŁO ÓSMEJ WIECZOREM W PIWNICY BLOKU NA JAWORSKIEGO LOKATORZY ODKRYLI ZWŁOKI NIEJAKIEJ REGINY WOJCIECHOWSKIEJ, osiedlowej kloszardki. Prędzej niż załoga znalazłem się na miejscu, bo kiedy wszczęto raban, byłem akurat z wizytą u rodziców dwa domy dalej.

– Co tu się dzieje? – Błysnąłem blachą, choć nie musiałem; tłumek ścieśniony między ambulansem a wejściem do klatki schodowej przynajmniej z widzenia znał swojego szeryfa.

– Chyba samobójstwo – odpowiedziało mi mnóstwo głosów, jakby rozbitych na kilka wzbierających po sobie fal.

Zabrzmiało to troszkę jak kanon, więc przypomniałem sobie nagle rodzinny chór, pod dyрекcją dziadka śpiewający nad mym łóżeczkiem:

„Panie Jędruś, panie Jędruś, rano wstań” – dźwięczało mi w uszach, gdy stromymi schodami zstępowałem do podziemnego królestwa kotów, szczurów i pajaków, a od pół godziny – również do gniazda śmierci.

Osobliwe skojarzenie, ale widocznie tak już musi być, że im paskudniejszy świat mnie otacza, tym częściej nadpływają z odsieczą

reminiscencje sprzed trzydziestu lat. Pewnie to samoobrona psychiki przed widokami jak ten dzisiejszy – kobiety-mumii wiszącej na kablu przywiązanym do rury wodociągowej.

Pod jej bosymi stopami leżał przewrócony taboret.

– Zgon przed przybyciem – zameldował mi ratownik z pogotowia tym ich ohydny żargonem. – Zimny trup.

– Stołka ode mnie wzięła! – poskarżyła się lokatorka, która rozpoznała swoją własność. – A jeszcze sznur od prodiża udydoliła! I patrz pan, jaki zrobiła pierdolnik! Trzeba spisać protokół, żeby ubezpieczenie pokryło mi szkodę.

Rzeczywiście, piwnica tej pani była otwarta, a graty porozwalane, jakby ktoś czegoś szukał. Czy zniszczona alkoholem i trybem życia Wojciechowska byłaby na siłach dokonać włamania? – zastanawiałem się, patrząc na ukreconą kłódkę. W dodatku żadnego odpowiedniego narzędzia nie zobaczyłem w pobliżu. A czym obcięła kabel?

Na drugie pytanie szybko poznałem odpowiedź. W kieszonce dzinsowej bluzy denatka miała nożyk, taki do tapet i wykładzin. Dziwne. Ktoś, kto zamierza się powiesić, zawczasu zaopatruje się w sznur, a nie liczy na łut szczęścia, że w piwnicy znajdzie coś z kablem. Chyba że bywając często w tym miejscu, wypatrzyła i prodiż, i stołek. No i oczywiście rurę pod sufitem.

– Mój policyjny nos czuje tak zwane osoby trzecie – powiedziałem kwadrans później do Krzysia Byka, sierżanta i mego wiernego giermka.

Tak na marginesie: zawsze się zastanawiałem, dlaczego trzecie. I kto w takim razie jest osobą drugą?

– Może znów dresiarstwo jak w Gassach. – Byk przypomniał mi sprawę sprzed dwóch lat, kiedy to banda małolatów po wyjściu z dyskoteki utopiła koczującego nad Wisłą włóczęgę. Dla fanu, jak zeznał jeden z nich.

Zazdrościłem teraz mojemu świętej pamięci dziadkowi, detektywowi przedwojennej policji państwowej, który w podobnych

sytuacjach zakasywał rękawy i brał się do roboty, zamiast czekać na ekipę specjalistów z aparaturą i mądrymi minami. Cóż, w jego czasach po prostu takich speców nie było. Znaczący się tych od aparatury, bo mądre miny, podobnie jak dziś, stroił byle komisarzyna.

Przepytałem lokatorów, czy czegoś podejrzanego nie widzieli, na przykład grupki pijanych, naćpanych wyrostków, a potem dwóm świeżakom kazałem pilnować zwłok i poszliśmy z Bykiem do mnie, na Grape, by wyprowadzić na spacer Azana i przy okazji wypić po browarku. Wiedziałem z doświadczenia, że lekarz sądowy zjawi się najwcześniej za godzinę i tyle samo, mniej więcej, zejdzie fachurze od paluchów. Mieliśmy czas.

– Będę w fabryce po dwudziestej drugiej – powiedziałem świeżakom.

Fabrykami milicjanci obywatelscy dla jaj nazywali swoje komendy i słówko, odporne na zmiany ustrojowe, przeszło potem do policyjnego żargonu.

– Kojarzysz, Krzysiu, skąd ta Wojciechowska wzięła się w Konstancinie? – spytałem Byka, kiedy usiedliśmy wreszcie we dwóch w moim szefowskim pokoju, a właściwie we trzech, bo Azan, potężny, złoty bokser, jakby przeczuwając, że jeszcze coś niedobrego się kroi, postanowił pana nie opuszczać. – Na początku zeszłego roku miała sprawę o kradzież alkoholu w Żabce, ale wcześniej w ogóle jej sobie nie przypominam.

Na szczęście Byk był żywym miejscowym leksykonem *who is who*.

– To jest chyba córka nauczyciela geografii od nas ze szkoły. Też miał na nazwisko Wojciechowski. Uczył w klasie mojej siostry. A ta Regina chodziła do jakiegoś ogólniaka w Warszawie. Pamiętam, że mieszkali w Pallas Atenie – wymówił nazwę willi, jakby była jednym słowem.

– I co? Po latach wróciła na stare śmieci?

– Nie bardzo miała do czego. Z Pallas Ateny wysiudano wszystkich kwaterunkowych, jeszcze zanim jej starzy umarli. Coś mi majaczy, że

dostała od gminy pokój, ale nie płaciła za najem, więc ją wyeksmitowali.

– Ma jakąś rodzinę?

Byk bezradnie rozłożył ręce.

– Nie wiem. Nazwiska nie zmieniła, ale nie wszystkie zmieniają po ślubie. Jeśli uważasz, że to ważne, można sprawdzić w USC.

Rozmowę przerwał nam powrót jednego ze świeżaków, który zameldował, że Regina Wojciechowska została już odcięta i pojechała do sądowego prosektorium na Oczki, a zdaniem lekarza było to samobójstwo. „Doktor nie miał czasu wpaść na komisariat, ale wszystko panu komisarzowi napisze w mailu” – tak się meldunek kończył. Normalne, nikt nie lubi się przepracowywać. My z Krzysiem też nie byliśmy pracoholikami.

– To co? Fajrant? – Byk spojrział na mnie wyczekująco.

W tym samym momencie zaterkotał nasz przedpotopowy, stacjonarny telefon. Taki jeszcze z tarczą i słuchawką na widelkach. Pamiętam, że odruchowo spojrzałem na zegarek w komórce. Do północy brakowało kilku minut. Trzydziesty maja wciąż trwał i dopiero pokazywał swoje najgorsze oblicze.

–

Poczułem zew,
kiedy biegatem po lesie z kobietami.
Zrozumiałem, że są zbrodniarkami,
a ofiarą – ich własna krew.

—

GOŚĆ ZADZWONIŁ, JAK SIĘ POTEM OKAZAŁO, Z TELEFONU NA KARTĘ. Według Byka, który odebrał, jego głos brzmiał bełkotliwie, więc się pocieszaliśmy, że to pijacki wygłup. Przecież las chojnowski od dziesięcioleci pełen był zrzucających kilogramy warszawianek i jak dotąd żadnej nic złego się nie przytrafiło.

A jednak anonimowy informator nie żartował; Azan od razu znalazł zwłoki. Leżały na plecach w wykrocie pod przewróconą sosną, częściowo przysypane ziemią z mchem. Była to kobieta, na pierwszy rzut oka sześćdziesięcioletnia, ubrana w czarny, sportowy dres, czyli pewnie korzystała z pobliskiej ścieżki zdrowia.

– Jakoś tak zagranicznie wygląda – powiedział Byk, przykucając nad denatką. – Dobrze widzę? Rana cięta szyi? Ale chyba nie od tego umarła, bo nie ma żadnych śladów krwotoku. Może za płytko ciachnął. Cholera, trochę to dziwne, co nie?

„Cholera” było jedynym przekleństwem, jakiego pozwalałem używać w pracy. Za bardziej wulgarne wszyscy, łącznie ze mną, wrzucali do specjalnej puszeki sztraf: dwa złote za najpopularniejsze, to na k, i pięć za pozostałe. Pod koniec miesiąca uzbierana kasa zmieniała się w browary, przy których wolno było kłać bez ograniczeń. Na wszystkie litery alfabetu i na czym świat stoi.

– No proszę, trafiłem. – Sierżant otworzył sportową saszetkę przypiętą do paska kobiety i wyjął z niej amerykański paszport.

Tylko rzuciłem okiem i zaraz zadzwoniłem na Mostowskich. Niech oni się biedzą. Ja jestem za krótki na transatlantyckie afery.

– Mówi komisarz Kulesza z Konstancina-Jeziorny. W rezerwacie chojnowskim znalazłem przed chwilą zwłoki obywatelki Stanów Zjednoczonych. Rachel Arnold – przeczytałem z dokumentu, który Byk podsunął mi pod oczy. – Wszystko wskazuje na to, że została zamordowana. Tak, w rezerwacie przyrody, tam, gdzie są biegi

imienia Hopfera. Od ronda przy Starej Papierni Wilanowską i w prawo w ulicę Od Lasu...

– Daję do telefonu kolegę – przerwała mi pani oficer dyżurna. – On ma teściów w Konstancinie, to się dogadacie.

A gdy się dogadywałem, uświadomiłem sobie nagle, że nie ma przy mnie Azana; że pozostał z niego sam szczek. Taki natarczywie przywołujący, bo po pięciu latach zażyłej znajomości z moim bokserem bez pudła rozumiałem jego mowę.

– Zobacz, o co mu chodzi – powiedziałem do Byka, a ten posłusznie podrałował w stronę zarośli, pomiędzy których dobiegało ujadanie.

Podrałował i jeszcze szybciej wrócił. Drobny, niziutki sierżant, który, wydawać się mogło, że jak na ironię nosił swe nazwisko, a jednak, gdy zachodziła potrzeba, okazywał się groźniejszy od byka. Byki wszak nie znają krav magi. A Krzysio znał. I to jeszcze jak znał. Kilku konstancińskich bandziorów boleśnie się o tym przekonało.

– Dziwiłem się, że nie ma krwi, za to tam jest całe bajoro. – Biedny Krzyś po biegu i z wrażenia dostał zadyszki. Tylko ja jeden w całym komisariacie wiedziałem, że cierpi na astmę oskrzelową, bo ukrywał to skutecznie na wszystkich komisjach lekarskich.

Rzeczywiście można było brodzić.

– Niezły świr – wyjaśniłem zagadkę. – Poderznął jej gardło, poczekał, aż się wykrwawi, i przeciągnął zwłoki sto metrów dalej. To wygląda na jakiś rytuał.

– Ale tej krwi tym razem jest przydużo. Z jednej drobnej kobitki tyle nie utoczysz. – Byk przyglądał się purpurowej kałuży z obrzydzeniem, a zarazem z lękiem, jakby na dnie czaiła się żmija.

Bo z tym było u niego podobnie jak z astmą, też tylko ja zauważyłem, że pracując w policji, cały czas zмага się z hemofobią.

– Tak, masz rację. Zwłaszcza że część już wsiąkła w ziemię. Ej, Azan, a ty dokąd? – Nim zdążyłem chwycić go za obrozę, jak strzała pomknął w las.

*Jam byłem krwią, co płynęła w żyłach mej matki i siostry,
lecz mnie odrzuciły i złą drogą poszły.
Dlatego, bym pomścić krew całego świata,
Bóg ze mnie uczynił bezlitosnego kata!*

—

W NEVADZIE NAD JEZIOREM TAHOE JEST GÓRSKA FARMA, NA KTÓREJ UPRAWIA SIĘ ANTENY. Setkami rosną strzeliście w niebo, a gdy któraś dotknie chmur, znaczy, że już dojrzała, by zrobić z niej antenaty, czyli antenowe placuszki. Matyllda, niania trzech pokoleń Lubochowskich, najlepsza w świecie kucharka, wymyśliła na nie przepis. I podobno bardzo się rozłościła, kiedy dziadzio Vlad, właściciel farmy i szef działającego nieopodal ośrodka badawczego, wyznał, że to ściema i zwykła kukurydziana mąka. A wielkie stalowe konstrukcje po przejściu rocznych testów wysyłane są w całości, niezmielone, na nowe stanowiska i włączane do RAS, czyli radiowego systemu antyrakietowego.

Mimo to długo, nawet jak już chodziłam do szkoły, wierzyłam w antenaty i ogromnie byłam ciekawa, kiedy anteny się ścina i kto to robi; pewnie Marines pod osłoną nocy, ci sami, którzy ich non stop pilnują.

NA FARMIE JEST TEŻ KOLUMBARIUM z krzyżem wyższym od wszystkich anten. Tam spoczywa nasz ród i jego przyjaciele: mój pradziad, Edward Lubochowski, którego prochy przemycono jeszcze z Peerelu, dziadzius Vlad, legendarna niania Matyllda, i wielu, wielu innych.

Ale dla mnie najważniejsza jest babcia. Moja najlepsza przyjaciółka. To pamięć o niej każe mi tu przyjeżdżać. *Shit*, co ja bredzę?! Jaka pamięć?! Przecież my po prostu rozmawiamy. Powierzam jej wszystkie moje ważne sprawy. Teraz też, gdy tylko otrzymałam od szefa rozkaz, wsiadłam w samolot i poleciałam do Nevady.

– Wysyłają mnie do Konstancina. Tam, gdzie zabrałaś mnie na wycieczkę, jak byliśmy w dziewięćdziesiątym pierwszym w Polsce.

Pamiętasz? Płakałaś, że Konstancin taki zdewastowany przez komunistów, a twoja willa w ruinie.

– Rzeczywiście, żal było patrzeć. Ale podobno już wyremontowali. Zdasz mi relację, kiedy dojedziesz na miejsce. Adres pamiętasz? Matejki dziesięć, a dom nazywa się Kogucik.

– Little Rooster?

– Nie wtrącaj angielskich słów. Mów po naszymu. Pamiętasz jeszcze ten okropny slang, którego się nauczyłaś od dzieciaków z Polski? Teraz ci się przyda.

Byłam kiedyś na mityngu polonijnej i polskiej młodzieży w Colorado Springs, gdzie nasłuchiłam się nadwiślańskiego rapu i bluzgów bijących na głowę nasze amerykańskie fucki. „Nikt nie klnie tak jak Słowianie” – wyjaśniła mi babcia. Wiedziała, co mówi. Znała przecież świat i półświatek od Dniepropietrowska do Chicago.

– OK, zajdę tam. Obiecuję. Mimo że ty od siebie doskonale widzisz swój konstanciński dom. Mam rację?

– Już ci mówiłam, Noiro, żebyś nie pytała o takie rzeczy. Nas, zmarłych, obowiązuje tajemnica. Powiedz lepiej, co się wydarzyło, że aż FBI musiało wkroczyć do akcji?

– Seryjny morduje Amerykanki. Wczoraj trzecią załatwił.

Czuję, że babcia się uśmiecha. Sama przecież złapała kilku seryjnych, choć za jej czasów tak ich jeszcze nie nazywano.

– To masz twarde orzech do zgryzienia. Bo mordercę, który działa z niejasnych motywów, bardzo trudno namierzyć. Ale pocieszę cię, że zwykle sam wpada. Trzeba tylko trochę cierpliwości. No i niestety kilku ofiar.

– Wierzę, że go dorwę. A ty, babciu, wierzysz we mnie?

– Oczywiście, Noiro. Rośniesz na najbardziej łownego kota w rodzinie.

Moja mama, policjantka z Chicago, miała rodzinny pseudonim Tunia-Kotunia, a ja nazywałam się Noiro, na cześć czarnego kotka, bohatera francuskiej książeczki dla dzieci, z której babcia usiłowała

nauczyć mnie *parler français*. Nic lepszego, nic szczęśliwszego nie spotkało mnie dotąd w życiu niż to, że przez szesnaście lat byłam małym, ukochanym Noiro babci Hani.

TO MUSIAŁO BYĆ SUPER TAJNE, SKORO NAWET JA, KOMENDANT POLICJI W KONSTANCINIE, pojęcia nie miałem, co się mieści w leśnej rezydencji przy małej uliczce Borsuczej. Według map geodezyjnych była tam pusta działka, a wedle legendy miejskiej – wyrzutnia rakiet tomahawk lub więzienie dla talibów.

Naocznie niczego nie dało się stwierdzić, bo jedynie kominy wystawały zza wysokiego muru i zasieków z drutu ostrzowego. Kiedyś, spacerując w pobliżu z Azanem, byłem świadkiem wyjazdu kilku limuzyn na niebieskich blachach. Mogłem wtedy zajrzeć na chwilę do środka i zobaczyć trzech postawnych dżentelmenów w strojach moro, z bronią maszynową i psem strasznym jak Zoltan Draculi.

W życiu bym nie przypuszczał, że kiedyś zostaniemy tam z Bykiem zaproszeni i posadzeni z honorami w saloniku recepcyjnym. Z tego, co pamiętam, był szósty czerwca dwa tysiące czwartego roku. Na pewno niedziela, bo w niedzielę zawsze gramy nasz A-klasowy mecz, więc musiał mnie zastąpić któryś z młodych, i wtopiliśmy z Sokołem Gassy aż 0:4. A ja, zamiast stać między słupkami bramki, siedziałem obok inspektora Sieniewicza z Cebesiu, a naprzeciwko trojga Amerykanów. Wszyscy po cywilnemu, taki był surowy wymóg.

– A wtedy Azan, to znaczy mój pies, pobiegł głębiej w las, i tam leżała druga denatka, mniej więcej w tym samym wieku, też ubrana w strój do biegania – mówiłem, mimowolnie przyglądając się młodziutkiej, opalonej policjantce, która po każdym moim słowie zdawała się przytakiwać śliczną główką. – Przy zwłokach nie było dokumentów, za to znaleźliśmy klucz do pokoju z nazwą hotelu, w którym obie kobiety się zatrzymały. To Eurydyka, niedawno otwarty pensjonat w parku zdrojowym.

– Ta druga pani nazywała się Raya Stern – przerwał mi, a właściwie tłumaczce, Sieniewicz; w przeciwieństwie do mnie jako tako mówił po angielsku.

– To akurat wiemy od trzech dni. – Jemu z kolei przerwał najwyższy stopniem Amerykanin, oficer łącznikowy FBI; jeśli dobrze usłyszałem, nazywał się Adelson, kapitan David Adelson. – Obie mieszkały w Nowym Jorku i przyjechały do Konstancina, żeby zobaczyć pozostałości sztetlu w Jeziornie i pamiątki po cadyku z Góry Kalwarii. Ojciec Racheli był z nim spokrewniony.

– Interesuje nas, z kim się spotykały, z kim rozmawiały przez telefon – odezwał się drugi oficer, który przedstawił się nam nazwiskiem Swoboda; jego polszczyzna była wręcz literacka, choć niemiłosiernie zniekształcona przez akcent. – A szczególnie ważne, czy mogą mieć jakiś związek z panią Madison Grant lub jej córką. *You understand*: to ma dla śledztwa kapitalne, wręcz kardynalne znaczenie.

Ta Grant była menadżerką w jakiejś polsko-amerykańskiej korporacji. Kilka dni temu zgłosiła na policji zaginięcie córki, dwudziestopięcioletniej Abigail, z którą dzieliła mieszkanie w ursynowskim apartamentowcu. Dziewczyna wybrała się wieczorem na koncert do filharmonii, po jego zakończeniu wysłała SMS-a, że jedzie taksówką i jest już na KEN, po czym koniec, cisza, telefon wyłączony. A w podziemnym garażu wielka kałuża krwi.

– Pani Grant nie słyszała o zbrodni w Konstancinie – powiedział inspektor Sieniewicz. – I dlatego miała nadzieję, że córka uległa jakiemuś wypadkowi, po którym dostała krwotoku, ale nadal żyje.

– A ma pan pewność, że to krew tej dziewczyny? – spytałem. – Zdążyliście już sprawdzić DNA?

– Polak czekałby tydzień, ale Amerykanki laboratorium obsłużyło w dwadzieścia cztery godziny – szepnął Sieniewicz. – Tak, komisarzu, to była krew Abigail Grant. W dodatku w takiej ilości, że musiała się wykrwawić na śmierć. Innej opcji nie ma. Wszyscy patolodzy są co do tego zgodni.

– To wygląda na jakiś makabryczny obrzęd – rzekł Adelson. – Póki ofiarami były tylko te dwie Żydówki, myślałem, że morderca działa z pobudek antysemickich. Ale rodzina Grantów to stuprocentowi goje, już sprawdziłem, żadnego żydowskiego przodka. Czyli co? Atak na amerykańskich obywateli? Niecałą milę od rezydentury FBI! To zaczyna śmierdzieć Bin Ladenem. Nie, nie, ja tak nie twierdzę. Cytuję tylko Roberta Muellera^[1].

Miałem wrażenie, że oficer łącznikowy patrzy na mnie z nadzieją, tak jakbym ja jeden rozumiał, co tu jest grane. Wypadało coś w tej sytuacji powiedzieć.

– Pytał pan, czy Rachel Arnold i Raya Stern kontaktowały się z kimś w Polsce. No więc z tego, co wiem, to nie. Zresztą nie bardzo miały czas, bo przyleciały dwa dni przed śmiercią. Wiem, że pytały w pensjonacie, gdzie w Konstancinie się biega, i recepcjonistka oczywiście skierowała je na trasę Tomasza Hopfera.

– Thomas Hopfer? *Who's that?* – zaciekawił się kapitan Adelson, a Sieniewicz wytłumaczył mu, że to słynny dziennikarz sportowy, prekursor joggingu w Polsce, który zmarł dawno temu.

– Sprawdziliśmy też ich billingi – dokończyłem swój wątek. – Ale w Polsce znalazłem tylko jedno połączenie. Z konstancińską pizzerią.

– Żadna z nich nie była religijna, więc nie przestrzegaly koszeru – powiedział Adelson takim tonem, jakby uważał to za niewłaściwe.

A potem Amerykanie, ani trochę nie skrepowani naszą obecnością, długo dyskutowali między sobą, kogo z polskiej strony włączyć do zespołu dochodzeniowego i, ku niezadowoleniu Sieniewicza, postawili na mnie i Byka zamiast na jego ludzi.

– Bo oni są miejscowi i znają teren – powiedział Adelson tonem nieznośnym sprzeciwu.

– No właśnie. A ja i Swobo nie widzieliśmy nawet miejsca zbrodni – poskarżyła się opalona dziewczyna. – Może pojedziemy tam teraz?

– Beze mnie. – Kapitan Swoboda westchnął ciężko. – Muszę wyrzucić z siebie osiem godzin lotu.

HANAH BYŁA W JEANSACH I W BEŻOWYM TOPIE NA RAMIĄCZKACH, pięknoista i długonoga, że aż strach. Na pierwszy rzut oka atrakcyjna dyskotekowa laska, gdyby nie pas z przypiętą kaburą. Z zaciekawieniem rozglądała się po wnętrzu granatowego poldka, byłego radiowozu, który dzięki kilku półlitrowkom zamiast na złom trafił w moje ręce oraz w jeszcze bardziej złote mojego brata, właściciela warsztatu samochodowego.

Kilka razy, śmiejąc się, trąciła pluszową maskotkę psa podobną do Azana, która wydała dźwięk od biedy przypominający szczeknięcie. Najwięcej uwagi zdawała się jednak poświęcać moim stopom, na okoliczność międzynarodowego spotkania obutym w nowiutkie reeboki czy też „rybaki”, jak mawiało dresiarstwo. Ale to nie o buty jej szło.

– Wiesz, Andrzej, ja pierwszy raz w życiu widzę z bliska manual – powiedziała nagle uroczo schrypniętym głosem. – Jak to się nazywa po polsku? Ręczna skrzynka biegania? Musisz mnie potem nauczyć, chociaż nie wiem, czy będę potrafiła, to musi być *fucking hard*.

– U was już pewnie tylko automaty? – spytał Byk, któremu wydzieliłem z tyłu minimum przestrzeni, żeby zrobić miejsce dla długich nówek amerykańskiej koleżanki.

– Od stu lat. Jeszcze od Henry Ford.

Mówiła po polsku biegle, prawie bezbłędnie, tylko odmianę rzeczowników ignorowała.

– Twoi rodzice są Polakami? – spytałem, ale chyba nie usłyszała, bo zaciekawił ją widok za oknem.

– Ty, Andrzej, tam jest grób! Tylko jeden, więc to nie *cemetery*. Kogo pochowali w las?

Tak była zaintrygowana, że kazała mi się zatrzymać. A ja zrobiłem to z przyjemnością, bo miło jest podzielić się legendą z dzieciństwa

z prześliczną cudzoziemką.

– Było wiele wersji, kto tu leży. Jedni mówili, że partyzant, inni, że lotnik zestrzelony przez Niemców. Pamiętam, że kiedy w podstawówce bawiliśmy się w lesie w podchody, tu był nasz punkt zborny. Przy partyzancie, tak ochrzciliśmy to miejsce.

– A koniec końców okazało się, że to węgierski żołnierz – wyjaśnił Byk z mądrą miną. – Niemcy go rozstrzelali, bo pomagał powstańcom.

– Trudna ta polska historia. Za mało wiem, żeby zrozumieć. – Hannah wykonała wdzięczny, przepraszający gest. – Czy to było wtedy, jak Polacy poszli z szable na czołgi? Zaraz, jak oni się nazywali? Ułansi? Podobno kilka czołgi zdemastowali i przebili się na Warszawa. Ale dużo zginęło. I zginął też mąż mojej babci, mój *grandfather*, który był ich generał.

A we mnie jakby piorun strzelił. Przecież tylko jeden oficer w randze generała poległ podczas słynnej szarży na przedpolach stolicy.

– Mówisz o Kazimierzu Okszy-Studniarskim? – spytałem niepewnie, bojąc się, że za chwilę spłoszę sen.

Bo snem wydawał się podobny zbieg okoliczności.

– Tak. Studniarsky. Oksza. Moja mama jest Studniarsky i wujek Ted.

– A babcia? Dziewczyno, czy ty jesteś wnuczką Hanki Lubochowskiej? Pierwszej polskiej policjantki?

Roześmiała się.

– *Jesus Christ!* Widzę, że moja babcia *in Poland* sławna kobieta! Ale zasłużyła sobie. Żebyś wiedział, ilu morderców złapała. Do śmierci nie zdążyła mi o wszystkich opowiedzieć. Ale w bibliotece polskiej w Chicago są jej pamiętniki, więc chodzę poczytać.

– A o moim dziadku coś napisała? – zapytałem. – Przed wojną przez trzynaście lat służył z nią w Stołecznym Wydziale Kryminalnym.

Byk przyglądał nam się z niedowierzaniem.

– O ku..., to znaczy, o cholercia. Jaki ten świat mały!

A NAPISAŁA, NAPISAŁA, I TO SPORO. Tylko nie byłam pewna, czy powtarzając opinię babci Hani o jego dziadku, Jurku Kuleszy, zrobiłabym Andrzejowi przyjemność. Niby przedstawiała go jako odważnego wojownika, świetnego strzelca i w ogóle kolesia, który, jeśli trzeba, nie zawaha się iść przez ogień. Ale z drugiej strony podkpiwała z jego prostactwa, drobnego cwaniactwa i całego stylu wyniesionego z rodzinnego Targówka, czyli takiej dzielnicy jak w Chicago Englewood albo Brownsville w Nowym Jorku.

– Też jesteś dyktatorką jak babcia? – dociekał Andrzej. – Bo dziadek mówił, że trzęsła całą komendą, choć przez długie lata formalnie była tylko maszynistką i stenotypistką. To dlatego, że w tamtych czasach nie zatrudniano kobiet w policji i szefostwo musiało jakoś ominąć przepisy. A jeszcze się skarżył, że z nikim nie dzieliła się swoimi odkryciami. I chłopcy się dowiadywali, kto jest mordercą dopiero wtedy, jak kazała im go skuć – mówił to, kiedy już wysiedliśmy z auta w miejscu, gdzie jego pies odnalazł kałużę krwi.

Jeszcze tam była, jeszcze ziemia jej nie wchłonęła, a deszcz nie spłukał. Zmierzch zapadał, ale ja wzrok mam dobry, ani śladu kurzej ślepoty. I dlatego spostrzegłam na drzewie coś, co najwyraźniej uszło uwadze śledczych, skoro w aktach nie było zdjęcia i opisu. No to dyskretnie pstryknęłam fotę telefonem i wzorem babci zachowałam sprawę dla siebie.

– A ten Ursynów to daleko stąd? – zwróciłam się do Andrzeja.

SPRAWĘ ZAGINIĘCIA ABIGAIL GRANT PROWADZIŁO CENTRALNE BIURO ŚLEDICZE, wspomagane przez chłopaków z komisariatu na Janowskiego. Zaczęłam tłumaczyć Hanah, że nie bardzo mogę wkraczać na ich teren, ale machnęła z lekceważeniem ręką.

– Ze mną możesz wejść nawet do wasz prezydent – powiedziała tonem obywatelki najpotężniejszego kraju na świecie.

Apartamentowiec, w którym mieszkały ofiara i jej matka, stał na rogu Belgradzkiej i KEN. Dwupoziomowe mieszkanie z wystrojem jak na amerykańskich filmach z życia wyższych sfer na mnie i Byku wywarło oczywiście mocne wrażenie. Biednemu Krzysiovi, lokatorowi czterdziestometrowej klity, wyrwało się nawet coś w rodzaju „wow”, kiedy facio w średnim wieku, pewnie partner pani Grant, zaprowadził nas do otwartego na ogromny taras salonu. „Zechcą państwo chwilkę poczekać” – powiedział po angielsku. „Madison rozmawia przez Skype”.

Hanah podeszła do barierki i przechylona popatrzyła na ursynowskie blokowisko. Właśnie zapalały się latarnie i pierwsze światła w oknach.

– Brzydko tu. I na pewno mnóstwo gangów. – Zrobiła telefonem kilka zdjęć. – Ty, Andrzej, a jak u was sami biali, to kto z kim się bije?

Wy tłumaczyłem, że są różne dzielnicowe mafie, które walczą o strefy wpływów, a oprócz tego grupy kiboli staczające po meczach regularne bitwy.

– To tak jak u nas czarni i Latynosi – powiedziała. – We wszystkich większych miastach. Krótco przed śmiercią babcia kupiła mi pistolet. Na moje szesnaste urodziny. Żeby nie była bezbronna, jak dopadnie mnie jakiś pieprzony NK.

Nie zdążyła nam wyjaśnić, kogo ten skrót oznacza, bo właśnie w salonie zjawiała się pani Grant.

W NOWYM, WSPANIAŁYM DWUDZIESTYM PIERWSZYM WIEKU, JEŚLI KOBIETA MA DOŚĆ KASY I SAMOZAPARCIA, może do późnej starości lepiej lub gorzej udawać małą. Niestety, faceci nie za bardzo idą w nasze ślady i stąd skandaliczna niesprawiedliwość – oni pieprzą młódki, podczas gdy taka na przykład Tunia-Kotunia, która zastopowała wygląd między trzecim a czwartym krzyżykiem, musi

dawać staremu piernikowi, czyli memu tacie, metrykalnie zresztą sporo od niej młodszemu. Ale po co ta cała dygresja? Ano po to, że Madison Grant również była z tych wojujących z czasem, choć z mniejszymi sukcesami niż moja mama.

Już po pierwszych słowach, które wypowiedziała, zorientowałam się, że jeszcze w jednym ją przypomina – w apodyktyczności. Ta biedna Abigail musiała być przez nią totalnie stłamszona – pomyślałam.

– Gdyby nie krew w garażu, podejrzewałabym kolejną ucieczkę – stwierdziła Madison Grant, moszcząc się w ratanowym fotelu; byłam gotowa się założyć, że oprócz steków i frytek na rozmiar jej pupy wpływ miały także implanty.

Tak czy siak, czarne spodenki do pół uda ledwie nie pękały, a fotel zdawał się z trudem wytrzymywać ciężar.

– Przepraszam, o czym pani mówi? – W pierwszej chwili rzeczywiście nie zrozumiałam.

– O ucieczkach mojej córki z domu – odrzekła nadąsana. – Niestety ostatnio dość częstych.

Okazało się, że Andrzej coś tam jednak kuma po angielsku, bo miał taką samą minę jak ja.

– Spytaj jej, ile córka ma lat – szepnął do mnie po polsku. – Może jest jakiś błąd w protokole.

Nie musiałam, bo Madison z kolei troszeńkę rozumiała polski.

– Żaden *mistake*. Ma *twenty-five*. Najgłupszy wiek *for girls*.

– Zawsze mi się wydawało, że dwudziestopięcioletnia kobieta – słowo „kobieta” wymówiłam z naciskiem – nie ucieka z domu, tylko się wyprowadza. Chyba że jest przez sąd ubezwłasnowolniona, ale rozumiem, że taki przypadek nie zachodził?

– Oczywiście, że nie. Była normalna, tylko zbuntowana przeciwko całemu światu.

A głównie przeciw tobie, tłusta kwoko – pomyślałam, przypominając sobie własny bunt i swoje ucieczki z domu, gdy

miałam czternaście, piętnaście lat. Kapitan King, mój tata, i kapitan Studniarsky, moja mama, stawiali na nogi całą policję w Illinois, a ja tymczasem, wyszumiawszy się z jakimś „madafaka” i napaliwszy do syta jointów, lądowałam w Jackowie u babci Hani i błagałam ją o ratunek.

„Oj, Noiro, Noiro. Niedobry z ciebie kotek”, wzdychała, ale spełniała prośbę i dzwoniła do moich rodziców, by wyperswadować im pomysł oddania mnie do surowego zakonnego internatu. Tam trafiłam dopiero po jej śmierci, gdy zabrakło babcinego ochronnego parasola.

NIE ZDZIWIŁBYM SIĘ, GDYBY TO ONA ZAMORDOWAŁA CÓRKĘ – pomyślałem, przyglądając się cycatej Madison Grant w białym topie z czerwono-czarnym rysunkiem diabła. Odpychające babsko. Abigail musiała mieć z nią gehennę. A ten facet, co się tu kręci jak lokaj, podając nam kawę i napoje, też nie wygląda na szczęśliwego.

– Stephen Parker, mój przyjaciel – tak go nam pani Grant przedstawiła – jest znanym lekarzem ortopedą, właścicielem kliniki w Konstancinie.

– Świat taki ogromny, a w tej sprawie stale tylko Konstancin i Konstancin – powiedziała Hanah jakby do siebie.

A potem spytała Madison, co Abigail robiła w ostatnich dniach przed zaginięciem. Zapisałem jej na plus, że użyła tego słowa, choć właściwszym byłoby śmierć.

– Feralnego dnia, czyli w środę, była wieczorem na koncercie.

– W filharmonii?

– Tak. To się chyba nazywa Narodowa Filharmonia i jest w Śródmieściu na ulicy Sienkiewicza. Nie pamiętam, co grano, wiem tylko, że miała wrócić najpóźniej o dwudziestej trzeciej.

– A w poprzednie dni? We wtorek? W poniedziałek?

– Miała sesję terapeutyczno-medytacyjną. Zwykle razem tam jeździmy, ale musiałam spotkać się z polskim ministrem w sprawie kontraktu, więc sama pani rozumie.

– Andrew, ty kumas, jak z nią gadam po angielsku? – szepnęła Hanah, nachylając się do mnie.

Kumałem. Choć znaczenia niektórych słów musiałem domyślać się z kontekstu. Bierną znajomość angielskiego zawdzięczam setkom kaset, które obejrzałem pod koniec lat osiemdziesiątych na przywiezionym ze Szwecji magnetowidzie oraz na telewizorze Videoton, wystanym przez noc w tak zwanej społecznej kolejce.

– CZY ABIGAIL MA PRAWO JAZDY? – spytałam, przeczuwając odpowiedź.

– Nie. Oczywiście, że nie. Ona się do tego kompletnie nie nadaje. Brak jej orientacji przestrzennej i refleksu. Zaraz spowodowałaby wypadek. To ja wszędzie ją wożę albo Stephen.

– Ale z koncertu wracała taksówką?

– No tak. Pozwoliłam jej. Ale z ciężkim sercem. W Polsce wielu kierowców taksówek to zbrojeńcy. Bardzo się boję, że właśnie na takiego trafiła.

– Co robiła w podziemnym garażu, jeśli wracała taksówką? – zdziwił się Byk, a ja szybko to przetłumaczyłam.

Madison Grant westchnęła ciężko.

– No właśnie. Tego nikt nie rozumie. Ani ja, ani wasi koledzy, co wcześniej ze mną rozmawiali. Krew odkryłam, kiedy zesłam do swojego auta, bo chciałam pojechać na KEN i zobaczyć, czy nie było jakiegoś wypadku. Z początku nawet nie przyszło mi do głowy, że to może być jej krew. Niestety, test DNA nie kłamie.

– A ta sesja terapeutyczna gdzie się odbywała? – wróciłam do przerwane go wątku.

– W Głodach. To niedaleko Kozienc. Parę domów w lesie i pensjonat. Ostatnio pracowałyśmy nad oddechem. Są takie specjalne ćwiczenia rozluźniające mięśnie międzyżebrowe.

– A w jaki sposób Abigail tam się dostała? To chyba ze czterdzieści mil od Warszawy, jak nie dalej.

Przypomniała mi się w tym momencie opowieść babci Hani, która osiemdziesiąt lat temu właśnie w puszczy Kozienickiej schwytała gang porywaczy uczennic i uwolniła jego ofiary.

– Ja ją odwiozłem – wtrącił się niespodziewanie Parker.

Dopiero teraz uważniej mu się przyjrzałam. Szczupły, raczej przystojny, choć u dziewczyn, co lubią karków, nie miałby szans. Idealnie równe, śnieżnobiałe uzębienie, które niczym kandydat z plakatu wyborczego w całej okazałości demonstrował, najprawdopodobniej było sztuczne.

– Natomiast wróciła z jakąś koleżanką. Zadzwoiła do mnie w poniedziałek wieczór, że nie muszę po nią przyjeżdżać.

Madison Grant tak gwałtownie obróciła się w jego stronę, że omal nie upadła wraz z fotelem.

– Nic mi nie mówiłeś, Steph – powiedziała podniesionym, pełnym pretensji głosem.

– Bo nie chciałem, żebyś się niepokoiła. Tak, proszę państwa. Madison nie pozwalała nigdy Abigail jeździć z osobami, których nie знаła. I dlatego czasem zmuszeni byliśmy ją oszukiwać.

– No pięknie! Pięknie! Rób dalej ze mnie wariatkę! – wrzasnęła pani Grant. – A najlepiej powiedz im, że to ja zabiłam Abigail! Z zazdrości o ciebie. Niech ta młoda policjantka ma się z czego pośmiać!

Mnie jednak nie było do śmiechu.

– Chwileczkę. Czy pani rzeczywiście podejrzewała córkę o romans z panem Parkerem? – zapytałam, pozornie kierując wzrok na bloki Ursynowa, a w rzeczywistości śledząc każdy mięsień na twarzy Madison; to taka sztuczka, której uczono w Akademii Policyjnej.

– Oczywiście, że podejrzewała – odpowiedział za nią Parker. – Na szczęście nie zawsze, nie codziennie, bo ten obłąd miewał remisje, ale i tak wystarczyło, by zatruć wszystkim życie. A teraz, jeśli nie jestem więcej potrzebny, pozwolą państwo, że się pożegnám. Mam jeszcze w nocy operację. Syn pewnego VIP-a skoczył na główkę do rzeki.

W Stocerze uważają, że nic się nie da zrobić i paraplegia jest nieuchronna, więc rodzice zwrócili się do mnie.

W ostatnich, z lekka pyszałkowatych zdaniach doktor Parker przeszedł na polski, jakby specjalnie dla rozdrażnienia Byka.

– Kur... znaczy się: cholercia. – Maleńki sierżant aż się zatrząsł – A tyle się mówi, żeby nie skakać. W telewizji, w radiu. Choć z drugiej strony może to selekcja naturalna. Odsiew idiotów z pożytkiem dla ludzkości.

POTEM ZJECHALIŚMY DO GARAŻU, GDZIE JESZCZE NIE ZMYTO KRWI, więc czerwieniła się wielką plamą w kształcie Europy, z półwyspem apenińskim ściekającym do kratki odpływowej.

– Tutaj nie ma kamer? – zdziwiła się Hanah, obrzucając wzrokiem ściany i sufit. – Nic dziwnego, że morderca bezczelnie sobie wjechał i spokojnie zrobił swoje. Pewnie wiedział, że garaż nie jest monitorowany. To zawęża grono podejrzanych.

– Ani kamer, ani ciecica – mruknął Byk.

Rzeczywiście, w bloku o takim standardzie jedno i drugie powinno być – pomyślałem. Ale pewnie to dlatego, że jest tu tylko sześć mieszkań, więc wyszedłby duży koszt na głowę. Bogaci ludzie często bywają skąpi. Póki nic się w podziemiu nie wydarzyło, nikomu auta nie ukradziono, ufali solidnym drzwiom garażowym. Dopiero teraz, po morderstwie, wyskoczą z kasy.

– Cie-cia – powtórzyła Hanah i parsknęła śmiechem.

Wciąż rozbawiona ruszyła na obchód garażu, a my staliśmy jak głupi, nie wiedząc, jak jej pomóc. Bo Hanah stwarzała dziwną aurę, coś jakby osłonę przeciwko ciekawości i chyba właściwym słowem będzie, że „ośmieliłem się” w końcu zapytać, czego szuka.

– Napisu – odpowiedziała i podsunęła mi pod nos telefon ze zdjęciem drzewa z korą pomazaną krwią. – Potrafisz to przeczytać?

Nie potrafiłem. Litery były niechlujnie nabazgrane i zniekształcone przez zacieki. Na szczęście spod pachy wyjrzał mi Byk.

– Zwolnij mnie z kary za wulgaryzm, bo wydaje mi się, że tu pisze „kurwa”. – Stuknął palcem w pierwsze słowo na ekranie. – A dalej coś jakby „odrzutowiec” i znowu „kurwa”. Kompletnie bez sensu.

– Nie, Krzysiu. Trzecie słowo to chyba „krew”. Kurwa odrzutowiec krew. Może to coś znaczy w młodzieżowym slangu? Musiałbym się bratanka spytać.

– Dajcie pomyśleć. – Hanah zabrała nam aparat i zafrasowana przechadzała się z nim między autami.

Mimo tabliczek „no smoking”, zapaliliśmy z Bykiem po goldenie, i doszliśmy do ustnika, nim skończyła swoją kontemplację.

– Chłopaki, czy jest takie słowo „odrzuciłaprecz”? – spytała niepewnym tonem, jakby bała się ośmieszyć.

– Jest. Ale to dwa słowa, nie jedno – wyjaśniłem, a w głowie świłał mi blado jakiś cytat z Wyspiańskiego, bo wyłącznie w lekturach szkolnych ludzie tak mówią.

Byk już zaglądał Hanah nie tyle przez ramię, co przez łokieć.

– Gość połączył wyrazy. To nie „odrzutowiec” ale „odrzuciła precz”.

– Kurwa odrzuciła precz krew? Bełkot. Może był naćpany – wyraziłem przypuszczenie.

Hanah w zamyśleniu pokiwała głową, ale wydaje mi się, że nie było to przytaknięcie.

– Dziwne, za drugim razem już tego nie napisał – powiedziała. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale na wszelki wypadek jeszcze się rozejrzyjmy.

Centymetr po centymetrze zlustrowaliśmy ściany, tak dokładnie, że nawet muszkę owocówkę byśmy wypatrzyli i nic – żadnych krwawych literek.

– JEST KILKA MOŻLIWOŚCI – powiedziałam, gdy wróciliśmy do auta. – Po pierwsze, że napis na drzewie zrobiono już po oględzinach i dlatego ani Adelson, ani ten wasz Sieniewicz go nie zobaczyli. Nie sądzę, żeby miejsce zbrodni było potem non stop pilnowane.

– To da się sprawdzić – zauważył Andrzej. – Wystarczy zbadać krew z kory. Skrzepniętą by nie napisał, więc musiał użyć jakiejś innej, świeżej, może zwierzęcej. Tylko po co?

– Jeśli morderca to zrobił, to pewnie chciał w ten sposób zagmatwać śledztwo. Ale może być to równie dobrze głupi dowcip kogoś, kto nie ma ze zbrodnią nic wspólnego – wyjaśnił mu rozsądnie sierżant Byk.

– A najprawdopodobniej nasi koledzy po prostu napisu nie zauważyli – podsumowałam. – Poważny błąd, bo to jest element rytuału tego świra. Jestem prawie pewna, że pojawi się w miejscu następnych zbrodni.

– Czemu w takim razie nie było go w garażu? – Andrzej z irytacją zatrąbił na czwórkę rowerzystów, ramię w ramię okupujących całą szerokość, a raczej wąskość jezdni; jak na komendę pokazali nam fucka, ale niechętnie zjechali gęsiego na prawy pas.

Pomyślałam, że gdyby to moja mama śmigła nieoznakowanym radiowozem i jakiś gnojek wykonał pod jej adresem taki gest, oj, wołę sobie nie wyobrażać, jakie Guantanamo czekałoby go na najbliższym komisariacie.

– Dobrze pytanie – odpowiedziałam Andrzejowi. – Może zapomniał, ktoś go spłoszył czy coś w tym guście, ale to mało prawdopodobne. Raczej wydaje mi się, że drugim mordercą był jakiś naśladowca pierwszego. Znacie termin *copycat*? Tylko skąd wiedział, jak wyglądała konstancińska zbrodnia? W mediach nie było informacji. Może to ktoś z ekipy dochodzeniowej? Albo jego kumpel. Jak myślicie, chłopaki?

Odniosłam wrażenie, że filigranowy sierżant aż skulił się na moją sugestię, że w sprawę zamieszana mogła być jakaś policyjna szycha.

UCIESZNY MIAŁA STYL; jak karabin maszynowy wyrzucała z siebie pytania, nie dając nam się nad nimi zastanowić. Podejrzewam zresztą, że nie na naszej odpowiedzi jej zależało, lecz na własnej. Że to tak naprawdę był monolog. Głośne myślenie.

– I znowu jedno z dwojga. Albo opis tak go podniecił, że postanowił zrobić to samo. Albo wykombinował, że zabójstwo Abigail pójdzie na konto seryjnego. Jeśli tak, to kto jest główny podejrzany? No, chłopaki, włączać szare komórki! Doktor Parker ze sztuczne zęby, czy pani Madison ze sztuczny tyłek. A może oboje?

– Nie zdziwiłbym się – powtórzyłem na głos moją myśl sprzed godziny.

– Ja też – wsparł mnie Byk. – Ta para jest według mnie patologiczna.

– A co, jeśli Parker i Grant wcześniej zamordowali Rachelę Arnold i Rayę Stern? To nie jest niemożliwe, prawda? A nawet mogło być tak, że zrobili to we trójkę z Abigail, a potem wyczuli, że dziewczyna się załamała i może ich wydać, więc się jej pozbyli. Wiecie co? Chyba zaczynam rozumieć ten napis – spointowała, a nam oczy zrobiły się jak spodki.

– O tej krwi? – upewnił się Byk. – Przecież to zdanie nie ma sensu.

– Dla ciebie. Bo jesteś facet.

– A, już kumam – podchwyciłem jej trop – Chodzi ci pewnie o miesiączkę, deflorację, te sprawy...

– Albo aborcję – dopowiedziała. – Mogło tak być, że dziewczyna zaszła z nim w ciążę i przerwała.

– Ewentualnie tylko Abigail – skontrolowałem sceptycznie. – Bo Rachelę i Raya miały sześćdziesiąt pięć lat, więc to by musiała być bardzo stara historia. Myślisz, że morderca tak długo czekałby ze swoją zemstą?

Najwyraźniej zirytowałem Hanah, bo aż krzyknęła:

– Andrzej, ty trochę myśl! Przecież nie chodzi o karę dla konkretnej osoby, ale o symbol. Skrobanek mogła zrobić małolata z LA, a gościu morduje dwie staruszki z NY. Bo mają podobną figurę, kolor oczu albo nazywają się na tę samą literę. Czy po prostu dlatego, że są kobietami.

– A były ostatnio podobne zbrodnie w Stanach? – spytałem, bo wydawało mi się niewiarygodne, że seryjny morderca Amerykanek

wyklął się w podwarszawskim Konstancinie.

Hanah miała identyczną wątpliwość.

– Żadnej. Znaczy się takiej z wykrwawieniem i przemieszczeniem zwłok. Ani w Stanach, ani w żadnym państwie, z którym współpracujemy. Codziennie czytam biuletyn, więc bym wiedziała. Faktycznie, to dziwne. I znowu dwa drogowskazy: *left or right?* Amerykanin czy Polak? Jest nad czym myśleć, co nie? Ale raczej Polak, a te starsze panie wybrał przypadkowo, bo same w lesie były łatwym celem. A teraz uwaga: odbijam piłeczkę. Były u was zbrodnie w tym stylu? Niekoniecznie rok czy dwa lata temu. Bywa, że seryjny usypia nawet na dekadę. Jeśli na przykład trafi do więzienia albo do wariatkowa.

Ani ja, ani Byk niczego podobnego nie pamiętaliśmy. Od kiedy pracujemy w policji, czyli od początku lat dziewięćdziesiątych, na pewno nikt nie mordował kobiet w taki sposób. Mężczyzn zresztą też nie. A wcześniej? Za komuny? Cholera wie. Mogło się zdarzyć i zostać z jakichś powodów zatajone.

– Wiecie co? – powiedział Byk niechętnie, jakby z przykrego obowiązku. – W tej klinice Parkera pracuje Baśka Jurasz. Chyba jest nawet główną pielęgniarką. Może wpadniemy do niej i trochę podpytamy. To na Bielawskiej, zaraz za pocztą. A nuż będzie pamiętała, co Parker robił tego dnia, kiedy zaginęła Abigail.

Od czasów podstawówki, kiedy była moją i Krzysia koleżanką z równoległej klasy, Baśka faktycznie nigdzie się nie wyprowadziła; wciąż mieszkała w małym domku z ogródkiem zaraz za dawną stacją kolejki, hodując wspaniałe, widoczne z ulicy róże i opiekując się sędziwymi rodzicami.

Powodem jej staropanieństwa nie był brak urody, gdyż znacznie brzydsze od niej bez trudu znajdowały chłopaków, mężów czy partnerów. Ale Baśka miała w sobie coś, co na mężczyzn działało odstraszająco, taką jakąś surową powagę ni to zakonnicy, ni to nauczycielki starej daty. Moja mama wyraziła się o niej, że jest postna.

– Przyjaźni się z moją Luśką – powiedział Byk. – Tak im zostało jeszcze ze szkoły. Razem oglądają w poniedziałki Teatr Telewizji.

– Co to jest teatr telewizji? – zaciekała się Hanah.

Zacząłem tłumaczyć, ale Krzyś mi przerwał:

– Takie tam głupoty. Albo wierszem non stop, gadają albo nie można zrozumieć, o co biega. A równolegle, cholera, na CR Sport leci powtórka walk MMA. O, widzę, że Basia w ogródku!

Faktycznie z pracowitością pszczołki roznoszącej pyłek, sypała na kwiaty jakiś proszek, a potem poprawiała czymś w aerozolu.

– Cześć, Krzysiaczku! – wyraźnie ucieszyła się na jego widok.

Na mój o wiele mniej, nawet się chyba ze mną nie przywitała, podobnie jak milczeniem zbyła przyjazne, amerykańskie „Hi” naszej towarzyszki. Było w tej sytuacji oczywiste, kto ma ją pytać o Parkera, więc zostawiliśmy Byka samego na arenie. Piąte przez dziesiąte docierało do nas z ich rozmowy, bo żeby nie irytować Baśki, stanęliśmy po drugiej stronie ulicy.

– Co zrobiłeś tej lasce? – spytała Hanah oskarżycielsko. – Nie kłam, Andrew. Widziałam, jak na ciebie spojrzała. My, kobiety, tak patrzymy na facetów, którzy nas skrzywdzili.

Szybko przeskanowałem pamięć, ale niczego nie znalazłem. Przypomniało mi się tylko, że kilka lat temu, gdy Baśka pracowała jeszcze w przychodni w Mirkowie, a ja przyszedłem tam z oparzoną dłonią, potraktowała mnie tak chłodno i niesympatycznie, jakbym rzeczywiście był jej wrogiem. „Żeby czterdziestoletni chłop, jak debil łapał się za gorący czajnik” – powiedziała pod nosem niby to do siebie.

– Twierdzi, że od poniedziałku do środy miała z Parkerem wspólne dyżury – przerwał moje wspominki Byk. Pomachał jeszcze Basi, a ona serdecznie mu odmachała. – A w ogóle to za tydzień leci na dłużej do Stanów – dodał, kiedy już wsiedliśmy do samochodu.

– Parker? – spytaliśmy z Hanah chórem.

– Nie. Baśka. Będzie pracować w jego klinice na Florydzie. Rodziców też zabiera. Ciekawe, że jak była u nas ostatnio, nic o tym

nie wspomniała. A przecież wyjazd do Ameryki to nie hop-siup z dnia na dzień. A jeszcze całą rodziną. Chyba że Parker zna specjalne ścieżki w konsulacie.

– Dzisiaj tego nie rozgryziemy. – Hanah pacnęła pieska maskotkę, aż się rozszczękał na całe auto.

JAKBY BYŁ PRAWDZIWYM PSEM I ZAREAGOWAŁ W TEN SPOSÓB NA WIDOK ZA OKNEM. Przejechaliśmy właśnie most, po prawej była duża, kamienna figura jakiegoś świętego, a za nią wał, biegnący do pobliskiego jazu. I właśnie na tym wale naparzało się kijami baseballowymi od czterech do sześciu facetów. Dokładnej liczby oszacować nie potrafiłam, bo kłębili się w szybkim, ciągłym ruchu, a światło ulicznej latarni ledwie do nich docierało.

Andrzej błyskawicznie zjechał z jezdni, wyminął rzeźbę i pomknął nadrzeczną drogą. Mężczyźni, oślepieni przez samochód, przerwali walkę i stanęli w zgodnym dwuszeregu, jakby na nas czekali. Najwyraźniej w złych zamiarach.

– Dilerzy z Wilanowa bili się z konstancińskimi – rozszyfrował sytuację Byk. – Teraz zawarli rozejm, bo chcą nam dołożyć. Nie poznali twojego poldka. Co robimy?

Jak to co? Niewiele się namyślając, wyskoczyłam z auta.

– Ja pierdołę, ale dziunia! – zawołał najbliższej stojący i ta fascynacja uśpiła jego czujność.

Dałam mu kopa w jaja, a gdy się zgiął, poprawiłam w splot słoneczny. I dopiero wtedy wycelowałam w nich z pistoletu.

– Rozbierać się i do rzeki! – wrzasnęłam. – A może wolicie, żebym wam przestrelała giry? Dla mnie *no problem*. – Oddałam ostrzegawczy strzał, ale nie w górę, tylko w ziemię, tak że między stopami jednego z nich trysnęła fontanna piasku. Sekundę potem inna fontanna zbulgotała mu w spodniach i okropnie wkoło zaśmierdziało.

– No, koleżko, teraz tym bardziej potrzebna ci kąpiel – powiedział Andrzej i potężnym prawym prostym wrzucił zasrańca do rzeki.

Pozostali, nie czekając, aż podzielią jego los, roznegliżowali się do gaci. Pewnie zresztą zrozumieli już, że mają do czynienia z policją, więc lepiej się nie stawiać.

– Zimna woda uspokaja – wyjaśniłam tonem dobrotliwej pani doktor. – Odechce się wam bijatyk.

Im chyba już bez wody się odechciało, ale nie Krzysiowi. Stał dotąd wycofany i nie brał udziału w zajściu, lecz gdy bandziory zstępowały z wału do rzeki, w nagłym przyplywie energii rzucił się na nich. Niewiarygodne, żeby jeden drobny kurdupel w kilka sekund przerobił na keczup czterech kwadratów, ale tak właśnie się stało.

Miałam nieskromne przekonanie, że chciał się przede mną popisać.

– Jak się nazywa ten święty? – spytałam, gdy na wstecznym mijaliśmy rzeźbę. – Może zostanie patronem naszej trójki? Co wy na to, chłopaki?

– Jan Nepomucen – pospieszył z informacją Byk, zadowolony i zaskoczony, że zapisuję go do swego bliskiego grona, ale to przecież było zupełnie naturalne. Nic tak nie łączy ludzi jak walka ramieniem w ramię i wspólnie spuszczonej komuś łomot.

Świętemu też chyba spodobała się moja propozycja, bo pożegnał nas z wyżyn cokołu przyjaznym uśmiechem.

– OK, to teraz odwieźcie mnie do domu – powiedziałam, kątem oka obserwując tamtych, ciągle posłusznie brodzących w wodzie.

Zauważyłam również, że mimo późnej pory na moście zebrała się grupka gapiów. To zawsze miłe dostarczyć ludziom rozrywki.

– Na Borsuczą? – upewnił się Andrzej.

– Tak. To jak na razie mój hotel. Nie, czekaj, najpierw jeszcze pojedźmy w jedno miejsce. Przypuszczam, że dobrze je znasz.

FAKTYCZNIE – ZNAŁEM, NAWET BARDZO DOBRZE, BO PRZEZ PONAD DWADZIEŚCIA LAT TAM MIESZKAŁEM. Na pierwszym piętrze pięknej, choć kompletnie zaniedbanej willei, dziś odbudowanej przez nowych właścicieli od podstaw i doprowadzonej do tak

zwanego stanu surowego. Każdy, kto pamiętał jej dawny wygląd, z niesmakiem musiał patrzeć na nieotynkowane ściany i okna zabite dechami. Hanah jednak porównanie miała wyłącznie z totalną ruiną sprzed kilkunastu lat.

– Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym twoja babcia zaczęła się ukrywać, przekazała klucze mojemu dziadkowi, żeby robił za Cerbera – wyjaśniłem jej w skrócie wojenną i powojenną historię domu. – On podczas okupacji miał dwie knajpy w Warszawie i kręcił lody ze Szkopami, więc był mocny. Nawet Żydów i więźniów z Szucha potrafił wykupić. Z komuchami po wojnie też miał dobre układy, zwłaszcza z jednym długoletnim wicepremierem, którego uratował z getta. Dzięki temu do naszej willi, przepraszam, chciałem powiedzieć: willi twojej babci, nie wsadzono takiej hołoty jak do sąsiednich. Dziadek trzymał rękę na pulsie.

– Wiem, zajęliście jej mieszkanie. – W głosie Hanah wyczułem lekką pretensję, ale może mi się wydawało, może to we mnie odezwał się wyrzut sumienia, że przez dwie dekady do spółki z dziadkiem, rodzicami, ciotką, wujkiem i rodzonym oraz ciotecznym bratem byłem komunistycznym, kwaterunkowym lokatorem. Wprowadzonym prawem kaduka.

Podobnie zresztą jak Byk, dzieciak z milicyjnej rodziny, która załągła się w jednej z pobliskich willi.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym babcia zabrała mnie na wycieczkę do Polski i wtedy zobaczyłam ten dom. To znaczy sam ogród, bo budynek już się walił, więc ludzi z niego *out*.

– Zgadza się. Myśmy wynieśli się w osiemdziesiątym piątym. Rok po śmierci dziadka. Jeszcze zdążył załatwić nam mieszkanie w Mirkowie. Moi rodzice do dziś w nim mieszkają.

– A ty? – zapytała, wpatrując się w zabite deskami okna na pierwszym piętrze.

– Na Grapie – wymieniłem z lekkim zażenowaniem nazwę konstancińskiego blokowiska.

– Nic mi to nie mówi – odparła. – Kiedyś cię odwiedzę, to zobaczę. I jeszcze poznam twój pies – roześmiała się, demonstrując krótką sierść Azana, która już zdążyła przywrzeć do jej jeansów. – Od razu widać, że wozisz autem pies. Dobra, chłopaki, nie stójmy jak na weselu.

Spojrzeliliśmy po sobie z Bykiem ubawieni, że zna to powiedzonko. Chciałem ją spytać, czy wie, że jest nieprzyzwoite, ale już była po drugiej stronie bramy. Ze zwinnością i gracją kota pokonała zaostrzone pręty. My musieliśmy stoczyć ze sobą nie lada walkę, by się odważyć na to samo.

NOWY WŁAŚCICIEL ODBUDOWAŁ DOM DOKŁADNIE WEDŁUG PIERWOTNYCH PLANÓW. Mieszkanie na pierwszym piętrze miało taki sam rozkład jak na szkicu, który zrobiła dla mnie babcia. Jako siedmioletnia mała kobietka łaknęłam szczegółów, dopytywałam więc, który pokój był jej, a który Matylidy, i gdzie wszyscy się pomieścili, kiedy do rodziny wszedł generał Oksza i spłodził mamę i wujka Teda. A przecież jeszcze były dwa psy i kot, którego mama nauczyła się naśladować, choć głównie w bolesnym drapaniu, przez co do dziś została Tunią-Kotunią.

– Podzieliliśmy mieszkanie – wyjaśnił mi Andrzej tonem przewodnika wycieczki. – Kulesze osiedli na południu, a Modzelewscy na północy. Nas było więcej, bo mam brata, a syn cioci Oli to jedynak, więc mieli tylko jeden pokój, za to my, jak królowie, zajmowaliśmy aż trzy. W pięć osób.

Szybko ustaliliśmy, że w pokoju babci mieszkali rodzice Andrzeja, on z bratem w gościnnym, a w maleńkiej służbówce, niegdyś zajmowanej przez nianię Matylde, uwił sobie gniazdko ich dziadek. Wojownik błyskający złotymi zębami i bijący kastetem każdego, kto pomylił Targówek z Pelcowizną. Ciekawe, czy Andrzej odziedziczył po nim jakieś cechy – zastanawiałam się, bacznie lustrując jego łagodną,

kulturalną twarz. Wyglądał bardziej na lekarza albo wykładowcę akademickiego niż na glinę. Choć jego bary i tors budziły respekt.

– Pamiętam, jak mój ojciec pił wódkę z twoim dziadkiem – wtrącił się do naszej rozmowy Byk. – „Ej, sanacyjny, masz chęć na kielicha?!”, wrzeszczał do niego przez płot. A stary Kulesza z kolei nazywał go ludowym albo obywatelskim. Cóż, obaj byli policjantami i obaj lubili się porządnie nachlać. To ich do siebie zbliżyło. A kiedyś po pijanemu postanowili sprawdzić, kto lepiej bije: milicja czy przedwojenna policja, więc ledwo trzymając się na nogach, ruszyli pod budkę z piwem, zapolować na menelstwo. Dobrze, że matka w porę się zorientowała i zastopowała ich w pół drogi. Inaczej byłby niezły sajgon.

JESZCZE PAROMA ANEGDOTAMI O MOIM DZIADKU SYPNAŁ BYK, ALE HANAH NAGLE STRACIŁA NIMI ZAINTERESOWANIE. Przechylona przez balustradę tarasu, wpatrywała się w zarośla na sąsiedniej posesji. Za mojego dzieciństwa była to niezabudowana działka, teraz ktoś wznosił na niej rezydencję w stylu stanisławowskim.

– Czy mi się tylko zdaje, czy to ciało ludzkie? – spytała nagle, wskazując palcem coś wciśniętego między siatkę płotu a chaszczkę śniegoliczki, i wyraźnie ciemniejszego od tła.

Zjawiliśmy się tam jednocześnie z moimi podwładnymi, czyli Flipem i Flapem, których wezwał stróż z budowy zaniepokojony czyjąś obecnością w niewykończonym, sąsiednim domu. Jechali pewni, że chodzi o drobną, nocną kradzież, niepomierne więc było ich zdziwienie, gdy zobaczyli zwłoki kobiety, a chwilę potem mnie i Byka w towarzystwie tanecznie poruszającej się laski.

– Hanah Torres, agentka specjalna FBI. – Machnęła im legitymacją, a ja wtedy pierwszy raz usłyszałem jej nazwisko, bo na Borsuczej, w amerykańskim stylu, przedstawiła mi się wyłącznie imieniem.

I znów niesamowity zbieg okoliczności, pomyślałem, bo przypomniało mi się, że na mansardzie wili spędział wakacje późniejszy scenarzysta serialu Ekstradycja, a wtenczas taki troszkę autystyczny chłopiec, który zamiast grać ze mną i moimi braćmi w gałę, zapisywał grube bruliony przygodową powieścią. Niekiedy czytał mi fragmenty, stąd wiem, że jej bohater nazywał się właśnie Torres.

ŚMIESZNI BYLI CI DWAJ GLINIARZE, GRUBY I CHUDY. Najwyraźniej ciekawsza im się wydałam od tej pani leżącej na plecach. Właściwie zrozumiałe. Trupów się w robocie naoglądali, a *mixed girl* na żywo, z bliska, pewnie zobaczyli pierwszy raz.

– Powtórka z rozrywki: przecięta tętnica szyjna i minimalna ilość krwi – poinformował ich Andrzej. – Na tę chwilę to tylko do waszej wiadomości. Ej, panie, a pan dokąd?! – zawołał w kierunku mężczyzny, który świecąc latarką, wyszedł z zarośli, a na widok zwłok natychmiast z powrotem w nie umknął.

Flip z Flapem ręczo za nim pobiegli i dopadli przy furtce, którą niezdarnie w pośpiechu usiłował otworzyć; chwila moment i już był skutny.

– To ochroniarz z budowy. Ten, co dzwonił na komisariat, że w Wierzbówce są złodzieje – zameldował gruby.

– W Wierzbówce? – zdziwiłam się nieprzyjemnie. – Babcia nazywała swój dom Kogucik.

– Były dwie nazwy – wyjaśnił Andrzej, wyraźnie zaskoczony, jak ważna to dla mnie sprawa, skoro nawet zbrodnię mi przyćmiła – bo willa stanowiła współwłasność twojej babci i profesora Wierzby. I każde nazywało ją po swojemu.

– Ale wiem na pewno, że pierwotna nazwa była Kogucik. – Ledwo się powstrzymałam, żeby jak dziecko nie tupnąć nogą. – No dobrze – westchnęłam bezradnie, widząc, że nikt mnie nie rozumie. – Co z tym trupem? Kobieta, na oko pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, na

Amerykankę mi nie wygląda, bo za biednie ubrana. Obszukałeś ją, Chris, dokładnie?

– Żadnej torebki, saszetki, więc dokumentów też nie ma – powiedział, na wszelki wypadek wsuwając dłonie pod trupa, bo a nuż byłby tam plecak, ale wyciągnął je puste.

– Szeffie – zwrócił się do Andrzeja chudy i niski Flip. – Ja ją znam. Ona jeździ na rowerze po wsiach i spisuje liczniki gazowe. Teraz gmina daje bezrobotnym taką fuchę.

– Czyli w gminie muszą wiedzieć, jak się nazywa. Albo w gazowni – powiedział Byk, wpatrując się w twarz trupa, jakby chciał z niej coś wyczytać.

Mnie natomiast bardziej zastanowiła nienaturalnie ułożona noga kobiety. Odsunęłam Chrisa i przyklękłam przy niej. Przez dzinsy wyczułam na podudziu jakieś zgrubienie, jakby guz. Podwinęłam nogawkę i zobaczyłam krew. Kość przebiła się przez mięśnie, skórę i ostrymi grotami wyszła na zewnątrz.

– Otwarte złamanie – powiedział Andrzej.

– I chyba coś nie halo z czaszką. – Obmacałam głowę denatki. – To wygląda na wypadek drogowy. No tak, skoro jeździła rowerem, ktoś mógł ją potrącić. Dobra, dzwonię do Adelsona. Niech przysyła ekipę.

Wybrałam numer w kontaktach telefonu zaszyfrowany jako „kamieniarz”. To było jego przezwisko w FBI, które wzięło się stąd, że zanim został policjantem, jako czeladnik w firmie wuja stawiał macewy na nowojorskim kirkucie.

Zdając mu relację, jednocześnie drugim uchem śledziłam rozmowę Andrzeja ze skutym dozorcą.

– Czemu pan uciekał? Ma pan coś na sumieniu? Bo niewinni ludzie raczej przed nami nie uciekają.

Biedak, bo tylko tym słowem umiałam go określić, padł przed Andrzejem na kolana i literalnie się rozplakał.

– Panie, mnie w zeszłym roku sąsiadka oskarżyła o gwałt. Z czystej złośliwości, bo nie chciałem jej kupić gorzały. Ledwie się wywinąłem.

A teraz trup kobiety na terenie, którego pilnuję. Znowu zaczęłyby się przesłuchania, podejrzenia, testy psychologiczne, badania na wariografie. A jeszcze gity w celi od razu chcą takiego ruchać...

Skończyłam gadać z Adelsonem i natychmiast, nie chowając telefonu do torebki, wysłałam Andrzejowi SMS-a: „Gdyby on to zrobił, nie wzywałby policji”.

Facet spojrział na ekran ze zdumieniem, po czym rozejrzał się wkoło. I dopiero napotkawszy mój uśmiech, odpowiedział takim samym.

„Ale i tak zatrzymam go na czterdzieści osiem” – odpisał po chwili.

A ja mu na to: „Jedź, wyprowadź pies. Poczekamy”.

Bo pożałowałam zwierzaka, że tyle godzin bez spaceru.

DOBRZE MI PORADZIŁA, GDYŻ ADELSON PRZETRZYMAŁ NAS DO CZWARTEJ NAD RANEM, najpierw pod gołym niebem, a potem na Borsuczej, kiedy, jak widać, sam zapragnął kawy i czegoś na ząb. Szarzało już, gdy ponownie znalazłem się w budzącej grozę rezydencji, tym razem w jakimś gabinecie na piętrze i bez Byka, któremu kazałem pilnować zwłok i stróża z budowy.

– Uderzył twardym, ciężkim przedmiotem, zrzucił z roweru, a potem w akcie wampiryzmu przeciął tętnicę szyjną i lewą łokciową – wklepał do laptopa kapitan Swoboda.

Piąte przez dziesiąte rozumiejąc po angielsku, zwróciłem mu uwagę, że raczej potrącił ją samochodem.

– Drobiazgowy pan jest, polski kolego – zripostował. – Samochód to przecież twardy i *very, very* ciężki przedmiot. OK, jeśli to pana usatysfakcjonuje, dopiszę, że najprawdopodobniej było nim auto.

– Swobo, uśmiechnij się – powiedziała Hanah, podsuwając mu orzeszki w czekoladzie.

Odniosłem wrażenie, że nieuprzejmy ton kapitana wynikał z zazdrości o nią. Ale przecież z własnej woli zrezygnował dzisiaj z pracy, wybierając sen po podróży. Tylko do siebie mógł mieć

pretensje, że długonoga porucznik przez wiele godzin jeździła w moim aucie i w moim towarzystwie.

– Według medyka zgon nastąpił między dziewiętnastą a dwudziestą. – Swoboda zignorował poczęstunek i dalej męczył klawiaturę. – Przecięcie tętnic jeszcze przed zgonem albo niedługo po nim. Nasuwa się przypuszczenie, że zabójca przewidział trasę ofiary i specjalnie tam na nią czatował. Po zadaniu śmiertelnych obrażeń i spuszczeniu krwi zawiózł ciało na z góry upatrzone miejsce. – Tu Swoboda niechętnie uśmiechnął się do mnie, była to bowiem moja koncepcja. To ja uznałem, że sprawcą jest ktoś, kto dobrze zna Konstancin i okolice.

Spojrzałem na zegarek w komórce.

– Rano ustalę personalia denatki i jaki rewir obsługiwała przed śmiercią. Jeśli jest tak, jak myślimy, powinna tam gdzieś być jej krew.

Swoboda przetłumaczył to Adelsonowi, a na ekranie telefonu pojawił mi się SMS od Hanah: „Krew i napis”.

NAZYWAŁA SIĘ ŻANETA KUCHCIK, A W CZORAJ SPISYWAŁA LICZNIKI W ZACHODNIM SŁOMCZYNIE I W KAWĘCZYNKU. Krwi szukać nie musieliśmy, z samego rana znaleźli ją na poboczu Wiosennej dwaj uczniowie, którzy szli tamtędy do szkoły. Kamil Nowak i jego starszy brat Sebastian, lewoskrzydłowy napastnik w klubie Huragan.

Wiosenna to bardziej droga wśród pól i lasków niż ulica, stoi przy niej zaledwie parę domów, a i to kawałek dalej, w następnej wsi. Chłopaki najpierw spostrzegły rower leżący pod leszczyną i jakby specjalnie zamaskowany dolnymi gałęziami, i odblaskową, żółtą kurtką, którą morderca ściągnął z denatki.

– Patrzą, a buty mam całe czerwone – powiedział Seba, zdejmując adidasa i podsuwając mi pod twarz. – Krwi tyle, jakby ktoś pięć świniaków zaszlachtował. Panie komisarzu, to wygląda na

morderstwo. Tylko trupa nie ma. Ale raczej na pewno chodzi o kobietę z gazowni.

Przypuszczałem, że gdyby nie ta krew i podejrzenia, które nasuwała, udaliby się ze znaleziskiem do pasera, a potem zamiast w szkole wylądowaliby gdzieś na łące z baterią browaru i skretem, taki to był typ młodych ludzi. Ale widomy ślad morderstwa musiał nieźle ich przestraszyć i stąd telefon na mój prywatny numer. Sebastian go znał, bo byliśmy obaj kapitanami drużyn uczestniczących w tych samych rozgrywkach.

– Dobrze się rozejrzyjcie, czy nie ma tu gdzieś napisu zrobionego krwią – powiedziałem do braciszków. – Na pniu drzewa albo na kamieniu.

– A co tam ma być napisane? – spytał młodszy, który sam lubił bazgrać po ścianach i betonowych płotach różne kibolskie hasła. Za HWDP dostał raz ode mnie niezły wycisk. „Żebyś zapamiętał, gnoju, że to słowo pisze się przez »ch«”, powiedziałem, wypuszczając go, zaryczanego, z radiowozu. I chyba podziałało, bo na murach w naszej gminie pojawia się teraz poprawne ortograficznie „ChWDP”.

Byk, który mi towarzyszył, podał mu przypuszczalną treść, po czym włączył się do poszukiwań. Ja zostałem przy poldku, żeby za pomocą goldena jakoś zebrać myśli do kupy. Myśli i emocje, bo przede wszystkim żal mi było Żanety Kuchcik. Uświadomiłem sobie, że to musi być matka Izy, dziewczyny, z którą krótko kilka lat temu się spotykałem. Skarżyła mi się, że mama pije i wyprzedaje rzeczy z domu. A dziś Iza w Dublinie, wyszła za mąż za Irlandczyka, natomiast jej rodzicielka, która najwyraźniej próbowała się ustatkować, skoro podjęła pracę dla gazowni, leży w sądowej kostnicy.

– Panie komisarzu, znalazłem! – W moje wspominki wdarł się głos starszego Nowaka.

Stał kilkanaście metrów od roweru przy uschniętych gruszach, bo kiedyś były tu pegeerowskie sady, i z miną triumfatora przywoływał mnie ruchem ręki.

– Ale teraz użył liczby mnogiej – powiedział Byk, który zdążył już przeczytać napis.

Rzeczywiście, na martwym, bezlistnym pniu czerwieniło się nieco inne zdanie niż w lesie chojnowskim.

„Kobiety odrzuciły krew, czeka je śmierć” – głosił tym razem morderca.

– Chłopaki, nikomu ani słowa, coście tu widzieli – pouczyłem Nowaków. – A teraz biegiem marsz do szkoły! Chyba nie chcesz, Seba, trzeci raz powtarzać klasy?

Ale mnie nie słuchali; jak zahipnotyzowani zapatrzyli się w coś nad moim ramieniem. Najpierw nie powiązałem tego ze stukotem silnika, bo podobny dźwięk wydawał gdzieś za drzewami traktor. I dlatego, odwróciwszy się, aż zaniemówiłem z wrażenia. Minę musiałem mieć równie głupią jak Nowaki.

– Kurwa, co za stuff – zaklął Seba. – W sobotę przyjechałem, a jeszcze mnie trzyma.

– To nie ziolo – pocieszył go młodszy brat. – Ja też ją widzę. Podobna do tej piosenkarki z Kolumbii, co nie?

– Przyjechała na motorze?

– No. Na hondzie.

Tu Kamil Nowak się pomylił, bo Hanah siedziała na triumfie, czerwono-czarnym niczym piekło. Sama zaś, jakby dla kontrastu, była od stóp do głów czysto anielska: kask, top, jeansy, tenisówki – wszystko śnieżnobiałe. Tak idealnie komponowała się z maszyną, że przywodziła na myśl jakiegoś nowoczesnego centaury.

– Faceci mówią, że dziewczyna nie ma orientacja – powiedziała, zgrabnie rozłączając się z motocyklem i ustawiając go na podpórce. – A patrzcie: Andrzej tylko powiedział, że to za szkoła w prawo i trafiłam. Elo, ziomale. – Wyciągnęła dłoń do Nowaków, a oni zaczerwienieni jak dziewiętnastowieczne panienki nieśmiało ją uścisnęli.

I od razu zabrała ich na przechadzkę i rozmowę, a ja zostałem jak głupi przy aucie, wyrzucając sobie, że powinienem zrobić to samo, zamiast gonić gówniarzy do szkoły. Wychowawca młodzieży się znalazł! Dobrze, że Hanah naprawiła mój błąd.

BYLI SKARBNICĄ WIEDZY, Z KTÓREJ CZERPAŁAM PEŁNYMI GARŚCIAMI.

– Ta zamordowana kobieta spisywała tu w okolicy stan liczników gazowych. Pewnie znaliście ją z widzenia?

– Nawet nie tylko z widzenia. Chyba ze dwa razy mama zaprosiła ją na kawę – rzucił młodszy z braci. – Wie pani, żeby poplotkować o sąsiadach. A zwłaszcza o pani Majchrzakowej, bo mama jej okropnie nie lubi.

– Zaraz nie lubi – obruszył się starszy. – Spięły się kiedyś, jak pijany Majchrzak zahaczył samochodem o nasz płot, i to wszystko.

Mogłam być dumna z tego, że jestem już doświadczoną policjantką, skoro serce mi w tym momencie mocniej nie zabiło. Wiedziałam, że cudów nie ma, i to na pewno nie Majchrzak potrafił wczoraj wieczorem rowerzystkę. Mimo to spytałam, czy nadal zdarza mu się jeździć po alkoholu.

– Chyba że na tamtym świecie – odpowiedział mi Kamil.

– Rok temu dednął na serce – doprecyzował Seba.

Spojrzałam w perspektywę ulicy ginącą między zaroślami. Domyśliłam się, że gros zabudowań musi znajdować się dalej, w wiosce, do której prowadzi Wiosenna, i to tam mieszkają ci wszyscy, którzy wczoraj wieczorem widzieli Żanetę Kuchcik. Tak rzeczywiście było, bo za chwilę dostałam ich listę.

– No my, Majchrzakowa, Lipińscy, Kownaccy i Kapuśniaki – wyliczali moi rozmówcy na palcach, w paru zdaniach charakteryzując sąsiadów.

To jasne, że najwięcej uwagi poświęcili tym rodzinom, które miały dzieci w ich wieku. I tak Dawid Lipiński to był spoko koleś, Bartek Kownacki trenował kick-boxing, więc zawsze brali go na ustawki, a siostry Dolores i Dżessika Kapuśniak... – w najciekawszym momencie chłopcy, speszzeni moją obecnością, przerwali i uciekając wzrokiem, zaczęli głupawo chichotać.

– A ich stara taka sama – dodał Kamil. – Mąż w Niemczech, a ona co miesiąc z innym.

– Wszyscy wasi sąsiedzi mają samochody? – dociekałam, odbiegając od tematu.

W Ameryce takie pytanie byłoby bez sensu, podobnie jak jeszcze do niedawna w Polsce, choć z odwrotnego powodu. A teraz pod tym względem nie było wielkiej różnicy między, powiedzmy, takim Słomczynem a jakąś amerykańską wioską – i tu, i tam kupa wysłużonych aut: u nas trzydziestoletnich fordów, nad Wisłą zaś volkswagenów ściągniętych z niemieckich cmentarzysk.

– Oprócz Kapuśniakowej – odpowiedział Sebastian. – A co? Myśli pani, że to ktoś od nas potrafił inkasentkę?

Prawdę mówiąc, raczej nikt inny ulicą Wiosenną nie jeździł. Byłam tu od pół godziny i jeszcze żadnego samochodu nie zobaczyłam. Ale na pytanie chłopaka odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

– Potrafić to jeszcze mógł – odezwał się niepewnie Kamil. – A nawet uciec z miejsca zdarzenia, jeśli był po kielichu. Ale żeby spuszczać z niej krew jak w rzeźni i jeszcze bazgrać nią graffiti, to nie, niemożliwe, takich zwyroli w Kawęczynku nie ma.

– Pamiętacie, o której była u was ta inkasentka?

Spojrzeni po sobie. Od momentu, gdy się zorientowali, że szukam mordercy pośród ich sąsiadów, wyraźnie stali się ostrożniejsi.

– Ojca się musi pani zapytać – powiedzieli niemal chórem. – To na pewno on ją wpuścił na podwórko. My cały wieczór graliśmy u siebie na górze w Half-Life'a.

Wiadomo, zaraz poślę sierżanta Byka, żeby odwiedził wszystkie domy przy Wiosennej, choć na razie zainteresował mnie tylko jeden z nich. Taki, co gości ludzi z różnych stron i pewnie często o mało chwalebnych życiorysach. To oczywiste, że byli bardziej podejrzani niż stali mieszkańcy wioski.

– Kapuśniakowa, mówiliście, nie ma auta? A ci jej faceci?

– Najwyżej rowerami jeżdżą. I to zygzakiem – roześmiali się braciszkanie.

Seba jednak zaraz coś sobie przypomniał.

– Chociaż nie. Jeden miał furę. Niebieskiego citroëna berlingo. Ale już od paru miesięcy u niej nie bywa.

– Pamiętasz blachy? Z jakiego był stanu?

– U nas są województwa. – Nieśmiało poprawił mnie Kamil. – Mam wrażenie, że pierwsza litera to była „R”. Czyli Radom.

Jeśli już to Rzeszów, pomyślałam, dumna, że lepiej się na tym znam od Polaków. W samolocie do Nevady i z powrotem nie traciłam czasu, wkuwając na pamięć symbole polskich tablic. I tylko stany mi się pomieszały z województwami. „Ech, Noiro, niemądre kociątko”, westchnęła w zaświatach babcia Hania.

– A teraz dostaniecie prezent – powiedziałam do Nowaków, kiedy wróciliśmy ze spaceru.

Pod ich psim, wyczekującym spojrzeniem odczepiłam przytroczone z tyłu do siodełka przedmiot o kształcie i wielkości dyni. Po odpakowaniu wyskoczyła spomiędzy folii i papieru ciemnożółta piłka z logo Wilsona, taka, jaką grają w NBA.

Kamil przez moment nią kozłował, a potem chwycił w rękę i cały zeszywniał.

– Nie, nie wierzę. To chyba podróba. Poważnie Jordan tu się podpisał?

W każdym markecie w Chicago można kupić piłkę z nadrukowanym autografem różnych gwiazd Bulls. Ja jednak byłam posiadaczką autentyków i to licznych, bo swego czasu mojemu

gangowi prawie po każdym meczu udawało się przedrzeć do Jordana, Paxsona, Harpera i innych naszych idoli. No to teraz mogę podpisane piłki dawać różnym małodatom na zgodę. A nawet do Polski kilka przywiozłam.

– Dobra, chłopaki, *go to school!* I jesteśmy w kontakcie – zakończyłam spotkanie z nimi, po czym zajęłam się Andrzejem.

Właśnie nadjechali radiowozem Flip i Flap, więc wydawał im polecenia. Przerwałam to sprawowanie władzy.

– Andrew, kiedy byłeś na spacer z pies? – zapytałam tonem, który mógł uznać za surowy, zresztą słusznie, bo w psich i kocich sprawach byłam rygorystką. – Rano? No nie, to koniecznie musisz go jeszcze raz wyprowadzić. Do przyjazdu techników z Warszawy spokojnie zdążysz, a gruby z chudym wszystkiego tu przypilnują. Potem przepytasz ludzi, którzy mieszkają na końcu drogi. Co widzieli, słyszeli i o której była u nich ta zamordowana. A szczególnie przyciśnij panią Kapuśniak. Spytaj o kochanka w Citroënie. Kto wie, czy to nie nasz pierwszy, poważny podejrzany. A teraz, baj! Spotkamy się wieczorem. – I nie czekając, co odpowie, odpaliłam motocykl.

Miałam gdzieś, że właśnie w tym momencie zatelefonował Adelson, na pewno po to, by się dowiedzieć, kiedy zwrócę mu triumpha. Bo rano przy śniadaniu poprosiłam tylko, żeby pozwolił mi przez pół godzinki pojeździć. Mógł się facet zirytować. „It’s me, your boss” – rapowało mi w kieszeni, bo taki dzwonek ustawiłam dla Adelsona, lecz nie miałam teraz czasu na głupoty, zatem nie odebrałam.

Spokojnie skręciłam w prawo na główną szosę. I natychmiast tabun koni mechanicznych ruszył z kopyta.

BYŁA PORUCZNIKIEM FBI I OBYWATELKĄ SUPERMOCARSTWA, ale nie tylko dlatego od razu zaczęła nami rządzić. Ona po prostu miała cechy przywódcze, zrozumiałem to już wczoraj, a dziś ostatecznie się upewniłem. Jej głos, spojrzenie, mimika, choć pozornie łagodne, niosły w sobie jakąś nieokreśloną groźbę. Rób, co

każę, koleś i nie podskakuj, bo... – zdawały się mówić chabrowe oczy Hanah. Skądinąd dziwny kolor u dziewczyny, w której żyłach płynie afroamerykańska krew. Ale musiała odziedziczyć go po babci. Mój dziadek porównywał oczy Hanki Lubochowskiej do szafiru nieba, wyraźnie nimi zafascynowany. A jednocześnie trochę przestraszony, skoro w jego pamiętniku znalazłem taki fragment: „Czułem, że jeśli nie wykonam polecenia, dostanę od niej po ryju, a gdybym ośmielił się oddać, jak amen w pacierzu, kula w łeb”.

Przyznam się, że patrząc w oczy Hanah, miałem podobne refleksje.

– Dobra, Krzysiu – powiedziałem do Byka. – Najpierw wyprowadzimy Azana.

– Rozkaz to rozkaz – odrzekł z ciężkim westchnieniem.

To jasne, że nie mnie uznał za rozkazodawcę.

ZAWSZE KIEDY JADĘ MOTOREM, PRZYPOMINA MI SIĘ MOJA SŁAWETNA UCIECZKA PRZED POLICJĄ. Miałam piętnaście lat i teoretycznie chodziłam do *high school*, a praktycznie większość dni i nocy spędzałam przed supermarketem na Kimball Ave, gdzie rządził mój gang. I tak jakoś, pamiętam, późną jesienią, gdy już świeciły się świąteczne reklamy, Snakes postanowili wygonić stamtąd czarnych, więc ze trzydziestu ich chyba przyjechało – w brykach i na motorach. Sami najgorsi *nigger killers*, niektórzy nawet z wydzierganymi literami „NK”. A zaraz po nich zjawiły się gliny, widać dostały cynk, i otoczyły pole bitwy. Tylko nielicznym fighterom udało się tamtego wieczoru uniknąć dołka. Niektórzy ukryli się w sklepie i z wózkami i koszykami udawali klientów, ja natomiast wskoczyłam na ścigacza, z którego właśnie psiarnia ściągnęła Portorykańca, i z podjazdu dla inwalidów, jak na motocyklowym rodeo, przejechałam po masce radioli blokującej drogę. A potem slalom sto mil na godzinę między trąbiącymi autami i uskakującymi pieszymi. W parku Humboldta porzuciłam motor i z miną niewiniątka podreptałam na stację L.

– Jesteś taka sama wariatka jak ja – stwierdziła babcia Hania, kiedy pochwaliałam się przed nią swoim wyczynem. – Bozia niestety poskąpił nam instynktu samozachowawczego. Tyle że ja zawsze byłam po jasnej stronie mocy.

Wtedy obie namiętnie oglądałyśmy stare *Gwiezdne Wojny*. Jeszcze na VHS.

– Niedługo się prześlancuję. Zobaczysz – zapewniłam babcie.

I wcale nie ściemniałam, bo choć obracałam się wśród bandziorków, w gruncie rzeczy od dziecka pragnęłam zostać gliną. Ale nie taką, jak moja mama, którą na komendzie nazywali Madame de Sade. Idolką i wzorem była dla mnie babcia. Też kiedy trzeba brutalna i nieprzebierająca w środkach, ale o znacznie subtelniejszym umyśle.

Wierzyłam, że będę taka sama. I ta dzisiejsza jazda po dziurawych polskich drogach była jak ściganie marzenia.

PO SPACERZE ŻAL MI BYŁO ZOSTAWIAĆ PSIAKA SAMEGO W DOMU, więc mianowałem go starszym posterunkowym Azanem i zabrałem do pracy. Jak się okazało, był to dobry pomysł, bo Kapuśniakowa i córki porządnie się wystraszyły, a ja, wstyd przyznać, lubię, kiedy przesłuchiwani się boją. Tego komfortu zazdrościłem zawsze moim poprzednikom z MO, a od wczoraj także kolegom Hanah, bo opowiedziała mi o uprawnieniach amerykańskiej policji.

– Niech pan zabierze buldoka! – piszczały przez płot małolatki, chowając się za grubą, obrzękniętą od wódki rodzicielką. – On na pewno ma szczęścisk.

– Jakby tak któraś z nich miała szczęścisk, połowa chłopaków w gminie chodziłaby z pustym rozporkiem – szepnął mi do ucha Byk i głośno się roześmiał z wyrafinowanego żarciku.

Nie zważając na protesty lokatorek, pchnąłem furtkę i mocno trzymając Azana za obrozę, wszedłem na podwórko. Poczuję silny

zapach acetonu, rozejrzałem się więc w poszukiwaniu źródła. Byk okazał się lepszy i od razu je zlokalizował.

– W tej budzie z pustaków mają chyba zakład kosmetyczny. Co nie, Kapuśniakowa?

Popatrzyła na nas z niepokojem.

– Zaraz zakład. Dzisiaj czasem przyjmie klientkę, to i wszystko. Przecież dziewczyna chodzi do szkoły dla kosmetyczek, to co ma sobie nie zarobić?

– Pani się nie boi. My nie ze skarbowego – powiedziałem liberalnie jak sam porucznik Borewicz. – Całkiem co innego nas interesuje. – I dla przełamania lodów poczęstowawszy panie goldenami, zadałem trzy pytania.

– U nas nie była – odpowiedziała za matkę Dolores, duża toporna dziewczyna, podobna do przodowniczki pracy z socrealistycznych rzeźb. – Nie miałyby po co. My bierzem gaz tylko z butli.

– Nie, nie. Nikogo nie widziałyśmy – odrzekły za chwilę chórem wszystkie trzy. – Ani nikt wieczorem nie jeździł Wiosenną, ani nie chodził.

Ale prawdziwym ciosem było moje trzecie pytanie.

„O RYCZYWOLE ZAMILCZEĆ WOLE”, mawiała babcia Hania, cytując poetę, którego nazwisko wyleciało mi z głowy. Za to Głody to szczyt mody – dopowiedziałam na widok drogowskazu zaraz za Ryczywołem kierującego w las. I rzeczywiście, po ujechaniu niespełna mili natknęłam się na absurdalnie wysoki płot, który zwieńczeniem z drutu kolczastego zaplątany był w korony sosen, co wyglądało tak dziwacznie, że natychmiast przypomniały mi się postmodernistyczne instalacje w MoMA^[2]. Brakowało tylko zachwyconej, cmokającej publiki z Greenwich Village.

Za otwartą bramą zobaczyłam kilkanaście aut, z których najtańsza była chyba beemwica. Po jej bokach stały bentley i royce, a dalej

luksusowe włoskie marki. Górował nad tym leśnym parkingiem budynek z kilku przeszklonych prostopadłościanów. W najbliższym, na pierwszym piętrze, zauważyłam ludzi ustawionych w szeregu. Poruszali ustami, mówiąc coś albo śpiewając, ale gruba szyba nie przepuszczała dźwięku.

Dopiero mijając recepcję i kierując się na szerokie schody, usłyszałam, że deklamują dwuwiersz: „Nie ma winy, są przyczyny”. Jak mantrę lub modlitwę.

– Proszę pani, tam nie wolno wchodzić. Trwają zajęcia! – zawołało za mną dziewczę z recepcji.

Machnęłam legitymacją, jak od insekta opędzając się od jej głosu, po czym szybko pokonałam stopnie i bezceremonialnie otworzyłam drzwi z jakimiś hinduskimi napisami.

– Nie ma winy, są przyczyny. Są przyczyny, nie ma winy – powtarzało w środku pięć kobiet i czterech mężczyzn, a chórem kierowała pani podobna do Jane Fondy. Tej ze *Stanley & Iris*, nie z *Obławy*.

Nie wiem, co mi strzeliło do łba, może to późny skutek jointów i cracku, które paliłam jako małolata, w każdym razie moje ciało jakby samo z siebie zaczęło nagle rytmicznie podrygiwać, a z ust popłynął najczystszy *flow*.

– Nie ma winy, są tylko przyczyny, miastem rządzą Black Lords, ostre skurwysyny! – Pierwszy raz w życiu rapując po polsku, przeszłam w tę i z powrotem przez wyłożony materacami gabinet.

Po czym, roześmiewszy się głośno i przyjaźnie, że niby to taki dowcip, przedstawiłam się towarzystwu:

– Porucznik Hanah Torres. FBI. Przyjechałam w sprawie Abigail Grant.

MATKA I CÓRKI NAJPIERW GWAŁTOWNIE ZAPRZECZYŁY,
a potem stara zaczęła udawać idiotkę.

– Berlingo to niemiecki samochód, co nie? Wyprodukowany w Berlinie. Czyli mój mąż mógł kiedyś takim przyjechać, bo od dziesięciu lat robi w Niemczech. Ale ja się na samochodach nie wyznaję.

– Sąsiedzi mówią, że to nie był pani mąż – powiedział Byk zgodnie z prawdą. – On zresztą nie odwiedza rodziny. Nawet w święta.

– Do kogo należy ten samochód? – spytałem ostro. – Na poboczu Wiosennej, tam gdzie doszło do morderstwa, są ślady kół. Rozstaw i odcisk opon wskazują, że mógł to być właśnie citroën berlingo.

Choć pierwszy raz wspomniałem w obecności tych kobiet o morderstwie, nie sprawiały wrażenia zaskoczonych. Albo sąsiedzką pocztą pantoflową dotarła już do nich nowina, albo same wypatrzyły radiowozy i pracujących techników. Była też trzecia możliwość – że wiedziały o zbrodni, bo miały z nią coś wspólnego.

– Mamo, a może rozchodzi się o tego gościa, co chciał od nas wynająć szopę na magazyn? – pospieszyła matce z pomocą Dżessika. – Przyjeżdżał do nas taki kilka razy, mówił, że hurtownię chce założyć. Aleśmy się z nim nie dogadały.

Intuicja doświadczonego gliny podszeptała mi, że mam do czynienia z półprawdą. Być może rzeczywiście znajomość Kapuśniakowej z właścicielem citroëna zaczęła się od rozmów o szopie? Choć ta, jak na potrzeby hurtowni, wydawała się dalece za małą.

– Panie komisarzu – matka uderzyła w płaczliwy ton – ja wiem, że po Wiosennej, zwłaszcza wieczorami jeździ niewiele aut, ale na pewno więcej niż jedno. Czemu pan podejrzewa, że to mój znajomy potrafił inkasentkę?

Nieopatrnie nazwała tego człowieka znajomym. Wymsknęło się jej. Na twarzy Byka spostrzegłem uśmiezek zadowolenia. Sam też się ucieszyłem, choć wiedziałem, że całe moje rozumowanie jest trochę na słowo honoru. To jasne, że przez Wiosenną przejeżdża dziennie kilka, może w porywach kilkanaście aut, głównie kiedy kierowcy

poblądzą i za wcześnie skręca z Wilanowskiej. A jednak coś mi podszeptywało, że spotkanie nieszczęsnej Żanety Kuchcik z mordercą nie było przypadkowe. Że bydlak znał jej trasę i specjalnie tu się zaczął. A zatem musiał to być ktoś miejscowy.

Dlatego podejrzewałem, że mieszka, a przynajmniej bywa w którymś z domów przy końcu Wiosennej. Wprawdzie według braci Nowaków, a także innych sąsiadów, posiadacz Citroëna od dawna nie pokazywał się u Kapuśniakowej, to jednak – kto wie? – mógł wstawić auto do szopy i ruszyć za ofiarą dopiero o dwudziestej, kiedy starzy siedzą przed telewizorami, a młodzi przed monitorami pecetów. W pół minuty dotarłby na miejsce zbrodni.

A jeszcze bardziej prawdopodobne, że widywał Żanetę Kuchcik podczas swoich poprzednich wizyt. I kiedy zobaczył ją wczoraj, miał już gotowy plan.

– Nie wiem, jak się nazywał, nie przedstawił się, a w dowód mu nie zaglądałam. – Kapuśniakowa wyraźnie zaczęła się bać i postanowiła do zeznań dosypać więcej prawdy. – Powiedział, że ma na imię Roman.

– Chyba nie ściemniał – poparła matkę Dolores. – Bo jak odebrałam raz jego komę, kiedy siedział w kiblu, to ten jakiś koleś spytał się o Romka.

– No dobra, a kiedy Romeo był u was ostatnio? – Byk, zadowolony, że szala zwycięstwa przechyla się na naszą stronę, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Kobiety popatrzyły po sobie, Dzessika dziwnie zamrugła, jej siostra zamachała rękami, a matka wykrzywiła usta, jakby zjadła coś obrzydliwego. I to ona wyartykułowała przez nie słowo, które na początku wydało mi się przesłyszeniem.

– Że co?! – wrzasnąłem.

– TO SKANDAL! ŻĄDAMY ZWROTU PIENIĘDZY! – darły się dwie panusie, trzecia histerycznie szlochała, a reszta pacjentów zamieniła

się z wrażenia w słupy soli. Jedynie pani Grażyna Werter, która prowadziła zajęcia, zachowała coś w rodzaju spokoju.

– Abigail przyjechała, jak zawsze, ze swoim ojczymem, ale już po kilku godzinach powiedziała, że musi pilnie wracać do Warszawy – wyjaśniła mi, nieco ścisząc głos, jakby to była informacja poufna.

Wszyscy już jednak wiedzieli ode mnie, co się stało, a niektórzy nawet zdążyli dobudować do tego fakty, o których nie miałam pojęcia. Zrobił się mętlik i rechwach.

– Dlaczego nie pozwoliłaś Jackowi, żeby ją odwiózł chociaż do Kozienc? – Chciał się koniecznie dowiedzieć facet o wyglądzie geja. – Uznałaś, że bogatą Amerykankę stać na taksówkę, tak? To ja ci coś powiem, Graszka. Nas tu wszystkich na wiele stać i nawet na terapię w twoim ośrodku, ale teraz widzę, że to były źle wydane pieniądze.

– Przecież Jacek był wtedy kotem i nie mógł opuszczać treningu – broniła się pani Werter, więc pomyślałam, że mam do czynienia ze świrami; dopiero po chwili przypomniałam sobie słówko *co-trainer*, przez polskich terapeutów skracane pewnie do kota.

– Czy ktoś z państwa wie, dlaczego Abigail postanowiła wracać? – zapytałam, usiłując ich uciszyć albo chociaż przekrzyczeć, lecz tylko spotęgowałam wrzawę.

– Przez seksistowską agresję Bernarda! – wrzasnęły panie, które wcześniej domagały się zwrotu kasy. – Od początku ją atakował.

– Nie mówimy w trzeciej osobie. Zwracajcie się do Bena – pouczyła je Grażyna Werter, tak jakby nadal trwał trening.

To wywołało jedynie powszechną furję. A sam Ben, którego mylnie uznałam za geja, zaczął na wszystkie strony rozsylać fucka.

– Okłamano nas! – krzyknęła ta, co wcześniej szlochała. – Obiecano nirwanę, a dostaliśmy zbrodnię!

– To pieprzone schizole – wytłumaczyła mi terapeutka szeptem. – Powinni się leczyć nie u mnie, ale w Tworkach.

Domyśliłam się, że to jakiś znany na całą Polskę szpital psychiatryczny. Taki z pasami i psychotropami, podobny do naszego

Kankakee State Hospital, gdzie trafiłam za pogryzienie policjantów. Na szczęście babcia z tatą na drugi dzień mnie uwolnili, wbrew mamie, która chciała, bym została w wariatkowie, póki się nie wyleczę, czyli na zawsze.

– Abigail po wyjeździe już się z panią nie skontaktowała? – dopytywałam, wyprowadzając terapeutkę z okrążenia na korytarz; część pacjentów ruszyła za nami w pościg i dopiero wysoki, szczupły chłopak mniej więcej w moim wieku ich powstrzymał.

– Nie. Nawet SMS-a nie wysłała. Pozwoli pani porucznik, to jest Jacek, mój syn. Skończył niedawno Akademię Psychologii Wschodu, więc wspólnie ze mną prowadzi klinikę.

Młody człowiek podał mi miękka, chudą dłoń. Zauważyłam, że jego uśmiech sprowadzał się do nieznacznego ruchu górnej wargi, podczas gdy oczy pozostawały bez wyrazu.

– Podobno Abigail prosiła pana o podwózkę do Kozienc. To chyba znaczy, że byliście zaprzyjaźnieni – zagaiłam, z ciekawością oczekując jego reakcji.

A była gwałtowna. Jacek Werter odwrócił się na pięcie, pomaszerował żołnierskim krokiem do najbliższego okna i przez chwilę stał przy nim, jakby świeżym powietrzem zwalczał zadyszkę lub uspokajał się widokiem sosen. Ale chyba niewiele mu to pomogło, bo kiedy do nas wrócił, był tak samo zdenerwowany. Lub nawet jeszcze bardziej.

– To bzdura – powiedział, ocierając ślinę z kącika ust. – Abigail nigdy w życiu nie wsiadłaby ze mną do samochodu. I ty, mamó, dobrze wiesz dlaczego.

– Słowa jej o tobie nie mówiłam – zaprotestowała pani Werter. – Najmocniej panią porucznik przepraszam, to takie nasze rodzinne spory. Jacuś ubzdurał sobie, że kompromituję go przed dziewczętami, które wpadły mu w oko.

– A w jaki sposób miałyby pani to robić? – Autentycznie się zaciekawiałam.

– Cóż, każda matka jest w stanie ośmieszyć syna przed dziewczyną, jeśli tylko podzieli się z nią wiedzą na jego temat. Rozumie pani? Jak kobieta z kobietą. Choćby o jego fizjologii, która w wypadku Jacusia rzeczywiście jest mocno nieapetyczna.

Spostrzegłam, że chude policzki chłopaka purpurowieją, a w oczach pojawiają się łzy. I taka terapeutyzuje ludzi! – pomyślałam.

– Czyli co? – dociekałam dalej. – Abigail Grant zmuszona była wezwać taksówkę, czy ktoś ją jednak podwiózł?

– Ojczym – odparł Jacek Werter, siąpiąc nosem. – Czekala na niego na parkingu.

Przypomniało mi się, że według Parkera dziewczyna zabrała się z Głodów z jakąś koleżanką, i to nie po kilku godzinach, ale po całym dwudniowym treningu. Zatem ewidentnie któryś z dżentelmenów kłamie. Raczej Parker. Zadzwoił do Abigail z jakąś ściemą, że ma szybko wracać, bo coś tam, po czym przyjechał po nią do Głodów, wywiózł gdzieś, zamordował, a spuszczoną krew wylał w podziemnym garażu. Ślicznie się puzzle układają, tylko motywu brak.

Kątem oka spostrzegłam dziewczynę z recepcji. Wychylała się zza zakrętu korytarza i dyskretnie dawała mi znaki.

– MÓWIĘ, ŻE WCZORAJ. GŁUCHY PAN JESTEŚ? – zaskrzeczała Kapuśniakowa, a ja ledwie się powstrzymałem, by nie wykonać piłkarskiej cieszynki. I zdziwiłem się, słysząc, jak Byk opieprza babę za brak szacunku dla władzy. Cóż, milicyjna krew. – Ale tylko na chwilę wpadł, podarował każdej tusz do rzęs, wypił kawę i już go nie było. Mówił, że jak się ze wszystkim odrobi, to może jeszcze na dniach zajrzy.

– O której od was wyjechał? – spytałem, zastanawiając się już, jak zorganizować w ich domu zasadzkę.

Bo wszystko się zgadzało. Wsiadł w brykę przed dwudziestą i ruszył w kierunku Wilanowskiej. Prawdopodobnie mniej więcej w tym

samym czasie Żaneta Kuchcik skończyła spisywać licznik u Nowaków.

– Pani pokaże te tusze – zażądał Byk.

– A jeden nie wystarczy? One przecież takie same. I kolor, i firma.

– Ale na którymś mogą być wyraźniejsze odciski palców. Pani nie dyskutuje, tylko przyniesie wszystkie trzy. I nie łapami, a przez torebkę foliową. Za kilka dni pani zwrócimy.

– Już to widzę – sapnęła baba pod nosem, zapewne wyobrażając sobie nasze żony i kochanki z rzęsami ciężkimi od zarekwirowanego tuszu. – No leć, Dżesia, przynieś. Na władzę nie poradzę.

Chwilkę potem obaj wpatrywaliśmy się w ciemnogrnatowe opakowania z jakimś włoskim napisem.

– Kod kreskowy zaczyna się na osiemset, czyli *made in Italy* – mruknął sierżant niby do siebie, ale wiedziałem, że chce, by wszyscy usłyszeli, jaki z niego mądrała. – Może być jeszcze San Marino albo Watykan, ale w Watykanie raczej nie produkują kosmetyków. Potem się sprawdzi, czy to sprzedają w Polsce, czy przywiózł z zagranicy.

– Chyba wiadomo, że z Włoch – wtrąciła się Dżessika. – On przecież tam pracuje. Tak nam przynajmniej powiedział.

Miała rację, czyniąc to zastrzeżenie. Bo my, faceci, łżemy dziewczynom w żywe oczy. I dlatego potrzebne są takie niewiasty, jak Hanah i jej babcia, które potrafią ustawić nas do pionu.

RECEPCJONISTKA KONSPIRACYJNIE WRĘCZYŁA MI
ZROLOWANE PISMO Z WIDOCZNYM FRAGMENTEM BŁĘKITNEJ
WINIETY.

– Na drugiej stronie – szepnęła. – Taki duży artykuł.

Gdy rozwinęłam ją na dworze, zobaczyłam, że to „Gazeta Policyjna”, stary numer sprzed dekady. Siadłam przy triumfie, oparta plecami o drzewo, i zagłębiłam się w lekturze. Rok dziewięćdziesiąty czwarty, lipiec, pensjonat w Krynicy Górskiej. Jedenastoletnia Kasia Pelaiz, córka hiszpańsko-polskiego małżeństwa, wchodzi wieczorem do salki telewizyjnej, przynosząc

pomarańczę swojej sympatii, pięć lat starszemu Jackowi. Potem oboje wybiegają na korytarz. To wtedy po raz ostatni widziano Kasię żywą. Kilka godzin później portier znajdzie zwłoki dziewczynki w jednym z niezamieszkałych pokoi.

– No tak, skoro półkrwi Hiszpanka, to pewnie była nad wiek rozwinięta fizycznie. – Przed oczami stanęły mi latynoskie gówniary, wyglądające nieraz na dwadzieścia lat. Tylko że ta Kasia nie była z gangu ani ze społecznych nizin i w znanym jej świecie nie istniała męska, seksualna adoracja. Roznamiętniony szesnastolatek zaciągnął do pustego pokoju dziecko. A gdy to do niego dotarło, przerażony konsekwencjami, nie umiejąc sprawić, by przestała płakać, zacisnął na jej szyi sznur od nocnej lampki.

Potem łaził po pensjonacie jak lunatyk, zdaniem autora artykułu symulując chorobę psychiczną. A może nie musiał? Może naprawdę był chory, skoro – co przeczytałam akapit niżej – koledzy z liceum uważali go za dziwnego, wręcz pomyłonego? Podobno przebierał się za tybetańskiego mnicha i nawoływał do buddyjskich modłów. Utrzymywał też, że jest reinkarnacją średniowiecznej mistyczki, Mechtyldy z Magdeburga.

Jego matka, znana psycholożka kliniczna, poruszyła oczywiście niebo i ziemię, a w każdym razie armię znajomych psychiatrów i psychoterapeutów, by ci znaleźli u Jacusia cyklofrenię, schizofrenię, paranoję i wszelkie ciężkie zaburzenia. Nic to jednak nie dało i jedyną okolicznością łagodzącą okazał się wiek sprawcy.

– Kurwa! Osiem lat za zamordowanie dziecka! Dziewczynki, która miała na imię tak samo jak moja córeczka. – W głowie mi się to nie mieściło. U nas zrobiono by zwyrodnialcowi szprycę z chlorku potasu i cześć pieśni.

Kątem oka spostrzegłam znad gazety, że Jacek Werter tak jakoś dziwnie przemierza parking, jakby się skradał, po czym wsiada do sportowego, żółtego kabrioletu volvo.

GDY WRÓCILIŚMY Z BYKIEM NA MIEJSCE ZBRODNI, SIENIEWICZ I JEGO DRUŻYNA WŁAŚNIE WYSIADALI Z AUTA, A OD WILANOWSKIEJ NADJEŹDŹALI AMERYKANIE. Jakoś się im wszystkim nie spieszyło – pomyślałem. Ja zdążyłem pojechać po Azana, przesłuchać mieszkańców Wiosennej, a oni w tym czasie co? Pierdzieli w fotele? Nie wszyscy. Jeden wykonał kawał dobrej roboty.

– Znamy się ze słyszenia, panie komisarzu – zwrócił się do mnie czterdziestolatek o sympatycznej fizjonomii. – Mój brat jest pańskim kolegą z Fregaty Konstancin. Feliks Zadrożny – przedstawił się, mocno ściskając moją prawicę.

Rzeczywiście we Fregacie, klubie nazwanym tak na cześć konstancińskiego kina, do którego chadzaliśmy w dzieciństwie, grał na pozycji stopera – Maniek Zadrożny. Jak dotąd nie kojarzyłem go jednak z medykiem sądowym o tym samym nazwisku. Nie miałem też pojęcia, że pan doktor nosi baczki à la Deyna.

– Mam dla pana dobre wieści, komisarzu. Na prawej dłoni ofiary pod paznokciem kciuka znalazłem ślad biologiczny, prawdopodobnie pochodzący od sprawcy. Klasyka: krew i naskórek. Spece od DNA już nad nimi pracują. Teraz pana kolej, żeby dostarczyć materiał porównawczy w postaci podejrzanego. – Uśmiechnął się z własnego żarciku, a ja pomyślałem, że to jednak trochę trudniejsze, niż obciąć trupowi paznokcie.

Przekazałem potem inspektorowi, co powiedziały mi Kapuśniakowa i jej córki; zasugerowałem, że trzeba je pilnie zaprosić na sporządzenie portretu pamięciowego.

– A żadna nie zrobiła mu zdjęcia telefonem? – zdziwił się kapitan Swoboda.

Wierzyć mu się nie chciało, że na polskiej wsi używa się aparatów jeszcze z ubiegłego wieku, przez które można jedynie pogadać.

– Szkoda czasu wozić się z nimi do Warszawy – wtrącił się Adelson.
– Na Borsuczej mamy doskonałego grafika i najlepszy na świecie program.

OD RAZU SIĘ ZORIENTOWAŁ, ŻE GO ŚLEDZĘ, więc przyspieszył, próbując mnie zgubić. Byłam ciekawa, czy to jego cacko za dwieście tysięcy jest szybsze od mojego motocykla, ale odrzuciłam pokusę, by to sprawdzać. „Noiro, zrób wreszcie coś rozsądnego”, podpowiedziała mi babcia Hania, więc zamiast się ścigać, po prostu przestrzeliłam mu opony. A kiedy zwolnił, szorując kapciami po piachu, wyprzedziłam go i wycelowałam w łeb.

– Koniec rajdu! Wysiadka! – rozkazałam.

Zrobił to, czy raczej próbował, z takim trudem, jakby nagle mięśnie mu zanikły, a kości rozmiękły. A ja, patrząc na te nieudolne, ropusze ruchy, z trudem się powstrzymałam, żeby nie zrobić w nim takich samych dziur jak w oponach. Zamiast tego jednak zatelefonowałam do szefa.

– Przepraszam, Dave, ale motor był mi potrzebny na dłużej. – Uznałam za stosowne powiedzieć w pierwszych słowach. A w następnych poinformowałam go, gdzie jestem i jaką ciekawą osobę spotkałam. – Wyobrażasz sobie, że do Abigail Grant robił podchody człowiek karany za morderstwo seksualne? Właśnie go aresztowałam, ale jestem sama jedna, a w tych Głodach kupa luda i co drugi to świr. Jakbyś mógł zorganizować mi pomoc... Najbliższe większe miasto to Kozienice.

Jacek Werter zrozumiał, o czym rozmawiałam z Adelsonem i jak tylko się rozłączyłam, zaczął płynną angielszczyzną gwałtownie protestować.

– FBI nie ma prawa dokonywać aresztowań na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej! Jak na razie nie jesteśmy pod waszą okupacją! A moja matka to paranoiczka i rozpuscita o mnie ohydne plotki. Od niej się pani dowiedziała, że jestem mordercą, tak?

– Nie. Przeczytałam w starej gazecie. A ty nie siedź na tych drzwiach okrakiem jak panna z chlicą, tylko się kładź. Mordą do ziemi i z rękami na głowie. No już! Bo za chwilę wróci mi ochota, żeby

ci zrobić pif-paf. – Poczekalam, az wykona polecenie i dopiero zeslam z motoru. Przysiadlam na masce volvo. – Moim zdaniem, to ty odwiozles Abigail – powiedzialam, bawiac sie parabelka, prezentem od babci Hani; ona sama cale zycie uzywala identycznej, strach sie bac, ilu lajdakow przy jej pomocy poslala do piekla, a teraz wierny pistolet, wraz z nia pochowany, towarzyszy jej w zaswiatach. – Potem zamordowales w Puszczy Kozienickiej albo gdzieś nad Wisla. Tam sporo jest dogodnych, ustronnych miejsc. Okolica jakby stworzona dla psychopatow.

– Pani bredzi! – odpowiedzial po polsku.

Roześmialam sie.

– Naczelna zasada jest nieocenianie wypowiedzi innych. Nie nauczono cie tego na treningach interpersonalnych? A teraz powiedz, skad sie wziales w pensjonacie Eurydyka!

Byl to kompletny strzal w ciemno, a jednak jakimś cudem trafilam. Zdarza sie.

– Wiedzialem, ze bede podejrzany o zamordowanie tych dwuch starych Amerykanek. Ale ja przeciez nie mialem z nimi zadnego kontaktu.

– Ponawiam pytanie: skad sie wziales i co robiles w Eurydyce?

– Jestem psychologiem. Uzdrowisko Konstancin zatrudnia mnie na umowe-zlecenie. W Eurydyce mialem stworzyc geriatryczna grupe psychoterapeutyczna. Ale te dwie panie nie byly zainteresowane, a nawet sie obrazily, ze uwazam je za staruszki.

Nie musial byc ich zabojca – pomyslam. Mogl go jedynie nasladowac, jesli w jakis sposob poznal szczegoly smierci Rachel Arnold i Rai Stern. Moze policjanci przesluchujacy gości i personel Eurydyki nieopatrznie chlapneli ozorem, a ktos mu to potem powtorzyl? Bezwiednie poddajac sposob, jak pozbyc sie Abigail, zeby poslo na konto tamtego maniaka.

– To wszystko robota mojej psychopatycznej mamusi – powiedzial Werter, strzelajac palcami splecionymi na potylicy. – Poczawszy od

Kasi Pelaiz. Tej uduszonej dziewczynki. Jeśli czytała pani artykuł w „Gazecie Policyjnej”, to musi pani wiedzieć, że Kasia feralnego wieczoru przyniosła mi dwie pomarańcze.

– Napisano o jednej. Nieważne. Do czego zmierzasz?

– Były dwie. Na pewno. I obie pełne silnego środka nasennego. Oczywiście wstrzykniętego przez tę kurwę. Państwo Pelaiz zeznali, że to nie od nich córka wzięła pomarańcze. Czyli skąd je miała? Odpowiedź jest prosta, co nie? Od mojej matki. Bo chciała, byśmy oboje zasnęli.

– Musiałyby to jeszcze jakoś zaaranżować, żebyście znaleźli się w pustym pokoju.

– *No problem.* Pamiętam, że nim zaczął mnie morzyć sen, byłem z Kasią na balkonie. Siedzieliśmy na leżakach, obserwując gwiazdy. Z tego balkonu było wejście do połowy pokoi na pierwszym piętrze. Także do tego, w którym rzekomo ją udusiłem. Tyle tylko, że kiedy obudziłem się po północy, ona już nie żyła. Miała zaciśnięty na szyi ten przeklęty przewód. A ja czułem się jak po jakichś narkotykach.

– Czyli według ciebie twoja matka przeniosła was śpiących do pustego pokoju, a potem zamordowała Kasię?

– Dokładnie tak było. Dopiero gdy siedziałem w więzieniu, to zrozumiałem.

– Ale wiesz, że twoje *story* ma dwa bardzo słabe punkty. Że dziewczynkę przeniosła, to ostatecznie uwierzę, ale ciebie? Przecież ty musisz ważyć z siedem dyszek, a wtedy pewnie niewiele mniej. A twoja stara nie wygląda na olbrzymkę z mitologii nordyckiej. OK, być może jeszcze byłeś w stanie sam iść, choć niczego nie pamiętasz. To się zdarza. Ale najważniejsze: po co miałyby to robić? Nienawidziła cię?

– Kochać to mnie na pewno nie kochała. Tylko to nie ten trop. Według mnie chciała na kilka lat pozbyć się mnie z domu.

– Miała faceta?

– Cały legion. Facetów i kobiety. Mój ojciec finansował ten burdel. A ja, żeby się jakoś bronić, przeszedłem na buddyzm.

– Ojciec jest bogaty?

– Był. Bo umarł dwa lata temu. Odziedziczyła po nim hotel w Innsbrucku i kupę kasy. Dzięki temu mogła założyć tę zasraną, oszukańczą klinikę.

– Czemu tak uważasz? W necie ma dobre opinie.

– Reklamuje się, że skutecznie leczy depresję. I niektórzy w to wierzą, a wiara czyni cuda. Natomiast samobójcy milczą.

– Ktoś odebrał sobie życie po jej treningach?

– Co najmniej dziesięciu pacjentów. Nawet ostatnio jakiś dziennikarz śledczy węszył wokół tej sprawy, ale zderzył się ze ścianą. Moja mamuśka jest nie do ruszenia. Ma kochanków w światowym stowarzyszeniu psychiatrycznym i w każdym kolejnym polskim rządzie.

Coraz bardziej brzmiało to jak majaczenie świra. Pamiętałam jednak opowieść taty o facecie, który zawiadomił policję, że sąsiadka ma atomówkę. Cały komisariat rechotał, póki się nie okazało, że to jakaś pieprzona terrorystka i faktycznie gromadzi w ogródku materiał do produkcji brudnej bomby.

– A zdarzyło się, że ktoś strzelił samobójca tu na miejscu, w Głodach?

– Pod czaszką już zaczął mi się układać psychopatologiczny thriller: matka dusi dziewczynkę i rzuca podejrzenie na syna, ten w odwecie morduje jej pacjentów, pozorując samobójstwo.

Lecz odpowiedź, jeśli padła, zagłuszył narastający łoskot. Drzewa zaszumiały, jakby zaraz miały runąć, a po ziemi przesunął się wielki, wirujący cień.

POTEM ADELSON ZAPROSIL NAS NA BORSUCZĄ, co akurat dla mnie było cokolwiek kłopotliwe, bo miałem ze sobą Azana, a tam stróżowało psie monstrum. Było jednak przez Amerykanów dobrze wytresowane, więc nawet nie warknęło, tylko złowrogo łypało okiem.

„Gdyby mi pozwolono, zjadłbym cię na jeden kęs”, zdawało się mówić spojrzenie bestii. „Albo ja ciebie”, odpowiadał wzrokiem mężny Azan. „A jeszcze mój pan tak by cię kopnął, że poleciałbyś w kosmos. Jak nie wierzysz, spytaj się amstaffa z Jeziorny, co niedawno do mnie wystartował”.

– Na ten moment możemy jedynie sprawdzać alibi kierowców berlingo – powiedział Adelson przez tłumaczkę. – To wymaga zaangażowania dużych środków i nie wiem, czy wasza policja ma do tego odpowiednie moce przerobowe. Jeśli ten chłopak się nie myli i rejestracja faktycznie zaczyna się na literę „R”, trzeba w pierwszej kolejności sprawdzić województwo podkarpackie.

Pamiętam, że po tym zaleceniu zadzwoniła do Adelsona Hanah, chwilę pogadali po angielsku, po czym Sieniewicz otrzymał rozkaz wysłania do Głódów policyjnego śmigłowca. Zauważyłem, że z każdą godziną ci Amerykanie czuli się tu coraz bardziej jak w Waszyngtonie i o nic już nie prosili, tylko żądali. Zaczynałem rozumieć, czemu w większości krajów ich nie znoszą. Choć przecież taki Dave i Swobo to całkiem sympatyczni faceci.

– Porucznik Torres przywiezie niedługo innego podejrzanego – oznajmił Adelson, gdy odpowiednie służby potwierdziły Sieniewiczowi, że helikopter już wyleciał z bazy w Kozienicach. – Powiem panom, że sprawa zaczyna robić się interesująca. Przypuszczam, że będzie kiedyś omawiana na zajęciach w Akademii Policyjnej. O, chyba nasz grafik już skończył.

I rzeczywiście drukarka z cichutkim, kojącym szmerem zaczęła od podbródka w górę rodzić mężczyznę mniej więcej czterdziestoletniego. Ledwie wyszły z maszyny brwi, wiedziałem już, że to cieć z budowy na Matejki. Ten, niesłusznie podobno, oskarżony o gwałt. Amerykanie, którzy również go wczoraj widzieli, aż poderwali się z krzesel i przybili sobie piątkę.

– Musiało im się coś spieprzyć w tym komputerze – szepnął mi Byk na ucho. – No nic, jeszcze siedzi u nas na dołku, to zaraz się wszystko

wyjaśni.

ZANIM WYLECIELIŚMY, ZDAŻYŁAM PRZESŁUCHAĆ PACJENTKI PANI WERTER i aż trzy zeznały, że były w Głodach molestowane, na dowód pokazując mi SMS-y z propozycjami seksu, a także z groźbą w razie odmowy. Niektóre były prymitywnymi rymowankami, na przykład: „Cięgnij mi druta, bo będziesz otruta”. Nie zgłaszały tego nigdzie, przeświadczone, że to obrzydliwy dowcip któregoś z kolegów-pacjentów. Teraz jednak, kiedy Abigail zniknęła i najprawdopodobniej została zamordowana, postanowiły przerwać milczenie.

Wtedy w Polsce wielu ludzi miało telefony na karty, czyli anonimowe, byłam więc pewna, że takim właśnie posłużył się nadawca. I dlatego się zdziwiłam, gdy aspirant z Kozienc, który przyleciał w helikopterze, natychmiast ustalił, że chodzi o numer abonencki należący do Jacka Wertera.

– Synku, dlaczego to robiłeś? – Jego matka wydawała się zdruzgotana. – Przecież wiesz, że takie fantazje ci szkodzą. Dostajesz od nich drgawek, zanieczyszczasz się, a w dodatku możesz znów zrobić coś strasznego. Bo od fantazji do realu jeden krok. A wtedy ja zażyję truciznę. Chcę, żebyś był tego świadomy.

Jacek słuchał ze spuszczoną głową, jakby przyjmował matczyną nagane, lecz gdy tylko pani Werter na moment się odwróciła, wykonał pod jej adresem gest podrażnienia gardła. Jednocześnie mrugnął do mnie porozumiewawczo.

PRÓBOWAŁEM WYTŁUMACZYĆ AMERYKANOM, ŻE MORDERCA NIE WZYWAŁBY POLICJI. Przecież było oczywiste, że łapiąc złodziei, możemy natknąć się na zwłoki. A po drugie, dlaczego, choć miał do wyboru, do koloru innych miejsc, zawiózł ofiarę akurat w takie, które każdy natychmiast z nim skojarzy? Ale Adelson i Swobo byli upojeni sukcesem i wcale mnie nie słuchali.

– Zobaczycie, panowie, że wyjdzie na moje – warknąłem z cicha i wystukałem numer komisariatu. Niech przywiozą zatrzymanego na Borsuczą w celu okazania. Panie Kapuśniak jeszcze tu przecież były. Sprawa prosta jak budowa cepa.

Długo nikt nie odbierał, aż wreszcie, po kilkunastu sygnałach, usłyszałem zdenerwowany głos Flipa:

– Panie komisarzu, właśnie miałem do pana dzwonić. Nie wiem, jak to się stało. Nikt nie wie. Godzinę temu zaniósłem mu kawę i wszystko było z nim w porządku.

– Moment, Flip. O kim ty mówisz?

– O Marku Bolkowskim. Tym ochroniarzu, którego wczoraj przymknęliśmy na cztery osiem. Przed chwilą Flap go znalazł. Wisi na kracie. Zimny i sztywny.

– TERAZ PANI ROZUMIE, DLACZEGO OSTRZEGAŁAM JEGO DZIEWCZYNY. – Syn ze skutymi rękami i nogami oddalał się w eskorcie dwóch policjantów, a matka przy drzwiach kliniki jeszcze na chwilę mnie zatrzymała, jakby chciała coś wyjaśnić, z czegoś się zwierzyć. – Bo jako fachowiec wiem, że psychopatia jest nieuleczalna. Ona może przysnąć, nawet na długie lata, ale zawsze w końcu pojawi się bodziec, który ją uaktywni. Najczęściej bodziec seksualny.

– Według pani Jacek nie powinien mieć partnerek?

– Oczywiście. Bo wystarczy drobny spór, choćby odmowa seksu, wie pani, ten nasz słynny ból głowy, i może dojść do nieszczęścia. Jak wtedy w Krynicy. Co się pani tak patrzy? Ja wiem wszystko. Mam oczy i uszy otwarte. I widziałam, jak Edyta dawała pani „Gazetę Policyjną”. Tak na marginesie: jej prawdziwy zawód to nie recepcjonistka, tylko kurwa. Płacę jej, żeby robiła Jackowi laskę.

Dopiero po tym ostatnim wyznaniu się zorientowałam, że zapach alkoholu, który od niej czułam, nie jest po jednym czy dwóch drinkach.

MIELIŚMY W IZBIE ZATRZYMAŃ MONITORING, KTÓRY Z REGULY BYŁ POPSUTY, a jeśli działał – pokazywał obraz jak przez szybę w kabinie prysznicowej. Nadludzkie właściwości musiałyby mieć oczy, zdolne z zamglonych, rozlewających się plam odgadnąć, co robi człowiek przy oknie – wygląda przez nie, czy coś majstruje. Zatem nie oczy Flipa, Flapa ani żadnego z naszych chłopaków.

Gdyby nawet, zamiast na jakąś grę czy stronki z laskami, popatrzyli przez chwilę na przekaz z celi, i tak by się nie zorientowali, że Bolkowski właśnie ukręcił z nogawki spodni sznur i zaczepił go o zawias okienny. Solidny, stalowy, porządnie przyspawany do futryny, więc wytrzymał osiemdziesiąt kilo żywej, a potem martwej wagi.

– Bądź tu mądry i pisz wiersze – powiedziałem do Byka; było już po wszystkich czynnościach techników i doktora Zadroźnego, który szczęśliwie wciąż nam towarzyszył, więc nie potrzebowaliśmy szukać innego medyka sądowego. Reszta badań miała odbyć się na Oczki, dokąd Bolkowski zaraz pojedzie w czarnym, foliowym worku. Właśnie otworzyły się drzwi karetki chłodni i połknęły nieboraka.

– Jakie wiersze? – zaciekawiał się kapitan Swobo, który nie znał idiomu.

Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, pewnie nic, bo głowę zajęta miałem Kapuśniakową i jej córkami. Jadąc na komisariat, zaproponowałem Adelsonowi zakład o tysiąc baksów, że babom coś się z tym portretem pamięciowym musiało pokićkać. A tymczasem, ku memu totalnemu zaskoczeniu, rozpoznały Bolkowskiego na zdjęciu w dowodzie osobistym. Miałem farta, że Adelson z wyniosłą miną nie przyjął zakładu. Widać służbista, co nie toleruje w pracy hazardu, a może sam miał wątpliwości.

– To on – stwierdziła stara bardzo pewnym tonem.

Młode lekko się wahały, ale też przytaknęły.

Natomiast przy zwłokach wszystkie trzy zaczęły piszczeć i histeryzować, więc trzeba było szybko zapiąć worek i wyprowadzić je

z celi. Faktycznie wisielec wyglądał okropnie, a co gorsza, do nikogo nie mógł być podobny, oprócz postaci z filmów o Zombie.

– Trzeba się o denacie dowiedzieć czegoś więcej – zwróciłem się do swoich. – Po pierwsze, czy jeździł citroënem berlingo, po drugie, o której zaczął wczoraj pracę, a po trzecie, ogólnie, co za jeden, bo trochę mi nie pasuje, że facet jednocześnie pracuje we Włoszech i jako cieć w Konstancinie. Chyba, że nakłamał tym Kapuśniaczkom, żeby podbić sobie akcje.

– Mówił, że jest na rencie, mieszka w noclegowni w Piasecznie, a ciciowanie załatwił mu kuzyn, przedsiębiorca budowlany – powiedział Flap. – Pewnie ten, co stawia tę chałupę, albo jakiś podwykonawca.

– Berlingo to nie jest bryka z wysokiej półki, ale chyba jednak nie na kieszeń bezdomnego rencisty – zauważył rozsądnie Byk.

Było oczywiste, że coś się tu komuś musiało nieźle popieprzyć.

– A co z tą jego sprawą o gwałt? – zaciekawił się Swobo. – Byłoby dobrze zajrzeć do archiwum. Znasz kod? – spytał mnie, gładko przechodząc na ty, jak to Jankes.

Co mu miałem powiedzieć? Że u nas nie ma tak dobrze i przez net, choćbyś znał sto pinów i haseł, gówno się dowiesz, bo kartotek sądu i prokuratury jeszcze nie zdigitalizowano. Na szczęście był z nami inspektor Sieniewicz i jednym telefonem sprawę załatwił.

– Za kilka godzin powinni przywieźć do Cebesiu – pochwalił się Amerykanom, na których nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. – Powiem, żeby zeskanowali i wysłali mailem na Borsuczą.

Tym razem doczekał się reakcji i to gwałtownej.

– Nie, nie. Tylko nie na Borsuczą! – zaproponował stanowczo Adelson. – Niech wyślą na tutejszy komisariat.

Chodziło mu o to, że adres ich siedziby, nawet elektroniczny, był ściśle tajny i byle biuralistka z Podchorążych^[3] nie miała prawa go

znać. Dzięki temu chytry zamiar Sieniewicza spalił na panewce i nie zostałem odstawiony na boczny tor.

– Niech pan zorganizuje obserwację domu Kapuśniakowej i w ogóle wioski – powiedziałem do niego na stronie. – Amerykanie są przekonani, że morderca leży już w prosektorium, a według mnie to bardzo wątpliwe. Nie fatygowałbym pana, ale po prostu mam za mało ludzi.

– Zrobi się – mruknął, a z jego tonu wyczytałem, że podziela mój pogląd.

MOŻE NA UPYCH MOTOCYKL ZMIEŚCIŁBY SIĘ W HELIKOPTERZE, jednak pilot tak strasznie protestował, tak kasandrycznie wieszczył tragedię, że nawet nie podjęliśmy próby. „*It is too heavy, you understand: za ciężki? And no link, żeby przywiązać, poruszy się, przemieści, wszystkich zgniecie, mnie zgniecie i finish!*”. Machnęłam więc ręką i tylko ustaliłam z aspirantem, dokąd ma zabrać Wertera, a potem pomknęłam wstęgą szosy.

Sukces mnie uskrzydlał. Wiedziałam, że z dużym prawdopodobieństwem zabójcą Abigail jest Parker lub Werter. Trzeba teraz tylko znaleźć jej ciało i zbadać ewentualne ślady biologiczne. Wtedy się okaże czarno na białym – właściciel której kliniki: w Konstancinie czy w Głodach? Tymczasem na pierwszego może wskazywać niejasna relacja z pasierbicą, na drugiego CV i psychopatyczne SMS-y do pacjentek.

No tak. Ale duże prawdopodobieństwo to nie to samo co pewność. Przecież podejrzewałam i nadal podejrzewam Madison Grant, a od kilku godzin także Grażynę Werter. Dawno temu, jako nastolatka, widziałam w chicagowskim Klubie Polonia jakiś film, w którym bohater krótko i zwięźle scharakteryzował eksmałżonkę. „Bo to zła kobieta była” – tak o niej się wyraził, i te słowa przypominały mi się podczas rozmowy z obiema paniami.

Znowu ulubione „no tak” babci Hani, którym zaczynała każdą ważną kwestię i które od niej, wraz z całą polszczyzną, przejęłam; no tak, ale to, że ktoś jest zły, jeszcze nie znaczy, że popełnił zbrodnię. Z doświadczenia babci, i nieporównywalnie jeszcze mniejszego mojego, jasno wynikało, że istnieją niewinne kanalie, jak również sprawcy przerażających przestępstw, a skądinąd, paradoksalnie, dobrzy ludzie. No tak :-)) I przy tym kolejnym „no tak” zadzwonił mój telefon, który na czas jazdy umieściłam w specjalnym uchwycie przy kierownicy. Na ekranie wyświetlił się nieznany numer. Zjechałam na pobocze i odebrałam.

– I co? Helikopter dotarł? – spytał z troską lizusa Sieniewicz.

– Niech go sobie w dupę wsadzą i pokręcą śmigłem – odszczeknęłam i wyjaśniłam mu, dlaczego jadę motorem.

Wszyscy mnie chwalili, że coraz lepiej i coraz wulgarniej mówię po polsku, a to po prostu już na full odemknęła się klapka i jak na komendę przybiegły mi służyć wszystkie bluzgi i obscena, które podłapałam w Colorado od polskiej młodzieży. „Pojęcia nie miałam, że istnieją takie słowa”, powiedziała moja mama, gdy jej zdałam relację z pobranych nauk; mama, urodzona w Polsce i mówiąca po polsku dużo lepiej ode mnie.

– Mam dla pani wiadomość – ciągnął Sieniewicz tym samym tonem. – Właśnie dostałem maila z laboratorium.

– Chodzi o Abigail?

– Tak. I miała pani rację.

– Po to zatrudnia się w FBI kobiety, żeby miały rację w takich sprawach. OK, dzięki, a za pamięci: niech mi pan da namiary na kogoś od zabójstwa Kasi Pelaiz. Krynica, rok dziewięćdziesiąty czwarty. Policjanta albo prokuratora.

MIAŁEM DOŚĆ, PIES MIAŁ DOŚĆ, więc kazałem Flipowi i Flapowi natychmiast dawać znać, jakby coś nowego się zadziało, i wróciłem do domu. Mieszkałem na Mickiewicza w najstarszej części osiedla Grapa,

w krytym czerwonym, spadzistym dachem trzypiętrowym bloku z czasów bierutowskich. Trudno uwierzyć, że jeszcze piętnaście lat temu były w nim piece i kuchnie na węgiel. Cóż, gaz i centralne można doprowadzić, ale nie da rady powiększyć trzydziestometrowej klatki do godziwych rozmiarów.

Corbusier bloki nazywał maszynami do mieszkania. A ten na Grapie to była w takim razie maszynka; bardzo wadliwa, choć z zewnątrz nawet ładna, zwłaszcza po tak zwanej rewitalizacji.

– Szanowanie, panie komisarzu – zachrypiał mi na powitanie Rysiek Hadryś, konstanciński bandziorek przez wódkę zdegradowany do nieszkodliwego menela.

Jako gówniarze graliśmy razem w piłkę w takim lasku między Mickiewicza i Matejki, dziś połkniętym przez czyjąś luksusową rezydencję; ja dzielnie broniłem bramki zrobionej z dłużyc przytwierdzonych do sosny, a Rysiu popisывał się dryblingiem. Kłął przy tym co rusz chorobliwym falsetem, bo od dziecka miał poważną wadę strun głosowych. A szczególną trudność sprawiała mu artykulacja słowa „chuj”, które wyrzucał z siebie jak szczeknięcie albo kaszel. Czyli biegł, kiwał się i szczekał.

Dawniej mieszkał w nowszej części osiedla, ale po śmierci rodziców, jako że nie płacił czynszu, przeflancowano go do kawalerki na Mickiewicza, i w ten sposób stał się moim sąsiadem. Na plus muszę mu zapisać, że nie wykorzystywał starej znajomości i się nie spoufalał. To tylko ja mówiłem do niego: „Rysiu”, a on do mnie: „panie komisarzu”. Był też, za parę groszy na flaszkę, moim informatorem.

– Znasz może Marka Bolkowskiego? – Postanowiłem skorzystać z jego usług. – Ochroniarza z budowy na Matejki.

Hadryś skrzywił się w zaślinionym, pijackim uśmiešku.

– Imię i nazwisko popularne, ale jak pracuje tam, gdzie pan mówi, to wiem, o kogo biega. Pan komisarz też go znał, bo grał z nami w nogę. Mieszkał w Gryfie. Jego ojciec reperował rowery.

– Wiesz, co potem się z nim działo?

– Nie za bardzo. Przecież dwanaście lat nie było mnie w Konstancinie. A do Sztumu wieści tak łatwo nie dochodzą. Ale coś mi świta, że robił w pegeerze w Słomczynie i dostał od nich mieszkanie.

– No tak, zgadza się, bo chodził do technikum rolniczego. – Przypomniałem sobie, zdumiony, ile śmieci przechowuje nasz mózg.

A jednak czasem okazują się potrzebne.

– Ostatni raz widziałem go chyba miesiąc temu – zachrypiał Rysiu.
– Takie tam przypadkowe spotkanie przed sklepem. Wypiliśmy parę browców, skarżył się, że go wyeksmitowali i musi mieszkać w jakimś przytułku. I właśnie wtedy powiedział mi, że pilnuje tej budowy.

– Nie wspominał o robocie we Włoszech?

– Ani słówkiem. Ale może się po prostu nie zgadło. Teraz Polacy arbajtują w całej Europie, więc on mógł u makaroniarzy. Jaki problem?

– Ma citroëna berlingo?

Mój informator spojrzał na mnie zdziwiony pytaniem.

– No co pan? Jego ledwo na rower było stać. Chyba że szef mu daje swoje auto, żeby coś woził. Bo berlingo to taki mały dostawczak, co nie? Jeśli to pana komisarza interesuje, zajrzę do Bola jutro albo jeszcze dzisiaj i się podpytam.

– Chyba się nie podpytasz, bo właśnie go zapuszkowaliśmy. I to na dłużej. Dobra, Rysiu, wypij zdrowie starych kumpli ze szkoły i z boiska – powiedziałem, wciskając mu w dłoń małpkę, którą dopiero co kupiłem dla siebie.

OPIEPZYŁA MNIE, ŻE NACHODZĘ JĄ PO NOCY. „Fuck off! Fuck off!”, darła się, a ja miałam wrażenie, że z domofonu wali zapach whisky, tak jakby mógł wędrować po przewodzie. Żeby nie włączyć do niej na drugie piętro po rynnach i po balkonach, zagrałam trochę nie fair i poważnym, smętnym głosem posłańca złej nowiny oznajmiłam,

że mam nową wiadomość o Abigail. Bluzgi zamilkły i zabręczały zamek.

– Czy pani wiedziała, że córka jest w ciąży? – spytałam w pierwszych słowach tuż za drzwiami windy, bo tam napatoczyłam się na Madison Grant w bieliźnie.

Wobec jej zdumienia i wrogiego niedowierzania wytłumaczyłam, że to ja jedna z całej ekipy śledczej, jako kobieta, wpadłam na pomysł, żeby wykonać z krwi Abigail test ciążowy. I przed chwilą się dowiedziałam, że wynik jest pozytywny.

– Ale to niemożliwe – zaproponowała, zagrządzając mi drogę do mieszkania. – Ona ma wstręt do mężczyzn, wstręt do seksu. Jestem pewna, że nigdy nikomu się nie oddała.

– Nie wiem, skąd ta pewność. Ale nawet jeśli ma pani rację, to istnieją przecież zapłodnienia in vitro.

– Bzdura. Obie z Abigail należymy do Kościoła Czterech Prawd i surowo potępiamy seks przedmałżeński, nie mówiąc już o płodzeniu nieślubnych dzieci. Zaraz oczywiście spyta pani, kim w takim razie jest dla mnie Parker. Otóż jest moim mężem i współwyznawcą poślubionym w obrzędzie naszej wspólnoty.

Coś mi tu przestało się zgadzać.

– Podczas naszej poprzedniej rozmowy odniosłam wrażenie, że podejrzewa go pani o romans z córką.

– On to powiedział czy ja? – zapytała ostro. – Proszę sobie dobrze przypomnieć.

Wysiliłam pamięć i poniekąd przyznałam jej rację. Tak, Madison raczej szydziła z Parkera, że jest zbyt mało atrakcyjny dla młodej kobiety. A skarga na uporczywą, uprzykrzającą życie zazdrość wyszła od niego. I nie musiała odpowiadać prawdzie.

– Natomiast co do testu, to na pewno w laboratorium się pomylili – skwitowała sprawę.

Jej ton wskazywał, że to ostatnie normalne zdanie, które wypowiedziała, i jeśli natychmiast nie wsiądę z powrotem do windy,

znów polecą przekleństwa. No to wsiadłam.

I JAK TU TERAZ BEZ MAŁPKI? Jest w Jeziornie zaraz za mostem stacja Orlenu, ale nie chce mi się jechać. Oczywiście, mogę zadzwonić do taryfiarza, chętnie przywiezie, nawet gratis, żeby zapunktować sobie u władzy. Tak samo jak gratis dają mi panienki ze wszystkich agencji towarzyskich w Konstancinie, choć ostatnio prawie nie korzystam z tych uciech.

Ale wódzia to co innego. Bez niej ani rusz. Zwłaszcza wieczorem, po pracy. Dwie setki, rzadko kiedy więcej, ale obowiązkowo. Oszukuję się, że nie jestem alkoholikiem, bo przecież nie zaczynam dnia klinem, nie piję na służbie, a powyżej promila we krwi miewam od wielkiego dzwonu, na imprezach typu Pierwsza Komunia bratanicy.

– To co, Azan? Dla ciebie puszka, dla pana flaszka – powiedziałem, nakładając mu wołowiny z galaretką.

Zamlaskało, zatrzęsły się uszy, popychana nosem miska zaszurała po linoleum, a ja wyjąłem z kieszeni spodni telefon, by zadzwonić do „taxi3”, czyli starego dziadka w starym audi, który dzień i noc wyczekiwał na postojach takich właśnie alkoholowych zleceń. Nie zdążyłem jednak nacisnąć klawisza, bo Azan nagle przerwał ucztę i zapatrzył się na drzwi wejściowe. A sekundę potem rozległ się dzwonek. Przedpotopowy i tak brzydki, że miał prawo rozbrzmiewać najwyżej w magazynie kółka rolniczego, a nie w prywatnym mieszkaniu. Wszyscy sąsiedzi dawno już zainstalowali coś miłszego dla ucha, tylko mnie jednemu to wisiało.

Nie odpiąłem jeszcze po powrocie szelek z kaburą, dobytek więc glocka i poszedłem do przedpokoju otworzyć; tak mówię: przedpokoju, a to było pomieszczenie niewiele większe od szafy wnękowej. Przez wizjer nie spojrzałem, bo go nie mam, wyrzuciłem w cholerę, a dziurę po nim zaślepiłem grubą, stalową płytką. Podejrzewam, że mnóstwo gliniarzy zrobiło to samo, nie chcąc podzielić losu naszego kolegi, sierżanta z Góry Kalwarii, który na

dźwięk pukania uchylił klapkę, przyłożył do wizjera oko i w tym momencie jego mózg rozbryzgnął się po ścianach. Bo koleś na klatce tylko czekał, aż w szkiełku błysnie światło i – strzelił w nie z przystawienia.

Wciśnięty między wieszak i futrynę po stronie zawiasów, w jednej ręce trzymałem pistolet, drugą odciągnąłem rygiel zasuwki.

– Proszę wejść. Otwarte – oznajmiłem.

Byłem osłonięty drzwiami, a wchodzący przez chwilę musiał znaleźć się do mnie tyłem albo bokiem. Dawało mi to sporą przewagę, w razie gdyby miał złe zamiary. A przecież jeszcze Azan by go zaatakował. Złapał za jaja jak manekina w szkole dla psów obronnych.

Lecz – nierealne – postać, której gołe plecy za chwilę zobaczyłem, była niewątpliwie kobietą.

– Ej, Andrew, gdzie się schowałeś? – usłyszałem głos Hanah.

WYLAZŁ ZZA DRZWI Z PISTOLETEM, a jednocześnie podbiegł się witać jego pies. Śmieszny był, bo moja wizyta zakłóciła mu jedzenie, kursował więc teraz szybko, wahadłowo między mną a miską w kuchni. Z jeszcze nieprzełkniętym mięsem nadstawiał łeb, bym czochrała mu uszy, i kręcił łapą powitalnego młynka, nielitościwie drapiąc przy tym moje nogi.

– Miło, że wpadłaś – powiedział jego pan, chowając broń do kabury.

Był najwyraźniej z tych facetów, którzy nie wariują na widok niespodziewanie zjawiającej się w nocy dziewczyny. Albo takiego udawał. W każdym razie to mi się w nim spodobało, bo nie lubię być od progu obłapiana. Udając, że całą uwagę poświęcam psu, dyskretnie omiotłam wzrokiem tors Andrzeja, zachęcająco zbudowany, choć trochę nazbyt biały. Ale może to sprawka kiepskich jarzeniówek i kontrastu z czernią podkoszulka.

– Bądź ostrożna, Noiro – szepnęła babcia Hania.

A mi przypomniał się fragment jej pamiętnika o muskularnym Jurku Kuleszy, który, w przeciwieństwie do innych policjantów,

zgrywał obojętnego i prawie się do niej nie zalecał. Aż przyszła noc, gdy całą ekipą opijali ujęcie słynnego Hipka Wariata. „Wtedy Jurek nagle pokazał lwi pazur, i nie tylko pazur, a zrobił to z taką znajomością rzeczy, że mały figiel, a bym mu uległa”.

– Przepraszam, Hanah, ale lodówka pusta – mitygował się osiemdziesiąt lat później jego wnuk. – Może pojedziemy do restauracji? W Konstancinie już powoli wszystko zamykają, ale jest kilka miłych knajp w Wilanowie i Powsinie.

– Najpierw zobacz, kto ze mną przyszedł – powiedziałam, wskazując ręką za próg.

Musiał nieco wyteńczyć wzrok, żeby na ciemnej klatce schodowej wypatrzeć pękatą torbę w kształcie krasnala. Nabyłam ją wraz z zawartością na jakimś zadupiu po drodze i cały czas się trzęsłam, że wiązanie nie wytrzyma i przyprężeniu kierowców szosę za mną pokryje szkło, krwawe mięso i keczup. A potem musiałam zatargać to wszystko na piętro, bo oczywiście w tym jego slumsie nie było windy.

Oglądał zachwycony gotowe do smażenia wołowe steki, słoiki z korniszonami, grzybami w occie i śledziami. Ślinka ciekła mu na widok czterech rodzajów pierogów, oczy śmiały się do pęt wiejskiej kiełbasy i obwiązanej sznurkiem domowej szynki. A jeszcze keczup, chrzan, musztarda, takie świeże, takie cudne w nowiutkich słoiczkach. W porównaniu z zastarzalymi przyprawami, które zalegały w jego lodówce, były niczym hoże studentki przy przechodzonych pijaczkach.

Właśnie à propos pijacek – najbardziej ucieszył się z dwóch dużych butelek Old Smugglera.

– Hanah, ale mi pensji nie wystarczy, żeby ci za to wszystko zwrócić – wyrwało mu się niechcący i ze smutkiem.

Machnęłam ręką, że *no problem*, ale zaraz się zreflektowałam, że mógł to odebrać jako gest lekceważenia. Ja – Amerykanka, ty – Polak, więc nie ma co porównywać naszych portfeli. Ot, zrobiłam ubogiemu kuzynowi prezent. Bo mnie stać, co nie?

– Umiesz smażyć befsztyki? – spytałam.

PO PIĘTNASTU LATACH SAMOTNEGO ŻYCIA potrafiłem przyrządzić mnóstwo potraw, byle nieskomplikowanych, w tej liczbie był i befsztyk. A gdy stałem w kuchni nad patelnią, z oczami zapłakanymi po krojeniu cebuli, dobiegł mnie zza ściany szum prysznic. Zaraz potem drzwi łazienki się uchylły i w ich szparze ujrzałem rękę, którą, tak jak całą Hanah, jeszcze niedawno uważałem po prostu za mocno opaloną. Karnację miałem za dzieło słońca lub lamp, a usta wydawały mi się dyskretnie powiększone botoksem. Jak na glinę niezbyt jestem spostrzegawczy.

W dłoni, którą do mnie wyciągnęła, trzymała tenisówki, biały sportowy stanik i błękitne, koronkowe majtki. Ot, tak po prostu.

– Możesz to wrzucić do pralki?

Wypatrzyła, że pralkę trzymam w kuchni, małą, włoską, jeszcze w Peerelu kupioną za dolary. Żadna inna by się tam nie zmieściła, chyba że turystyczna do kampera. Spełniłem prośbę, za co stworzenie z mokrą głową i okręcone moim kąpielowym ręcznikiem podziękowało mi za chwilkę szybkim cmoknięciem w policzek. Podziękowało, klapnęło na krześle i zaczęło łapczywie jeść, a właściwie – pożerać befsztyk. Dopiero teraz zauważyłem, że pod lewą łopatką ma niewielki tatuaż: litery „B” i „L” wkomponowane w groźnie rozwarty koci pysk.

Z pełną buzią, co rusz popijając haustem pepsi, opowiedziała mi o swojej wyprawie do Głódów. Oczywiście największe wrażenie wywarła na mnie wiadomość, że Jacek Werter bywał w Eurydyce i kontaktował się z Rachel Arnold i Rayą Stern.

– A teraz mów, co o tym myślisz – spointowała.

– Naprawdę zależy ci na mojej opinii? – zamruczałem jak kot drapany pod brodą.

Puchłem z dumy, że wystrzałowa laska ceni mnie jako fachowca, a może wręcz podziwia. Roześmiała się.

– A po co bym tu przyjeżdżała po nocy? Majtki mogłam uprać na Borsuczej.

POD WZGLĘDEM INTELEKTUALNYM PRZYPOMINAŁ MOJEGO TATĘ. Myślał powoli, ale prawidłowo. Pamiętam takie zdarzenie z dzieciństwa: tato siedzi przed telewizorem i ogląda w CNN kłótnię łysych okularników, a ja, znudzona domkiem Barbie, podpełzam i łapię go za kostkę. „King, mam dla ciebie zagadkę” – mama tak się do niego zwracała, więc ja też. Zresztą tato miał w sobie coś majestatycznego i władczego; lubiłam sobie wyobrażać, że jest królem afrykańskiego plemienia. „Słuchaj: do rury zagląda dwóch facetów, każdy z innego końca, ale się nie widzą. Dlaczego?”. Wyłączył pilotem telewizor i na dobre pięć minut pograżył się w zadumie. „Według mnie, córeczko, możliwe są trzy przyczyny – odparł wreszcie, gdy już się bałam, że przysnął – coś nie tak jest z tymi panami, z rurą albo z synchronizacją”. „Z czym?”, pisałam, przestraszona dziwnym, trudnym słowem, które jak wąż wpełzło do mojej dziecinnej zagadki. „Jeśli panowie zaglądają o różnych porach, to się nie widzą”, wyjaśnił mi, a wtedy rzuciłam mu się w ramiona. „King! King! Zgadłeś: jeden zagląda przed południem, a drugi po południu. A w przedszkolu nikt na to nie wpadł. Nawet pani”.

Andrzej niemal identycznie się zamyślił. I tak samo jak tata zaczął lekko kiwać się na krześle. Podobieństwa przydawała im jeszcze postura, u obu atletyczna, z tym że King, niegdyś bokser wagi ciężkiej, wicemistrz Illinois, był zdecydowanie większy. Nie na darmo w komendzie miał przywisko King Kong, co pachniałoby pewnie rasizmem, gdyby nie nadali mu go czarni. Tato niby się złościł, ale czułam, że po cichu jest z przywiska dumny. Prawie tak samo jak z DSC za Wietnam^[4].

POWIEDZIAŁEM, ŻE BĘDZIEMY MĄDRZEJSI ZA KILKA DNI, po badaniach DNA.

– Oczywiście pana Wertera trzeba sprawdzić w pierwszej kolejności – dodałem.

– Nie wydaje ci się, że on pasuje do odrzuconej krwi? – spytała, biorąc sobie goldena z mojej paczki.

Do tej pory byłem przekonany, że nie pali. I na pewno jest wegetarianką, ale przy bliższym poznaniu oba wyobrażenia runęły jak domki z kart.

– Staram się ograniczać – usprawiedliwiła się. – Palę tylko w nocy. Kiedy nad czymś pracuję albo po seksie.

– A przed seksem? – wyrwało mi się.

– Proszę mi tu bez aluzji – odpowiedziała rozbawiona, ale stanowczy ton, ukryty za uśmiechem, wskazywał, że raczej nie mogę dziś na nic liczyć. – OK, wracajmy do Wertera. Ewidentnie czuje się przez matkę skrzywdzony i odepchnięty. Czyli co? Ona jest kobietą, która odrzuciła własną krew? Prawdopodobnie rozumiem?

– Masz rację. Rzeczywiście nie musi chodzić o aborcję.

Ale mnie nie słuchała. Chyba przedwcześnie wbiłem się w dumę. Pewnie byłem jej potrzebny tak jak ściana trenującemu tenisistce. Albo lustro ćwiczącemu rolę aktorowi. Względnie, jak mój dziadek jej babci. W pamiętniku się skarżył, że wszystkie pytania, które myślał, że są jemu zadane, w rzeczywistości należały do jej monologu. Poza prostymi, technicznymi, jak to, które padło teraz z ust Hanah.

– Suszarki oczywiście nie masz? – rzuciła, rozglądając się bezradnie po kuchni.

– Jest w łazience, w szafce nad sedesem – wyjaśniłem lekko urażony i niestety wyszedłem na głupka.

– Andrew! Nie do włosów, tylko na ubrania. Bo właśnie twoja pralka kończy program i trzeba będzie to jakoś wysuszyć. Gdzie wieszasz swoje pranie?

– W zimie na kaloryferze, a latem na balkonie.

Hanah śledziła ostatnie obroty bębna, jak gdyby z nich wróżyła.

– Myślisz, że ta jego historia trzyma się kupy? Możliwe, żeby Werterowa udusiła tę dziewczynkę i tak wszystko zaaranżowała, żeby podejrzenie padło na syna?

– Mało prawdopodobne, ale wykluczyć nie można – powiedziałem.

– Wiesz, Hanah, poznałem kiedyś człowieka chorego na schizofrenię, a jednocześnie nieprzeciętnie mądrego. I on miał takie powiedzenie, że świat jest probabilistyczny, więc możliwe jest wszystko, tylko z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem.

Tym razem mnie wysłuchała, a nawet skwitowała moje słowa uśmiechem.

– Ciekawa myśl. Schizole często są cholernie inteligentni. Na przykład ten matematyk z *Pięknego umysłu*.

Chwilę potem się nachyliła, wyjmując pranie, a ja z trudem zmusiłem głodny wzrok do błędzenia po suficie. Pac-pac, zaklaskały bosc stopy po linoleum, gdy – jakby znając moje mieszkanie – bezbłędnie skierowała się do właściwego pokoju.

Bo miałem aż dwa, w tym jeden z niewielkim balkonem zawieszonym nad ławką, czyli w dzień nad głowami staruszek, a wieczorem – pijaków. Po północy szczęśliwie ławka była pusta.

– Masz stąd ładny widok – pochwaliła Hanah.

Rzeczywiście, dywan łąk ciągnących się od Grapy do Mirkowa, i dalej do nadwiślańskich wiosek, mógł kontentować oko. Czasem nawet widywałem malarzy, którzy na skarpie ustawiali sztalugi. Tym razem jednak zamiast łęgom i starorzeczom przyglądałem się jej palcom pianistki. Ostrożnie, niemal pieszczotliwie przesunęły na sznurze pranie, które zapomniałem rano zdjąć, a potem kilka szczyptnięć drewnianymi spinaczami i stanik zawisł obok mojego podkoszulka, a majtki przytuliły się do bokserek. I tylko tenisówki znalazły się na drugim końcu balkonu, jak gdyby chciały dać dyla.

– Dlaczego nie masz rodziny? – zapytała szeptem. – OK, nie chcesz, to nie mów. Nie będę cię ciągnęła za język.

– W Mirkowie na Jaworskiego mieszkają moi rodzice razem z bratem, szwagierką i dwojgiem bratanków – odpowiedziałem wymijająco, choć przecież miałem świadomość, co Hannah rozumie przez rodzinę. Dlatego nie dodałem do listy wujostwa Modzelewskich i brata ciotecznego z żoną i progeniturą.

Pokiwała głową, poprawiła lewą tenisówkę na sznurku i spojrzała mi przenikliwie w oczy.

– Wiesz, Andrew, jesteś książką z bardzo zachęcającą okładką. Chętnie bym cię przeczytała. – I zaraz wybuchnęła śmiechem. – Nie słuchaj mnie, czasem gadam straszne głupoty. A tak na marginesie, to babcia Lubochowska uważała facetów za książki.

– I tego cię nauczyła? Takiego podejścia?

– Dokładnie. Tylko że ja należę już do innej epoki. Więc dla mnie jesteście grami komputerowymi. OK, Andrew, wypijmy drinka na lepsze sny.

I obejmując mnie w biodrach jak swojego, zaprowadziła z powrotem do kuchni.

–

Generał na strychu
zabija po cichu.
Sznurek, młotek, knebel, nóż,
zemsta bliska już.
I niczego się nie boi,
bo z kim zechce, się zabawi,
kogo trzeba krwi pozbawi,
kogo trzeba krwią napoi.

—

DRINKÓW BYŁO ZNACZNIE WIĘCEJ NIŻ JEDEN, więc o świcie trochę chwiejnym krokiem szłam do łóżka, które dla mnie posłał; sam położył się razem z psem na rozkładanym fotelu.

Sporo już o nim wiedziałam. Po szkole krótko studiował polonistykę, bardziej jednak pociągała go piłka nożna. Był bramkarzem w policyjnym klubie Gwardia Warszawa i nawet dwa razy wystąpił w młodzieżowej reprezentacji Polski. Nie powiedział, w jaki sposób poznał tę dziewczynę. Może była kibicką albo cheerleaderką. W każdym razie miała na imię Wanda i skradła mu serce. Na zdjęciu przeciętna pucołowata blondynka, troszkę, jak to w Polsce mówią, przy kości, ale według Andrzejka – ósmy cud świata.

– Żyliśmy ze sobą jak mąż z żoną, w małym mieszkanku na Ochocie, które załatwiła mi Gwardia. – Na wspomnienie minionego szczęścia oczy zaświeciły mu łzami. – Było wspaniale, niepokoiło mnie tylko, dlaczego Wanda nie chce ślubu, czemu to odwleka. Nawet kiedy urodził się Mariusz, nasz synek.

A powód był prosty. Laska miała eksa w Kanadzie i cały czas liczyła na to, że do niego wyjedzie. Wtedy dla Polki to było jak przeprowadzka z piekła do raju. No i dopięła swego: w osiemdziesiątym dziewiątym wraz z rocznym dzieckiem pofrunęła do Toronto. Niby odwiedzić Ciocię Kłocię. Było już po Okrągłym Stole, w Polsce rządził Mazowiecki, co pannie jednak nie przeszkodziło podać się za prześladowaną dysydemtkę i prosić o azyl, który, o dziwo, dostała.

– Jej matka z jadowitym uśmiechem przekazała mi, że Wanda wyszła za mąż za Kanadyjczyka, widać facet dochrapał się obywatelstwa. W imieniu córki zażądała ode mnie oświadczenia, że nie jestem ojcem Mariuszka. Bo jej zięć, jak z chamską butą nazwała

tego typu, zamierza go usynowić. Jako ochronę przyprowadziła ze sobą męża, ojczyrna Wandzi, podobno byłego dżudokę.

No i właśnie na nim Andrzej odreagował. Nieczuły na pogróżki i rozpaczliwe katame-wazy, zrzucił go ze schodów. Nie dziwię mu się, to samo bym zrobiła, a może coś jeszcze gorszego. Miał jednak pecha albo wściekłość dodała mu siły, bo facio wylądował na dole cały połamany. Miednica, obojczyk, żebra, piszczele i tak dalej, i tak dalej – lista obrażeń, która trafiła na prokuratorskie biurko, zajmowała bite dwie strony maszynopisu.

I dostałby nieszczęsny raptus niezłą pajdkę za ciężkie uszkodzenie ciała, gdyby nie jego klub zarządzany przez milicję, a teraz policję.

– Prezesem był pewien generał, kawał chuja, który przez cały stan wojenny powtarzał, że Solidarność trzeba wystrzelać. Ale mnie lubił, choć wiedział, że sympatyzuję z opozycją. No i kiedy usłyszał o moich kłopotach, zaraz zadzwonił do kumpla w Prokuraturze Krajowej, wypił wódkę z jednym, drugim sędzią i w efekcie sąd uznał, że facet sam spadł z tych schodów. Bo się poślizgnął, próbując mnie w kłótni uderzyć.

– I co było dalej? – dopytywałam, płonąć z ciekawości jak widzka brazylijskiego serialu.

– Nic. Dostałem od mego dobroczyńcy list: „Wiem, łobuzie, że po cichu cały czas popierałeś tych wszystkich Kuroniów i Moczulskich, a do organów władzy ludowej wstydziłeś się wstąpić. Ale teraz jest z powrotem Policja Państwowa, taka, w jakiej służył twój dziad, więc leć i się zapisz. A jakby ci robili trudności, zadzwoń do mnie, to pomogę”. Szczęśliwie bez jego protekcji po kilku miesiącach szkolenia zostałem wysłany do szkoły oficerskiej w Szczytnie.

Tak się zaczęła jego kariera stróża prawa. Mnie jednak bardziej interesowały losy Wandy i Mariuszka.

– Nic nie wiem – powiedział Andrzej ze smutkiem. – Straciłem z nimi kontakt. Pewnie i tak bym stracił, ale, jak się domyślasz, incydent z ojczyrmem nie poprawił sytuacji.

– Nie próbowałaś odszukać ich w Kanadzie?

– Dwa razy odmówili mi wizy. Trudno, czekam. Coś przebąkuje się ostatnio, że może zniosą wizy dla Polaków.

Nie, nie, w żadnym razie nie powinien tam lecieć – pomyślałam. Jeszcze wpadnie w furję i znowu kogoś połamie. Ale był przecież inny sposób. Znacznie prostszy i nie związany z żadnym ryzykiem.

– Andrew, jeśli chcesz, wszystkiego się dowiem. Dla oficera FBI to *no problem*. Poza tym Swobo kumpluje się z zastępcą szefa policji w Toronto.

– Ech, Noiro, głupi kocie! – zganiała mnie babcia Hania. – Co ty robisz najlepszego? Przywiążesz go do siebie i co potem? Do dwóch ma tęsknić przez Atlantyk?

RANO ZAMIAST BUDZIKA PODERWAŁ NAS NA NOGI STEK BLUZGÓW potwornie głośno wykrzykiwanych przez jakąś kobietę. Dopiero po chwili rozpoznałem głos Hanah i pomyślałem, że to delirium po wczorajszych drinkach, bo niemożliwe, że jednocześnie siedzi na łóżku i wrzeszczy za oknem. Ale wnet zrozumiałem, co jest grane.

– Taki ustawiłam dźwięk alarmu – wyjaśniła, po czym, rozbawiona, zarzuciła na siebie mój szlafrok i zaprowadziła mnie za rękę na balkon.

Na dole, przed wejściem do klatki, zobaczyłem kilku znajomych wyrostków z bloku obok, którzy prawdopodobnie chcieli się przejechać na triumfie lub przynajmniej na nim usiąść. A teraz ze zdumieniem, cokolwiek wystraszeni, słuchali, jak motocykl głosem Hanah śle pod ich adresem wulgarne i obsceniczne pogrożki.

– A tobie dwa! – Któryś nawet spróbował się licytować, ale kumple wytłumaczyli mu, że gada z automatem.

Hanah na balkonie przez kilka minut śmiała się do łez. A kiedy wreszcie znudziła się tą sceną, przerwała ją, strzelając w powietrze z pistoletu. Nie zauważyłem, że ma go pod szlafrokiem

w wewnętrznej kieszeni, i niestety nie zdążyłem jej powstrzymać. Chłopcy uciekli, mało nóg nie pogubili.

– Hanah, w Polsce tak nie wolno. Gdyby rodzice tych gówniarzy złożyli skargę, mielibyśmy kłopoty.

Wzruszyła ramionami.

– To macie głupie prawo. U nas, jak ktoś kradnie ci samochód czy motocykl, możesz go zastrzelić.

– I co? Zastrzełiłybyś tych chłopaczków?

– Zwariowałeś? Chciałam ich tylko postraszyć. A zresztą i tak nie odpaliliby silnika. Do tego potrzebny byłby utalentowany haker. No dobrze, Andrew. Co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? Bo ja proponuję zjeść śniadanie, a potem wpaść do ciebie na komisariat. Może już przyszły dokumenty tego samobójcy.

PRZYSZŁY. ALE OCZYWIŚCIE TAK SPAKOWANE, ŻE ŻADEN PROGRAM W NASZYCH STARYCH KOMPUTERACH NIE POTRAFIŁ ICH OTWORZYĆ. Kiedy weszliśmy, Byk spocony od umysłowego wysiłku biedził się nad klawiaturą, a Flip i Flap na wypródki sypali złotymi radami.

– Gówno z tego będzie, szefie – powiedzieli chórem. – Trzeba sprowadzić naszego informatyka ze Skolimowa.

Po czym padło z ich ust mnóstwo słów znacznie brzydszych niż „gówno”, więc posłusznie rządkiem podreptali do puszek zapłacić grzywnę. A zwolnione miejsce przy komputerze zajęła Hanah.

Nie minęło pięć minut, jak zachrobotąło stare, wysłużone HP, sypiąc na podłogę kartkami drukowanego pliku. Była to dokumentacja sprawy karnej z artykułu sto dziewięćdziesiąt siedem.

„Pokrzywdzona zeznała, że drugiego marca dwa tysiące trzeciego roku, około godziny dwudziestej drugiej, w Górze Kalwarii na ulicy Rzemieślniczej została zaatakowana przez swojego znajomego, Bolkowskiego Marka, który groźbą użycia noża zmusił ją do odbycia z nim stosunku oralnego” – przeczytałem na głos.

– Właśnie, a ja się zastanawiałem, czemu to nie przeszło przez nasz komisariat – powiedział Byk. – Ale skoro zdarzyło się w Górze...

– Bolkowski wtedy tam mieszkał – stwierdziłem, zaglądając na pierwszą stronę.

– Tyle tylko, że drugiego marca był służbowo w Gdańsku – powiedziała Hanah, która czytała akta z monitora. – Miał na to wielu świadków. To mu uratowało tyłek.

– Musiałby mieć strasznie długiego, żeby z Gdańska puknąć kobitkę w Górze Kalwarii – zarechotał Flip.

– To jak z tego kawału o klubie długich kutasów, znacie? – zabasował mu Flap. – Ich prezes mógł cztery razy opasać kulę ziemską i jeszcze mu starczyło na zawiązanie krawata.

Wkurzyłem się.

– Dość! Po piątku do puszki! – wrzasnąłem, waląc pięścią w biurko.

– A ja ile będę musiała zapłacić? – spytała Hanah. – Bo zaraz wypowiem się o tej pani, co go oskarżyła. Faktycznie, wygląda, że zrobiła to z zemsty. A potem drugi raz. Wredna, odmóżdżona baba, której się zdaje, że policja nie dotrze do sprawy sprzed roku. Za babę nic nie płacę, OK?

– Zaraz, o czym ty mówisz? – Nie zrozumiałem. – Jaka druga zemsta?

– No z tym portretem pamięciowym. Co się tak patrzysz, Andrew? A może czytamy inne akta? Ta rzekomo zgwałcona to przecież Magdalena Kapuśniak.

– Niech ją prąd popieści! – Zerwałem się z krzesła i depcząc wydruki, przespacerowałem się nerwowo po pokoju. – Dwie pieczenie chciała upiec przy jednym ogniu. Narobić dziadostwa Bolkowskiemu i ochronić tego swojego przydupasa w berlingo. Dobra, Krzyś, jedziemy po nią!

– Jasne. Tym bardziej że teraz wszystko się domyka. Roman z Włoch pewnie poznał Bolkowskiego przez Kapuśniakową,

dowiedział się, że cieciuje na Matejki, więc po zabiciu inkasentki postanowił podrzucić mu zwłoki. Taki prezencik. Niech się znowu tłumaczy przed policją.

– Krzyś dobrze mówi – podsumowała Hanah; po czym z zaskakującą u niej nieśmiałością spytała, czy może jechać z nami.

TRIUMPH OD RAZU NA WILANOWSKIEJ ZOSTAWIŁ W TYLE BIEDNEGO POLDKA, więc gdy dotarliśmy do celu, stał już na podpórce u wylotu między, a Hanah, siedząc na nim jak na barowym stolku, sączyła przez słomkę fantę z puszki.

– *Fanta makes music in your mouth* – zanuciła na nasz widok znany song reklamowy. – Dobra, chłopaki, która to chałupa, bo już mnie ręce świerzbią. Przez takie suki sądy nie chcą potem wierzyć kobietom i uniewinniają prawdziwych gwałcicieli.

Spojrzałem na nią błagalnie.

– Hanah, ale nie bij jej! Obiecuj, że nie uderzysz pani Kapuśniakowej ani żadnej z jej córek.

– Do córek nic nie mam. Kłapały dziobem, jak im stara kazała. Ale jej nie podaruję. – Tu przerwała, zapatrzona w dziwną postać, która nagle wyłoniła się z zarośli i biegła w naszą stronę zygzakiem jak po pół litra lub w panicznej ucieczce przed strzelającą obławą. Miała na sobie seksowną nocną koszulkę, czarną w jakiś gęsty czerwony wzór, dopiero gdy przeskakiwała rów przydrożny, zorientowałem się, że to rzepy łopianu wczepiły się w materiał.

– Pan komisarz! Dzięki Bogu! – krzyknęła jak w ataku bólu.

Przeraźliwa mimika zniekształcała jej rysy, twarz poczerwieniała i spuchła od płaczu. Pierwszy poznał ją Byk. I rzeczywiście, choć to niestosowny żart, imię dziewczyny w pełni zgadzało się z wyglądem.

– Dolores, co się stało? – spytał z niespotykaną u niego troską.

Długo drżały i trzęsły się jej ramiona, nim wyrzuciła z siebie pierwsze artykułowane słowa.

– Mama, Dżesia. Nie ma ich już. Obie zabił. Ja uciekłam. Schowałam się w krzakach. Całą noc tam przesiedziałam. Calušką. I jeszcze pół dnia, bo się bałam, że wróci po mnie. Dopiero jak zobaczyłam pana komisarza...

– Czemu nie zadzwoniłaś na sto dwanaście. Nie miałaś telefonu?

– Musiałam zgubić, jak biegłam. Boże! Boże! Dlaczego on to zrobił? Cośmy mu zawiniły?

Zauważyłem, że z jej ust sączy się strużką krew, a na kostkach i na nadgarstkach ma więzy z murarskiego sznurka.

– Przegryzłam – potwierdziła mój domysł. – I ząb mi przy tym wypadł.

Morderca wszystkie trzy skrępował, zakneblował i zamknął na strychu. Coś mówił o winie i karze, ale Dolores nie zrozumiała. A kiedy się dość nagadał, ciężkim młotkiem rozbił głowę matce i starszej siostrze. Chyba jeszcze żywym przeciął tętnice na szyi.

– Mnie kazał umoczyć palec we krwi i napisać na belce strychu jakieś totalnie chore zdanie.

– Kurwa odrzuciła własną krew?

– Chyba tak. Albo coś w podobie. A potem po kolei zniósł na dół mamę i Dżesię i jeszcze się wrócił, żeby sprawdzić, czy jestem dobrze związana. Zapowiedział mi, że będę następna. Usłyszałam, jak jego auto rusza sprzed domu, i wtedy zaczęłam gryźć sznurki.

Gdy była już na ulicy, ujrzała światła samochodu i przerażona, że to morderca, pobiegła w pole i skryła się w kępie zarośli. A to pewnie chłopcy Sieniewicza wracali ze stacji benzynowej w Baniosze, gdzie kupili wodę, nażarli się hot dogów i ściągnęli z tirówek seksualny haracz.

– Ładnie pilnowali domu – powiedziałem do Byka. – Mam nadzieję, że na zbity ryj wylecą ze służby.

Rzeczywiście – tydzień później dowiedziałem się, że wylecieli.

WIADOMO, CO POTEŃ – TECHNICY, MEDYK, TAŚMA ODGRODZENIOWA I MNÓSTWO GAPIÓW; tak jest w Polsce, tak jest u nas w Stanach, tak jest na całym świecie. W living roomie i w kuchni, która była z nim połączona mauretańskim łukiem, widniały ślady niedawnej libacji – trzy puste półlitrowki po wódce o dziwnej nazwie „absolwent”, czwarta do połowy opróżniona, dwa słoiki ogórków, stos małych, wędzonych rybek, jakiś różowy napój w plastikowych butelkach. Kieliszków nie dostrzegłam, więc musieli pić ze szklanek. Znalazłam za to w ubikacji prezerwatywę. Wyraźnie niedawno użytą.

Z nieszczęsnej Dolores wydusiłam, że Roman przyjechał niezapowiedziany koło północy, kiedy już leżały w łózkach. Dlatego uciekała potem w nocnej koszulce.

– Przywiózł wódkę i chyba coś do niej dosypał, bo mama i Dżesia zaczęły się dziwnie zachowywać, jakby były na prochach. A mnie tylko zakręciło się w głowie, bo mniej od nich wypiałam.

Pomyślałam, że na pewno zaaplikował im GHB czy inne gówno tego typu. Nie po to, żeby je zgwałcić, bo bez żadnych narkotyków mu dawały, lecz z obawy, że trzy krzepkie kobiety obronią się przed jednym napastnikiem.

– Dobra, dziewczyno, zaprowadź nas na górę – nakazał Swobo, a Dolores, jak dziecko, schowała się za mnie.

– Spokojnie, sami trafimy – postanowiłam jej tego oszczędzić, więc wzięłam na siebie rolę przewodniczki i pierwsza weszłam na schody.

Piętra w tym domu nie było, tylko od razu poddasze z dwoma czy trzema pokojami oraz zagraconym strychem. Tuż za progiem natknęliśmy się na czerwoną strugę. Po nierównościach podłogi z papy spłynęła tam ze swego głównego zbiornika – wielkiej kałuży, przeraźliwie wyrazistej w świetle dachowego okna.

Na jego framudze znajdował się napis identyczny jak w lesie chojnowskim.

– Ten sam świr – mruknął Swobo. – Ale jedno jest pewne: to nie facet, którego złapałaś w Głodach.

– No tak – zgodziłam się, bo trudno polemizować z oczywistością. – Jacek Werter o północy już dawno siedział w areszcie.

Potem, doświetlając strych telefonami, zaczęliśmy rozglądać się wśród rupieci, a zaraz dołączył Andrew z prawdziwą latarką, potężną jak reflektor na naszej granicy z Meksykiem. Powiedział mi później, że kupił to cacko na bazarze od wycofujących się z Polski ruskich żołdatów, a do tego kałasznikowa i komandoski nóż. Krasnoarmiejcy chcieli jeszcze sprzedać helikopter, ale nie miał trzech tysięcy baksów.

– Szpula sznurka, taśma izolacyjna, pewnie do zaklejenia ust – mamrotał Swobo przy kolejnych znaleziskach, jakby to było przeszukanie rejestrowane kamerą. – Duży, ciężki młotek z plamami krwi na... *Sorry*, jak to się po polsku nazywa?

– Obuch – odpowiedziałam bez wahania, bo w babcinyh historiach kryminalnych było to częste narzędzie zbrodni. Jak widać, przez osiemdziesiąt lat niewiele się zmieniło.

– Trzeba sprawdzić, czy na trzonku nie ma odcisków palców. – Andrzej zwięził snop światła i jak wskazówką przejechał nim po młotku. – Ta drewniana część nazywa się trzonek albo stylisko.

– Trzonek i stylisko – powtórzył Swobo, pierwsze słowo wymawiając jak „członek”. – OK, Andrew, zabezpieczymy go. Ale na razie niech tu sobie leży, póki fotograf nie zrobi zdjęć.

Na twarzy Andrzeja wyłapałam ironiczny uśmiezek, którym skwitował takie traktowanie go jak żółtodzioba. Postanowiłam działać szybko, zanim się nie zetną.

– Teraz szukamy noża – powiedziałam tonem szefowej i depcząc po pierzu z poduszek i po pająkach, ruszyłam w najdalszy zakątek strychu.

Szukaliśmy i szukaliśmy, długo i starannie, chodząc zgarbieni jak zbieracze leśnego runa, ale – bez skutku. Prawdopodobnie zabrał go ze sobą.

– Młotek był przypadkowym narzędziem znalezionym na strychu – powiedziałam, wczuwając się w mordercę. – Ale nóż należał do niego, więc musiał być z nim związany emocjonalnie. Pewnie popełnił nim wszystkie swoje zbrodnie.

– To bardzo możliwe – poparł mnie Andrzej. – W sześćdziesiątych latach grasował w Krakowie seryjny, który dosłownie kochał swoje noże. Przed sądem wygłosił kuriozalny bon mot: „Nóż to byłem ja”. Pamiętam, że kiedy go wreszcie powiesili, mój dziadek wypił z radości pół litra. Bo wcześniej wyglądało, że chcą zrobić z niego niepoczytalnego.

– Ten nasz na sto procent jest *lunatic* – mruknął Swobo, smętnie wpatrując się w krwawą kałużę, jakby usiłował się w niej przejrzeć.

DOLORES ROZMAWIAŁA NA DOLE Z POLICYJNĄ PSYCHOLOŻKĄ.
Dość bezceremonialnie im przerwałam.

– Ten napis kazał ci zrobić? – Pokazałam jej w telefonie zdjęcie zabazgranej krwią framugi.

Skinęła głową, a psycholożka zaczęła mi dawać dyskretne znaki, lecz miałam to gdzieś.

– Powiedz mi jeszcze – kontynuowałam – jakim samochodem przyjechał Roman. Bo chyba nie *citroënem*?

O takie ryzykanctwo żadnego przestępcy bym nie podejrzewała, ale okazało się, że byłam w błędzie.

– Tym samym co zawsze, proszę pani – powiedziała Dolores. – Matka mu nawet mówiła, żeby uważał, bo go podejrzewają o morderstwo inkasentki, ale tylko się roześmiał i nawet nie wstawił auta do garażu.

Pomyślałam, że gdyby Andrzej, zamiast wyręczać się jakimiś palantami, sam zorganizował wczoraj zasadzkę pod domem Kapuśniakowej, koleś w niebieskim berlingo byłby już w naszych rękach, a te dwie kobiety by żyły.

Wszystko się jednak skomplikowało przez samobójstwo Bolkowskiego. Andrzej jest bystry chłopak, ale nie umie jeszcze, a nawet nie ma możliwości, prowadzić równolegle kilku działań. Adelson powinien przydzielić do tej sprawy kogoś z większym doświadczeniem i wyższego rangą, kto ma na skinienie odpowiednie środki techniczne i kilkuset policjantów. Bo z Flipem, Flapem, Bykiem i starym polonezem raczej nie złapie się seryjnego.

Adelsonowi jednak chyba to wisiało. Był tak dufny w swoje umiejętności, że za pomocników wystarczyli mu policjanci z miejscowego komisariatu. Zdążył mi już pokazać książkę jakiegoś kryminologa, który za najskuteczniejszych śledczych uważał lokalnych szeryfów. „I ja się z nim zgadzam, w stu procentach zgadzam”, powiedział. A wszystko to, jak podejrzewałam, dlatego, że z jakichś powodów ten cały Sieniewicz nie przypadł mu do gustu.

Mnie oczywiście też, i w ogóle sto razy wolałam pracować z Andrzejem niż z jakimś inspektorkiem, co wyżej sra, niż dupę ma. Zresztą część winy brałam na siebie, bo zamiast flirtować wczoraj z chłopakiem, powinnam była wyciągnąć go na Wiosenną na romantyczny, nocny patrol we dwoje.

Gdy tak myślałam i się samobiczowałam, uszło mej uwagi, że Dolores chyba już od dłuższego czasu z przerażeniem wpatruje się w moją dłoń. A raczej w telefon, który bezwiednie w niej trzymałam.

– Skąd pani ma jego zdjęcie? – spytała cicho, jakby nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Dotarło do mnie, że niechcący musiałam wyświetlić na ekranie poprzednią fotkę, tę, którą zrobiłam w Głodach – Jackowi Werterowi wsadzanemu przez policjantów do śmigłowca. Pamiętam, że się odwrócił, coś do mnie krzyknął i wtedy pstryknęłam telefonem.

– Znasz go? – spytałam zaskoczona.

A jej odpowiedź sprawiła, że nagle poczułam się jak w nierzeczywistym świecie.

SAM SIENIEWICZ SIĘ NIE POFATYGOWAŁ, przysłał niejakiego komisarza Kominka z Podchorążych, sympatycznego faceta mniej więcej w moim wieku; właśnie we trzech ze Swobo paliliśmy na dworze papierosy, dla odprężenia gadając o baseballu, czemu w Ameryce taki popularny, a w Europie ani trochę, gdy nagle, pędem, jak gracz zaliczający bazę, wybiegła do nas Hanah.

– Chłopaki, ja chyba zwariowałam! – zawołała i chwyciła za rękę pierwszego z brzegu. Padło na komisarza Kominka i wyraźnie mu się spodobało. – Nie uwierzycie. Dolores zobaczyła u mnie w telefonie zdjęcie Jacka Wertera i mówi, że to Roman. Jest tego pewna.

– Może przypadkowe podobieństwo – szepnął mi na ucho Byk, który wcześniej wycofał się po angielsku, nie śmiąc wpychać się między wyższe szarże, a teraz, zaciekawiony, szybko się przybliżył. – Przecież Werter siedzi na Ciupagi.

– No właśnie, Werter jest w areszcie śledczym – powtórzyłem głośno myśl Byka. – Dziewczynie coś się musiało pomylić.

– Jest w szoku. – Kominek z żalem spojrział na dłoń Hanah puszczającą jego nadgarstek. – Na jej oczach zamordowano matkę i siostrę. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże – mruknął, wyciągając z kieszeni telefon i trochę niegrzecznie, jakby nam nie ufał, oddalił się z nim aż pod płot.

Najpierw rozmawiał z kimś cicho, tak że nic do nas nie docierało, lecz zaraz potem wykonał następne połączenie i wtedy ryknął na całe gardło, aż nami zatrzęsło:

– Pojechało cię, kurwa?! Co ty pierdolisz?! – darł się do słuchawki, a ja żałowałam, że nie jest moim podwładnym i nie mogę go skasować na dwanaście zet.

Choć pewnie z litości bym mu odpuścił, tak żałośnie wyglądał, gdy wrócił do nas po rozmowie.

– Przepraszam państwa, wstyd mi za naszą policję, wstyd mi za mój kraj! – Uderzył w górny ton, a minę miał taką, jakby chciał paść przed Hanah i Swobo na kolana.

– Tylko nie mów, że wypuścili go z Białoleki – przerwałem ostro, bo nie znoszę takiego poniżania się przed obcymi.

– Nie wypuścili, zawieźli do psychiatryka. Od razu. Ledwie śmigłowiec wylądował. Powiedzieli, że nie mają wolnych izolatek dla świrów. No i z Nowowiejskiej koleś pierdolnął w bambosz. Znaczą się uciekł – wyjaśnił Amerykanom, którzy nie znali naszego przestępczego slangu. – Wyskoczył przez nieokratowane okno z pierwszego piętra.

– Zaraz, o której to było? – spytała Hannah.

– Szpital zgłosił ucieczkę pacjenta około dwudziestej drugiej.

Załamano ręce.

– I dopiero teraz się o tym dowiadujemy? To jakiś *total* burdel!

– A wy w Stanach zawsze jesteście bezbłądnie? – Nie zdzierzyłem, tak mnie wkurwiła. – To jakim cudem Ted Bundy aż dwa razy uciekł z więzienia? I zanim go złapaliście, zamordował ze dwadzieścia dziewczyn? A nie dalej jak tydzień temu jakiś gościu w Kolorado rozpieprzył buldożerem całe miasteczko. Na oczach waszych dzielnych, wspaniałych antyterrorystów, którzy stali bezradni jak przedszkolaki^[5].

WŚCIEKŁ SIĘ I ZACZAŁ NA NAS WRZESZCZEĆ, a mi się przypomniało, że podobnie reagowała babcia Hania, gdy ktoś przy niej źle wypowiadał się o Polsce. Nawet tej komunistycznej, choć przecież jako agentka CIA tropiła peerelowskich szpiegów.

– Andrew, ja mówiłam tylko o warszawskiej policji – zaczęłam pospiesznie się tłumaczyć. – I to nie całej, ale o jakichś głupich oficerach dyżurnych. No, już, już, nie złość się. Przecież ja też jestem Polką.

Ale żeby naprawdę mu przeszło, musiałam delikatnie uszczypląć go koło pępka. Na wszystkich facetów, z którymi byłam blisko, działało to jak melisa i Andrzejek nie okazał się wyjątkiem.

– To dziwne – zmienił natychmiast temat. – Wydawało mi się, że Roman ma co najmniej czterdzieści lat. Tak wynikało z zeznań Kapuśniakowej i córek. A ten Werter w jakim jest wieku? Jeszcze przed trzydziestką, co nie?

– Ma dwadzieścia siedem – powiedziałam. – Pewnie stara wstydziła się przyznać, że daje małolatowi. Zresztą myślę, że głównie bzykał Dolly i Dżesię.

– A mówi się, że Polska katolicki kraj – westchnął Swobo, na szczęście na stronie, więc Andrzej nie usłyszał.

– Dopytam potem Dolly, jak tylko ta psychoanalityczka wypuści ją ze swoich szponów. *Sorry*, chyba znowu coś pieprznięłam, bo u was są zwykli, normalni psycholodzy. Wiecie, że jak miałam dwanaście lat, psychoanalityk pytał mnie, czy chcę się wcielić w członka mojego taty? Poważnie. Najpierw pomyślałam, że pedofil, ale potem przeczytałam, że istnieje taka teoria naukowa. *Total schizo*. OK, wróćmy do Wertera. Jeśli uciekł ze szpitala o dwudziestej drugiej...

– Wcześniej, Hanah. O dwudziestej drugiej to było zgłoszenie – poprawił mnie Andrzej z wyzyny męskiej logiki.

– Tak czy owak, spokojnie mógł w dwie godziny dotrzeć do Kawęczynka. Tylko skąd wziął swój samochód?

– Dobrze pytanie – mruknął komisarz Kominek. – Pewnie trzymał go w jakiejś dziupli i używał wyłącznie podczas popełniania zbrodni.

Mnie jednak co innego przyszło do głowy.

– Niech pan sprawdzi, czy nie skradziono w Warszawie *citroëna berlingo* – poprosiłam, a raczej poleciłam, bo koleś, który przeprosza i wstydzi się za swój kraj, Amerykanka może traktować jak chłopca na posyłki. – Niewykluczone, że Werter ma do tej marki taki sam sentyment jak do noża.

Zastanawiałam się jeszcze, czy policjanci z Kozienic, wsparci antyterrorystami z Warszawy, nie powinni wejść do kliniki w Głodach, a przynajmniej obstawić ją tak, żeby mysz się nie prześlizgnęła, ale odrzuciłam pomysł. Las wielki, Werter sprytny,

polscy komandosi to nie SWAT. A jeszcze są pacjenci, czyli potencjalni zakładnicy. Może skończyć się niemiło.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła osiemnasta.

– Chłopaki, jedźcie wyprowadzić Azana, ale migiem – zwróciłam się do Andrzeja i Byka. – Najpóźniej o dziewiętnastej macie być na Wilanowskiej. A pan, mister Kominek, niech weźmie stu policjantów i przeszuka dokładnie okolicę.

TYM RAZEM JECHAŁA GRZECZNIE TUŻ PRZED NAMI, w terenie zabudowanym zwalniała nawet do przepisowej pięćdziesiątki. Może dlatego, że wypaliła się w telefonicznej kłótni z Adelsonem, który po raz kolejny nalegał na zwrot motocykla. Mocno podniesionym głosem gadała z nim, gdy się spotkaliśmy na rogu Wilanowskiej i Wiosennej.

– Ostro go potraktowała. – Swobo, jadący z nami w polonezie, śmiał się w kułak. – Ja pracuję, więc potrzebuję szybko się przemieszczać. A szefowi do rozmyślań wystarczy kibel. To taka aluzja do jego zatwardzeń.

– Nie będzie miała kłopotów? – zaniepokoiłem się.

Byłoby mi smutno, gdyby ją nagle odwołali. Ale – nic podobnego jej nie groziło.

– Najwyżej drobne upomnienie – odrzekł Swobo. – A myślę, że i to nie. – Ściszył głos, jakbyśmy siedzieli nie w samochodzie, tylko w jakimś publicznym miejscu. – Ona ma fanów w ścisłym kierownictwie firmy. Ale to, panowie, między nami, OK?

Aż mnie samego zaskoczyło, że poczułem się nagle zazdrosny o protektorów Hanah.

W POŁOWIE DROGI MIĘDZY SŁOMCZYNEM A GÓRĄ KALWARIĄ zauważyłam po lewej kilka radiowozów błyskających kogutami. Stały na łące pod skarpą, a ich załoga, mocno czymś zaaferowana, przechadzała się wzdłuż ściany drzew zamykającej widok.

Zobaczyłam w lusterku, że samochód Andrzeja zatrzymał się i zjechał na pobocze, więc zrobiłam to samo. Jakby na moje powitanie wszyscy trzej równocześnie wysiedli.

– To chłopaki z Iwicznej^[6]. Chyba znaleźli wrak citroëna – objaśnił mi Byk, bo Andrzej jeszcze gadał przez komórkę.

Rzeczywiście, gdy zeszliśmy na dół, ujrzeliśmy ukrytą w zaroślach czarną, poskręcaną kupę złomu. Jedynie zachowany prawie w całości tył pozwalał rozpoznać markę.

– Jeszcze za duży gorąc, żeby podejść – powiedział sierżant, który dokonał znaleziska. – Ale wydaje mi się, że w środku są zwłoki. Widzi pan, komisarzu? To, co wystaje spod fotela, wygląda na spaloną nogę. A poza tym czuć zapach pieczonego mięsa. *Sorry*, że mówię takie rzeczy przy kobiecie.

– Przyjedzie straż pożarna, poleją wodą, to się zobaczy – odparł spokojnie Andrzej.

Wiedział więcej od sierżanta, więc się nie emocjonował.

Wyraziłam przypuszczenie, że pewnie nawet są dwa trupy, ale byłam w błędzie. Dziesięć morderca ukrył kilkanaście metrów dalej, we wnętrzu spróchniałego drzewa, które w Polsce nazywa się płaczącą wierzbą. Doskonała nazwa dla grobowca – pomyślałam i zaraz przypomniał mi się pomnik Chopina w Łazienkach, który babcia pokazała mi podczas naszej wycieczki do Warszawy. Miałam wrażenie, że po nadrzecznych łąkach niosą się dźwięki żałobnego marsza.

– Według ciebie, co potem zrobił? – Andrzej wyrwał mnie z zadumy. – Poszedł na piechotę, czy może miał w aucie jakiś środek lokomocji. Na przykład rower albo motorynkę. Mógł po drodze do Kapuśniakowej kupić w jakimś supermarkecie.

– Za co? Przecież na pewno w szpitalu zabrali mu gotówkę i karty. Albo już wcześniej w areszcie.

– Może tak, może nie. Mógł mieć dobrze schowane. Kominek się dowiedział, że do końca był w swoich ciuchach. Sanitariusze go nie przebrali, tylko od razu spasowali, znaczy się przywiązali pasami do łóżka. Ale cwaniaczek potrafił się z nich oswobodzić.

Roześmiałam się.

– Biedny Kominek znów się na pewno wstydzi za Polskę. Pewnie z tego wstydu zrzeknie się niedługo obywatelstwa i poprosi o amerykańskie. Dobra, szkoda czasu, jedziemy tam, dokąd mieliśmy.

W GŁODACH WSZYSTKO WYGLĄDAŁO OK. Gdy dotarliśmy po dwudziestej pierwszej, grupka pacjentów jadła właśnie kolację na dworze. W milczeniu siedzieli przy stolikach rozstawionych wokół niewielkiej fontanny, zaśluchani w psychodeliczny rock, który ciurkał wraz z podświetloną wodą.

– Ta dziewczyna, co się na nas patrzy z okna, to Edyta – poinformowała mnie Hanah. – Myślę, że czeka sposobności, żeby ze mną porozmawiać. *Come on, Barbie girl!* – powiedziała, choć dziewczyna za szybą nie mogła jej usłyszeć.

Zobaczyła natomiast przywołujący gest, na który odpowiedziała szybkim skinieniem głowy, po czym opuściła rolety. Nie zdążyliśmy wypalić papierosów, jak na wyłożonej kamieniem ścieżce zastukały jej obcasy.

– Mówiłam mu, że pani na pewno po niego przyjedzie – powiedziała takim tonem, jakby się tłumaczyła przed Hanah. – Ale nie chciał mi uwierzyć. Bo on, proszę pani, boi się tylko jej. Kazał mi testować jedzenie i pytał, czy nie wyczuwam dziwnego smaku. Uważał, że ona go uspi i wyda w pani ręce. A póki jeszcze nie zasnął, jest bezpieczny.

Słuchałem tego jak bajki o żelaznym wilku. A raczej jak relacji wariatki o innym wariacie. Kim jest ta dziewczyna? Czemu dobrowolnie tkwi w chorym, niebezpiecznym świecie, zamiast uciec jak najdalej. Kasa ją trzyma? A może coś czuje do tego zwyrodnialca?

Wiedziałem, że jakoś muszę się przebić do jej rozsądku, jeśli całkiem go nie zatraciła; jakoś spróbować przestrzec.

– Wiesz, że Jacek zamordował niedawno trzy kobiety? – spytałem, patrząc w jej oczy, jakby zasnuła hipnotyczną mgłą. – Jedną w niedzielę i dwie wczoraj, po ucieczce ze szpitala.

– O Boże! – westchnęła, ale tak, jakbym ją poinformował o wyłączeniu prądu lub że szambo wylało.

– Ona jest na jakichś silnych opiatach – szepnęła do mnie Hanah.

Swobo tymczasem rozmawiał z grupą pacjentów, którzy się domyślili, że jest policjantem, postanowili więc podzielić się z nim swymi spostrzeżeniami i przypuszczeniami. Oczywiście nikt z nich nie wiedział, w jaki sposób syn właścicielki wrócił do Głódów; byli przekonani, że po prostu został zwolniony i to w ich oczach zdejmowało z niego podejrzenie zabójstwa Abigail Grant. A zarazem przenosiło na inną osobę.

– To ojczym zabrał ją wtedy – twierdziły chórem trzy kobiety, a czwarta bezgłośnie potakiwała. – Pan Jacek nie ma z tym nic wspólnego. Cały czas uczestniczył w naszych zajęciach.

– Wszystko się zgadza – powiedział nam Swobo, gdy już się od nich uwolnił. – Mówią, że przyjechał po nią ciemnozielonym jeepem cherokee na amerykańskich numerach. Parker faktycznie ma takie auto. Zresztą jedno z czterech czy pięciu.

– Kto bogatemu zabroni – westchnął Byk, posiadacz leciwego golfa.

Bałem się, że robimy głupotę, tak tu sobie chodząc i gadając z ludźmi, bo Werter łatwo przecież mógł odkryć naszą obecność i, wedle określenia komisarza Kominka, pierdolnąć w bambosz. Ale Hanah, która znała teren, uspokoiła mnie.

– *No way*. Tu jest tylko jedna brama. A przez płot nawet wiewiórka nie przejdzie.

Zastanawiałem się, co skłoniło właścicielkę, żeby tak się ogrodzić. Bała się kogoś? Przecież na rozum jedyne zagrożenie pochodziło od

wewnątrz, a był nim jej syn. Coraz bardziej ta cała klinika kojarzyła mi się z powieściami Stephena Kinga.

PIERWSZA GO SPOSTRZEGLAM.

– To on – powiedziałam, wyciągając parabelkę i wskazując lufą Wertera, który ubrany w biały, sportowy garnitur, spokojnym krokiem zmierzał w kierunku fontanny.

Potem się zatrzymał, oparł dłońmi o cembrowinę i pochyłony patrzył w wodę, jakby przyglądał się swemu odbiciu. Wtedy chłopcy do niego podeszli, Andrzejek z lewej, Byk z prawej, i raz-dwa skuli. Z uznaniem skonstatowałam, że ich profesjonalizm pod tym względem nie ustępował wcale amerykańskiemu. Wbrew wszystkim Polack jokes'om o gliniarzach z RP.

– Jak miło znów panią widzieć – odezwał się Werter, gdy się zbliżyłam. – Proszę nie gniewać się za moją ucieczkę. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Już wszystko załatwiłem, więc nie mam powodu uciekać.

– Masz na myśli Kapuśniakową i jej córkę? – spytał Andrzej. – Aż tak bardzo chciałeś je zabić, że ryzykowałeś skok z okna?

Setki razy wyświetlałam sobie potem w pamięci ten fragment rozmowy i reakcję Wertera, aż wreszcie rejestr się zniekształcił i przestałam mu ufać.

– Przepraszam pana, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Kto to jest Kapuśniakowa? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Dziwne. Bo bywałeś wielokrotnie w jej domu w Kawęczynku. Przedstawiałeś się imieniem Roman. Piłeś alkohol z tą kobietą i jej córkami, i we czworo uprawialiście seks.

– Pan i tak wie swoje, więc chyba nie mam szans. Powiem tylko, że nigdy nie byłem w żadnym Kawęczynku. Znam jedynie Kawęczyn, taką dzielnicę warszawskiej Pragi. A i to bardziej ze słyszenia.

Cały czas wpatrywałam się w twarz Wertera i wsłuchiwałam w jego głos.

– Jak masz na drugie imię? – błysnął pomysłowością Byk.

Z doświadczenia policyjnego musiał wiedzieć, że ludzie z półświatka często właśnie drugim imieniem się posługują. Ze względów mnemotechnicznych, żeby się im nigdy nie pomyliło. No i trafił, cwaniaczek!

– Roman – odparł Werter, nie spuszczać z tonu. – Rzeczywiście tak jak ten facet od pańskiej Kapuśniakowej. Ale to czysty zbieg okoliczności. Co innego, gdybym się nazywał Ildefons albo Kalasanty. – I uśmiechnął się z ironią, zwłaszcza przy drugim przykładzie, bo wiadomo, że Kalasanty każdemu musi się kojarzyć z kalesonami. A potem obwieścił coś, co wszystkich oprócz Hanah spiorunowało. Mam wrażenie, że spodziewała się podobnego wyznania, więcej: specjalnie pojechała do Głodów, by je usłyszeć.

Myśl tej dziewczyny, jak kot Kiplinga, chadzała własnymi drogami. WYGLADAŁA, JAKBY ZASNEŁA W FOTELU. Z otwartymi ustami i głową przyciśniętą do lewego ramienia. Była w błękitnym szlafroku frotté, który rozchylił się, odsłaniając o ton ciemniejszą koszulkę nocną.

– Wypiła drink przeznaczony dla mnie – powiedział Jacek Werter.

Rzeczywiście, na okrągłym stoliku opodal fotela stały dwie wysokie szklanki. Swobo podszedł i ostrożnie, nie biorąc do ręki, a jedynie przykucając, powąchał obie.

– *Shit!* To cyjanek! Człowieku, otrułeś własną matkę!

Werter w odpowiedzi parsknął śmiechem, jak gdyby usłyszał przedni kawał.

– Po prostu zamieniłem szklanki – wyjaśnił. – Idiotce się wydawało, że drink jest bezwonny. Ale ja w przeciwieństwie do niej nie mam chronicznego kataru i niedrożnego nosa.

– Sugerujesz, że chciała cię zamordować? – spytałem.

– Sam się zdziwiłem. Przypuszczałem raczej, że spróbuje mi podać coś nasennego i wezwie policję. Ale widocznie moja ucieczka

z aresztu do tego stopnia nią wstrząsnęła, że sięgnęła po radykalne środki. Tak na marginesie: cyjanku nie kupi się w hipermarkecie, więc musiała mieć go już od dawna.

– Świat jest probabilistyczny i wszystko jest możliwe – powtórzyła Hanah za moim znajomym schizofrenikiem. – Jednak według mnie...

Lecz nie dowiedzieliśmy, co według niej, bo przerwała w pół słowa i podbiegła do Grażyny Werter.

– Chłopaki, ona żyje! – krzyknęła, waląc ją otwartą dłonią w policzek. – Dzwońcie po karetkę!

Rzeczywiście, mniemana denatka po zainkasowaniu plaskacza otworzyła jedno oko i głośno nim beknęła. Tak to surrealistycznie wyglądało. Nie fantazuję.

DO GŁODÓW PRZYGNAŁA ERKA PO WERTEROWĄ, a za nią kozienicki prokurator razem z ekipą, no i zrobił się burdel.

– Spadamy stąd – szepnęłam konspiracyjnie do Andrzeja. – Zostaw kluczyki Krzysiu, a my pójdziemy tropem ciemnozielonego jeepa.

– Teraz? W środku nocy? – zdziwił się.

– A to nie wiesz, że największe dzieła powstały nocą? OK, jeśli boisz się jechać ze mną na motorze, jakoś poradzę sobie sama.

– Nie mam kasku – próbował się wykręcić.

Ale wtedy wyciągnęłam zza pleców policyjnego nolana i wsadziłam mu na łeb.

– Jeden z tych chłopaków z Kozienic mi pożyczył. Pewnie liczy na randkę przy zwrocie – wyjaśniłam z taką miną, żeby Andrew poczuł się zazdrosny.

WYDAWAŁOBY SIĘ, ŻE GOŚĆ CZTERDZIESTOLETNI, nie chwaląc się, postawny i jakoś tam przystojny, od którego dziewczyny raczej nie uciekały, już dawno powinien mieć z nimi wszystko przećwiczone. A tymczasem w tamtą czerwcową noc, na szosie

między Kozienicami a Konstancinem, doświadczyłem czegoś zupełnie nowego i niesamowitego.

Pęd aż dech zapiera, świst powietrza i serce podchodzące do gardła na myśl, że byle dziura w jezdni albo kamień i po nas, bo przy takiej prędkości nie będzie co zbierać. Lecz w charakterze talizmanu miałem piersi wsparte na moich dłoniach, i biodra, które obejmowałem udami. Czuję się jak w mojej ulubionej erotycznej pozycji, tylko zamiast krzesła było siodełko, a rozkoszy dostarczał szalony lot.

Lot, nad którym Hanah sprawowała władzę, więc ufałem jej jak szesnastolatek swojej pierwszej dziewczynie. Chyba musiała mieć podobne skojarzenia.

„Dobrze ci było?” – wyczytałem z jej pocałunku, którym niespodziewanie obdarowała mnie, gdy już zsiadliśmy z triumpha.

KLINIKA PARKERA MIEŚCIŁA SIĘ BEZCZELNIE BLISKO STOCERU, tak jakby chciała podebrać mu pacjentów. Z umieszczonego nad wejściem ogromnego, świecącego kasetonu uśmiechał się przystojny tancerz, zamasyście prowadząc po parkiecie skąpo odzianą partnerkę.

„Maćkowi w Afganistanie mina urwała nogę” – objaśniał napis. „Po dwóch latach rehabilitacji w Parker Clinic wygrał turniej tańca towarzyskiego”.

Na ostry dzwonek Hanah dość szybko zjawiał się zaspany ochroniarz.

– Nie, nie. Doktora Parkera nie ma – tłumaczył skonsternowany najściem policji w środku nocy. – Dziś dyżuruje Zadrożny. Zawołać go?

Aż wierzyć mi się nie chciało, że zagadka ma tak proste rozwiązanie. Lecz czy możliwe, że sławny medyk sądowy dorabia w prywatnej ortopedycznej klinice? Właściwie czemu nie? Parker na pewno lepiej płaci niż nieboszczyki.

– Taki z pekaesami? – upewniłem się, bo niejeden Zadrożny na świecie.

Ochroniarz znał to jeszcze peerelowskie słowo oznaczające długie ni to baki, ni bokobrody, osobliwie chętnie noszone wtedy przez kierowców pekaesów, czyli międzymiastowych autobusów.

– Dokładnie, panie komisarzu – odpowiedział rozbawiony. – Od miesiąca u nas pracuje. Chyba na ćwierć etatu.

Nie wiem, bo nie doczekałem wtedy w lesie przyjazdu medyka, ale na dziewięćdziesiąt procent był nim właśnie Zadrożny.

– Komisarzu, cóż pana sprowadza? – Wyszedł teraz do nas z kordialnie rozpostartymi ramionami. Ale oczywiście gros uwagi poświęcał Hanah.

– *Hi!* Musisz nam pomóc! – Od razu przeszła z nim na „ty”. – Sprawa priorytetowa, rozumiesz? Potrzebujemy natychmiast ustalić, gdzie jest Parker. Bo nie u żony, to na bank.

Zadrożny z przyjemnością obejrzał ją sobie od stóp do głów i widać było, że zrobi wiele, by wkraść się w jej łaski, tylko nie bardzo wie jak. Stąd smętna mina i bezradny gest.

– Skoro policja polska i amerykańska nie potrafi go namierzyć, to co mogę ja, biedny zajęczek?

Hanah jednak wiedziała swoje.

– Na pewno masz z nim jakiś awaryjny kontakt. Musiał ci podać numer telefonu na wypadek pożaru. Tak się mówi u was: na wypadek pożaru? Moja babcia mawiała: na wsiakij pożarnyj słuczaj. Ale to chyba po rusku.

Pan Feliks bił się z myślami, bo z jednej strony chciał być użyteczny, a z drugiej – jakże tak zdradzać wielką tajemnicę firmy? A przy okazji szefa, który być może właśnie baraszkuje z kochanką.

– Zadzwoń do niego i rozłącz się po jednym sygnale. – Ton Hanah był z gatunku tych, co nie znoszą sprzeciwu. – Pewnie wtedy odtelefonuje, a ty mu ściemnisz, że niechcący nacisnąłeś klawisz. To

wystarczy, żeby specje namierzyli, skąd się loguje jego komórka. No, już, już, rób, co mówię!

Było tak, jak przewidziała. Parker istotnie oddzwonił, a doktor Zadrożny przeprosił go zaspanym głosem. Po czym numer trafił do telefonu Hanah. *Vive l'électronique!*

– Jeszcze jedno, panie Feliksie – powiedziałem. – I niech pan sobie dobrze przypomni, bo to ważne. Czy mówił pan Parkerowi o tym, co stało się w lesie chojnowskim?

– Przecież to tajemnica służbowa – obruszył się, ale ze sposobu, w jaki gładził pekaesa, odgadłem, że czuje się przyłapany.

– Doktorze. Ja pana nie kontroluję. Każdemu się zdarza chlapiąc słowo za dużo. Mnie też. Chcę jedynie ustalić, czy Parker mógł znać szczegóły tego podwójnego morderstwa.

– No więc mam wrażenie, że kiedy wróciłem stamtąd do kliniki – doktor asekurował się, jak tylko mógł – to spotkałem Parkera, i chcąc wytłumaczyć mu spóźnienie, nie wykluczam, że coś wspomniałem, tak, wydaje mi się, że pobieżnie mu opisałem zdarzenie z lasu, zwłaszcza, że się dopytywał.

Byłem pewien, że przy kawie i koniaku opowiedział szefowi wszystko w najdrobniejszych szczegółach, ale już nie chciałem dłużej się nad nim pastwić.

ZNOWU NA MOIM BALKONIE SCHNIE BIELIZNA HANAH, a ona, goła, śpi obok mnie, odgradzona tylko prześcieradłem, którym się owinęła. „Tak na wszelki wypadek – wyjaśniła – bo ty na pewno lubisz wyłącznie anorektyczne Barbie z wielkimi sztucznymi biustami”.

Zanim zdążyłem zaprzeczyć, błyskawicznie zapadła w sen. A mnie na nogach położył się Azan, jakby dopełniając ciężaru długiego dnia, który mieliśmy za sobą. Hanah i ja.

CEBEŚ SIĘ UWINAŁ – już o dziewiątej, jak tylko wstaliśmy, zadzwonił Swobo z wiadomością, że po pierwsze numery nadwozia

berlingo były przebite, więc nie figurują w systemie, a po drugie – telefon Parkera loguje się do sieci w Magdalence, prawdopodobnie na Dębowej lub Lipowej, i dwóch polskich agentów właśnie jedzie do tamtejszego magistratu, żeby sprawdzić, do kogo należą działki w podejrzanej okolicy.

Zaraz potem Adelson zwołał na Borsuczej szybką naradę, na której zdecydował, że sprawę trzeba załatwić dyskretnie, bez żadnych antyterrorystów i najlepiej polskimi rękami.

– Doktor Parker, o czym przed chwilą się dowiedziałem, ma rodzinne powiązania z CNN. Jeśli się okaże, że jest niewinny, będzie szum. Dlatego myślę, że to panowie powinni pojechać tam pierwsi na rekonesans – zwrócił się do Andrzeja i Byka.

A wtedy zerwałam się z krzesła.

– Hanah! Nie zapominaj się! Jestem twoim szefem! – krzyknął Adelson, bo z mych oczu wyczytał, że chcę go co najmniej zbluzgać.

Jednak się pomylił. Ja tylko wyprowadziłam go do pokoju obok i tam nasyczałam mu do ucha, że jeśli dalej będzie wpieprzał się w moje śledztwo, poskarżę się panu B. albo panu S.

Mówi się, że Żydzi zawsze są solidarni przeciw gojom, ale to antysemitka bajka, bo dyrektorzy Shapiro i Bloom mnie lubili, oj, jeszcze jak lubili, natomiast Adelsona nie cierpieli. I on, biedny, miał tego przykrą świadomość.

– Dobrze, już dobrze, Hanah. Niepotrzebnie się unosisz. – Szybko przeszedł na pojednawczy ton. – Musieliśmy się źle zrozumieć. Ja przecież w pełni zaakceptowałam, że kierujesz tymi Polakami, więc oczywiście możesz z nimi jechać. Tylko róbcie wszystko w białych rękawiczkach, OK?

– OK, Dave. Dzięki. A na zgodę mogę ci oddać motor.

– Nie spiesz się. Mam jeszcze cztery inne.

I uśmiechnęliśmy się do siebie przyjaźnie, bo cholerykom szybko mija.

CIESZYŁEM SIĘ, ŻE WRESZCIE ZAMIAST BYĆ ZNIKAJĄCYM PUNKTEM NA SZOSIE, SIEDZI OBOK MNIE W AUCIE, wdzięcznie zasłuchana w moje słowa. Wytłumaczyłem Hanah, czym jest podwarszawska Magdalenka; że to wioska, w której pobudowali sobie dache ludzie z wyższych i średnich półek peerelowskiej władzy i która przeszła później do historii jako miejsce rozmów między komunistami a Solidarnością.

– A już całkiem niedawno – podsumowałem – policja stoczyła w Magdalence regularną, całonocną bitwę z gangsterami. Zupełnie jak w tym starym hicie *The Night Chicago Died*.

Znała go, choć kiedy królował na dyskotekach, jeszcze nie było jej na świecie.

– Jak mogę nie znać? – roześmiała się. – Przecież to o mnie. „Daddy was a cop on the east side of Chicago”, tak się zaczyna, co nie? A mój tata jest gliną. Co prawda nie we wschodniej dzielnicy, tylko w Belmont Cragin, ale poza tym wszystko się zgadza.

I na trzy głosy zaśpiewaliśmy jak sami Paper Lace, przy czym Hanah co rusz musiała nas poprawiać, tak okropnie przekręcaliśmy angielskie słowa. Pamiętam, że właśnie trzeci raz dochodziliśmy do optymistycznej pointy, kiedy zadzwonił Swobo.

– Słuchajcie, wygląda na to, że Parker wynajmuje dom na Dębowej róg Lenartowicza. Tak ustalili ci z polskiego Biura Śledczego. Jedna z urzędniczek w gminie mieszka niedaleko i mówi, że często widuje tam bardzo podobnego cudzoziemca. Teofila Lenartowicza siedem przez pięć. Zapamiętacie, czy przysłać SMS-a?

Zapamiętaliśmy. Zresztą dom nietrudno było znaleźć, bo stał niemal na samym rogu i miał wielką tablicę z adresem. Za płotem z drucianych paneli rósł mur starannie wymodelowanych tui, skutecznie zasłaniając działkę i budynek. Również przez wąskie prześwity między deskami bramy niewiele było widać, prócz stojącego tuż za nią traktoraka.

Wszyscy odbezpieczyliśmy pistolety, a ja nacisnąłem guzik domofonu. Jak prawie zawsze w takich wypadkach odpowiedzią była głucha cisza. Pewien stary, doświadczony policjant tłumaczył mi, że przestępcy czują zwierzęcym instynktem, kiedy po nich przychodzimy.

– Nachyl się – nakazała mi Hanah i wspiąwszy się na moje plecy, zajrzała za bramę. – Stoi ciemnozielony jeep cherokee i jeszcze jakaś druga bryka. Drzwi na taras otwarte, żaluzje podniesione – zdała raport.

Jeszcze raz spróbowałem szczęścia i to samo. A wtedy Hanah wyjęła z kieszeni telefon i wystukała numer, który dał jej wczoraj doktor Zadrozny. Nikt nie odebrał, ale zupełnie wyraźnie usłyszeliśmy dobiegający zza płotu sygnał.

– Jest w domu – ucieszył się Byk.

– A przynajmniej jego telefon – uściśliłem.

Nie za bardzo wiedzieliśmy, co z tą wiedzą zrobić. Tym bardziej że Adelson życzył sobie działania w białych rękawiczkach, czyli tak zwane siłowe wejście nie wchodziło w grę. Zobaczyłem, że Hanah ze zmarszczoną brwią płodzi SMS-a, więc zajrzałem jej przez ramię. „Tu policja” – pisała po angielsku. „Wiemy, że jesteś w domu. Masz natychmiast otworzyć, inaczej przetniemy siatkę”.

– Może zadziała – uśmiechnęła się, wysyłając wiadomość. – A w razie czego wiesz, gdzie kupić nożyce do drutu?

Nie było takiej potrzeby. Zaraz po pisku przychodzącego SMS-a, rozległ się dźwięk otwieranego zamka i jakieś grzeczne angielskie słowa w domofonie. Pchnąłem bramę, odsłaniając szeroką, wyłożoną kostką aleję, która wiodła do pseudogóralskiej willi. Parker stał z pilotem w dłoni ubrany w żółto-niebieski roboczy kombinezon.

– Najmocniej państwa przepraszam, ale reperowałem w ogrodzie hydrant i tak mnie to zaabsorbowało... – zaczął się tłumaczyć, lecz zaraz zakneblowały go zaskoczenie i strach. – Czy pan oszalał? – zabelkotał do Byka, który nałożył mu kajdanki.

– Troje świadków widziało, jak w poniedziałek trzydziestego pierwszego maja Abigail wsiadała do twojego jeepa cherokee – powiedziała Hanah opanowanym, ale nieprzyjemnym tonem. – To ty odwiozłeś ją z Głodów do Warszawy, nie żadna koleżanka.

– Niekoniecznie do Warszawy – skorygowałem jej słowa. – Wiemy na pewno, że do Warszawy dojechała tylko krew Abigail. Natomiast ciało... No właśnie, doktorze, co zrobił pan z ciałem? Pański mistrz ma zwyczaj porzucać zwłoki stosunkowo niedaleko od spuszczonej krwi, ale pan chyba zmienił *modus operandi*. Inaczej dawno znaleźlibyśmy Abigail gdzieś na Ursynowie.

– Dziewczyna była z tobą w ciąży. – Głos Hanah brzmiał na pozór beznamiętnie, lecz już narastała w nim groźba. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaraz zastrzeliła Parkera starym policyjnym sposobem: „przy próbie ucieczki”. – Bałeś się jej matki, bałeś się skandalu. A doktor Zadrożny niechcący podsunął ci sposób. Niestety, nie wszystko ci powiedział. Na przykład, że seryjny z Konstancina zawsze zostawia pewien napis.

W oczach Parkera dostrzegłem rodzącą się furię.

– *Shit!* – zaklął i siadł na ziemi, jakby zakręciło mu się w głowie. – Byłem pewien, że popełnię błąd. Ale kretynka się uparła. No i pięknie. Pozorowanie przestępstwa, fabrykowanie dowodów. Ile w Polsce za to dostanę?

Spojrzeliliśmy z Krzysiem po sobie, a potem na niego, tak jakby nagle zzieleniał, a z głowy w miejscu uszu wyrosły mu talerze anten. Ufoludek, cholera, czy wariat?

– Rozumiem, udajesz pan... – Tu Byk zakreślił kółko na skroni. – Ale to nie przejdzie. W Tworkach raz-dwa się poznają na symulacji.

Zapadło milczenie, bo Parker, zupełnie załamany, zdawał się nie mieć nic do powiedzenia, a i nam jego bezczelność odebrała mowę. I gdy tak staliśmy nad nim, nie bardzo wiedząc, co dalej, poczułem nagle silne, damskie perfumy.

W ich aurze od strony domu zbliżała się do nas dziewczyna w zwiewnej jasnobłękitnej sukience. Inaczej uczesana niż na fotografiach, które widziałem, ale niewątpliwie była to Abigail Grant.

– Czułam, że tak to się skończy – powiedziała Hanah bardziej do siebie niż do nas.

Rzeczywiście, jej zaskoczenie w skali od jednego do dziesięciu wynosiło najwyżej trzy, podczas gdy nasze aż rozsadziło miernik i pofrunęło w kosmos.

– Człowieku, tobie powinno się dożywotnio odebrać prawo wykonywania zawodu. – Hanah podeszła do Parkera i usiadła naprzeciwko niego na ziemi, jakby oboje uczestniczyli w psychologicznym treningu u pani Werter. – Chyba wiesz, że transfuzja takiej ilości krwi może się skończyć tragedią?

– To moja wina. Ja mu kazałam. – Abigail również klapnęła tyłkiem na bruk i przytuliła się do Parkera. – Czy pani nie rozumie, że pierwszy raz w moim życiu pojawiła się szansa, bym na zawsze zgubiła tę sukę?! Ona musiała być pewna, że nie żyję. Inaczej wywęszyłaby mnie nawet na Antarktydzie.

Dopiero teraz zaczęliśmy z Bykiem kumać, co się stało.

– Panie Parker, czy ja dobrze rozumiem: pan wymienił krew tej dziewczynie na jakąś inną? Przepraszam, jestem laikiem, więc może coś przekręcą...

– Nic pan nie przekręca. Tak właśnie było. To się często stosuje przy masywnych krwotokach. Na przykład po wypadkach komunikacyjnych albo pęknięciu tętniaka.

– Z tą drobną różnicą, że pan sam masywny krwotok spowodował – zaripostowała Hanah.

– Do cholery! Ryzyko było minimalne! – krzyknął Parker. – Wszystko odbyło się w warunkach szpitalnych, u mnie w klinice, oczywiście wcześniej wykonałem test zgodności...

– I w dodatku towarzyszyła panu doświadczona pielęgniarka, którą w nagrodę, i żeby nie kłapała dziobem, wysyła pan teraz na Florydę.

Wiecie, chłopaki, to właśnie przez tę Florydę zaczęłam się domyślać, co jest grane.

Hanah wstała, a raczej próbowała wstać, bo Abigail uczepiła się jej nóg.

– Błagam, niech mnie pani nie zabiera do mamy! – wyła, trzęsąc się jak epileptyczka.

– Przysięgam, to był jej pomysł – szepnął do mnie Parker. – A ja, stary idiota, pozwoliłem się w to wmanewrować.

– Ale krew w garażu z własnej woli pan rozlał? Czy może stała nad panem z pistoletem? – zadrwiłem, choć właściwie, tak po ludzku, było mi ich żal.

A zwłaszcza tej życiowo niedorozwiniętej dziewczyny.

BYŁO MI JEJ ŻAL, DOPÓKI ZA KILKA DNI NIE ZROBIŁA CZEGOŚ OBRZYDLIWEGO.

– *Whore, bitch*, suka, kurwa – powtarzała Hanah, kiedy przyjechała do mnie wieczorem, przynosząc tę wiadomość.

Śledztwo pod naciskiem Amerykanów, którym wszystko zrelacjonowaliśmy, miało być lada chwila umorzone; Abigail Grant znalazła się przecież cała i zdrowa, oczywiste zatem, że w laboratorium popełniono błąd i to nie jej krew była w garażu. A czyja? „To już osobna sprawa i osobne dochodzenie” – uznał prokurator krajowy. „Natomiast to dotyczące zaginięcia i domniemanego zabójstwa obywatelki amerykańskiej kieruję do umorzenia”.

– Wyobrażasz sobie, Andrew? – Hanah jedną dłonią głaskała Azana, a drugą zacisnęła w pięść. – Ta kretynka ze strachu przed mamuszką zeznała, że Parker ją porwał, odurzył narkotykami, a potem zrobił ten numer z krwią. Oczywiście tam w Magdalence przetrzymywał ją wbrew jej woli. Czyli Parker będzie miał teraz problemy i jeszcze ta wasza Baśka, bo według Abigail jest jego współniczką.

– W pewnym sensie jest – stwierdziłem. – Musiała zdawać sobie sprawę, że ta transfuzja to jakiś szwindel, a jednak pomogła Parkerowi.

– To typ fanatycznej służbistki, która zrobi wszystko dla szefa i firmy. Mnóstwo teraz takich. Korporacje na nich stoją jak cesarstwo rzymskie na pretorianach. A poza tym Parker ściemnił jej, że w ten sposób chce oczyścić krew Abigail z jakiegoś wirusa.

– Cholera, to byłoby okropne, gdyby Basię zapuszkowali. *By the way*, chyba odkryłem, od kiedy datuje się ta jej niechęć do mnie.

– No, gadaj! – Hanah tak się zaciekawiła, że aż przestała głaskać psa, który obrażony posłał jej odpowiednie spojrzenie i godnie poszedł położyć się do przedpokoju.

A ja, zakurzywszy goldena, zacząłem snuć wspominki z młodości:

– Dawno temu, kiedy chodziłem do pierwszej klasy ogólniaka, mój kumpel zrobił prywatkę. Wiesz, co to prywatka?

– Jak się ludzie zejdą w czyjejs chałupie, jarają, snifują i wszyscy ze wszystkimi się pieprzą.

– No, nie. U nas aż tak ostro nie było. Tylko alpaga, czyli tanie wino owocowe, a z narkotyków najwyżej słaba trawka. No i zawsze, jak prywatkę robił chłopak, był problem z dziewczynami. Nieliczni, co mieli swoje, to z nimi przyszli, a reszta sama, samiuśka. No to wyciągnęliśmy notesy i dalej dzwonić do różnych koleżanek, ale w sobotni wieczór w domu zastaliśmy tylko Basię.

– Przecież ona nie jest brzydka. – Hanah przejęła się nagle Juraszówną. – To musi być coś z psychiką. Brak pewności siebie. Gdybym była jej kumpelką, tak bym ją wylaszczyła, że wszyscy byście do niej piszczeli. No, ale mów, mów, już ci nie przerywam.

– Właściwie nie ma o czym. Gdzieś do dwudziestej trzeciej potańczyłem z nią, ale bez żadnego podrywania, bo wiedziałem, że to nie ten typ. A potem, tak jak obiecałem jej starym, odprowadziłem ją do domu. Od tamtej pory mnie nie lubi. Dziwne, co nie?

Spostrzegłem, że Hanah z trudem powstrzymuje śmiech.

WRACAJĄC OD NIEGO NA BORSUCZĄ, MYŚLAŁAM O ABIGAIL GRANT I JEJ DUSZY ZALĘKNIONEGO DZIECKA. Do wszystkich dziewczyn stłamszonych przez rodziców, a zwłaszcza matkę, miałam bardzo osobisty stosunek. Bo przegrały tę samą walkę, z której ja wyszłam zwycięsko, choć Tunia była groźną i ostrą przeciwniczką.

Dziwna była ta moja mama. Nie cierpiała hipisów, a ubierała się i chesała jak Joan Baez. Feminizm nazywała wariactwem, ale sama żyła jak modelowa kobieta wyzwolona. Nic, tylko służba i służba, z przerwą na szybki, odprężający numer w radiowozie albo na biurku. Podejrzewam, że jeśli kiedykolwiek przeżyła orgazm, to owego grudniowego dnia w siedemdziesiątym ósmym, gdy w jej ręce wpadł John Wayne Gacy^[7], a na pierwszych stronach wszystkich gazet od Pacyfiku po Atlantyk ukazało się zdjęcie dzielnej porucznik Studnarsky.

Nazajutrz po swym triumfalnym występie u Waltera Cronkite'a przerażona usłyszała od lekarza, że brak miesiączki bynajmniej nie jest skutkiem menopauzy. Jak ją znam, chciała usunąć ciążę, tylko pewnie babcia Hania z Kingiem ją od tego odwiebli. Choć kto wie, czy rzeczywiście tak było? Nie wykluczam, że gdzieś na dnie duszy tęskniła do macierzyństwa.

Jednak przez lata negowałam tę drugą możliwość. Tendencyjnie, złośliwie, tylko po to, żeby w naszej wojnie mieć moralną przewagę. *Wunderwaffe* na Tunię, skuteczną nawet wtedy, gdy stałam na przegranych pozycjach. Jak choćby po napadzie na aptekę w Jackowie.

– Co? Żałujesz, że mnie nie wyskrobałaś? – zaatakowałam, kiedy spotkałyśmy się na California Ave w pokoju widzeń; ona w mundurze, ja w kajdankach.

I podziałało – żadnego opieprzania, zero wrzasków, tylko łzy.

– Hanah, córeczko, jak możesz tak mówić? – płakała, próbując mnie objąć, a ja, wstrętne gówniara, z gniewem ją odepchnęłam.

Dziś wiem, że to mama miała rację, a mój bunt cudem tylko nie skończył się tragedią. A przynajmniej nie taką, jaką mógł. Lecz wiem również, że coś na tej walce zyskałam, w myśl zasady, że co nas nie zabije, to nas wzmocni, więc jestem dziś o niebo silniejsza i mądrzejsza od wyśnionej przez Tunię absolwentki Harvardu.

Zobaczysz, mamó. Jeszcze rok, jeszcze dwa, a będziesz dumna z córki policjantki. Choć twojego sukcesu z Johnem Waynem Gacym raczej nie przebiję.

JUŻ BYŁA DUMNA, ale z właściwą sobie powściągliwością starała się, by nie wybrzmiało to w jej tonie. Wzięłam właśnie prysznic na Borsuczej i stroiłam się do kolejnego z długiej serii wywiadów, kiedy zadzwoniła. Zawsze trochę się niepokoję, gdy na ekranie wyświetla się Tunia, że może coś nie halo z bliźniakami, ale tym razem nie szło o nich.

– Wiesz, Hanah, że przed chwilą mignęłaś w CNN? Mówili, że złapałaś w Polsce seryjnego. Czy to prawda?

– Spokojnie. Jeszcze jesteśmy przed DNA. Ale na razie wygląda na to, że dorwaliśmy właściwą osobę.

– Tu u nas mówią, że to wampir. Podobno wypijał krew ofiar.

– Nie, mamó. Niczego nie wypijał, najwyżej wódkę Absolwent. To bardziej skomplikowane. – Ale nie zdążyłam wytłumaczyć, bo bliźniaki wyrwały jej telefon i jedno przez drugie zaczęły opowiadać, że na molo żołnierze wymienili dwie anteny.

Chyba jasne, że opuszczając Stany, wysłałam Kate, Micka i Tunię na naszą farmę. Niech US Army i duch babci Hani ich strzegą.

NASTĘPNEGO DNIA RANO PRZYSZŁY WYNIKI Z LABORATORIUM. Potwierdziły, że zarówno naskórek spod paznokcia Żanety Kuchcik, jak i sperma z kondoma, który znalazłam w domu Kapuśniakowej, zawierają DNA Jacka Wertera. Co więcej, odciski palców na trzonku

młotka i te z opakowań włoskiego tuszu do rzęs odpowiadały jego liniom papilarnym.

Lecz jakby tego było nie dość, w południe zrobiliśmy w areszcie na Białoleńce jeszcze jedno okazanie, tym razem z udziałem pani prokurator, i Dolores Kapuśniak znów bez wahania rozpoznała sprawcę.

– Tylko Roman nosił wąsy – powiedziała, w tępych zamyśleniu przyglądając się ponumerowanym facetom za szybą. – A ten jest wygolony jak cipka Barbie.

Prokuratorka, która z budowy tę lalkę przypominała, wzruszyła chudziutkimi ramionami.

– Mogły być sztuczne albo potem zgolił. A świadek niech powstrzyma się od wulgarnych określeń.

Z Białoleńki pojechaliśmy z Andrzejem do jakiejś prywatnej telewizji na zdjęcia do ich cyklicznego programu o różnych parach wykonujących nietypowe zajęcia; poprzedni był o treserze i treserze sokołów, które mają za zadanie przepędzać z lotniska inne ptactwo.

– Nie ukrywamy, że w pierwszej kolejności chcemy wyeksponować urodę i seksowność naszych bohaterów – wyznała szczerze pani reżyser.

Rzeczywiście sokolnicy byli piękni, młodzi i niewiele na sobie mieli, a w ostatniej scenie wręcz nic, jako że brali wspólnie prysznic po oczyszczeniu klatek swych podopiecznych.

Ani słowem, ani nawet wzrokiem nie porozumieliśmy się z Andrzejem. Gdy film na monitorze się zatrzymał, po prostu chórem powiedzieliśmy: nie! A wtedy facet nazwiskiem Viper, czyli żmija, który wyglądał na kogoś znacznie ważniejszego od reżyserki, zaczął przeproszać nas za nieporozumienie.

– Do programu zapraszamy gości na różnym poziomie kulturalnym – tłumaczył nam nerwowo, jakby przez nasz bunt tracił premię; tak zresztą mogło być, bo widzowie bardzo interesowali się konstancińskimi zbrodniami, więc program z naszym udziałem

musiał napędzać oglądalność. – Jedni umieją pokazać tylko gołą dupę, a inni coś naprawdę ważnego. Państwo, oczywiście, należą do tej drugiej, wyższej kategorii.

Uderzyła mnie nieprzyjemnie pogarda, jaką bez ogródek okazał biednym sokolnikom, i nawet chciałam mu coś powiedzieć, ale w tym momencie wcięła się reżyserka. I to z taką natchnioną miną i gestykulacją, że mało nie parsknęłam śmiechem.

– Panie Andrzeju – mówiła, a raczej przemawiała. – Niech pan na chwilę zamknie oczy i wyobrazi sobie panią Hanah w jakiejś pozie lub przy czynności, która szczególnie podkreśla jej piękno.

WŁAŚCIWIE MIAŁEM OCHOTĘ WYJŚĆ STAMTĄD, TRZASNĄWSZY DRZWIAMI, ale nie mogłem przecież zawieść tych wszystkich, którzy pragnęli obejrzeć mnie w telewizji. W pierwszej kolejności rodziny oczywiście, ale także załogi komisariatu, sąsiadów, kolegów z drużyny, kibiców Fregaty Konstancin. A dwadzieścia tysięcy za występ też piechotą nie chodziło.

Dlatego bez zamykania oczu od razu odpowiedziałem, że Hanah najbardziej podoba mi się na motocyklu.

NO TO DALI MI PIĘĆ MASZYN DO WYBORU, a jakaś rzekoma specjalistka od mody motocyklowej przebrała mnie w czarne, skórzane szorty i top, czyli za kurewkę z Hells Angels, taką jak z pornusa o bzykaniu na siodełku. Siedząc na czerwonej hondzie, oczywiście unieruchomionej w studio, opowiadałam łamaną polszczyzną, że podejrzany w przeszłości zamordował małą dziewczynkę, a przy obecnych zbrodniach posługiwał się samochodem dostawczym, który następnie spalił. Tyle wolno mi było powiedzieć bez ujawniania tajemnic śledztwa, a o kaleczenie języka poprosiła mnie pani reżyser, żebym brzmiała bardziej amerykańsko.

Andrzej dodał od siebie, że morderca kieruje się tajemniczym i jeszcze przez śledczych nie rozpoznanym motywem. A poza tym

razem z kamerą skoncentrowany był na moich nogach, którymi luzacko fikałam i majtałam.

– Nie, nie, naprawdę dziękuję – powiedziałam po zakończeniu zdjęć, kiedy pan Viper chciał mi dać w prezencie od firmy ten ich, pożał się, Boże, motocyklowy strój.

– Szkoda, że nie wzięłaś – poskarżył się Andrzej, gdy wsiadaliśmy do auta. – Mógłbym dłużej patrzeć na twoje nogi. Są naprawdę bombastic-fantastic.

– Coś w życiu trzeba mieć proste – odpowiedziałam.

LIPIEC ZSZEDŁ NAM NA PRZESŁUCHANIACH WERTERA. Do pomocy dostaliśmy niejaką Sharon Kowalsky, czterdziestoletnią psycholog z FBI, biegle mówiącą po polsku i podobno znakomitą profilerkę. Tak przynajmniej napisał we wstępie do jej książki James Alan Fox^[8].

Znałam ją. To ona opiniowała moją kandydaturę na agentkę. Wszystkie formalne warunki już spełniłam: skończyłam *high school* i Akademię Policyjną w Chicago, z dobrym wynikiem przeszłam testy sprawnościowe. Reszta zależała od tej baby, której słowo było decydujące i nieodwołalne jak papieskie; Kowalsky *locuta, causa finita*. A co gorsza chodziły słuchy, że paniusia krzywo patrzy na młode, niebrzydkie laski, więc się bałam, że z moimi nogami i nieszczęsnym podobieństwem do Shakiry przyjdzie mi wypisywać przysłowiowe mandaty za parkowanie.

Dzień był pamiętny dla mnie także z innego powodu, tego samego, co dla wszystkich Amerykanów i całego świata – *Day after*, dwunasty września dwa tysiące pierwszego.

– Twoja kartoteka, dziecko, jest zaszrana jak dworcowy kibel. – Przez szyby jej gabinetu przeświecał niebieski neon Krogera, odbijając się w szklanym blacie, na którym leżała moja teczka. – Wyrok w zawieszeniu za napad na aptekę, przynależność do zbrojnej grupy

przestępczej, posiadanie, branie i dilerka, kradzieże sklepowe, uszkodzenie ciała funkcjonariuszy policji. Twój rodzice musieli niebo i ziemię poruszyć, żeby cię z takim CV przyjęto do Akademii.

Milczałam, bo cóż, biedna, mogłam odpowiedzieć. Każde jej słowo było najprawdziwszą prawdą.

– Nie wstyd ci? Córka policjantów, wnuczka Hanki Lubochowskiej, a życiorys panienki ze slumsów. Jeszcze tylko prostytucji w nim brakuje.

Na dźwięk nazwiska babci nadstawiłam uszu jak królik. Kowalsky natychmiast to wyczuła.

– Tak, moja droga. Pisałam o niej niedawno artykuł do „Kryminologii Feministycznej”. To wspaniała postać, pierwsza śledcza w Europie, a ty... a ty, Hanah, jej rodzona wnuczka... ech, szkoda gadać. – Machnęła ręką.

Przypomniało mi się, że ostatnio, gdy wpadłam do instytutu przeczytać pamiętniki babci Hani, obeszałam się smakiem, bo były przez informatyka dla kogoś digitalizowane; pewnie właśnie dla pani Kowalsky, groźnej, wszechwładnej blondyny, która zaraz zgasi moje marzenia. Tylko czemu w tym celu przeszła nagle na polski?

– Krótkie pytanie i prosta odpowiedź: tak albo nie. – Spojrzała mi w oczy jak na przesłuchaniu. – Dorwiemy tego chuja Osameę?

– Tak jest, proszę pani – odpowiedziałam zgodnie z przekonaniem i wciąż niezachwianą wiarą w potęgę Stanów Zjednoczonych.

A wtedy Kowalsky po raz pierwszy się uśmiechnęła i napisała na moim wniosku o staż w FBI magiczne słowo „popieram”.

KIEDY TRZY LATA PÓŹNIEJ SPOTKAŁYŚMY SIĘ NA BORSUCZEJ, SERDECZNIE MNIE WYŚCISKAŁA.

– Cieszę się, Hanah, naprawdę się cieszę. Bo miałam wtedy rozterki, jak cię opiniować. Nieważne, my, Polacy, mówimy: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Adelson i Swobo słyszeli piąte przez dziesiąte o moich wybrykach, ale Andrzej, który siedział z nami pokoju, był ich nieświadom, i bardzo chciałam, żeby tak zostało, póki sama mu ich kiedyś nie wyznam. Dlatego posłałam Sharon błagalne spojrzenie, a ona z kobiecą przenikliwością od razu skumała, o co chodzi.

– Ten wasz Werter chyba sam uwierzył w swoje kłamstwa – powiedziała, zmieniając temat. – Jego uporczywe nieprzyznawanie się do popełnionych zbrodni nosi cechy histerycznego wyparcia. Badaliście go na wariografie?

– Tak, dwa razy. – Swobo pokazał jej wydruki.

Pobieżnie rzuciła okiem i zaraz odłożyła na bok.

– Jeśli sprawca jest mocno przekonany o swej niewinności, zapis właśnie tak wygląda. Nie zapominajmy, że Werter także ze swojej pierwszej zbrodni, tej popełnionej w młodości na dziecku, usiłował sam przed sobą się oczyścić za pomocą rozbudowanej konfabulacji. Twierdził przecież, że to matka, faktyczna sprawczyni, tak wszystko zaaranżowała, żeby podejrzenie skierować na niego. A dziś, gdy wpadł na próbie jej otrucia, utrzymuje, że miało być odwrotnie, a on, broniąc się, zamienił drinki.

– To się chyba nazywa *pseudologia fantastica* – wtrącił się Andrzej. – Prawda, pani doktor?

Sharon spojrzała na niego z przyjaznym uśmiechem, choć trochę tak jak na kota, który nagle odezwał się ludzkim głosem. A potem przeniosła wzrok na mnie i niespodzianie, dyskretnie mrugnęła okiem.

ZROBILIŚMY TAKŻE WIZJĘ LOKALNĄ NA WIOSENNEJ, podczas której trzeba było teren obstać przewencją i konną policją, tak wielu zjawilo się chętnych do zlinczowania Wertera. Z całego powiatu piaseczyńskiego, głównie kiboli, ale też mnóstwo rozwścieczonych kobiet w różnym wieku, groźnych jak te, co w *Germinalu* wykastrowały

Maigrata. Bracia Nowakowie rozpostarli transparent „Śmierć za śmierć!”, a Seba wymachiwał w stronę aresztanta maczetą.

Werter pod eskortą trzech „ateków” szedł powoli, pobrzękując ciężkimi kajdanami na rękach i nogach. Głowa opuszczona, oczy przymknięte, uszu jednak zatkać nie mógł, słyszał więc wszystkie przerażające zapowiedzi, co czeka go za chwilę, a najpóźniej w więzieniu.

– Pod całą cię zaruchają! – darł się stary konstanciński wyrokowiec o ksywie „Drozdu”.

– Panie komisarzu. – Głos Wertera zadrżał jak całe ciało. – Niech pan zabierze stąd ten motłoch. W takich warunkach nie mogę przecież zeznawać.

Miał poniekąd rację, lecz niestety nie byłem w stanie spełnić jego prośby. Nie chciałem ryzykować bitwy, z której nie wiadomo, czy bez użycia broni wyszlibyśmy zwycięsko. Na szczęście miałem Hanah, i ona wzięła się na sposób. Przejęła megafon od sierżanta prewencji, który bezskutecznie upominał przez niego tłum.

– Proszę państwa! Nazywam się Hanah Torres i jestem agentką specjalną FBI! – krzyknęła z dodającym wiarygodności amerykańskim akcentem. – Przyjechałam do Polski, żeby ująć mordercę naszych dwóch obywateli i przewieźć go do Stanów. Tam ma zostać stracony. Dlatego błagam: nie przeszkadzajcie mi teraz, a najlepiej się rozejdźcie, bo inaczej jego adwokat powie, że wywieraliście na Wertera presję, i polski sąd nie zgodzi się na ekstradycję. A w Polsce sami wiecie, jak jest: dostanie dwanaście lat, a wyjdzie po sześciu!

– Tak, do Ameryki z gnojem! – ryknął muskularny kibol. – Na krzesło elektryczne!

– Hej! Hej! Iuesej! – zaczął skandować tłum. I z tymi słowami na ustach niechętnie wycofał się za drzewka po drugiej stronie drogi.

– Pani chyba nie mówiła tym ludziom prawdy? – spytał ją przerażony i pobladły Werter.

Hanah, nie spiesząc się, zwróciła policjantowi megafon.

– Czemu tak uważasz? Departament Stanu na pewno wystąpi o twoją ekstradycję. A myślisz, że polskie władze nie pójną na rękę głównemu sojusznikowi?

WERTER DOPROWADZONY W MIEJSCE, GDZIE POTRĄCIŁ SAMOCHODEM ŻANETĘ KUCHCIK, ZAKLINAŁ SIĘ, ŻE JEST TU PIERWSZY RAZ W ŻYCIU.

– To jakiś absurd! Totalny absurd! – powtarzał. – Dlaczego miałbym przejeżdżać nieznaną kobietę?

– Bo inna kobieta odrzuciła swoją krew – odpowiedziała mu Hanah.
– Czyli twoja matka ciebie. Dlatego na początek musiała zginąć ta mała Pelaiz, a potem, w więzieniu, mając dużo wolnego czasu, wymyśliłeś ten cały rytuał z krwią.

– Nie zamordowałem Kasi. Już mówiłem pani, jak było. Nie zdziwiłbym się, gdyby te morderstwa z puszczaniem krwi też ona popełniła. W każdym razie na pewno włożyła trupowi pod paznokcie mój naskórek. Bo skąd by się tam znalazł?

– Tylko pogarszasz, chłopie, swoją sytuację – rzuciłem ulubionym zdankiem wszystkich gliniarzy świata. – A jeszcze masz szansę uniknąć ekstradycji. Niewielką, ale masz.

– A jak nie będzie ekstradycji, to i krzeselko elektryczne cię ominie – wsparł mnie Byk.

– Wystarczy, że szczerze do wszystkiego się przyznasz, a wtedy biegli na pewno uznają cię za czubka – powiedziała Hanah.

MIAŁAM WRAŻENIE, JAKBY WERTER USIŁOWAŁ SOBIE PRZYPOMNIEĆ ZBRODNIĘ, poprosił nawet, by pokazać mu dom Kapuśniaków. Najwyraźniej jednak, chociaż obejrzał wszystko łącznie ze strychem, żadna klapka w mózgu mu się nie odemknęła.

– Ratunku! Pomocy! – krzyknęła Dolores na jego widok i złapała za nóż kuchenny.

Strach i furia sprawiły, że dwaj ateci nie byli w stanie jej obezwładnić. Obracali więc tylko Werterem jak w tańcu, usiłując uchronić go przed pchnięciem. Bezskutecznie. Dziewczynie bardzo szybko udało się wbić ostrze w jego udo i widać trafiła w jakieś duże naczynie, bo w domu na Wiosennej znów zrobiło się czerwono.

– Teraz ty, gadzie, odrzucaj krew! – krzyczała, gdy wreszcie wyrwałam jej nóż.

Nie Andrzej, nie Byk, nie komandosi w kominiarkach, tylko ja. Słusznie mawiała Hania Lubochowska: „Gdzie diabeł nie może, tam babę posyła”.

NIE MIAŁO TO ŻADNEGO ZWIĄZKU Z BLEFEM HANAH, ale w mediach rzeczywiście zaczęto spekulować o ekstradycji Wertera. Polski MSZ dementował te pogłoski, ustępujący amerykański ambasador odpowiedział dziennikarzom: „*No comment*”, a w pewnym bulwarowym dzienniku ukazała się na pierwszej stronie wielka fotografia krzesła elektrycznego. „Czy na tym meblu zakończy życie Jacek W.?” – zapytywał nagłówek.

Nie zabrakło też oczywiście teorii spiskowych, według których Rachel Arnold i Raya Stern przyleciały do Polski jako wysłanniczki Światowego Rządu, a ich śmierć, podobnie jak pozostałych ofiar, była wynikiem walki dwóch łóż masońskich. Swoją drogą, śmiałą trzeba mieć wyobraźnię, żeby Żanetę Kuchcik oraz starą i młodą Kapuśniak powiązać z masonerią.

W takiej atmosferze dwudziestego siódmego lipca rozpoczął się przed warszawskim sądem okręgowym proces wampira, oskarżonego o pięć zabójstw oraz jedno usiłowanie; usiłowanie otrucia cyjankiem własnej matki.

WCZEŚNIEJ, O DZIESIĄTEJ RANO, GRALIŚMY ZALEGŁY MECZ z Gardłem Zdziury. Osobliwa nazwa klubu została mu nadana na cześć założyciela, Jana Gardło, działacza ludowego z nadwiślańskich

Zadziur, który jeszcze przed wojną zajmował się popularyzacją sportu na Mazowszu. Śmiesznie jednak brzmiało i wyglądało, kiedy tłumek kibiców z szeroko otwartymi ustami skandował: Gardło, Gardło!

Tego dnia nic im to nie pomogło, bo wygraliśmy trzy do zera, a ja dzielnie sparowałem dwie potężne bomby ich atutowego asa, dawnego pomocnika Legii.

– Azan, a ty tu skąd? – Byłem pewien, że stojąc dziewięćdziesiąt minut w lipcowym słońcu przegrzałem łeb i mam haluny.

Ale nie, wszyscy widzieli i wszystkich to ubawiło, że zaraz po końcowym gwizdku na boisko wpadł mój pies i w podskokach zaczął mnie witać. Dopiero po chwili zobaczyłem Hanah, ukrytą za jednym z betonowych bloków, które w Zadziurach zastępowały trybuny.

– Nie chowaj się! Widzę cię! – krzyknąłem.

A wtedy, adorowana pogwizdywaniem kiboli obu drużyn, podeszła do mnie. W dżinsowej mini ledwo za pachwinki i w białej koszulce z napisem: Fregata Konstancin.

– No co taki zdziwiony? Pożyczyłam od Dave’a harleya z koszem. Akurat na rozmiar Azana. Masz bardzo inteligentny pies. Powiedziałam, że jedziemy do pana, to sam wskoczył.

– A drzwi?

Roześmiała się.

– Dwa byle jakie zamki, minuta roboty. Nie bój się, nie popsulałam, zamknęłam z powrotem. W polskiej policji też chyba macie uniwersalne klucze?

No więc, wstyd przyznać, nie mieliśmy. To znaczy ABW i CBŚ pewnie miało, ale nie takie szaraczki jak ja z prowincjonalnych komisariatów.

POJECHAŁAM POTEM DO NIEGO; pies przez chwilę rozważał: samochód czy motor, i wreszcie, ku skrywanemu niezadowoleniu Andrzeja, wybrał podróż w koszu. Na miejscu poprosiłam o drinka i autograf na mojej kibicowskiej koszulce. Whisky już zadziałało, więc

mogłam ją przy nim zdjąć. Oczywiście wcześniej w łazience pozbyłam się stanika.

Myszę, że przewiozłam go wehikułem czasu gdzieś do początków szkoły średniej, gdy mógł rozbierać dziewczyny tylko od góry. Większość reagowała, jak moje koleżanki z *high school*, wyłącznie przyspieszonym oddechem i szeptaniem jego imienia, ale trafiały się pewnie i bardziej kumate, co już znały zasadę: pieszczota za pieszczotę, więc w jedną z nich się wcieliłam.

Dotąd miałam głównie do czynienia z temperamentnymi Afroamerykanami i Latynosami, lecz ten Słowianin przebił ich wszystkich. Od pierwszej chwili sapał jak biegacz pędzący po olimpijskie złoto, a na mecie osunął się na kolana.

– W głowie mi się zakręciło – jęknął.

POWIEDZIAŁA TYM SWOIM DRWIĄCYM, A ZARAZEM CZUŁYM TONEM, że skoro tak silnie reaguję, to może powinienem do zabiegu kłaść się albo siadać; „do zabiegu”, co za luzackie określenie? Wanda nigdy by go nie użyła. Cóż, piętnaście lat różnicy między tymi dziewczynami, prawie całe pokolenie. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis*^[9], przypomniało mi się z lekcji łaciny.

Uśmiechnęła się i założyła koszulkę z autografem, który nabazgrałem czarnym mazakiem.

– Część, Andrew – powiedziała, całując mnie w policzek. – Widzimy się w sądzie.

– NIE PŁACZ, NOIRO – POCIESZAŁA MNIE BABCIA HANIA. – TO TYLKO SEKS. Nawet taki nie do końca. On zapomni, ty zapomnisz, za miesiąc będziecie mogli wypić razem kawę. Ale co cię, głupi kotku, napadło? Naśladujesz Tunię, która puszczała się z całą komendą? – Za życia starała się oględnie wypowiadać o mamie, ale jako głos pozbyła się skrupułów.

– Ja nie chcę, żeby on zapomniał, i sama też nie chcę zapomnieć, rozumiesz to? I marzę, że kawę wypiję z nim nie za miesiąc, ale jutro rano po fantastycznej nocy. A przecież nie mogę, nie wolno mi. To kurestwo, zdradzać męża, który siedzi w więzieniu.

– Nie chcę być złośliwa, ale mam wrażenie, że już parę razy to zrobiłaś.

– To nie były zdrady. Albo tylko fizyczne, bo nic do tych facetów nie czułam. Wiedziałam, że seks z nimi niczego nie zmieni. A z Andrzejem jest inaczej. Totalnie inaczej.

– Noiro, jeszcze słowo, a zacznę cię straszyć. Bez odbioru. – Babcia z irytacją urwała rozmowę.

Zostałam sama na leśnej drodze, łzami skraplając kierownicę motocykla.

–

Generała Zemsty śmieszny człowieczy sąd
i sędziowskiego młotka stuk.
Oni żałośni są. Oni głupi są.
Generała Zemsty nie skaże żaden wróg,
w todze czarnej jak kruk,
a tylko Bóg!

—

HANAH NIE PRZYSZŁA NA ROZPRAWĘ; czekałem na nią przed budynkiem, nerwowo sprawdzając godzinę na ekranie telefonu. Dwa razy zadzwoniłem, ale odezwała się poczta głosowa. Swobo, który minął mnie, wchodząc do sądu, nie wiedział, co się z nią dzieje. Miałem złe przeczucia. Lęk, że kończy się coś, co dopiero się zaczęło. W powijakach umiera szczęście, które nagle pojawiło się po pustych, jałowych latach.

Dłużej nie mogłem czekać. Po dwa stopnie wbiegłem na górę i machając ochroniarzom legitymacją, przemierzyłem korytarz i wszedłem do sali. Jeszcze na wszelki wypadek się rozejrzałem, bo a nuż się minęliśmy i Hanah była w środku, ale – próżna nadzieja. Nie wypatrzyłem jej w tłumie, miejsce obok Swobo pozostawało puste.

– Czy oskarżony rozumiał treść zarzutów i czy się do nich przyznaje? – spytał sędzia podobny do Savalasa.

– Nie rozumiałem, bo są bełkotem – odparł Werter. – A co za tym idzie, nie mogę się do nich przyznać ani w ogóle w żaden sposób odnieść. Prawdą jest jedynie, że wysłałem kilka wulgarnych SMS-ów do pacjentek mojej matki. Bo nienawidzę jej i wszystkiego, co z nią związane.

Zapanowała chwila ciszy, w którą wstrzelił się piskiem mój telefon. Nie byłem jak gościu, co udaje, że to nie on pierdnął; wziąłem winę na klatę, olałem zirytowane spojrzenia i wyjąłem aparat z kieszeni. Zobaczyłem, że to SMS od niej.

Rozpychając łokciami dziennikarzy, techników i sprzęt, wybiegłem na korytarz. Stałem pod oknem, z dala od wszystkich.

„Sorry, Andrzej. Wsiadłam już do samolotu. Lecę przez Hamburg. Mój polski numer przestanie działać. Zapomnijmy o sobie. Tak będzie lepiej. Pozdrów pies” – przeczytałem na ekranie.

A ja myślałem, że razem wrócimy z sądu, zrobimy zakupy, przyrządzimy sobie kolację. To było dla mnie ważniejsze nawet od seksu. Czemu tak postąpiła? Dlaczego z premedytacją, dla zabawy, skrzywdziła czterdziestoletniego, samotnego faceta?

– BO MIAŁA TRUDNE DZIECIŃSTWO – wyjaśniła mi Sharon Kowalsky, którą spotkałem po zakończeniu rozprawy i spytałem o powód nagłego wyjazdu Hanah; oczywiście natychmiast odgadła, czemu mnie to interesuje. – W szczegółach oczywiście nie mogę ci opowiedzieć ze względu na zawodową tajemnicę.

I nagle uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

– Nie trać nadziei, Andrew. Widziałam, jaka dumna z siebie była, kiedy powiedziałeś o pseudologii fantastycznej. Tak między nami, troszeczkę spudłowałeś, ale nie chciałam cię przy niej poprawiać. Dobra, pokaż mi tego SMS-a.

Przeczytała i załamała ręce.

– Człowieku. Ty się znasz na kobietach jak kura na pieprzu. Idź już, idź już, bo tylko mnie wkurwiasz.

Hanah też uważała, że się nie znam. No cóż, taki już widać jestem – niemądry misio.

WEDŁUG MOJEJ MAMY HANAH NA MNIE LECIAŁA. To takie jej trącające myszką wyrażenie, które ostatnio chyba wraca, bo słyszałem niedawno, jak małolata mówiła komuś przez komórkę, że Marcin leci na Paulinę.

Oczywiście rodzice obejrżeli ten kretyński program w telewizji, a nawet nagrali na płytkę. I zachwyтом przy rodzinnym stole nie było końca.

– Świetnie wypadliście, świetnie – cieszył się tato. – Ty taki postawny, a ona jak nimfa.

Zaskoczyło mnie trochę, że nie nawiązał do starych czasów. Czyżby nie słyszał o Hance Lubochowskiej? Nie czytał pamiętników ojca? To

możliwe, bo dziadek przede wszystkim ze mną dzielił się wspomnieniami. Mnie, ledwie skończyłem siedem lat, pozwolił usiąść na trzeciego na ławce w ogrodzie i posłuchać razem ze starym Krzysia o schwytaniu Hipka Wariata. Mam wrażenie, że własne dzieci z jakichś powodów nie pasowały mu jako słuchacze. Bywa.

Mama z lekka się skrzywiła na ten zachwyty urodą Hanah.

– Rzeczywiście. Nogi ma wspaniałe – przyznała. Po czym, zastrzegając się, że nie chce być wścibska, zapytała, czy coś mnie z tą dziewczyną łączy.

– Co też mamie przyszło do głowy? – odpowiedziałem jak przyłapany na gorącym uczynku.

Szczyście – pomyślałem – że brat z rodziną wyjechali na Kretę. Inaczej mamę wspomogłaby w przesłuchaniu synowa.

– Bo tak zerka na ciebie jak na swojego. Tak jakby cię chciała schrupać. Prawda, Jureczku? – zwróciła się do męża, by ją wsparł.

– Nie wiem. Zapomniałem. Ty już dawno przestałaś tak na mnie patrzeć – odparł tatko, puszczając do mnie oko.

A mama pacnęła go serwetką po łysinie.

– Słuchaj – powiedziała po chwili, uważnie przyglądając się Hanah w zatrzymanym kadrze. – Czy ona przypadkiem nie ma domieszki krwi murzyńskiej? Nie, nie, broń Boże, nie jestem żadną rasistką, ale pamiętasz, co było, jak Henio Filipiak ożenił się z dziewczyną z Sudanu.

– Z Etiopii – poprawił ją tata.

– Wszystko jedno. Grunt, że go pogryzła, tak że trzeba było zakładać szwy.

– E tam, wielkie mi mecyje. Przepił chłop pieniądze na telewizor, to się wkurzyła i dziabnęła w ramię. Polka też by nie podarowała.

Zaczęli się spierać o naszego sąsiada jeszcze z Matejki i jego afrykańską małżonkę, a wtedy zadzwonił mój telefon. I niestety musiałem się obyć bez deseru.

– Chociaż weź na drogę. – Mama upchnęła mi do kieszeni kurtki wielki kawał sernika własnej roboty.

SAMOLOT DO CARSON CITY MIAŁAM DOPIERO ZA SZEŚĆ GODZIN, więc zamiast siedzieć bez sensu na JFK albo pojechać metrem na Manhattan, wybrałam się do Trenton. Prawdę mówiąc, dopiero teraz sobie przypomniałam, że Sieniewicz spełnił moją prośbę i podał mi namiar na prokuratora, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Kasi Pelaiz; facet był już na emeryturze, wyemigrował z Polski i mieszkał u swojej córki, właśnie w NJ.

Szczęśliwie zastałam go w domu. Sprawiał wrażenie początkującego sklerotyka i tym tłumaczę zupełny brak zdziwienia moją wizytą.

– Wie pani co? Właśnie wybierałem się na zakupy. U moich dzieci jestem, że tak powiem, naczelnym aprowizatorem. Niech to licho. – Zafrasowany spojrzał na gęsto zapisaną kartkę. – Asia sporządziła mi listę po angielsku i niektórych słów nie rozumiem. *Do you speak English?*

– *A little* – uśmiechnęłam się i podreptałam z nim do pobliskiego Walmartu.

– Wiele szczegółów już mi uleciało z pamięci. To chyba było w Krynicy Górskiej? – Przez moment spojrzał na mnie bezradnie, ale zaraz odzyskał rezon. – Oczywiście, w Krynicy, w takim pensjonacie niedaleko kościoła. Byłem przecież prokuratorem powiatowym w Nowym Sączu, to znaczy się za Polski Ludowej, bo potem przemianowali nas na rejonowych.

W markecie dziesięć razy oglądał każdy towar, zanim włożył do wózka, bałam się więc, że nie zdążę z powrotem na lotnisko. A potem jeszcze była kolejka do kas, w której musieliśmy swoje odstać; namawiałam, żeby skorzystał z samoobsługowej, obiecywałam, że pomogę, wszystko krok po kroku wytłumaczę, ale bał się nowego wynalazku jak diabła.

I właśnie w tej kolejce przypomniał sobie coś istotnego.

– Wie pani co? – rozpoczął swym ulubionym otwarciem. – W pewnym momencie nabrałem wątpliwości. Bo portier z pensjonatu twierdził, że ten morderca cały czas siedział u niego w pokoiku w suterenie i robił wykład o reinkarnacji. I miał ze sobą pomarańcze, którymi go ofiara poczęstowała. Pamięta pani? Na sali telewizyjnej. A potem mieli stamtąd razem wyjść, znaczy się on i ta dziewczynka, tak zeznawali wszyscy świadkowie. I tylko cieć dawał mordercy alibi.

– Czasowo jak to się przedstawiało?

– Kochana. Nie wymagaj od staruszka, żeby po dziesięciu latach pamiętał takie rzeczy. Wiem tylko, że gdyby wierzyć portierowi, ten Werner, Werter czy jak mu tam, nie mógłby dziewczynki udusić. Bo wprost z sali telewizyjnej, jak tylko się skończył film, zszedł do niego na dół.

– A mimo to wniósł pan oskarżenie?

Jakieś dwie kobiety przyjrzały się nam zaciekawione, widać zrozumiały, o czym mówimy. W Trenton mnóstwo Polaków.

– Wie pani co? – Ściszył głos prawie do szeptu. – Wahałem się. Jasne, że się wahałem. Każdy uczciwy prokurator się waha. Ale wszystkie inne dowody wskazywały na Wertera, zwłaszcza odciski palców na lampie i sznurze, który od niej oderwał. A poza tym, portier nie był zbyt wiarygodny. Czulem od niego wódkę. Mogły mu się po alkoholu pomylić dni, to się zdarza. Zresztą sam Werter ani razu nie potwierdził jego słów, tylko konsekwentnie zasłaniał się niepamięcią.

– A pomarańcze? – spytałam. – Według pana codziennie odwiedzał portiera z pomarańczami?

– Głupota – odparł, ale nie była to riposta, lecz nagła zmiana tematu. – Kompletna głupota. Co z tego, że jakiś chłopak się pytał, gdzie Jacek będzie mieszkał w Krynicy. Pewnie też się tam wybierał na wakacje i pomyślał, że razem pójda na piwo albo na wycieczkę. Ale pani Werter uznała to za bardzo ważne. Bez mała za dowód w sprawie. Nalegała, żebym koniecznie ustalił dane tego kolegi.

– Przepraszam, o czym pan mówi? – zapytałam cokolwiek zaskoczona.

Ale nie uzyskałam odpowiedzi, bo doszliśmy właśnie do kasy i prokurator „Wie pani co” zaczął w nerwowym pośpiechu wyklądać towar na taśmę.

WYGLĄDAŁO TO NA TYPOWE POLSKIE ZABÓJSTWO. Popili się, powadzili, a nazajutrz starsi państwo, który przyszli na rodzinny grób, spostrzegli wystające spomiędzy dzikiej jeżyny męskie nogi bez butów. Był to, można powiedzieć, początek trupa, jego koniec zaś znajdował się głęboko w kolczastym gąszczu.

– To Darek Mucha, cieć cmentarny i ogólnie złota rączka – stwierdził Byk, gdy fotograf skończył robotę i można już było przenieść zwłoki na ścieżkę.

Bogiem a prawdą, póki leżały w jeżynie, nie było stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście są zwłokami, bo lekarz pogotowia, pieprzony delikacik, nie miał ochoty przedzierać się ze stetoskopem przez kłujące zasieki. Paskudna sprawa, gdyby się tak okazało, że facet kojfnął dopiero przed chwilą i można go było ratować zamiast fotografować.

Ale się nie okazało.

– Zgon nastąpił mniej więcej sześć, siedem godzin temu – orzekł strachliwy pan doktor. – Rana rąbana głęboko penetrująca do mózgu, zadana w okolicę ciemieniowo-skroniową po lewej stronie, najprawdopodobniej siekierą lub podobnym ostrokrawędzistym narzędziem.

Nietrudno było odtworzyć okoliczności. Na ławce przed starą, omszałą kaplicą musiała odbywać się libacja. Sześć półlitrowych butelek po wódce i kilkanaście zgniecionych puszek po piwie wskazywało na co najmniej trzech biesiadników.

– Darek był dobry chłopak, tylko okrutny oliwa – powiedział Flap. – Znałem go dobrze, bo przez dwa lata mieszkaliśmy po sąsiedzku.

– Do chłania każde towarzystwo mu pasowało – dodał Byk smętnym głosem. – Jak jeszcze byłem dzielnicowym, ostrzegałem go nieraz: „Daruś, ty nie pij z tą całą patolą, bo to się kiedyś źle skończy”. No i wykrakałem.

– Ej, panie fotograf! – rozległo się od strony bramy wołanie Flipa, który udał się na obchód cmentarza. – Chodź pan tu, bo coś znalazłem!

Każdy policjant wie, że zanim podniesie się przedmiot mogący być w śledztwie dowodem, należy wcześniej sfotografować go tam, gdzie leżał, i Flip, skądinąd niezbyt lotny, także tę wiedzę posiadał.

Poszedłem razem z fotografem, bo ciekaw byłem znaleziska.

– Chyba jesteśmy w domu, szefie – cieszył się Flip. – To portfel, a w nim dowód. Jeszcze stary, papierowy. Widzi szef, nie ma okładki, na wierzch nakleił stronę ze zdjęciem i personaliami. Trochę rozmazane, ale idzie przeczytać...

Przykucnąłem, wpatrzyłem się. Rzeczywiście – szło.

– Coś mi mówi to nazwisko – powiedziałem, rozprostowując nogi po lekturze.

Flipowi nie mówiło nic, ale może zbyt pochłaniała go czynność zabezpieczania dowodu w podwójnym znaczeniu. Fotograf już swoje zrobił i teraz należało upchnąć rozpadające się kartki do foliowej koperty, a to wymagało niejakiej zręczności. Zresztą Flip był nietutejszy, gdzieś aż spod Szczecina przyjechał w nasze strony; wierzyłem, że miejscowi lepiej wspomogą moją pamięć.

Nie omyliłem się.

– Waldemar Burbo, naprawdę nie kojarzysz? – zdziwił się Byk. – Taki duży, łysy z cynkwajsem i wiecznie śmierdzącymi skarpetkami. Chodził do naszej podstawówki kilka klas wyżej i chyba wszystkie po kolei powtarzał. Młodszych chłopaków zmuszał, żeby mu ciągnęli druta, to była jego ulubiona rozrywka. A kiedy wreszcie dostał wyrok, błagał mojego starego o białko, że wszystkie ofiary miały skończone czternaście lat.

– Bał się, żeby pod celą nie potraktowali go jak dzieciorucha. I co? Ojciec się zgodził?

– Tak. Za współpracę. Aż do emerytury korzystał z donosów Waldusia. Potem ja próbowałem go przejąć, ale mózg już tak miał zlasowany wynalazkami, że do niczego się nie nadawał.

– Wiesz, gdzie mieszka?

Byk zarechotał, śmiesznie przewracając oczami.

– Gdzie się da. W krzakach, pod mostem, czasem w jakimś pustostanie. Noclegowni nie uznaje, bo tam nie wolno pić. Niewykluczone, że teraz przytulił się na cmentarzu właśnie u Dareczka.

– Z czego żyje? – spytałem, jakby nie było oczywiste, że z drobnych kradzieży i żebractwa.

Byk potwierdził moje przypuszczenie, dodając obrzydliwy szczegół:

– Podobno jada psy i koty. Dwa lata temu próbował na Wareckiej wyrwać dziewczynce yorka, ale miał niefart, bo zjawił się jej kuzyn, znany ci Apollo. Jego ochroniarz mówił mi, że powiesili Waldeczka za nogi na drzewie i przez godzinę tłukli baseballami gdzie popadnie. Tak jak bandziory z miasta mają we zwyczaju.

– I człowiek to przeżył? – zdziwił się lekarz.

Chciałem mu powiedzieć, że Ferdynand Kiepski miał rację i są na świecie rzeczy, o których się fizjologom nie śniło.

BLIŹNIAKI RZUCIŁY MI SIĘ NA SZYJĘ JAK DWIE MAŁPECZKI, mało nie upadłam pod ich ciężarem. Choć skończyły osiem lat, wciąż zachowywały się jak przedszkolaki, i to niesforne. „Kate podczas lekcji biega między ławkami, a Mick chowa się do szafy”, wielokrotnie, z uporem maniaczki informowała mnie ich wychowawczynie. „Głupia baba, powinno się ją wywalić z roboty”, stwierdzała Tunia, czytając mi przez ramię oskarżycielskie maile. Ta sama Tunia, od której po każdej uwadze moich nauczycieli dostawałam siarczyste klapy.

– Mama! Mama! Chodź zobaczyć nowe anteny! – zawołały chórem, po czym, nierozpakowaną i nieprzebraną po podróży, wyciągnęły mnie za rękę na dwór.

Szliśmy główną aleją między domkami z bala; każdy na farmie miał swój, a nad częścią wznosiło się coś w rodzaju wiatraka i głośnika. To były domki zmarłych, a urządzenie służyło do kontaktu z ich duszami. Opatentował je pod koniec lat czterdziestych założyciel farmy, genialny, samorodny wynalazca – Vlad Lubochowski, twórca pierwszej amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Porównywano go z Teslą, także i z tego powodu, że momentami zdradzał objawy psychozy.

Nowe anteny stały na betonowym moło, wchodzącym daleko w jezioro. Dzieci równocześnie pokazały mi je palcem.

– Są wysokie na sto metrów – poinformowała mnie Kate. – Pan sierżant z Marines mówił, że jak przyleci rosyjska albo chińska rakietka, to się nadzieje na te widły na górze.

– Koniecznie muszę to zobaczyć. – Mick aż pisnął.

Rzeczywiście na szczycie konstrukcji znajdowało się coś, co przypomniało trójząb. W ogóle te najnowsze anteny coraz bardziej upodabniały się do bierek.

– Nie, nie, Myszczyki, pan sierżant troszkę sobie z was zażartował – powiedziałam, głaszcząc niemądre łebki; niby bliźniaki, a jakie różne! Mick ma czarne, kręcone włosy jak King, a Kate to słowiańska blondynka.

– Zażartował? – Dwie pary oczu spojrzały na mnie ze smutkiem: oczy akurat miały podobne, ciemne i migdałowe po swym nieszczęsnym tatusiu.

– No tak. Bo to jest bardziej skomplikowane. Antena emituje jakieś fale, które tę raketę zawracają albo niszczą. Zresztą zapytajcie dziadka Teda. On jest wojskowy, to się lepiej zna.

Lecz już straciły zainteresowanie obronną funkcją anten. W ich dłoniach pojawiły się nagle nowoczesne telefony z dużymi ekranami.

Podsunięły mi je przed nos.

– Zobacz, mama. Śmigłowiec zabiera antenę.

Na filmie zarejestrowały moment, gdy ogromny transportowy helikopter porywa odmontowaną od podłoża stalową konstrukcję jak jastrząb kureę i znika z nią hen za horyzontem. No tak, zostawić je na miesiąc z Tunią, a zaraz kupi im coś drogiego i niepotrzebnego, jak te telefony z kamerkami. Okazało się jednak, że byłam w błędzie. To dziadzio King, gdy odwiedzał farmę w weekend, zrobił im taki prezent.

– Czyli będą antenaty, prawda mammo? – spytali oboje, podskakując, by lepiej zajrzeć mi w oczy.

Podejrzewam, że już nie wierzyli w mąkę ze sproszkowanej stali i zmielonych fal radiowych, jednak związek między wymianą anten a ucztą przygotowywaną przez Gretchen Johnson, choć niezrozumiały, wciąż pozostawał dla nich oczywisty i nierozzerwalny.

– Myślę, że niedługo Gretchen was zaprosi – powiedziałam pewna swego, bo jeszcze z lotniska telefonowałam do niej w tej sprawie.

Niestety ani babcia Hania, ani tym bardziej Tunia nie potrafiły kontynuować dzieła Matyldy. Dlatego receptura na antenaty trafiła do jej czarnej przyjaciółki, Emily Clinton, też pochowanej w kolumbarium, której wnuczką była właśnie owa Gretchen. Wszystko to ze szczegółami zapisano w kronice naszej farmy; strony internetowej nie posiadamy, bo pod tym względem jesteśmy staroświeccy.

SIADAMY NA ŁAWCE NAD JEZIOREM, czuję, że Myszy chcą mnie o coś spytać, tylko brak im śmiałości. Kate patrzy na Micka, on ją szturcha. Coś spsoły pod moją nieobecność? Może Mick w szkole nie tylko schował się do szafy, ale jeszcze ją zdewastował? Albo Kate znowu przyląła temu Włochowi, który woła za nią: seksiarą. No nie, co ja bredzę? Przecież są wakacje, więc najwyżej tu na farmie narozrabiały.

Ale – nic z tych rzeczy.

– Mamo. – Kate wyraźnie unika mojego wzroku. – Nie pogniewasz się, jak cię o coś spytam?

Przytulałam ją.

– Pamiętaj: Myszka zawsze może się o wszystko pytać swojej mamy. Słucham.

Muszę jednak przyznać, że pytanie zbiło mnie z tropu i zdecydowanie wolałabym, żeby nie padło.

– No co ty, Kate? Ja pojechałam do Polski służbowo, a nie na całowanie się z panami.

– I naprawdę żaden cię nie objął? Nie przytulił?

– Żaden, Myszczyko – kłamię córce w żywe oczy i jest mi wstyd. – A dlaczego pytasz?

Bałam się, że zaczęły myśleć o ojcu, którego nie mogły pamiętać, bo miały rok, kiedy zniknął z ich życia. Czyżby już przestała działać narracja o tacie trującym glony w Jeziorze Wiktorii? Czyli tam, gdzie kończy się rzeczywistość. Kiedyś to musiało nastąpić. I może właśnie dziś zostanę oskarżona, że zdradzam realnego mężczyznę, postać z istniejącego świata.

Jednak problem, który nurtował Myszy, był innego rodzaju. Mick z niepokojem go wyraził.

– Mamo, a gdybyś się zakochała w Polaku i on by z nami zamieszkał, to czy moglibyśmy dalej mówić po swojemu.

– Nie kazałabyś nam uczyć się polskiego? – pisnęła Kate. – Bo to okropnie trudny język.

– Sz-psz – przedrzeźnił polszczyznę Mick. – Jak rozmawiasz z babcią Tunią, normalnie pękamy ze śmiechu.

– Słuchajcie – oświadczyłam uroczyście. – Przysięgam, że jeśli kiedykolwiek doszłoby do takiej sytuacji, to nie wy polskiego, ale ten pan musiałby się nauczyć angielskiego. Mało tego, wy byście go uczyły!

Kate spojrzała na mnie spod oka.

– A on nie jest czasem głąb? – spytała podejrzliwie. – Bo głąba to sobie sama ucz!

Mignął mi obrazek naszego living roomu w chicagowskim mieszkaniu z Myszami i Andrzejem grającymi w jakąś grę komputerową, a może w planszową. „Ale nie! Bez sensu!” – krzyknęłam i pokazałam mu drzwi.

– Co bez sensu? – spytały bliźniaki zaniepokojone, bo widać wypowiedziałam te słowa na głos.

W TYLNEJ KIESZENI SPODNI MUCHA MIAŁ PIĘĆ TYSIĘCY, zwinięte w rulon i spięte gumką aptekarską, więc dziwiliśmy się z Bykiem, że Burbo ich nie znalazł. Może był po zabójstwie w szoku albo schlany do tego stopnia, że już nie myślał. Zatelefonowałam do prokuratora, a wcześniej po chłopaków z Iwicznej, żeby zorganizowali obławę. Okazało się jednak, że wystarczył tylko pies – dostał do powąchania portfel i od razu podjął trop. Napinając smycz, pognął prosto nad rzeczkę zwaną Małą, która przepływała przez pobliski las. Na jej brzegu, w wysokiej trawie spał, głośno chrapiąc, nasz poszukiwany.

– Gong! Spokój! – Przewodnik z najwyższym trudem odciągnął warczącego owczarka. – Cholera, czegoś wzbudził w nim agresję. To rzadko mu się zdarza – tłumaczył się przed nami.

Pewnie Gong wie, że bydlak zjadał psy, pomyślałem. Prawdę powiedziawszy, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby odgryzł mu jaja. No tak, tylko do czego wtedy podpięlibyśmy akumulator?

ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ OKOŁO PIĄTEJ rozpoczęła się antenatowa uczta; Gretchen Johnson z pomocą męża wyniosła przed dom duży stół, a dzieci zaczały się za rogiem, czekając, aż pojawią się na nim półmiski z plackami. Zresztą Tunia i ja też przełykałyśmy ślinę, z udawaną obojętnością spacerując w tę i z powrotem.

Oprócz moich Myszy i czarnych jak węgielki synków Gretchen, na antenaty łakomiła się jeszcze Paola, pierwsza praprawnuczka babci Hani.

Z jej matką, choć była w moim wieku, nigdy nie miałam ochoty się zakumplować, pewnie dlatego, że od dziecka stawiana mi była przez Tunię za wzór. „Zobacz, Tamara to, Tamara tamto, a ty?”. Aż skakałam ze szczęścia na wieść, że chodzący ideał w wieku szesnastu lat zaszedł w ciążę.

Schadenfreude nie trwało jednak długo, bo wnet podzieliłam jej los.

– Ale ojcem dziecka Tamary będzie chłopak po Yale – biadoliła Tunia. – A twojego...

– Spokojnie – pocieszał ją King. – Może się poprawi. Dałem mu przecież porządny wycisk.

Tata prostodusznie wierzył w skuteczność swych metod wychowawczych. Pewnego razu, nakrywszy mnie z Torresem na bardzo gorącym uczynku, przykuł go kajdankami do kaloryfera i sprzął pasem na gołe dupsko. Podejrzewam, że po jednym uderzeniu Kinga gruboskórny dinozaur przez godzinę ryczałby z bólu, a mój chłopak zainkasował czterdzieści i ani pisnął.

– Jeszcze raz się do niej zbliżysz i po tobie. Skumałeś, gnoju? – wysapał tata, odkładając pas, po czym wyniósł Torresa na kopach.

A mnie przytulił i długo, długo, jak małą dziewczynkę, kołysał w potężnych ramionach. Zobaczyłam, że w oczach ma łzy.

– Hanah, córeczko. Nie bój się. Ten bandzior już cię nigdy nie skrzywdzi. Nie pozwolę mu. Tylko dzwoń, zawsze do mnie dzwoń, jak tylko go zobaczysz.

Wieczorem usłyszałam przez ścianę podniesiony głos Tuni.

– Ocipiałeś?! Jaką presję? Żadnej presji nie musiał wywierać, sama mu dała i to z ochotą. King, obudź się wreszcie! Spójrz prawdzie w oczy. Nasza córka jest puszczalską ćpunką i złodziejką. Nie ma już co zwlekać, trzeba posłać ją do Neuville, póki nie jest za późno.

Miała na myśli katolicką szkołę z internatem w miejscowości o tej nazwie, położonej w Quebecu nad rzeką Świętego Wawrzyńca. Jej widmo już od lat nade mną krążyło i jedynie stanowcze weto babci Hani pozwalało mi cieszyć się wolnością.

Niestety – zaraz po moich szesnastych urodzinach przemieniła się w głos. Nie, nie umarła, jak inni ludzie, ale właśnie – stała się głosem. Tylko dla mnie słyszalnym i dlatego nie mogła przekonać Tuni, że to chory pomysł; przecież rozkochany w swobodzie kotek Noiro nie przeżyje wśród ponurych zakonnic.

– Hey, hey! – przerwała moje wspominki Tamara i pocałowała serdecznie mnie i Tunię.

Lecz moja mama nie byłaby sobą, gdyby rozmowy nie rozpoczęła przykrym akcentem:

– Jak idzie sprawa Natana? – zapytała z pozorną troską.

Chodziło o to, że obecny mąż Tamary miał niefart zapłodnić ją na Florydzie, gdzie za stosunek z nieletnią poniżej osiemnastu lat grożą bardzo poważne konsekwencje. Łącznie podobno z karą śmierci, choć, Bogiem a prawdą, nie słyszałam, żeby kogoś z tego powodu stracono. Tak czy siak młody astrofizyk, Natan Linder, musiał spieprzać do Europy i tam czekać, aż gubernator Florydy go ułaskawi.

Jej facet się ukrywa, mój w więzieniu – pomyślałam i pierwszy raz w życiu poczułam do kuzynki sympatię. Na szczęście zostały nam po nich radosne, niczego nieświadome dzieciaki.

– Zobacz, Tamara, jak lecą do tych placków, mało nóg nie pogubią – powiedziałam.

Byłyśmy jak dwie lwice zapatrzone w stadko młodych. Żaden pan lew nie był nam do szczęścia potrzebny. Niech się ukrywają gdzieś po lasach, niech siedzą w klatce, damy sobie bez nich radę – przekazałyśmy sobie wzrokiem.

„Z AKUMULATOREM NA JAJACH jeszcze nikt nie kłamał”, powiada jakaś postać w *Psach* Pasikowskiego i nasi stróże prawa chętnie to

cytują niby jako żart. A tymczasem ja sam na początku mojej pracy w policji uczestniczyłem w takim przesłuchaniu, pomagając starszym kolegom obnażyć delikwenta i przykuć do przyczepki w garażu.

Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania: już po pierwszym uderzeniu prądem facio skamlał o litość, przysięgając, że zaprowadzi nas do sadu i osobiście wykopie żonę i pięcioletnią córeczkę. Przysięgi dotrzymał, dzięki czemu sprawa znalazła finał w sądzie, zamiast zostać umorzona jako niewyjaśnione zaginięcie. A najzabawniejsze, że dla prokuratora ten człowiek był poza wszelkim podejrzeniem. To nam odbiło, żeby zagrać w ciemno i – udało się. „Ucz się, młody” – powiedział wtedy do mnie mój szef, dawny kapitan MO. Ryzyka, że mogliśmy się pomylić i torturować niewinnego, w ogóle nie brał pod uwagę.

Wypiłem kawę, browar, wypaliłem dwa goldeny i wywietrzały mi z głowy sadystyczne pomysły. Zwłaszcza że ten Burbo to był wrak człowieka, kupa nieszczęścia z przewagą kupy, zresztą rzeczywiście cuchnął gównem i gacie miał całe obsrane, bo pewnie nigdy się nie podcierał. Biedny Flap, kiedy go instalował na dołku, z obrzydzenia zwymiotował.

– Weźcie go pod prysznic, wyszorujcie szczotą ryżową i przebierzcie w coś – rozporządziłem. – Są gdzieś jeszcze ciuchy tego ekshibicjonisty?

Kilka miesięcy temu dostaliśmy w nocy zgłoszenie, że po Warszawskiej biega goły facet. Gdy Flip i Flap przyjechali na miejsce, gościa już nie było, natomiast na płocie jednej z posesji wisiała jego garderoba. No to co mieli chłopaki robić? Sfotografowali i zabrali na komisariat jako dowód w sprawie. Nikt się oczywiście po ciuchy nie zgłosił.

– Są, są – powiedział Flip. – I chyba nawet będą na niego dobre.

Faktycznie nogawki i rękawy na długość w sam raz – stwierdziłem, gdy mi go za pół godziny przyprowadził.

– To co, menelu, spróbujemy się? – spytałem, wychodząc zza biurka.

Zanim zająłem się na serio piłką, trenowałem troszkę boks i to musiało być widoczne w mojej postawie. Burbo, przestraszony, cofnął się o krok.

– Garda, koleś, garda, podnieś ręce – instruowałem go, częstując jednocześnie lekkimi prostymi.

– Nie mogę – jęknął.

Nie kłamał. Mimo że zwiększyłem siłę ciosów, wciąż stał odsłonięty jak jakiś masochista. Aż wreszcie spróbował lewą dłonią, widać silniejszą, unieść prawą, ale na wysokości szyi obie opadły jak martwe.

Zrozumiałem, że ma niedowład rąk. Skutek kijów, które dostał od Apolla, albo wieloletniego alkoholowego zatrucia, w każdym razie – niemożliwe, by zabił kogoś siekierą. Prawdopodobnie z najwyższym trudem podnosił do ust butelkę.

Posadziłem go na krześle, a sam przysiadłem na blacie biurka.

– Słuchaj, Walduś – powiedziałem, zapalając papierosa, a jego, oczywiście, mimo błagalnego spojrzenia, nie częstując. – Mało jest ludzi z tak obrzydliwym życiorysem jak twój. I powiem ci, że bez skrupułów zrobiłbym z tobą to samo co Apollo, tylko skuteczniej. Nie, gnoju, ja nie blefuję. Szansa, że wyjdiesz żywy z tego komisariatu jest jedna na dziesięć.

– Przypucujesz, co działo się tam na cmentarzu, to pogadam z szefem, może ci odpuści – szepnął Byk, niby tak, żeby nie słyszał.

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się po tym menelu, że powie coś ciekawego, więc się przyjemnie zdziwiłem.

– Mucha od lipca pozwalał mi spać u siebie, znaczy się nie w mieszkaniu, ale w grobowcu. Kogoś się bał i raźniej było mu w moim towarzystwie. „A co ja ci, Daruś, pomogę?”, się go pytam. „Przecież ja nawet rękami nie ruszam”. A on mi na to, że jestem człowiek grypsujący, po wyrokach, to dogadam się z tą ferajną, co się go czepia.

– Co to była za ferajna?

– Po mojemu złodzieje cmentarne. A Darek, osoba religijna, nie za bardzo im pozwalał hulać. Jeszcze na znicze, kwiaty, wieńce przymykał oko, ale już złotych liter nie kazał ruszać.

– Poznałeś tych ludzi?

– Tak. Właśnie wczoraj wieczorem, a konkretnie w nocy, bo przyjechali coś koło dwudziestej drugiej. We trzech, starą skodą fabią. Na własne oczy nie widziałem, ale myślę, że przywieźli mu kasę. Na pewno tak było, jeśli dał mi dwie stówy i kazał za wszystko kupić gorzałę i browary.

– Że też cię wpuścili do marketu – obśmiał się Byk. – Chyba musieli potem robić dezynfekcję.

– Jakiego marketu, sierzancie? Przecież na metę poszłem. Gorzałka bez akcyzy i tańsza i zdrowsza, taka prawda. A browary ciotka kupuje przeterminowane i żeni klientom za pół ceny.

– Tamci też z wami pili?

– Tak. Ale najwyżej po kielichu, nie więcej. Mówili, że jadą po jakiś samochód z hadeesem, chyba się im o dźwig rozchodziło, co nie?

Jeśli to faktycznie cmentarne hieny – pomyślałem – to potrzebowali go pewnie do załadunku jakiejś rzeźby. I dlatego zawczasu przepłacili ciecia, żeby był ślepy i głuchy. Najpierw straszili, a gdy się okazał odważny, wybrali inny sposób.

– Pamiętasz, jak się nazywali? Imiona, ksywki...?

– Jedną zapamiętałem: Godzilla. Jak ten japoński potwór. Faktycznie większy był. A ci jego dwaj wafle tacy raczej mikrzy. I mało się odzywali. Tylko Godzilla nawijał. Ale ani razu „przez kurwa”, znaczy się człowiek.

– Wiek, rysopis, jakieś znaki szczególne...

– To były zgredy. W wieku pana komisarza albo nawet moim. Ale co się rozchodzi o wygląd, to się nie przyjrzałem, bo już było ciemno. U jednego tylko, jak mi kopsał żaru, zobaczyłem na gablu dwie czerwone wisienki. To dziara ze Sztumu, jakby pan komisarz przypadkiem nie wiedział.

Wiedziałem. Starzy gliniarze, jeszcze ci milicyjni, wszystko mi przekazali i objaśnili. A teraz cała ta wiedza powoli odchodzi do lamusa. W półświatku dziś wiodą prym zupełnie inni faceci – wyrzeźbieni na siłowniach, spryskani dolce gabana i jeżdżący co najmniej BMW. Koszą miliony, inwestują na giełdach, znają obce języki i nawiązują kontakty od Moskwy po Las Vegas. I pewnie nawet nie wiedzą, że ich poprzednicy gotowi byli zabić, jeśli ktoś „nawinął przez kurwa”, czyli użył tego słowa jako przecinka, bez obowiązkowego dodatku „mać”.

Znów go nie poczęstowałem, tylko sam zapaliłem.

– No dobra, Burbo. Tamci pojechali, a wyście z Muchą dalej pili. I co? Pewnie powiesz, że film ci się urwał i nic nie pamiętasz?

– Ale to, panie komisarzu, na krótko. Jak mi ten frajer siekierką przypierdolił.

– O której to się stało? I co za frajer?

– Nad ranem. Jak już się rozwidniło. Przyszedł na cmentarz z kobitą. Ją to już parę razy widziałem. Mucha mi mówił, że syn jej niedawno się utopił, więc przychodzi na jego grób. Nawet w nocy, bo zawsze któraś brama otwarta.

– Jeszcze się księdza zapytam, ale według mnie to Kacperska, pielęgniarzka ze Stocera – wtrącił Byk. – Samotna dziewczyna, tylko siedmioletniego synka miała, straszne nieszczęście.

– Ja tam, panie sierżancie, wątpię, czy samotna. Bo ten, co mnie pierdolnął, to musiał być jej facet. Na sto procent. Widziałem, jak rozmawiają ze sobą nad grobem. On nawet naciął bzu z krzaka i położył razem z jej kwiatami. Wie pan, tego fioletowego, co jeszcze czasem kwitnie w lato.

– I co? Tak przy niej cię zaatakował? Może coś jej po pijaku bluznałeś?

– A w życiu. Poszłem się odjulać i nagle słyszę za sobą kroki. Odwracam się, a on stoi z siekierą. Nic więcej nie pamiętam. Jak się ocknąłem, pochyłała się nade mną ta kobita i mówiła, żebym uciekał.

Jakem biegł do bramy, zobaczyłem jeszcze, że facet ciągnie Muchę po ścieżce i rzuca w krzaki.

– Zapamiętałeś jego wygląd?

– Nie za bardzo, bo był w ciemnych okularach. W dużych, przeciwsłonecznych jak na plażę. Trochę dziwne, co nie? Bo słońce dopiero wstało.

– Młody, stary, gruby, szczupły, wysoki, niski? – Nie dawałem za wygraną.

– Raczej w średnim wieku i szczupły, chyba niższy ode mnie. Ale nie jestem pewien. Kurwa mać, jak mnie łeb napierdala! – zakończył Burbo jękliwie.

WIECZOREM, GDY JUŻ ZAGONIŁAM MYSZY DO ŁÓŻEK, ZJAWIŁ SIĘ NA FARMIE KING, zawiadomiony przez Tunię o moim powrocie. Miałam prawie dwadzieścia sześć lat, ale pierwszy raz na tyle mil oddaliłam się od domu, sama, aż za Atlantyk, w dodatku do całkiem mu nieznanego, dzikiego kraju, więc to było silniejsze od niego – wziął wolne i przyleciał do Nevady. Mógł sobie na to pozwolić, bo przekroczywszy sześćdziesiątkę, pracował już tylko na pół etatu jako doradca swego kumpla Phila Cline’a, komendanta chicagowskiej policji.

– Hanah, jesteś teraz prawdziwy *cop* z krwi i kości – powiedział, podnosząc mnie wysoko, tak jak kiedy byłam malutka. – Indianin, żeby zostać wojownikiem, musi iść z nożem w góry i zabić niedźwiedzia grizli, a chrzest bojowy gliny to schwywanie seryjnego. Właśnie go przesłaś.

Po tych słowach podrzucił mnie jak piłkę i złapał w locie, aż zapiszczałam. Słodki ten King Kong. Pamiętam, że kiedy odstawiał mnie do Neuville, ukradkiem popłakiwał i żeby ratować image surowego ojca, założył śmieszne, czarne lenonki.

A najmocniej wzruszyłam się jego reakcją, gdy kilka miesięcy później, stojąc przed posepnym, wiktoriańskim budynkiem internatu,

tłumaczyłam mamie, w jaki sposób zaszłam w ciążę: „Diego wlaź na to wysokie drzewo, tak, tak, na ten cedr, i z niego przeskoczył na dach, a ja tam już czekałam schowana za kominem”.

– *Shit!* – sapnął King. – To znaczy, że wykonał bez rozbiegu trzymetrowy skok na wysokości pięciu pięter. Córcia, on cię musi nieprzytomnie kochać!

W mamie, która pół godziny wcześniej wymachiwała przed nosem przeoryszy pistoletem, pomału wygasła furia.

– A ty, King, skoczyłbyś tak do swojej Tuni? – spytała i mrugnęła do mnie jeszcze zapłakany okiem.

– No pewnie, że by skoczył – odpowiedziałam za tatę, głaszcząc jego kędzierzawą głowę. – Tylko dach by się pod nim załamał.

– WERTER NA PEWNO ZOSTANIE UZNANY ZA WINNEGO I SKAZANY, ale powiem wam, że cały czas nie potrafię tej historii zrozumieć. – Siedzę z mamą i tatą nad jeziorem i zagryzamy drinki resztką antenatów. – Może wy, jako doświadczone gliny, mi wyjaśnicie, co mogło go łączyć z Kapuśniakową i jej córkami? I dlaczego nie rozpoczął serii od matki, która była jego wrogiem numer jeden?

– King! Czy ja śnię? Hanah prosi nas o radę! – Tunia udaje, że ze zdumienia przeciera oczy, ale zaraz poważnieje. Zapala ulubioną cygaretkę i, zamyślona, zaczyna produkcję miętowych obłoczków. – Myślę, że świadomie wykreował swoje alter ego: z jednej strony playboy w garniturze z górnej półki i w sportowym volvo, z drugiej wąsaty ćwok w starym samochodzie dostawczym.

– Według Sharon mogła mu się nawet rozczepić osobowość i jako Jacek nie pamiętał uczynków Romana. To taki szczególny rodzaj pomrocności jasnej – powtórzyłam, na ile umiałam, rozmowę z doktor Kowalsky.

– Bajki freudowskich psychiatrów – zachnął się King. – Piszą o tym we wszystkich podręcznikach, ale przez czterdzieści lat pracy

w wydziale zabójstw nie spotkałem się z ani jednym takim przypadkiem. Pomijam oczywiście ludzi, którym się zerwał film.

– Też podchodzę do tego sceptycznie – poparła go Tunia.

A we mnie narastał niepokój i złość na siebie, że nie wykonałam pracy do końca. Bo tam może być jeszcze drugie dno. Nie powinnam była zostawiać z tym Andrzeja. A w dodatku coś mu obiecałam i nie dotrzymałam słowa, i teraz nie wiem, jak to odkręcić, a nie chcę do niego telefonować.

– Słuchajcie, jeśli znam tylko imię laski i rok, w którym wyemigrowała do Kanady, to czy mogę ją jakoś namierzyć?

Rodzice spojrzeli się na mnie zdziwieni, ze skrywanym niepokojem, że znowu mi odbija.

– Wiesz, gdyby chodziło o terroryzm, to CSiS^[10] oczywiście dysponuje odpowiednimi programami. – King zaczął w swoim stylu: powoli i z namysłem. – Jeśli ta pani nosi jakieś bardzo rzadko spotykane imię, to może nawet wyskoczyć z bębna jako jedyna.

– Nazywa się Wanda. Nie wiem, czy w Polsce jest dużo Wand.

– Wanda, co nie chciała Niemca – roześmiała się Tunia. – Ale, jak rozumiem, Kanadyjczykiem nie pogardziła. A czemu chcesz ją namierzać?

Trochę w tym momencie pozazdrościłam dziewczynom, które mogą szczerze pogadać z matkami. Ja do takich rozmów z Tunią jeszcze nie dojrzałam. I vice versa.

SKOLIMOWSKI PROBOSZCZ ZARZĄDZAJĄCY CMENTARZEM TEŻ UWAŻAŁ, ŻE MUSI CHODZIĆ O BOŻENĘ KASPERSKĄ; jej syn przed miesiącem utonął na koloniach w jeziorze, a ona wzięła bezpłatny urlop i kilka razy dziennie do niego przychodziła. Zaprowadził nas na grób, na którym rzeczywiście, tak jak zeznał Burbo, leżały kwiaty i kiść lilaka.

Ponieważ wyglądał na człowieka życiowego, więc bez oporów poruszyłem temat:

– Wiemy, że była tu wczoraj w towarzystwie mężczyzny. Podobno wyglądali na parę. Według świadka to on jest zabójcą Dariusza Muchy. Orientuje się ksiądz, o kogo chodzi?

– Być może o tego pana, którego poznałem na pogrzebie Irka, znaczy się synka pani Kacperskiej. Ot, taka krótka, zdawkowa rozmowa. Mój Boże, ale co mu biedny Mucha zawinił?

– Może pod wpływem tragedii zwariował i wpadł w szal? Choć to raczej nie był ojciec Irka.

– Nawet na pewno. Mąż pani Bożeny zmarł na raka. Nieszczęśliwa rodzina, panie komisarzy.

Nie chciałem ripostować księdzu, że mąż niekoniecznie musi być ojcem. Może coś więcej będą wiedziały na ten temat koleżanki Kacperskiej ze Stocera.

– Mówiła mi, że wybiera się w to miejsce, gdzie doszło do tragedii. – Proboszcz patrzył na nas tak, jakby oczekiwał pomocy. – Boję się, panowie, że nawiedziły ją myśli samobójcze.

– Wie ksiądz, co to za miejscowość? – spytał Byk. – Bo trzeba w takim razie zawiadomić tamtejszą policję.

– Mówiła, że niedaleko od Płocka. – Proboszcz fraszobliwie podrapał się w głowę. – Chyba Łąck.

To by się zgadzało – pomyślałem. W Łącku jest przecież duże jezioro, chyba największe na Mazowszu. Dwadzieścia lat temu byłem tam na zgrupowaniu Gwardii.

– Masz rację, zadzwoń na tamtejszy komisariat – poleciłem Bykowi. – Niech zatrzymają Kacperską, jak tylko się pojawi.

– Pewnie tam pojechała, bo dziś od rana jej nie widziałem – stwierdził ksiądz ze smutkiem. – Albo się ukrywa, skoro to rzeczywiście ten jej znajomy zamordował pana Darka. Tak czy inaczej, musicie ją panowie szybko odnaleźć.

Jednak ja zapomniałem nagle o Kacperskiej i zbrodni na cmentarzu, bo hasło „Łąck” przeniosło mnie w czasie.

WŁAŚNIE PRZEZ TAKIE PRZEŻYCIA, TAKIE WSPOMNIENIA, MŁODOŚĆ WYDAJE SIĘ PIĘKNA. Było tajemnicą poliszynela, że stoper Adamski, uczynny kumpel, tylko formalnie dzieli ze mną domek kampingowy, a naprawdę waletuje na trzeciego to tu, to tam, podczas gdy jego miejsce zajmuje moja Wanda. Mroczny przedmiot pożądania całej drużyny. Przerobili nawet przebój Wałów Jagiellońskich o Monice, dziewczynie ratownika: „Dziewczyna Andrzoja jest jak dupa z Playboya. Kiedy idzie plażą, wszyscy o niej marzą”. Żeby było do rymu, zniekształcili moje imię, więc Wanda przez jakiś czas mówiła do mnie w łóżku „Andrzoj”. Bo oczywiście piosenka dotarła do jej uszu.

– Cześć, Wandupcia, o, pardon, chciałem powiedzieć Wandusia – witał ją trener przy posiłkach, a ona zamiast się obrazić, chichotała, słodko marszcząc nosek. Bo taka już była ta moja pierwsza miłość, że uwielbiała męską adorację, nawet jeśli przejawiała się w niezbyt eleganckiej formie.

Buzię miała, jak to mówi dzisiaj młodzież, najwyżej sześć na dziesięć, zdecydowanie za bardzo pyzata. Ale ciało – pełna dycha. Każdy facet śnił i marzył, by złapać ją za cycki, wleźć na wspaniałą pupę, położyć się między superudami. Nikomu oczywiście nie pozwoliłem tych marzeń spełnić. Napastnik Józek Siembida, który w tańcu zaczął Wandę obmacywać, dostał ode mnie taki łomot, że przez dwa dni nie mógł trenować. Na szczęście paka była zgrana, więc wszyscy, łącznie z Józkiem, zeznaliśmy, że to robota jakichś miejscowych kiboli, którzy nie lubią milicyjnej Gwardii, a kierownictwo udało, że uwierzyło.

Ach, jakie ja miałem u nich przody! Ten sam prezes, który później wyciągnął mnie z kłopotów, przyjechał wtedy na kontrolę i spacerując po kampingu, usłyszał nagle z mojego domku wiadome odgłosy.

– Masz szczęście, Kulesza, że jestem ślepy i głuchy! – krzyknął z przepony na cały ośrodek. – Ale róbcie to, do kurwy nędzy, ciszej!

Cóż, byłem jednym z niewielu markowych piłkarzy, jacy pozostali w klubie po spadku z ekstraklasy, a na pewno jedynym reprezentantem Polski. No to obchodzono się ze mną jak z jajkiem.

RODZICE TEŻ JUŻ POŁOŻYLI SIĘ SPAĆ, A JA POSZŁAM DO KOLUMBARIUM. Nie wiem, co myśleć o transcendentnym radiu Vlada Lubochowskiego, wielu ludzi, w tym także fizyków, święcie w nie wierzy, był nawet czas, gdy miliony Amerykanów ustawiały radiodbiorniki na tak zwaną Częstotliwość Wieczności, by posłuchać głosu swoich zmarłych. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że od tej ostatniej praktyki dziadzio Vlad się odciął i na łamach „Science” nazwał ją głupim zabobonem, niemającym nic wspólnego z jego PVT, czyli Teorią Permanentnej Fali. „Ja jestem kontynuatorem Edisona i Tesli, i nie życzę sobie być stawianym obok hochsztaplerów i wariatów” – tak spointował artykuł.

Mówi się, że dzięki aparatowi dziadka Truman, Kennedy i Reagan korzystali z rad różnych historycznych postaci. Może tak, może nie. Ja tylko na sto procent wiem, że w kolumbarium, gdzie zainstalowano najsilniejsze tego rodzaju urządzenie, znacznie lepiej gada mi się z babcią Hanią niż przykładowo na spacerze albo w aucie. I to jest fakt, wielokrotnie sprawdzony i potwierdzony, a nie żadna ściema wyobraźni.

– Nie martw się, Noiro – powiedziała babcia sto razy wyraźniej niż podczas naszej ostatniej rozmowy w konstancińskim lesie. – Ręczę ci, że wszystko wyjaśnisz do końca.

– Ale ty znasz rozwiązanie zagadki. Nie mogłabyś mi podpowiedzieć?

– Oczywiście, że znam. Tylko zbyt wysoko cenię twoją inteligencję, żeby pomagać ci przy takich banalnych zadaniach.

– Babciu, podaj chociaż jedno słowo. Albo nie. Wystarczy pierwsza literka.

– Przepraszam, czego pierwsza literka? – Babcia udaje, że nie rozumie, oczywiście po to, żeby się ze mną podroczyć.

– No słowa-klucza do tej pieprzonej zagadki!

– Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie mówiła brzydko. OK. Chciałaś, to masz. Choć w ten sposób tylko ci utrudnię życie. Bo zamiast koncentrować się na śledztwie, będziesz starała się dociec, co to za wyraz.

Zapadła, nomen omen, grobowa cisza i gdy już myślałam, że połączenie się przerwało, dobiegł mnie z krypty drwiący babciny głos:

– No więc, Noiro, słowo-klucz zaczyna się na literę „J”.

SIEDZIMY Z BYKIEM NA HOLU przed oddziałem piątym E, czyli takim, gdzie leżą pacjenci przed operacją i po niej. Z nami dwie sympatyczne dziewczyny, Jola i Agnieszka. Ta pierwsza to dzieciak, świeżo po szkole pielęgniarzkiej, z drugą, moją rówieśniczką, chodziłem do klasy. Mały ten Konstancin.

– Myśmy się dowiedziały nie od niej, tylko od szefa – tłumaczy nam Agnieszka. – Bożenka po tym wypadku z Irkiem ani razu nie przyszła do pracy. Tylko na pogrzebie się spotkałyśmy, co nie, młoda?

Jola, drobnutkie stworzenie w okularach, potakująco kiwa główką.

– Aga, a znasz może jej faceta? Słyszałem, że przychodziła z kimś na grób. Jeśli facet o czwartej nad ranem towarzyszy dziewczynie na cmentarzu, to raczej nie są tylko znajomymi. Chyba prawidłowo rozumiuję?

Agnieszka uśmiecha się z kobiecą drwiną; może przypomniła sobie moją porażkę w ósmej klasie, gdy prosto z mostu spytałem, czy mam u niej szansę, na co usłyszałem: spadaj, dupku.

– Kiedyś przyjechał po nią po dyżurze i wtedy mi go przedstawiła. Powiem ci, Andrzejku, że na pewno nie był to ideał męskiej urody, ale pomyślałam: trudno, ważne, że wreszcie kogoś ma. Trochę

przypominał jednego chłopaka z klasy twojej siostry – zwróciła się do Byka. – Ale czy to był on, czy tylko podobny, nie potrafię powiedzieć po tylu latach. Zresztą nawet nie wiem, jak się tamten nazywał.

– Ja też raz go widziałam – odezwała się Jola cichutko i nieśmiało. – Robili razem zakupy w tym nowym hipermarkecie na Warszawskiej.

– Pamięta pani, kiedy to było? – zapytałem, bo jeśli niedawno, to może ochrona jeszcze ma nagrania.

– Koniec maja, czerwiec. Na pewno przed śmiercią jej dziecka. Panie komisarzu, a czemu pan się interesuje tym facetem? Czy pan podejrzewa, że mógł Irka utopić?

Spojrzałem na nią tak, że się zmieszała i zaczęła tłumaczyć:

– Nie, nie, ja nic nie wiem. Tylko u mnie na wiosce był taki przypadek, że facet utopił swojego pasierba, więc pomyślałam...

I niegłupio pomyślałaś – uświadomiłem sobie. Trzeba będzie sprawdzić ten trop.

ZAWIEŹLIŚMY POTEM OBIE PANIE NA KOMISARIAT, gdzie ściągnięty przeze mnie grafik sporządził portret pamięciowy. Jedyna korzyść z sesji była taka, że jak podsłuchałem, umówił się z Jolą na kawę. Bo samo dzieło, które pracowicie we troje wypichcili, nadawało się w zasadzie do kosza.

Pewnie młodzik nie miał jeszcze takiej wprawy jak bardziej doświadczeni koledzy, którzy potrafią głębiej wniknąć do mózgu świadków i wyciągnąć różne szczegóły.

– Wydaje mi się tylko, że był od niej starszy – powiedziała Agnieszka, a Jola, po namyśle i niezbyt stanowczo, to potwierdziła.

Ku zniesmaczeniu pań kazałem też przyprowadzić na sesję Burbo, którego trzymałem jeszcze na dołku, nie żebym go o coś podejrzewał, ale dlatego, że był potrzebny jako świadek, a wypuszczony natychmiast by przepadł. Po jego zeznaniach biedny grafik wyprodukował ufoludka z wielkimi goglami zamiast oczu.

– Dziewczyny, pomyślcie: kto jeszcze może go znać? – zwróciłem się do nich bez większej nadziei.

Jola ją na moment obudziła.

– Może rodzice Bożeny.

Ale Aga natychmiast zgasła.

– Ona nie ma rodziców. Wychowała się w bidulu.

– I CO TY, KRZYSIU, O TYM MYŚLISZ? – spytałem Byka, gdy wreszcie zostaliśmy sami. – Zgodzisz się, że historia wielce dziwaczna?

Sierżant skinął głową i jednocześnie coś podobnego zrobił mój pies, którego po drodze zabrałem z domu; głos Hanah tak mi kazał.

– Dla mnie najprawdopodobniejsza jest wersja, że Burbo jednak im nabluzgał, facet się wkurwił i zdzielił go obuchem, Mucha to widział, więc przybiegł koleżce na pomoc, no i sam oberwał, tylko ciężej.

– Bardzo możliwe – zgodziłem się. – Tylko skąd siekiera? Czy normalny człowiek nosi przy sobie siekierę?

– Wiesz, mógł zabrać dla samoobrony. W nocy na cmentarzach bywa niebezpiecznie.

– To raczej miałyby gaz, paralizator, ewentualnie nóż. Ale siekierę? No chyba że chodzi o tasak. W to ostatecznie uwierzę, że przed wyjściem zgarnął z kuchni i wsadził pod katanę.

Byk ze złością spojrział na zegarek.

– Co z tym prokuratorem? Miał być najpóźniej o dziewiętnastej, a już dochodzi dwudziesta druga.

Prokurator, o smakowitym nazwisku Keks, po oględzinach miejsca zbrodni umówił się z nami na przeszukanie mieszkania Bożeny Kasperskiej. No i dupa! Siedzimy beczynn timer i czekamy. Tylko Flip z dwoma świeżakami waruje przed jej blokiem na Wierzejewskiego i strzeże lokalu.

Los sprawił jednak, że nie był to czas zmarnowany. Niemal równo o dwudziestej drugiej usłyszeliśmy na dole jakieś wrzaski, po czym Flap z kapralem Waligórą, który wrócił do nas po urlopie

zdrowotnym, przywlekli przed moje oblicze skutego Ryśka Hadrysia. Miał pewnie po prostu trafić na dołek, ale domagał się widzenia ze mną, i stąd ten rejwach.

– Panie komisarzu – wychrypiał. – Ja tylko chciałem zabezpieczyć. Znaczący się, torebkę. Bo, rozumie pan: kobieta sama na przystanku, przysnęła po alkoholu, zaraz ktoś ją skroi. A ona dżezu natrzepała, że ją napadłem. I jeszcze niefart, że panowie kaprale akurat przejeżdżali.

– Schlana to ona faktycznie jest – mruknął Waligóra. – Całe siedzenie w radiowozie zarzygała.

– Co się tam właściwie zdarzyło? – spytałem Flapa.

– Już mówiłem. Cięła komara na przystanku, torebka leżała obok luzem...

– Nie ciebie pytam! – dałem Hadrysiowi z liścia, aż się zachwiał.

– Szarpali się – powiedział Flap. – A kiedy nas zobaczył, pchnął ją na ławkę i pobiegł Batorego. Ale dogoniliśmy.

– No, Rysiu. Artykuł dwieście osiemdziesiąt – odezwał się Byk. – I to w warunkach recydywy. Trzy latka najmarniej.

Żał mi było faceta. Od dawna żył mniej więcej uczciwie, nawet podobno płacił alimenty, a tu, cholera, los nagle zesłał mu pijaną, śpiącą babę, żywej duszy na przystanku, torebka metr od niej, no i pokusa okazała się zbyt silna. Szkoda, niezły był z niego chłopak, a jeszcze lepszy kapuś.

Usłyszałem, że Hadryś głośno uderza językiem o zęby. Patrzy się na mnie, jakbym był jego adwokatem.

– Dobra, zostawcie nas na chwilę – powiedziałem do Flapa i Waligóry, którzy zapatrzili się w ekran małego, turystycznego telewizorka.

Leciały akurat skrócone, wieczorne wiadomości i pokazywano migawki z procesu Jacka Wertera.

*Skończcie telewizyjne farmazony.
Dzwonią w kościele dzwony,
bo chłopczyk utopiony
i do trumienki złożony.
Matka niewiele też nad nim uroni,
Gdyż jej czas też już policzony.*

—

– SŁUCHAMY, ALE NIE LICZ, ŻE SIĘ BYLE CZYM WYKRĘCISZ. –
Byk również zrozumiał kląskanie Hadrysia, który przekazał morsem,
że ma kogoś na sprzedaż.

– Kradzież rzeźby za sto koła to chyba nie byle co, panie sierżancie.

– Z cmentarza? – Bardziej stwierdziłem, niż spytałem, a on spojrzał
się na mnie z niepokojem, że skoro jestem taki kumaty, to pewnie
oleję jego rewelacje.

– Tak. Godzilla, Cegła i Kolor szykują się na robotę. Kręcą się od
tygodnia po Konstancinie. Ja ich znam, bo kiblowałem z nimi
w Sztumie.

Przypomniały mi się wytatuowane wisienki, które zobaczył Burbo.

– Jak im powiedziałem, że ktoś zajebał w nocy tego ciecia, to
z początku przypenili, ale klient do nich zadzwonił i przekonał, żeby
nie odpuszczali. To jakiś bogaty Helmut z Monachium, pilnie
potrzebuje nagrobka, bo żona mu kojfnęła. Też bym nie odpuścił
roboty za taką kasiorę. Tym bardziej że mają towar dostarczyć tylko
na granicę. Przerzut do Reichu już ktoś inny organizuje.

Słowa Ryśka o początkowych obawach złodziei ostatecznie mnie
przekonały, że zbrodnię na cmentarzu rzeczywiście popełnił ten jakiś
tajemniczy facet, a nie żaden z nich. A swoją drogą lotem błyskawicy
rozchodzą się po Konstancinie wieści. Rano odkryliśmy zwłoki, a po
południu wiedziało już całe miasteczko, choć informacja na stronie
Konstancin24 pojawiła się dopiero o dwudziestej. A wcześniej,
tradycyjnie – jedna pani drugiej pani w sklepie, jeden pan drugiemu
panu przed sklepem.

– Udało im się załatwić dostawczaka z dźwigiem? – spytałem,
a Rysiu zrobił minę wyrażającą uznanie dla mej wiedzy.

– Od Mańka Rajnera pożyczycyli. Mówiłem chłopakowi, żeby w to nie
wchodził, ale był głodny szmalu, bo ci Portugalczycy, u których robił,

zbankrutowali i nie zapłacili mu za pół roku. No to ustawił się z Godzillą na jutro. Chyba coś dwudziesta druga albo dwudziesta trzecia. Jak mnie pan komisarz puści, to się dopytam.

Byłem pewien, że chodzi o pietę Michała Anioła, która stała od niedawna na grobie państwa Rozalskich, bogatych konstancińskich cukierników. Kilka lat temu Watykan dał zgodę na kopiowanie arcydzieła wybranym firmom, w tym tylko jednej polskiej. Stąd zawrotna cena klonów.

– Nie, nie, o nic się nie dopytuj, bo jeszcze ich spłoszysz. – Wygrzebałem z szuflady biurka uniwersalny klucz i zdjąłem Ryśkowi kajdanki.

– Jestem wolny? – zapytał niepewnie.

– Przecież nie popełniłeś żadnego przestępstwa. – Uśmiechnąłem się do jego pietra. – Twój czyn można najwyżej zakwalifikować jako nieudolne usiłowanie. A w ogóle to tej pani coś się zwidziało po pijaku. OK, za karę umyjesz radiowóz z jej rzygowin i jesteśmy kwita.

PYTAŁAM WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH, CZYTAŁAM KSIĄŻKI Z PSYCHOLOGII ROZWOJOWEJ, godzinami przeszukiwałam Internet, coraz to zmyślniej formułując kluczowe frazy, i nic, zero rzetelnej informacji, jedni to, drudzy sio, a ja dalej nie wiem, czy Myszy w wieku prawie dziewięciu lat powinny mieć wspólny pokój. W jakimś sensie one same rozstrzygnęły kwestię pewnego sierpnioowego dnia, gdy wróciłam z nimi po wakacjach do naszego chicagowskiego mieszkania.

– Tadam! – zawołałam, otwierając drzwi.

Pod naszą nieobecność firma wnętrzarska poprzesuwała ścianki działowe, tak że kosztem living roomu i części kuchni powstał dodatkowy, przestronny pokój. Myszy przyglądały się zmianie w osłupieniu.

– Ktoś się włamał i zniszczył nam mieszkanko – szepnęła Kate cichutko, jakby się bała, że sprawca nadal tu jest.

– Trzeba zadzwonić do dziadka Kinga – powiedział jeszcze ciszej Mick. – Niech przyjeżdża z policją.

Przytuliłam wystraszone głupiątko, nieświadoma jeszcze, że to ja jestem głupiątkiem numer jeden, które okropnie napsociło.

– Myszki! Nikt się nie włamał. Po prostu zrobiłam nowy pokój. Żeby każde z was miało własny.

– I będziemy spać osobno? – spytały chórem.

Po czym, przeczuwając odpowiedź, schwyciły się za ręce i pognały do swojego dawnego pokoju. Gdy po chwili chciałam tam wejść, poczułam, że klamka jest czymś podparta. Mało tego, zza drzwi dobiegało dziwne, bardzo głośne szuranie.

– Nie dam rady – poskarżyła się Myszka.

– Musisz. Jeszcze tylko pół metra – dopingował ją Myszek.

Zajrzałam przez dziurkę od klucza i zobaczyłam, że pchają ciężką bielizniarkę, by się zabarykadować.

– Tylko nie próbuj szturmu, bo wypuścimy na ciebie pająka! – Zostałam ostrzeżona na dwa głosy. – A jest wielki jak pięść dziadka Kinga. Właśnie go złapaliśmy i trzymamy w pudełku po pizzy.

Blefowały niegodziwie, wiedząc, że cierpię na arachnofobię. Tak, ja, która bez lęku przeskakiwałam motorem radiowozy i obezwładniałam groźnych bandziorów, przed pająkiem potrafiłam uciec z piskiem. Dopiero niedawno, na specjalnych warsztatach terapeutycznych w FBI, zostałam z tego wyleczona. Mam nawet zdjęcie z tarantulą, która łązi mi po dłoni, a ja się do niej przyjaźnie uśmiecham.

– Nie będę szturmować – zapewniłam. – Proponuję negocjacje. Sformułujcie swoje żądania!

– Wszystko ma być tu jak dawniej! – odpowiedziały natychmiast.

– A na czas remontu wrócimy do Nevady – dodał Myszek. – Trudno, najwyżej opuścimy dwa tygodnie szkoły. Napiszesz nam usprawiedliwienie, że to przez ciebie, bo narobiłaś bałaganu i nie mieliśmy gdzie mieszkać.

– I przysięgnij uroczyście, że już nigdy nie będziesz nas próbowała rozdzielić – pisnęła Myszka, najwyraźniej przez łzy.

– Czy ty masz dobrze w głowie?! – nakrzyczała na mnie Sharon, gdy jej to opowiedziałam. – Przecież bliźnięta są jak jeden organizm. Jedna dusza w dwóch ciałach.

Zatem na farmie też mają wspólny pokój i mogę w nocy cichutko uchylić drzwi, by patrzeć, jak śpią na swoich wąskich tapczanikach, rozdzielonych wysoką lampą, która rzuca na ich policzki łagodny, zielony blask. Kate tej lampy się domagała, bo troszkę boi się ciemności.

Jest tak, jakbym przez oczy oddychała ich obrazem, więc, choć morzy mnie już senność, nie odchodzę, przedłużam chwilę, niech trwa, niech się zatrzyma czas.

PROKURATOR PATRYCJUSZ KEKS pojawił się w komisariacie dopiero o siódmej rano, ze wszystkimi objawami przepicia; tłumaczył się, że zatrzymano go na jakiejś odprawie, co zresztą nie musiało być kłamstwem, bo na odprawach, jeśli szefostwo trunkowe, woda leje się szerokim strumieniem.

– Dziękuję, panie komisarzu. – Uśmiechnął się do mnie szeroko, gdy w samochodzie poczęstowałem go piwem. – Na tę lipcową spiekotę najlepsze lekarstwo. – Z sykiem otworzył półlitrową puszkę, wydudlił na jeden łyk i dopiero zaczął kontaktować. – Czyli co? Nasz pierwszy trop okazał się niewypałem, bo ten włóczęga ma sparaliżowane ręce. Dobrze pamiętam? Ale może przyda się jako świadek. Przesłuchał go pan wczoraj po moim wyjeździe?

Od komisariatu do charakterystycznego, ogrodzonego zieloną siatką bloku na ulicy Wierzejewskiego było około półtora kilometra, akurat tyle, by pan Keks zdążył wysłuchać mojej skrótowej relacji. To, co powiedział mi Rysiu Hadryś, oczywiście zachowałem dla siebie.

– Coś się działo? – spytałem chłopaków, którzy całą noc dyżurowali na klatce.

– Nic. Cisza. Ani Kacperskiej, ani faceta – zameldował Flip. – Weszliśmy nawet na balkon i zajrzeliśmy. Lokal pusty, chyba że schowali się pod łóżko i leżą bez ruchu.

Owo wejście na balkon brzmiało dumnie, a naprawdę polegało na pokonaniu barierki na parterze. Za chwilę wszyscy powtórzyliśmy ten wyczyn, jako że Keks miał już przygotowany nakaz.

Każdy głupi wie, że okno starego typu nie stanowi żadnego zabezpieczenia, wystarczy kilka razy mocniej puknąć we framugę przy zamku, żeby jego jęczyczek się cofnął. Takim właśnie sposobem weszliśmy do dwupokojowego mieszkania Kacperskiej, niegdyś przyznanego jej świętej pamięci mężowi, rehabilitantowi ze Stoceru.

– Żadnego tasaka nie widzę – powiedział Byk, który w pierwszej kolejności skierował się do kuchni.

– KobiECE mieszkanie. Ani śladu faceta. – Keks z kolei zainteresował się łazienką. – Może nie mieszkał u niej...

– Flip, idź, przepytaj sąsiadów – poleciłem i przeszedłem do mniejszego pokoju.

Serce mi się ścisnęło. To musiała być sypialnia Irka, dziś przerobiona na rodzaj kaplicy. Z jego fotografiami, ubraniami, zabawkami... Zobaczyłem oprawioną w ramkę pocztówkę, według daty na stemplu wysłaną w przeddzień śmierci. „Kochana Mamo, tu jest super, ale na ośrodku nie wolno grać w nogę”. Poczta Łąck, czyli dobrze proboszcz pamiętał.

W KOŃCU SIĘ POŁOŻYŁAM, ale wciąż przed oczami miałam Mysie pyszczki, a w uszach dwugłos, bo prawie zawsze mówiły równocześnie. A dziś pierwszy raz poruszyły temat faceta i to był zwiastun następnych takich rozmów. Zresztą pewnie już się domyślają, że z ich ojcem jest coś nie w porządku, tylko nie mają odwagi tknąć tematu.

Niedługo będę musiała powiedzieć im prawdę. Na razie ubłagałam Diego, żeby nie żądał widzeń z dziećmi. Kłamałam, mówiłam mu, że

na pewno wyjdzie za kilka lat po apelacji. „I wtedy powiemy im, że wróciłeś z Afryki, uwierz mi, tak będzie lepiej”.

Paskudne pytanie: czy ja chcę, żeby wyszedł? I okrutna, brutalna odpowiedź: nie chcę. Tylko w imię wspomnień i elementarnych ludzkich uczuć zabiegam o jego zwolnienie.

Co bym zrobiła, gdyby naprawdę go wypuszczono? Nie pasuje przecież do świata, który sobie zbudowałam. Gdy dostał wyrok, chodziłam jeszcze do *high school*, a dziś, po ukończonej Akademii Policyjnej, jestem agentką w stopniu porucznika. Ja policjantka, on bandzior; wiem, miłość potrafi zasypywać przepaści, tylko – tej miłości nie ma, nie kocham już Diego Torresa.

Może zresztą nigdy go nie kochałam? Może jedynie pociągał mnie fizycznie? To było trochę jak w *West Side Story*, choć w wulgarniejszej wersji. Miałam szesnaście lat, należałam do Czarnych Lordów i chodziłam z jednym z ich bossów. A Diego był wodzem Portorykańskich Węży, naszych zapiekłych wrogów.

Tłukliśmy się z nimi na baseballe i maczety, dwa razy nawet doszło do strzelaniny, a ponieważ żadna wojna nie może się obejść bez propagandy, pisaliśmy sprayem na ich terenie hasło-pogrózkę: „Jebane żmije, utniemy wam łby i nasramy w szyje”. Tak to mniej więcej można przetłumaczyć na polski :-).

No i pewnego dnia, a raczej nocy, zostałam razem z kumplem przyłapana; nie, nie przez gliny, bo to by nie było jeszcze nic strasznego, zwłaszcza dla mnie, ale przez samych adresatów groźby. Otoczyli nas chyba w dziesięciu na ogrodzonym boisku do koszykówki, gdzie przed chwilą, podsadzana przez chłopaka, zabazgrałam obie tablice.

Mojego towarzysza zmienili w dżem truskawkowy z keczupem, po czym Diego Torres, bo to on osobiście nimi dowodził, przyjrzał mi się wnikliwie, skrzywił usta we wstrętnym uśmiechu i jeszcze wstrętniej mrugnął.

– Tobie odpuszczam, zrób nam loda i spierdalaj – rzekł wielkodusznie, a do mnie dotarło, że to już koniec, kres mego istnienia, bo prosto z tego przeklętego boiska pójdę na najbliższą stację „L” i rzucę się pod pociąg.

Do dziś nie wiem, czyja moc wyniosła mnie nagle na szczyt czterometrowego płotu z siatki, bo przecież nie moja, ja takiej w sobie nigdy nie miałam, choć byłam wysportowaną dziewczyną. Czyżby babcia Hania tam w niebie sprawiła, że jej Noiro na chwilę zmieniła się w prawdziwą kotkę? W każdym razie mogłam pokazać Wężom fucka. Ech, te ich głupie, rozdziawione ryje i jeszcze głupsze, wielkie gały!

Potem, wykorzystując stojącą przy płocie latarnię, zsunęłam się na ulicę i nim zareagowali, dałam w długą.

A za kilka dni, gdy wychodziłam ze szkoły, bo niekiedy zdarzało mi się tam bywać, napatoczyłam się na Diego Torresa, który wyraźnie na mnie czekał. W beżowej, skórzanej kurtce, przy potężnym czerwonym ścigaczu i z błękitnymi okularami we włosach ufarbowanych na jasny blond. Ciacho – mówiły zgodnie spojrzenia koleżanek.

– Co, frajerze, śledzisz mnie? – naskoczyłam na niego ostro. – Ale trafiłeś pod zły adres, bo w tej szkole rządzą czarni i zaraz rozdepczą cię jak glistę.

Nic nie odpowiedział, natomiast w kieszeni moich jeansów zapiszczał SMS: „Sorry za tamto” – przeczytałam za rogiem, gdy już mi zniknął z oczu. „Jesteś piękną dziewczyną, prawdziwą wojowniczką i chcę z tobą chodzić”.

A co ja, szesnastoletnia idiotka, zrobiłam? Usiadłam w najbliższym kawiarnianym ogródku, przywołując w pamięci jego twarz młodego Banderasa, a zwłaszcza oczy, i wystukałam odpowiedź: „Na nic nie licz, ale możesz mnie w niedzielę zaprosić na rejs po M”.

„M” było oczywiście skrótem od Michigan, po którym od dziecka uwielbiałam pływać statkami wycieczkowymi.

– WIESZ CO, KRZYSIU? – ZWRÓCIŁEM SIĘ DO BYKA, GDY JUŻ OPUŚCILIŚMY MIESZKANIE KACPERSKIEJ. – Chyba jednak przejedziemy się do Łącka.

– Jak trzeba, to trzeba – mruknął, naklejając na drzwi policyjną plombę.

– Pozwolą panowie, że nie będę im towarzyszył. – Biedny Keks przysiadł na schodach i chusteczką higieniczną otarł twarz z potu. – Zresztą gospodarzem śledztwa w sprawie utonięcia chłopca jest płocka prokuratura, więc moja obecność byłaby trochę niestosowna.

– Oczywiście, panie prokuratorze – odpowiedziałem ku jego nieskrywanej radości. – Zresztą my chcemy tylko zadać kilka pytań kierownictwu ośrodka. Bo a nuż matka z tym facetem odwiedzali chłopca...

Mała szansa, ale co robić, kiedy żaden z sąsiadów go nie widział. Niektórzy nawet nie zdawali sobie sprawy, że Kacperska kogoś ma.

– Jedna baba nie chciała mnie wypuścić, tak ją zaciekawilem – powiedział Flip z uśmiechem, który przedarł się przez zmęczenie całonocnym dyżurem. – Poważnie bywał u niej kochanek? A co za jeden? Ktoś miejscowy? – Całkiem udatnie przedrzeźnił lokatorkę. – Czulem się, jakby to ona mnie przesłuchiwała.

Podąłem panu Keksowi drugi browar, starając się zrobić to dyskretnie. On jednak miał gdzieś, że jest na służbie i w miejscu publicznym. Bez krępacji go wytrąbił i, zadowolony, chwytając się poręczy, poderwał tyłek ze stopni.

– Panowie, przepraszam, ale na mnie już czas. Mam spotkanie w Najwyższej Izbie Kontroli. Czy wasz kierowca mógłby mnie podrzucić do stacji metra?

Do nas dzielnie przybył miejskim autobusem, ale na powrót w ten sam sposób wyraźnie zabrakło mu sił i ochoty.

JESZCZE ZAJECHAŁEM DO DOMU PO KĄPIELÓWKI i psa; niech też się pochlapie w jeziorze. Byk uznał, że pływać może w zwyczajnych

majtkach, więc oszczędził mi postoju przed swoim blokiem na Mirkowskiej.

– A czemu Hanah tak nagle wyjechała? – spytał już na Wisłostradzie, trochę ni z gruchy, ni z pietruchy, ale poznałem po głosie, że ta kwestia go nurtuje. – Pokłóciliście się?

– Wezwano ją do Stanów, bo jest podobno przełom w śledztwie, które prowadziła – skłamałem.

Uważaj, bo uwierzę – odpowiedziała mina Byka.

Ale nie o Hanah rozmyślałem podczas jazdy, tylko o Wandzie. Byliśmy ze sobą zaledwie tydzień, kiedy wsadziłem ją do mojej syreny sto pięć, kupionej mi przez dziadka Jurka na osiemnastkę, i pojechaliśmy na to zgrupowanie. Czas był paskudny, komuna zdychała, robiła bokami, ale władzy nie chciała oddać. W telewizorze drętwa mowa, w sklepach wszystko na kartki, wyjazdy na Zachód tylko dla wybranych. Mimo to się nie martwiłem. Miałem za sobą dwa występy w kadrze młodzieżowej, brano mnie pod uwagę jako trzeciego bramkarza na Mundial w osiemdziesiątym szóstym, kasy nie brakowało, a milicyjny klub dawał mi na lewo tyle kartek, że w ogóle nie odczuwałem reglamentacji.

Właśnie od kartek zaczęła się moja znajomość z Wandą. Czy raczej nasz związek, bo znać to znaliśmy się jeszcze ze szkoły. Oboje chodziliśmy do konstancińskiego liceum, ja do klasy humanistycznej, a ona do tak zwanej ogólnej. Pamiętam, że kilka miesięcy przed maturą wróciła moda mini, więc wzroku nie mogłem oderwać od Wandzi, siedzącej na parapecie przed pracownią biologiczną z nogą założoną na nogę. A ona chyba z premedytacją upodobała sobie i miejsce, i pozycję, choć, oczywiście, zaprzeczyła, gdy z nią później o tym rozmawiałem.

– Wam się wydaje, że my wszystko robimy po to, żeby was podjarać.

– Ale miałaś świadomość, że chłopcy w szkole fantazjowali na twój temat?

– A jak? – zaciekawiała się. – Co sobie wyobrażali?

– Że podwijają ci miniówkę i robią to z tobą na pieska.

Troszkę się odeła, ale zaraz wrócił uśmiech na pyzată buzię.

– To przez to, że mam dużą pupę. Chłopaki taką lubięją.

Choć miała maturę i dyplom jakiejś szkoły policealnej, mówiła „lubięją”, a także „umią” i „rozumia”. Nie powiem, to nawet wydawało mi się słodkie. Mniej słodka natomiast była jej mamuśka, z zawodu księgowka, która używała, a wręcz nadużywała, słowa „tamuj”.

OK, wracam do kartek. Był rok osiemdziesiąty piąty, wiosna wkoło, mieszkałem już w Warszawie na Księcia Trojdena, a biedny dziadek od kilku miesięcy leżał na Bródnie. Rzadko wtedy bywałem w Konstancinie, najwyżej w Mirkowie u rodziców, i któregoś dnia, wychodząc od nich, zobaczyłem na skwerku Wandę. Siedziała na ławce i zanosila się płaczem.

– Wanduś, kochanie, co się stało? – spytałem pełen najgorszych przeczuć.

To naprawdę wyglądało tak, jakby straciła kogoś bliskiego albo się dowiedziała, że ma raka. Ale nie – dramat był innego rodzaju.

– Kartki. Wszystkie. Moje, mamy, siostry – chlipała łamiącym się głosem. – Byłam na milicji, to powiedzieli, że na pewno zgubiłam.

Gapcia wybierała się po coś do Góry Kalwarii, więc studiowała na przystanku rozkład jazdy, a złodziej to wykorzystał i ćwiknął torebkę. Miał więcej szczęścia niż wczoraj Rysiu Hadryś.

– Pieniędzy było w niej tyle, co nic, dokumenty wyrobię nowe, ale najgorsze te kartki. Dopiero początek miesiąca, więc jak dożyjemy do pierwszego? Przecież nie stać nas, żeby kupować wszystko na bazarze.

Śmiesznie to dzisiaj brzmi, ale wtedy, za komuny, bazar, podobnie jak sklepy dolarowe, były tylko dla zamożnej klienteli.

– Już, już, nie płacz. Ile tego potrzebujesz? – Jak z rogu obfitości wyciągałem z portfela kolorowe kartoniki z budzącym respekt milicyjnym stemplem, i niczym pasjans układałem na jej gołych

udach. – OK, to dla mamy, to dla siostry, a dla Wandusi jeszcze jedna ekstra, na otarcie łez.

– Jezu, Andrzej, dzięki. – Spojrzała na mnie, jakbym był aniołem, co sfrunął jej na pomoc z nieba, a potem z niedowierzaniem długo przyglądała się podarunkowi.

– Nie bój się. Legalne. Widzisz? Pieczętka Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

– Jesteś milicjantem? – zapytała nieufnie, bo podzielała stosunek większości narodu do tak zwanych organów.

– No co ty. Gram tylko w ich klubie. Nie słyszałaś o sławnym bramkarzu Kuleszy? – Niby to zażartowałem. – Obronił karnego w meczu z młodzieżówką Danii.

– Słyszałam, jasne, że słyszałam – skłamała. – Ale myślałam, że to jakiś inny Kulesza. A to naprawdę ty?

Jeszcze tego samego dnia poszliśmy wieczorem do kina na *Va Banque 2*, następnego całowaliśmy się na ławce w parku, a na trzeci dzień zabrałem Wandę do siebie do Warszawy i w moim małym mieszkanku spełniłem licealną fantazję.

– Wiesz, boję się, żebyś nie pomyślał, że jestem łatwą dziewczyną, taką, która daje za kartki – powiedziała, słodko popłakując.

Nigdy tak nie pomyślałem. Kartki były jakby odpryskiem władzy. A władza to przecież według Kissingera najsilniejszy afrodyzjak. Cóż się dziwić, że podzielał na Wandzię Sobczak? Nieskomplikowaną i bardzo, bardzo kochaną istotkę.

Ona też mnie kochała. Jestem pewien, że wbrew sobie korespondowała za moimi plecami z tym typem. Skrzynką kontaktową była oczywiście matka, i to na jej adres przychodziły od niego listy.

Listy z Toronto od Piotra Lenarta, jej pierwszego chłopaka, z którym chodziła jeszcze w podstawówce i który wyemigrował z rodziną do Kanady. Miał ją tam ściągnąć, ale akurat wybuchł stan wojenny, nikogo z Polski nie wypuszczano, więc sprawa stała się na

kilka lat nieaktualna. Ale jej mamuśka nie dała za wygraną. Ponad historią i oceanem podtrzymywała nić kontaktu. Później przyjaciółka Wandy wyjawiała mi z oburzeniem, że Sobczakowa pisała za córkę listy miłosne. I oczywiście cały czas roztaczała przed jej oczami miraż wolnego, bogatego świata. Zupełnie jak w tej piosence Kuby Sienkiewicza: „Kanada, Kanada, Ameryka”.

A mimo to Wanda, żegnając mnie na lotnisku, płakała jak bóbr.

– Mała, przecież to tylko dwa tygodnie. Zleci, ani się obejrzysz. – Scałowywałem jej łzy z policzków, a potem podniosłem w górę i mocno przytuliłem naszego synka. – Pan Mariusz jedzie w daleką, daleką podróż – powiedziałem, pocierając nosem o jego nosek, co wywołało u niego radosny śmiech. – A jak wróci, wszystko tacie opowie. Prawda, panie Mariuszu? Może powstanie z tego książeczka z obrazkami *Przygody pana Mariuszka w Kanadzie*? Powiedz mamie, żeby zrobiła dużo, dużo zdjęć.

A Wanda wtedy znowu w szloch. Byłem wzruszony, że tak przeżywa nawet krótkie rozstanie. Brałem to za dowód jej wielkiej miłości. A ona wiedziała przecież, że rozstajemy się na zawsze i że na zawsze zabiera mi syna. Szlochała, cierpiała, ale – nie cofnęła się.

BYŁ WIĘC REJS PO MICHIGAN, po nim kilka dni w motelu pod Milwaukee, randka u mnie przerwana brutalnie przez Kinga, wreszcie moje zasępienie się w kiblu internatu nad dwiema wyraźnymi, grubymi kreskami na teście. Tak się skończyła nasza zabawa na dachu w kotkę i kocura.

Wiadomo, że najpierw zareagowałam: „O, shit!”, ale pomyślałam, przemyślałam i aż zapiszczałam z radości. Przecież ta ciąża to moja wolność. Dorosłej kobiety, matki, nie będą mogli traktować jak gówniary i trzymać dłużej w tym pieprzonym internacie. Wyjdę za Diego i Tunia straci nade mną władzę. Hip! Hip! Hurra!

Szykowałam się już do wyzwolenczego powstania, a tymczasem w dniu, w którym ultrasonograf pokazał, że Myszy są dwie, mama

niespodziewanie napisała wniosek o przeniesienie na emeryturę. Aż nie chciało mi się wierzyć, że jest w stanie poświęcić dla mnie i wnucząt całutki rok ukochanej służby. „Przecież sama nie dasz sobie rady z dwójką”, wyjaśniła mi swoim zwykłym, autorytarnym tonem. „A masz jeszcze szkołę i musisz ją skończyć, nie licz, że ci odpuszczę”. Tak wyglądała ta jej utrata władzy :-).

Wynajęła mi mieszkanie w Andersonville, gdzie wtedy prawie nie było gangów, a ja pochwaliłam ją za pomysł. Mnie już do żadnych Lordów nie ciągnęło, chodziło jednak o Diego. King przed ślubem odbył z nim męską rozmowę. „Jeśli zrobisz mojej córce najmniejszą krzywdę, zamknę cię na czterdzieści osiem godzin z czarnymi” – taka była jej pointa. Przy czym nie sprowadzał krzywdy do damskiego boksu; według Kinga było nią także spotykanie się z dawnymi koleżkami, porzucenie uczciwej pracy, znikanie na noc, nie mówiąc już o narkotykach. Wszystko, co szkodzi rodzinie.

– Dlaczego twój stary mnie straszy? – żalił mi się w łóżku, gdy pierwszy raz dałam mu po połogu. – Przecież ja cię kocham, kocham nasze dzieci. I chyba wiesz, że nigdy nie wrócę do Węzy.

To prawda. Kochał mnie i Myszy, ale jednocześnie natura jak wilka ciągnęła go do lasu. Widziałam nieraz, że właśnie jak wilk po klatce chodzi z kąta w kąt po mieszkaniu i zaczynałam rozumieć, że jego po prostu nie da się udomowić.

A jeszcze te cholerne różnice kulturowe. Ja, choć obracałam się w młodzieżowym półświatku, byłam, że tak powiem, genetyczną inteligentką po wszystkich przodkach białych i czarnych, Diego natomiast pochodził ze slumsów, każde z jego licznych rodzeństwa miało innego ojca, najczęściej odsiadującego wyrok, a gdyby dodać liczbę klas skończonych przez nich do spółki, boję się, że nie zsumowałyby się w podstawówkę. Kilka razy w nagłych wypadkach prosiłam teściową czy którąś ze szwagierek, żeby zajęły się Myszami, i zawsze po ich baby-sittingu znikał jakiś mój ciuch albo kosmetyk.

Muszę być sprawiedliwa – starał się chłopak, jak mógł. Zatrudnił się jako dostarczyciel pizzy, dzielnie cały dzień śmigał na skuterku, a wieczorem przynosił do domu przydziałową margheritę i kupę kasy, bo paniusie dawały mu napiwki za urodę. A jeszcze obsypywał prezentami mnie i dzieci, choć te dla nich były często totalnie nietrafione, jak na przykład rękawice bokserskie dla rocznego Micka :-).

Nie wiem, czy mieliśmy szansę na lepszy los. Nie będę gdybała. Stało się, jak się stało.

ZAWIADOMIŁ MNIE KING. PRZYSZEDŁ, KIEDY CZEKAŁAM NA MEŻA Z KOLACJĄ. Tego dnia Diego wybrał się do rodziny. Namawiał mnie, żebym wzięła Myszy i pojechała razem z nim, ale wykręciłam się bólem głowy. Nienawidziłam wizyt u tych ludzi. Mam wyrzuty sumienia, bo może gdybym z nim była, nie doszłoby do nieszczęścia. W każdym razie na pewno jechalibyśmy taksówką, a to bezpieczniejszy środek lokomocji niż motor.

– Z tego, co ustalili koledzy z szesnastego komisariatu, agresorami byli ci czarni. – King wziął każdą Mysz na inne ramię i je huśtał, siedząc w fotelu. A one, biedulki, nieświadome, jakie wieści przyniósł, śmiejąc się, szczypały go po podbródku i policzkach. – Było ich trzech. Podeszli, kiedy stał na światłach, i próbowali zrzucić z motoru. Wtedy wyciągnął spod kurtki maczetę, chlasnął jednego po rękę, a cała trójka dała w długą.

Nie miałam pojęcia, że mój mąż nadal posiada narzędzie, którego używał w gangu. W takim razie co jeszcze przede mną ukrył? Może narkotyki albo fanty z kradzieży?

– Cholera! – ryknął King, aż Myszy zamarły w jego objęciach. – Po co, idiota, ich gonil? Zranienie w rękę sąd uznałby za obronę konieczną, jeśli w ogóle doszłoby do rozprawy. Ale on pojechał za nimi, dopadł i urządził rzeź. Jeden martwy, dwaj walczą o życie

w szpitalu. Sierżantowi z szesnastki powiedział, że nazwali go *Latin dick*, a tego Portorykańczyk nie przebacza.

Dołączyłam do Myszek i King miał w ramionach komplet. A my – bezpieczne schronienie.

– Wiesz, Hanah, ja nawet go na swój sposób polubiłem – powiedział po swoim, waząc każde słowo. – Ale, niestety, musisz przyznać, że to małżeństwo było niewypałem.

– Trudno, tato – uśmiechnęłam się przez łzy. – Jestem teraz podręcznikową samotną, czarnoskórą matką. Z dwójką dzieci i mężem w więzieniu.

NIE DO POZNANIA ZMIENIŁ SIĘ OŚRODEK, W KTÓRYM BYŁEM WTEDY Z WANDĄ. Stare domki kempingowe z płyt pokrytych sosnową boazerią ustąpiły miejsca przeszklonym bungalowom, a ponieważ każdy miał łazienkę i WC, zniknął z krajobrazu szkaradny budynek ze wspólnymi prysznicami i kiblami, w którym koledzy piłkarze próbowali moją dziewczynę podglądać.

Za to rozrosła się i wypiękniała peerelowska stołówka, powiększona o kryty taras, dochodzący do samiutkiego brzegu jeziora. Właśnie na nim, racząc się wiatrem, widokiem żaglówek i wspomnieniami, piłem kawę z właścicielem ośrodka oraz z komendantem miejscowego posterunku. Pierwszy nazywał się Gruszczyk, drugi Brzeszczak, takie dwa rubaszne czerepy, trochę do siebie podobne, z tym że policjant miał kolczyk w uchu i dziarę smoka na ramieniu.

Byk w tym czasie robił z Azanem obchód na zasadzie: „a nuż coś się znajdzie ciekawego”.

– Wie pan, moją rolą jest dbać o stan techniczny i sanitarny obiektu – rzekł Gruszczyk, jakby się tłumaczył. Przypuszczam, że ostatnio dobrze przećwiczył tę frazę podczas licznych przesłuchań w sprawie Irka Kacperskiego. – Gdyby na wczasowicza pierdyknął dach czy drzewo, wtedy byłaby moja wina, to jasne. Ale pilnowanie dzieciaków,

żeby sobie nie zrobiły krzywdy, to już sprawa organizatora kolonii. Ja tylko wynająłem mu ośrodek.

– To był gówniarz, dwadzieścia parę lat. – Komendant Brzeszczak skrzywił się z pogardą. – Wyobrażał sobie, że takie kolonie to łatwy chleb. Zainkasuje od rodziców tysiąka, Gruszce odpali z tego siedem paczek, a resztę weźmie do kieszeni. Tylko zapomniał, że na dzieci non stop trzeba mieć oko.

Według ustaleń policji i prokuratora Irek Kacperski opuścił domek w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego czerwca, a rano już nie pojawił się na śniadaniu. Około południa ratownicy WOPR znaleźli jego ciało pod pomostem wędkarskim.

– Kolega, który mieszkał z nim w domku, obudził się, kiedy Irek wychodził oknem, i spytał go, gdzie idzie. Podobno powiedział mu, że na spotkanie z generałem. Mówię „podobno”, bo ten chłopaczek to, zdaje się, niezły fantasta. Tak przynajmniej uważają inne dzieci.

– Mimo to sprawdziłbym ten trop na pana miejscu – odpowiedziałem Brzeszczakowi; nie lubię nikogo pouczać, ale facet przegiął. Usłyszał od dzieci, że świadek to kłamczuch, więc olał informację, być może bezcenną.

– A co tu sprawdzać? – postawił mi się. – Chyba pan nie przypuszcza, że naprawdę do Kacperskiego przyjechał generał? – I jak w znanym powiedzonku roześmiał się z własnej głupoty.

Wierzyć mi się nie chciało, że człowiek pracujący w policji nie wie o kłamstwach, którymi pedofile i inni psychopaci starają się zaciekawić, omamić i zwabić gdzieś swoje dziecięce ofiary. Postanowiłem jednak głąba nie drażnić. Może jeszcze, o zgrozo, przyjdzie mi z nim pracować, po co na wstępie psuć relacje?

Gruszczyk nie miał takich oporów.

– Wiesz, Heniu, to mogła być ściema jakiegoś zwyrola – wyłożył Brzeszczakowi łopatologicznie, a jeszcze okraślił przykładem z własnego życia. – Mojemu koledze, jak miał dziesięć lat, facet powiedział, że jest pilotem odrzutowca i może zabrać go na pokład.

Omala nie skończyło się to gwałtem, na szczęście przechodnie spłoszyli zboka.

Zacząłem intensywnie myśleć, w jaki sposób namierzyć człowieka, z którym Irek spotkał się tamtej nocy. Przesłuchać inne dzieci, może któremuś powiedział coś więcej o generale? Ale turnus się skończył, dzieciarnia rozjechała do domów i trzeba byłoby kursować po całej Polsce. Niewykonalne.

Ze złością, że nic nie chce mi przyjść do głowy, dopijałem kawę, aż tu nagle na taras jak bomba wpadł Azan. Za nim daleko w tyle truchtał Byk. Zdyszany i rozgorączkowany.

– Rusz dupę! Rusz dupę! Rusz dupę! – rozkazywały mi do spółki szczek i łapa drapiąca moją łydkę.

– Azan wyniuchał. – Byk z trudem chwycił powietrze. – W lasku zaraz za ośrodkiem.

RANO PRZY PIERWSZEJ KAWIE POSTANOWIŁAM SPRAWDZIĆ, CZEMU KANADYJCZYCY ODMAWIALI ANDRZEJOWI WIZY. Jakiś ślad tych decyzji powinien się przecież zachować.

I tak rzeczywiście było: gdy posługując się hackerskim kodem FBI, weszłam do archiwum Department of Foreign Affairs i wpisałam „Andrzej Kulesza”, momentalnie wyświetliła mi się lista Kuleszów obojga płci, których nie wpuszczono do Kanady, i on na niej figurował pod dwiema datami, za każdym razem z tego samego powodu. „Reason for refusal: court judgment, sign” – i tu długi rząd cyfr i liter.

Najpierw pomyślałam, że to jakaś pomyłka, bo co może mieć sąd kanadyjskiego miasta Burlington do mieszkańca Konstancina. Ale nie. Okazało się, że Andrzej, nic o tym nie wiedząc, rzeczywiście był w Burlington sądzony, a nawet skazany, gdyż prawomocnym wyrokiem otrzymał zakaz zbliżania się do niejakich państwa Lenart na odległość mniejszą niż sto metrów. Oczywiście to ci państwo Lenart, Wanda i Piotr, wnieśli przeciw niemu pozew, a następnie ich

adwokat zadbał o to, żeby wyrok trafił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz konsulatów kanadyjskich w Polsce.

– Co za suka! – wrzasnęłam, czytając zeznania Wandy, która się skarżyła, że jako dysydentka cierpiała prześladowania ze strony funkcjonariusza komunistycznej policji, czyli właśnie Andrzeja. „Bił mnie, zastraszał, kilka razy zgwałcił, a kiedy udało mi się zbiec za granicę, przez zemstę skatował męża mojej mamy. Wiem od znajomych w Polsce, że chce przylecieć do Kanady i porwać mnie i mojego syna. Albo nawet zamordować”.

– Ciszej wyrażaj swoje antypatie, Myszy mają uszy – upomniała mnie Tunia, zaglądając przez uchylone drzwi. – Rozumiem, że miałaś na myśli panią Wandę. Rywalkę do serca twojej nowej, polskiej sympatii. – I mrugnęła do mnie podobnie jak do przestępców, których przesłuchiwała. Kilka razy widziałam ją w akcji przez lustro fenickie, stąd wiem.

– Okropna jesteś, Tuniu-Kotuniu, nic się przed tobą nie ukryje – odpowiedziałam, wychodząc ze strony i kasując historię. – Co ja komu złego zrobiłam, że Bozia pokarał mnie inteligentną matką?

BYK I JA ZNALIŚMY DOBRZE TEN WIDOK, znał go także Azan, który na pewno nosił w psiej pamięci krew i zwłoki z lasu chojnowskiego. Natomiast aspirant Brzeszczak, choć doświadczony glina, minę miał cokolwiek nietęgą, a cywil Gruszczyk po prostu zwymiotował.

Krwią polany był wielki kamień ukryty pośród pokrzyw i częściowo porosły mchem. Na drugim, mniejszym, leżącym kilka metrów dalej, czerwienił się napis o znacznie zmodyfikowanej treści. „Ona inaczej odrzuciła krew, lecz kara jest jedna” – informował jakiś naśladowca Jacka Wertera.

Niestety, jeszcze przed rozpoczęciem procesu internetowe wydanie poczytnej bulwarówki umieściło zdjęcie napisu, który Jacek W. (wciąż schowany pod inicjałem) nabazgrał na uschniętym drzewie na

Wiosennej. Podejrzywałem, że to ktoś z moich ludzi za dobrą kasę sprzedał je redakcji.

– Panie aspirancie, to pan tutaj rządzi – zwróciłem się do Brzeszczaka. – Trzeba natychmiast zabezpieczyć tę krew i wysłać do laboratorium kryminalistyki. Pewnie najbliższe jest w Płocku? Może to głupi kawał i krew jest świńska, ale na razie musimy traktować sprawę jako zabójstwo.

– OK, dzwonię do powiatu – odpowiedział i wyciągnął z kieszeni telefon.

Spostrzegłem, że dłoń i prawa noga dygotały mu z emocji, kiedy wybierał numer. No tak, w tej jego wiosce morderstwa nie zdarzały się często, a być może wcale. Pobicia, kradzieże, latem niekiedy utonięcie – to był chleb powszedni tutejszego posterunku. A teraz zbrodnia! I to jeszcze mająca wyraźny związek ze słynnym na całą Polskę wampirem. „Wampirz” rozpoczął działalność od Łącka, otwierając przed młodszym aspirantem Brzeszczakiem perspektywę awansu i medialnej sławy. Dlatego dopiero drugi jego telefon był do komendy powiatowej – pierwszy wykonał do żony.

– Musimy być w kontakcie – powiedziałem glinom z Płocka, gdy zjawili się po niecałej godzinie. – Podejrzewam, że ta krew to robota człowieka, który działa także na moim terenie.

– Zaczynam mieć wątpliwości, czy z tym Kacperskim to rzeczywiście był wypadek – wyznał Brzeszczak komendantowi powiatowemu, ale uderzył głową w mur.

– Po chuj łączyć te sprawy? – zirytował się zwierzchnik. – Pierwsza już dawno zamknięta, biegli się wypowiedzieli: dzieciak bez dozoru bawił się w nocy pod pomostem, wpadł do głębi, zachłysnął się i szlus. Co ma do tego jakiś świr, który udaje Wertera? Jestem gotów się założyć, że od kiedy w necie pojawiła się ta fota, w dziesiątkach miejsc w Polsce jajcarze porozlewali krew z rzeźni.

– Jak dotąd żaden posterunek niczego takiego nie zgłosił – zauważyłem, lecz odpowiedzią było wzruszenie ramion.

A także tekst naśladowujący nieudolnie życiową mądrość:

– A pan w tym swoim Konstancynie to wszystko zgłasza do centrali?

Jednak kiedy zbliżałem się do Płońska, zmienił pogląd o sto osiemdziesiąt stopni.

– Panie komisarzu, sprawdziliśmy. – Telefon troszkę zniekształcał mu głos, ale i tak było słychać, że jest dumny z szybkiego działania. – To ludzka krew. A jej ilość wskazuje, że ofiara nie mogła przeżyć.

Chyba że ktoś powtórzył numer doktora Parkera – pomyślałem.

– Może faktycznie masz rację. Może to ten sam klient. Dzieciaka utopił, z kogoś innego spuścił krew. Mówmy sobie po imieniu. Zdzisiek jestem.

– Andrzej. OK, jak tylko dotrę na komisariat, wyślę ci portret pamięciowy. Jest, łagodnie mówiąc, nienajlepszy, ale na bezpticzie i żopa saławiej^[1]. Niech Brzeszczak pokaże go miejscowym. A nuż ktoś widział podobnego kolesia tego dnia, kiedy utonął Irek Kacperski.

– TAK JAK SZEŃ KAZAŁ, OMIJALIŚMY CMENTARZ SZEROKIM ŁUKIEM – zameldował mi Flap. Rzeczywiście wydałem im takie polecenie, wiedząc, że Godzilla i jego kompani przed nocną robotą na sto procent przyjdą sprawdzić teren, i byłoby niedobrze, gdyby coś zwąchali. A moje orły-sokoły niestety nie potrafiły się kamuflować jak dziadek Jurek i Hanka Lubochowska. Nie zapomnę naszej zasadzki na haraczowca trzy lata temu; Waligóra już usiadł obok niego na parkowej ławce, już sięgał do wewnętrznej kieszeni, gdy nagle w aucie Flip zagadał coś do Flapa, więc zamiast koperty spod kurtki kaprała dobył się ludzki głos. Zakapturzony leszczyk, którego wysłano po kasę, poderwał się, jakby miał w tyłku sprężynę, i z trudem powstrzymując śmiech, oddalił się szybkim krokiem.

Bałem się powtórki z rozrywki, dlatego zabroniłem im nawet przejeżdżać w pobliżu. „Chylicka, Akacjowa i Gościńiec do odwołania

są dla radiowozów zamknięte” – wymienilem ulice, między którymi nasz skolimowsko-konstanciński cmentarzyk był położony. Skąd mogłem przypuszczać, że strzelam sobie w stopę?

Zresztą na początku wyglądało, że odnieśliśmy pełny sukces. Pieprzone hieny tak były pewne siebie, że nie wystawiły żadnej czujki, tylko wjechały na cmentarz jak do własnego obejścia. Bezpieczeństwo gwarantowała im chmurna, bezksiężycowa noc oraz nieobecność cecia.

Obserwowaliśmy ich z okien wysokiego pustostanu na Granicznej, przez które byli widoczni jak na dłoni, a jeszcze, żeby nam ułatwić, sami się oświetlali mocnymi latarkami. Dwa nieoznakowane radiowozy czekały na dole, a wyloty ulic odchodzących od cmentarza zablokowali chłopcy z Iwicznej.

Tak jak przypuszczałem, wybrali się po pietę z grobu Rozalskich. Mając w dupie, że elektronarzędzia, przecinaki i młotki czynią hałas większy niż dyskoteka, na bezczela próbowali odkuć rzeźbę od grobowca.

– Dobra, daliśmy się dzieciakom pobawić. Wchodzimy! – zdecydowałem.

Hurmem zbiegliśmy po rozpadających się schodach i wskoczyliśmy do pożyczonych z powiatu opli astra. Godzilla właśnie coś tłumaczył, pewnie jak obwiązać rzeźbę, żeby się nie wyslizgnęła, kiedy z impetem wjechaliśmy między groby.

– Policja! Na glebę! – wydaliśmy z sześciu czy siedmiu gardeł nasz bojowy okrzyk stróżów prawa i jednocześnie wycelowaliśmy w nich tyle samo glocków.

Prawdę mówiąc, w razie potrzeby, tylko ja i Byk potrafilibyśmy celnie strzelić, tego jednak złodzieje, na szczęście, nie wiedzieli, więc dwaj od razu przepisowo się położyli – twarzą do ziemi, z rękami na głowie i rozstawionymi stopami. Pewnie wielokrotnie byli zatrzymywani, mieli więc w tym wprawę, plus świadomość, że za niesubordynację grożą kopy.

Jednak trzeci z nich, widać desperat, zamiast zrobić to samo, rzucił się do ucieczki. Omiotłem latarką jego rudą czuprynę rozwianą w pędzie, z jakim przeskakiwał groby czy wręcz przefruwał nad nimi; odgadłem, że to on musi mieć ksywkę Kolor, bo tak właśnie nazywa się w tym środowisku rudowłosych.

– Kolor, stój! – ryknąłem, oddając strzał ostrzegawczy.

Ale olał mnie i dalej sadył susy jak młody gepard, aż wreszcie dobiegł do cmentarnego muru i przeskoczył go flopem.

Dobiegam i ja, wspinam się po wystających ceglach, zaglądam na drugą stronę, a tam nikogutko, jakby się rozplątał w powietrzu. Przepadł na równej, otwartej przestrzeni bez żadnych zakamarków. A przecież nie minęło tyle czasu, żeby mógł oddalić się poza zasięg wzroku.

– Ej, Kolor, wyłaź, kurwa! Czy wolisz, żebym ja cię znalazł?

Chwila ciszy i nagle szelest u stóp muru. A zaraz potem wyłania się z krzaków rudy łeb.

– Panie władzo, to nie ja! – szlochał Kolor jak dziecko. – To nie ja! Przysięgam na życie mojej matki!

PANI WANDA LENART Z BURLINGTON MIAŁA ZASTRZEŻONY NUMER, ale to dla porucznika FBI *no problem*. O czternastej, idąc z Myszami nad jezioro na poobiednią sjęstę, wysłałam jej SMS-a: „Jestem amerykańską kuzynką Andrzeja, pilna sprawa, oddzwoń” – po krótkim namyśle zdecydowałam się na język polski, bo dla mych celów lepiej było zerwać z niej panczerzyk nowej tożsamości i obnażyć dawną Wandę z Konstancina.

Mieliśmy wtedy taką zabawę: rzucaliśmy do wody chleb, żeby przywabić pstrągi, a kiedy nadpływały, czyniliśmy z nich publiczność naszego trio. *Those were the days* – śpiewaliśmy im na przemian z *It's my life* i *Da Ba Dee*. Ogromnie nas cieszyło, że z zachwytu otwierały pyszczki, a niektóre nawet wyskakiwały nad taflę. Zresztą, nie chwaląc się, nasz występ mógł się podobać. Ja przecież w wieku

dwunastu lat zajęłam czwarte miejsce w stanowym konkursie piosenkarskim dla dzieci, a Myszy, zwłaszcza Kate, wydawały się jeszcze bardziej utalentowane.

Miałam nadzieję, że uwarunkuję pstrągi, żeby przyływały na sam dźwięk piosenki, ale niestety – albo nasze pienia nie docierały pod wodę, albo rybki były odporne na tresurę. Tak czy owak, chleba nie dało się odstawić.

I właśnie Myszy rzuciły kolejną porcję, kiedy oddzwoniła. Aż się wzruszyłam, tak niepewny, a zarazem zaciekawiony miała głos.

– Mówi Wanda. Odebrałam twoją wiadomość, ale nie bardzo rozumiem, o co chodzi – zaczęła po angielsku.

– NIE JA! NIE JA! – POWTARZAŁ KOLOR JAK PŁYTA, CO SIĘ ZACIEŁA, albo Pasyje z wiersza Norwida, które rozszarpały Orfeusza^[12]. Ze skutymi do tyłu rękami ukląkł nad martwym ciałem kobiety, jak gdyby ją błagał, by poświadczyła o jego niewinności. Byk tymczasem też już sforsował mur i do nas dołączył.

– A niech to szlag! To chyba Bożena Kacperska – powiedział, oświetlając latarką martwą twarz.

– Co było do przewidzenia – westchnąłem. – Najpierw utopił chłopca, a potem zamordował jego matkę. Naśladowca Wertera w jeszcze gorszym wydaniu, bo tamten przynajmniej nie zabijał dzieci. Cholera, co ja pieprzę? Przecież udusił tę dziewczynkę w Krynicy.

– Siebie warci – stwierdził Byk. – Tylko tym razem działamy sami. Amerykańce w tej sprawie nam nie pomogą.

– To na pewno ten sam facet, którego spotkaliśmy tu przed południem. – Kolor podniósł na nas wzrok i pierwszy raz odezwał się po ludzku. – Wjechał na cmentarz pickupem, ale się wystraszył, kiedy nas zobaczył przy rzeźbie...

– Widziałeś, kurwa, tego pickupa, to go opisz! – ryknąłem z furją, a Kolor skulił się, wciskając głowę w ramiona i zezując lękliwie na glocka, którego jeszcze nie schowałem do kabury.

– Jakiś złom. Biały polonez z plandeką.

Jako właściciel mego kochanego, wypieszczonego poldusia poczułem się urażony.

– I co dalej? – burknąłem.

– Udawał, że przyjechał na czyjś grób, ale mogę się założyć, że wybrał mogiłę pierwszą z brzegu. Wysiadł, uklęknął i niby zaczął się modlić, tylko że przez ramię cały czas na nas lukał. A potem szybko wskoczył do szoferki i fru w długą! Mówię panu, komisarzu! Na sto procent miał trupa na pace!

PO KRÓTKIEJ PRZERWIE NA SEN PRZESŁUCHAŁEM JEGO KOMPANÓW i obaj potwierdzili słowa Kolora. Około jedenastej rano, kiedy się zastanawiali, czy od uderzeń w podstawę nie pękną przypadkiem wyższe partie rzeźby, rzeczywiście wjechał na cmentarz polonez pickup. Pomyśleli, że to jakiś pracownik, i się zdenerwowali, że ich widzi, zaraz jednak wyszło na jaw, kto się kogo boi bardziej.

– Według mnie on nas wziął za psów – powiedział Heniek Cegielski, zwany Cegłą, i zaraz z przerażeniem się poprawił. – To znaczy się: za panów policjantów, najmocniej przepraszam za przejeżdżenie.

Miał chłopak fart, że czasy się zmieniły i ludzie, bo mój poprzednik, kapitan MO, za taki lapsus kazałby mu usiąść na odwróconym taborecie; a ja tylko się uśmiechnąłem pod wąsem.

– Dobra, dobra, Cegła. Nie drażnij piesków, bo pogryzą – ostrzegłem w konwencji dobrotliwego żartu i poczęstowałem gnoja goldenem.

GODZILLA BYŁ Z NICH NAJSPRYTNIJSZY, próbował coś ze mną ugrać.

– Panie komisarzu. Zdaje mi się, że ja tego faceta już wcześniej spotkałem.

– Nie interesuje mnie, co ci się zdaje – uciąłem, bo znałem ten ich ton, kiedy chcą kogoś sprzedać, i wtedy trzeba z nimi jechać ostro, żeby wzmocnić pozycję przetargową.

– OK. Jestem prawie pewny. Nawet mógłbym przysiąc.

– Gdzie go spotkałeś?

– W pracy. – Ryj Godzilli wykrzywiła ułymbka, jak z ruska nazywają to w więzieniu, czyli uśmiech kryminalnego wesołka.

– A więc, rozumiem, na cmentarzu?

– Tak. Spacerowałem sobie po alejkach, szukałem czegoś ciekawego, a on klęczał nad grobem i coś gadał do nieboszczyka. Ale nie tak, jak ludzie nieraz rozmawiają z bliskimi zmarłymi, bo co drugie słowo było powszechnie uznane za obelżywe i wulgarne.

Setnie mnie rozbawiła jego zgorszona mina.

– Tylko jest jeden problem. Za chuja nie pamiętam, co to był za cmentarz – zakończył i spojrzał na mnie wyczekująco.

POTEM WEZWAŁEM TEGO SAMEGO GRAFIKA CO DWA DNI TEMU, bo żadnym lepszym nie dysponowałem, lecz tym razem, o dziwo, powstało coś w miarę antropomorficznego. Mówi się, że kobiety są bardziej spostrzegawcze, a tymczasem to nie Jola i Agnieszka, ale trzech kryminaliści zobaczyli na policzku tego człowieka niewielkie bordowe znamię. Spierali się tylko – na lewym czy na prawym.

– Bo to portret dwóch różnych osób – powiedział grafik, gdy podzieliłem się z nim moją refleksją.

– Zaraz, jak to? – Miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

– Po prostu: dziewczyny opisywały kogoś innego. Nie jestem jeszcze superekspertem, bo dopiero od dwóch lat się tym zajmuję, ale w tej kwestii mam sto procent pewności. Zresztą będę się niedługo widział z Jolą, to pokażę jej ten nowy portret...

Przypomniało mi się, że podczas przedwczorajszej sesji pan grafik zapraszał młodziutką pielęgniarzkę na kawę, no to widać mu nie odmówiła.

– Dziwne, Krzysiu, co nie? – powiedziałem do Byka, gdy na chwilę zostaliśmy sami w tym całym młynie.

– Tak. Wszystko to jedna, wielka niewiadoma – westchnął. – Poza tym, że zaraz przyjedzie Sieniewicz z tym, jak mu tam... Piecykiem? No tym, co przepraszał Amerykańców za Polskę.

TYM RAZEM KOMINEK PRZEKAZAŁ GORĄCĄ PROŚBĘ ADELSONA, byśmy najdłużej, jak się da, trzymali w tajemnicy zabójstwo Kacperskiej.

– Wie pan, komisarzu, Amerykanie się boją, żeby sąd nie nabral wątpliwości co do winy Wertera. Uważają, że polski wymiar sprawiedliwości nie ma doświadczenia z seryjnymi zabójcami, i dlatego nie zna zjawiska *copycat crime*. Wolę nie myśleć, jak zareagowałyby na jego uniewinnienie.

– Na pewno wyrzuciliby nas z NATO i wpisali na listę państw popierających terroryzm – powiedziałem ze śmiertelną powagą.

– No nie, może nie aż tak – odbąknął Kominek, nie wyczuwając drwiny.

Siedliśmy potem we czterech przy stole, ja naprzeciw Byka, Sieniewicz vis-à-vis tego swojego strachajły, jakbyśmy mieli rozegrać mecz brydżowy między Cebesiem a konstancińskim komisariatem.

– To co? Niewiele na razie wiecie – zawistował pan inspektor.

Odpowiedziałem, że naszą wiedzę i domysły zdemolował komputerowy grafik. Dotąd o wszystkie popełnione zbrodnie, włącznie z utopieniem Irka Kacperskiego, podejrzewaliśmy jednego człowieka, a tymczasem się okazuje, że prawdopodobnie jest ich dwóch.

– Może działają niezależnie od siebie – kontynuowałem. – Ale niewykluczone też, że są współnikami. Wiem, wiem, kryminalistyka

rzadko notuje takie przypadki, bo seryjny to z reguły samotny wilk. Tylko że tu wcale nie musi chodzić o copycata Wertera i motyw psychopatologiczny.

– A jaki? – zdziwił się Kominek.

– Choćby finansowy. Trzeba sprawdzić majątek Kacperskiej i czy porobiła jakieś zapisy na wypadek śmierci. A co, jeśli na przykład zdążyła tego faceta poślubić. Nie miała obowiązku informować o tym koleżanek z pracy. To też, Krzysiu, musimy ustalić.

– No tak, wtedy byłoby logiczne, czemu facet pozbył się i jej, i pasierba. Sam albo z pomocą jakiegoś kumpla. – Byk zgodził się z moim rozumowaniem, Sieniewicz natomiast zaraz stanął okoniem.

– Ale wie pan, że ten w pickupie może nie mieć ze sprawą nic wspólnego? Po prostu przyjechał po coś na cmentarz, przestraszył się trzech typów i to wszystko. Kolor się boi, żeby nie być podejrzanym o morderstwo, i dlatego kombinuje jak koń pod górę. A kolesie go wspierają.

– Może w ogóle wymyślili tego gościa? – pojechał po bandzie Kominek.

– Nie sądzę – odparowałem cios. – Trzymałem ich w osobnych celach. Moi ludzie żadnej stukanki nie słyszeli, więc raczej nie byli w stanie uzgodnić zeznań. Ale tak. Macie panowie rację. Kierowca poloneza pickupa może być osobą zupełnie przypadkową.

PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ BYLIŚMY JUŻ DUŻO MĄDRZEJSI, bo Krzyś zadzwonił do znajomej, która pracowała w USC. „Mam genialnego szefa, mam genialnego szefa!” – zanucił, kiedy skończył z nią rozmawiać; nasi goście przyjrzeni mu się z dezaprobatą.

– Bożena Kacperska wyszła za mąż za niejakiego Alfreda Skabasa. – Byk ostentacyjnie zwrócił się do mnie, jakby reszta krzeseł w pokoju była pusta. – Ślub wzięli szóstego maja w Czersku w parafii Przemienienia Pańskiego. I teraz, uwaga, druga ważna wiadomość: ja

tego Fredzia znam! Miała rację Aga. Faktycznie chodził z moją siostrą do klasy, ale potem przeniósł się do podstawówki w Słomczynie.

Też go znałem. Mieszkał na końcu Matejki, już za Warszawską. Dalej były tylko nadrzeczne łąki.

– Karany? Ma u was kartotekę? – Sceptycznym tonem spytał Sieniewicz.

A ja chciałem z wściekłości walić łbem o ścianę; głupim, tępym łbem, w którym od razu powinno było zaświtać, że facet towarzyszący Kacperskiej na cmentarzu może być jej mężem.

Nic, lepiej późno niż wcale. Zresztą od tej chwili wszystko zaczęło się układać jak w wychodzącym pasjansie.

– Zdzicho mówi – rozległo się zaraz w moim telefonie. – Ludzie Brzeszczaka znaleźli wędkarza, który widział wczoraj nad ranem białego poloneza pickupa prawie dokładnie w miejscu, gdzie ta krew.

– Przepraszam panów – powiedziałem do Sieniewicza i Kominka, po czym wybiegłem z pokoju, jakby mnie sraczka złapała.

Ale nie do kibla pogałem, ale do laptopa w moim mniejszym, niejako prywatnym gabinecie. Starając się przyjąć w fotelu pozycję maksymalnie relaksacyjną, wystukałem pobieżne kalendarium.

Noc z trzydziestego na trzydziestego pierwszego lipca – Alfred Skabas z niezrozumiałych powodów atakuje na cmentarzu Burbo i Muchę. Trzydziesty pierwszy lipca – Bożena Kacperska znika, nie ma jej w mieszkaniu, jej męża również. Pierwszy sierpnia rano – wchodzimy z prokuratorem do pustego mieszkania Kacperskiej, a w południe znajdujemy koło ośrodka w Łącku rozlaną krew. Według wędkarza nad ranem był tam polonez pickup. Prawdopodobnie jego kierowca, człowiek ze znamieniem na policzku, zamordował dopiero co Bożenę Kacperską. Ten sam osobnik, w tym samym polonezie mniej więcej o jedenastej jest już na cmentarzu w Skolimowie, pewnie chce porzucić tam wykrwawione zwłoki, ale zostaje spłoszony przez bandę Godzilli. Dlatego porzuca je w zaroślach za murem cmentarnym. Tylko kiedy? Na pewno zanim zajęliśmy stanowiska

obserwacyjne w pustostanie, bo inaczej byśmy go zauważyli. Cholera, gdybym nie zabronił chłopakom obserwacji cmentarza, być może by go złapali.

Jeszcze dwie daty: szósty maja – ślub Kacperskiej ze Skabasem i dwudziesty dziewiąty czerwca – tragiczna śmierć jej dziecka.

– CZYLI TO NIE BYŁ KTOŚ PRZYPADKOWY – ODSZCZEKAŁ SWOJE SŁOWA SIENIEWICZ, gdy po zmierzchu staliśmy na polu kukurydzy w nastrojowym blasku ognia i niebieskich kogutów straży pożarnej. Tuż przed Słomczynem, przy skrzyżowaniu gruntowej drogi z Wilanowską, gorzał strzeliście i feerycznie polonez pickup. Najpewniej biały, choć pod wpływem płomieni zdążył już ściemnieć.

– Widział pan, kto to zrobił? – zapytałem starszego faceta, który obserwował wszystko z siodelka zabytkowego, peerelowskiego roweru.

Pokręcił przecząco głową.

– Jak przejeżdżałem, już się paliło. Jedyne co mogłem zrobić, to zadzwonić po was i strażaków. Komórka to jednak dobry wynalazek, wnuk mnie namówił, żebym se kupił. – Wyjął z kieszeni marynarki i dumnie zademonstrował jakiś model z klapką.

Przez cały czas miałem przed oczami podobną scenę sprzed niespełna dwóch miesięcy i spalonego citroëna berlingo. W Dębówce, zaledwie kilka kilometrów stąd.

– Nie myśl tak, Krzysiu, bo zostaniesz myśliwym! – odprężyłem się idiotycznym powiedzonkiem i szturchnąłem Byka między łopatki.

– Już nie muszę, już wymyśliłem, co trzeba – uśmiechnął się, odprowadzając wzrokiem samochód kolegów z Cebesiu; pojechali właściwie bez pożegnania, jakby się obrazili. Jedyne z nich pożytek, to że jeszcze dzisiejszej nocy do wszystkich komend, komisariatów i posterunków trafi rozkaz zatrzymania Alfreda Skabasa wraz ze zdjęciem; prawdziwym, wydobytym z USC, a nie żadnym pamięciowym portretem.

– Jutro zapytam Manię Wielgus, na jakie konto wpłacała Kacperskiej kasę – skończył Byk swoją kwestię. – To ułatwi Kekswowi robotę. Choć, oczywiście, mogła mieć konta w różnych bankach.

Mania Wielgus, księgowa ze Stoceru, jak połowa kobiet w Konstancinie była psiapsiółką Luśki Bykowej.

MIMO PÓŹNEJ PORY ODWIEDZILIŚMY JESZCZE PROBOSZCZA, który odwdzieczył się za uratowanie piety, stawiając na stół trzy flaszki dobrej whisky. Całkiem jednak zmienił mu się nastrój, kiedy usłyszał od nas o śmierci Kacperskiej.

– Boże! Zamordowana identycznie jak te Amerykanki i pani Kuchcikowa! Jesteście pewni, że złapaliście prawdziwego zabójcę? Bo może w więzieniu siedzi niewinny człowiek, a tymczasem... Ech, wolę nie myśleć!

– Nie ma mowy o pomyłce, proszę księdza – pocieszył go Byk. – Test DNA jednoznacznie potwierdza, że panią Kuchcik zabił Werter.

Proboszcz jednak, a zwłaszcza po kielichu, był uparty.

– A jeśli tylko ją jedną?! A pozostałe jakiś jego współnik? Widziałem niedawno w telewizji film o dwóch mordercach, miał tytuł *Krwawy duet*. Może u nas w gminie też się taki duet załagał?

– Z księdza to prawdziwy detektyw w sutannie – pozwoliłem sobie na żart, ale nie poczuł się dotknięty.

– Przepraszam, już się nie będę mądrzył. Nie znam się na tych sprawach. To panowie jesteście fachowcami. Ja tak tylko nieśmiało poddaję pod rozwagę. Zdrowie stróżów prawa!

Wskutek kolejnych toastów flaszki rychło stały się samym szkłem, więc sięgnął ksiądz do barku po nowe, a także do swej skarbnicy wiedzy o parafianach.

– Z małżeństwem Kacperskiej coś było, proszę panów, nie tak. Nie, nie, nie mówię o tym drugim, bo o nim się dopiero przed chwilą dowiedziałem od was, ale o pierwszym, z magistrem Kacperskim. Notabene sam im dawałem ślub. To był, nie ma co kryć, bardzo

zamożny człowiek. Mam wrażenie, że po części z domu, ale sam też godziwie zarabiał. Był głównym rehabilitantem w tej amerykańskiej klinice koło Stoceru, a wcześniej masażystą w FC Barcelona. Co prawda nie piłkarzy nożnych masował, tylko ręcznych, ale przypuszczam, że za nich też dobrze mu płacono.

– Pracował u doktora Parkera? – spytałem, zdziwiony, że wątki zdają się sklejać. Tak jednak nie było.

– Nie, u poprzedniego właściciela, który potem Parkerowi sprzedał klinikę. Ale to nieważne. Mnie co innego niepokoiło i martwiło. Zauważyłem, że rodzina Kasperskiego krzywo patrzyła na panią Bożenę. Krótko mówiąc: traktowała to małżeństwo jak mezalians. Na ślub przyjechała chyba tylko jego siostra, a na pogrzeb dziecka nikt, literalnie nikt, proszę panów. Byli natomiast naturalnie w pełnym składzie, kiedy chowano pana magistra. A wcześniej czynili zabiegi, żeby zabrać ciało do siebie, bodaj do Jabłonny, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, i pochować go w rodzinnym grobowcu. Pani Bożena się jednak nie zgodziła.

– Co za ludzie! – zdenerwował się Byk.

Lecz najgorsze usłyszeliśmy potem. Opis ohydnych działań w celu wydziedziczenia Irka. Nie mieliśmy pojęcia, że był pogrobowcem, dopiero proboszcz nas oświecił.

– Próbowali obalić testament. Kwestionowali ojcostwo pana magistra. Jakiś profesor, zapewne nie za darmo, wydał opinię, że choroba nowotworowa zabiła u niego plemniki. Słyszeli panowie podobną bzdurę? Przecież rak był w mózgu, a plemniki gdzie są? Sporo niżej, prawda?

– Mówię ci, to ta pierdolona rodzinka wynajęła killera, żeby zlikwidował matkę z dzieckiem. – Byk, spadając ze schodków plebanii, złapał mnie za szyję i zawisł na niej, aż jęknąłem. – Jutro pojedziemy do Jabłonny i zrobimy im z dupy jesień średniowiecza!

Nie odrzucając sugestii, upomniałem go, żeby nie kłął, bo na terenie kościelnym jeszcze mniej uchodzi niż w komisariacie, po

czym, ledwo trzymającego się na nogach zaniósłem do samochodu. Sam wypilem tylko kieliszek, no, może dwa, uznałem więc, że mogę prowadzić. Ech, stary człowiek, a głupi!

A-Ę I PIERDOLENIE O SZOPENIE – tym powiedzonkiem plebs charakteryzuje ludzi kulturalnych, i tak dokładnie wyraził się Byk o Kacperskich. Była to stara, z dziada pradziada, inteligencja, w dodatku o arystokratycznych korzeniach, skoro łączyły ją więzy krwi z Potockimi. Tej paranteli pan Eustachy Kacperski zawdzięczał stanowisko administratora pałacu w Jabłonnie, odebranego po wojnie kuzynom i przejętego przez Polską Akademię Nauk.

Oczywiście sama parantela w tamtych czasach nic by mu nie pomogła, a wręcz przeciwnie, wsparła ją jednak żarliwa komunistyczna wiara towarzysza kapitana Kacperskiego i odwaga w walce z zapłutymi karłami reakcji. *Summa summarum* na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych przydzielono Kacperskim jedną z pałacowych oficyn, aby żyli sobie w niej po pańsku z końmi, myśliwskimi psami, batalistycznymi obrazami i czarnym Bechsteinem w salonie. Podobno zaraz na początku urzędowania pan Eustachy kazał oszpecić gazon wielkim popiersiem Stalina; pięć lat później, sapiąc z patriotycznego wysiłku, osobiście je strącił i wywiózł na taczkach.

To jednak dawne dzieje; kiedy przyjechaliśmy z Bykiem i Azanem do Jabłonny, pan Eustachy był już dementywnym staruszką przykutym do fotela, a stanowisko administratora odziedziczył po nim, jak to w arystokratycznych rodach, jego syn Mateusz.

– A pan byłby rad, gdyby brat pański poślubił dziewczynę z przytułku? – spytał ostro, wyczuwając, widać, że potępiam jego stosunek do pani Bożeny. – I bynajmniej nie sierotę, ale dziecko odebrane biologicznej matce przez sąd. Sprawdziłem: była córką prostytutki. Ma się rozumieć, nieślubną, więc nosiła jej nazwisko.

Szaryńska albo Szarzyńska. I w takim kimś albo lepiej powiedzieć: czymś, Piotrek się zakochał.

Pierwszy raz w mojej obecności padło imię tego człowieka. Dotąd widziałem je tylko napisane na grobie, ksiądz zaś nazywał go magistrem, jako że rehabilitanci po AWF zapożyczyli to miano od farmaceutów.

– Dziś modnie jest uważać, że liczy się tylko wpływ środowiska, a geny nie mają żadnego znaczenia – kontynuował pan Mateusz lodowatym tonem. – Ale to bzdura. Lewicowy przesąd. Mówię to panu jako wieloletni hodowca psów i koni. Zły gen zawsze ujawnia się w którymś z następnych pokoleń: u zwierząt cielesnymi wadami, a u ludzi mentalnymi i moralnymi. Słyszał pan oczywiście o tej przerażającej zbrodni w Grybowie?^[13]

Tak, słyszałem, cała Polska słyszała, a jako policjant mogłem dorzucić więcej podobnych historii. Nawet u nas w Konstancinie czternastoletni gówniarz, biologiczny syn odsiadującego dożywocie mordercy, próbował otruć grzybami swoich adopcyjnych rodziców. A mimo to słuchałem wywodów Mateusza Kacperskiego z obrzydzeniem.

– Sprawa genetycznej schedy jest już nieaktualna – przerwałem mu w pewnym momencie. – Pana bratanek i bratowa nie żyją.

Sądziłem, że choć nie był na pogrzebie Irka, to jednak wie o jego śmierci. Dlatego zdziwiła mnie jego reakcja, świadcząca o tym, że pierwsze słyszy.

– Pewnie wypadek samochodowy? – W głosie pana Mateusza brzmiało wyłącznie zaniepokojenie. – Z tego, co pamiętam, słabo sobie radziła za kierownicą. No tak. Zabiła siebie i dziecko. Zawsze byłem zdania, że ajatollahowie słusznie robią, nie pozwalając kobietom prowadzić.

– Zginęła od noża – wyprowadziłem go z błędu. – A jej synek wcześniej został utopiony.

Tym razem się przejął. Jak każdy, kto się dowie, że zamordowano osobę z bliskiego kręgu. Bo morderstwo to przecież takie coś, co zdarza się wyłącznie innym i z reguły tylko w mediach. Na odległość można nawet czerpać frajdę z dreszczyku, który wywołuje, natomiast jeśli zaciukają znajomego, nawet znienawidzonego, o, to już groza! Aż strach z domu wyjść.

A u Mateusza Kacperskiego doszła jeszcze na pewno obawa, że jest podejrzany. Bo niby po co inaczej przyjeżdżałaby do niego policja? Do niego, a może już po niego...

– Czy orientuje się pan, jaki spadek zostawił żonie pan Piotr? – spytałem, zanim zdążył ochłonąć.

– To nie był spadek – wyjaśnił mi niby rzeczowo, lecz w jego głosie pobrzmiwała tłumiona irytacja. – Brat przed śmiercią przepisał na nią swoją willę w Murzasichlu. Nasz adwokat próbował kwestionować zdolność do czynności prawnych człowieka z zaawansowanym guzem mózgu i otępiełego od leków przeciwpadaczkowych. Ale akt notarialny nie tak prosto podważyć.

– Wiem, że również próbował pan zakwestionować ojcostwo pana Piotra...

Obruszył się. I troszkę mnie zaskoczył jego ton, bo ludzie, którzy lękają się podejrzania o zbrodnię, zwykle skrywają niechęć do ofiary. Ale widać w tym wypadku emocje były zbyt silne i dłużej już nie potrafił ich maskować.

– Chyba mi się pan nie dziwi? Nie dość, że ograbiła nas z domu w górach, to jeszcze jej bękart miał partycypować w spadku? Niech pan nie robi miny świętoszka. To był bękart. Wiem, co mówię, bo wynająłem agencję detektywistyczną. Przez ostatni rok życia mego brata ustawicznie zdradzała go z pewnym mężczyzną. Był jej kolegą z przytułku. – Mateusz Kacperski konsekwentnie używał słowa przytułek zamiast dom dziecka.

– Pamięta pan może, jak się nazywał?

– Roman Słomiński. Adoptowali go jacyś Włosi polskiego pochodzenia, kiedy miał jedenaście lat. Na stałe mieszka z nimi pod Turynem, ale często bywa w Polsce. Jest sporo młodszy od Bożeny, więc rozczulała Piotra opowieścią, że traktowała go w przytułku jak młodszego braciszka. Pewnie już wtedy ze sobą współżyli, bo dzieci z patologicznych rodzin przedwcześnie dojrzewają seksualnie.

– ROMAN Z WŁOCH – POWIEDZIAŁEM POTEM DO BYKA. – Zbieg okoliczności?

– W każdym razie dziwna sprawa. Zdałaby się jego focia.

– Z domu dziecka dostaniemy najwyżej zdjęcia jedenastolatka. Jeśli w ogóle je przechowują.

– A ten detektyw od Kacperskiego? Musiał go pstrykać.

– Myślisz, że nie spytałem? Oczywiście nie pamięta, kogo wynajął.

– Bo to na pewno nie była legalna firma, tylko jacyś miastowi – westchnął Byk, z mądrością życiową i pesymistycznie.

„Cieniasy te wyżyły” – sapał Azan w drodze powrotnej. „Gdyby mnie pan nie odciągnął, dałbym im popalić”.

Rzeczywiście z najwyższym trudem oderwałem go od kraty kojca, przez którą gryzł się z psami Kacperskiego. Najwyraźniej polubił je tak samo jak ja właściciela. Wredny kutas, fakt, ale dzięki niemu wiedziałem już, że nieszczęsna Bożena Kacperska posiadała majątek wart około pół miliona. A dla znacznie mniejszych sum popełnia się morderstwa.

– Zauważyłeś, że ten cały detektyw nic nie mówił o Fredku Skabasie? – odezwał się Byk po długim, milczącym rozważeniu naszej nowej wiedzy.

– Widocznie pojawił się na scenie dopiero później, kiedy się zakończyła inwigilacja. Mateusz Kacperski w końcu stracił zainteresowanie sprawą. Po co miałby się wykosztowywać na detektywów, skoro zobaczył, że już nic nie można odkręcić?

– Co z tym Keksem, znów się schlał? – Byk się zirytował. Nie po to wysłał prokuratorowi z trudem wydobyty od Mani Wielgus numer konta pani Bożeny, żeby ten przez pół dnia milczał.

– Bardzo możliwe. Taka już jego prokuratorska natura. A o włoskim Romeo co myślisz?

– Jeśli to nie przypadkowa zbieżność, to naprawdę jestem głupi. Wyglądałoby na to, że Werter ukradł temu Słomińskiemu fragment życiorysu. Tylko po co? Po co kłamał Kapuśniakowej i córkom, że jest z Włoch?

– Słuchaj, Krzysiu. A jeśli my źle kombinujemy i to nie jest żaden *copycat crime*?

– W takim razie co?

– Po prostu dalszy ciąg serii. Może nasz detektyw w sutannie miał wczoraj rację. I Jacek Werter nie ma z tymi zbrodniami nic wspólnego.

– Ale DNA, paluchy, identyfikacja przez Dolkę Kapuśniak? – Byk, tracąc pewność siebie, schował się za tymi słowami jak za tarczą.

– Znasz, Krzysiu, sprawę śląskiego wampira? Dziś coraz głośniej się mówi, że skazano pierwszego z brzegu faceta, bo takie było polecenie z góry. I niewykluczone, że tu się zadziało podobnie. Szefostwo z Waszyngtonu ponaglało Adelsona, a on naszych piesków, którzy koniecznie chcieli się wykazać przed Amerykanami. Bo liczyli na wyjazd służbowy do Stanów czy inne frukta od wuja Sama...

– No tak. Mogli coś zachachmęcić z wynikami, a Dolly odpowiednio wytresować.

– Dokładnie. A Jacek Werter był wymarzoną kandydatem na seryjnego. Miał przecież wyrok za uduszenie dziewczynki.

– To co robimy? – zasępił się Byk.

– Nic, Krzysiu – zasępiłem się do towarzystwa. – Za małe żuczki jesteśmy. Najwyżej mogę pogadać ze Swobo. Jeszcze jest w Polsce. Podzielę się z nim naszymi wątpliwościami. Jest chamowaty, ale to przyzwoity facet.

Ledwie wypowiedziałem opinię o amerykańskim koledze, zatelefonował do mnie Keks, wbrew naszym podejrzeniom, trzeźwy jak osesek. Zgodnie z przepisami, jak również, żeby Byk mógł słyszeć rozmowę, przełączyłem na tryb głośnomówiący.

– Panie komisarzu, osoba, o którą pan mnie pytał, ma na koncie lokacyjnym czterysta dziewięćdziesiąt jeden tysięcy trzysta piętnaście złotych i sześćdziesiąt cztery grosze, a na bieżącym siedem tysięcy dwieście. Oczywiście zawiadomiłem bank o jej śmierci i spowodowałem zamknięcie kont.

– Czy Skabas miał do nich upoważnienie? – spytałem.

– Nie. Posiadał własne konto w tym samym banku, a na nim coś koło dwóch tysięcy. Brak regularnych wpływów, więc prawdopodobnie nie był nigdzie zatrudniony na stałe. Spłacał natomiast niewielki kredyt.

– Dziwny koleś z tego Fredzia – stwierdził Byk, kiedy skończyłem rozmowę z prokuratorem. – Wygląda, jakby przed całym światem ukrywał, że hajtnął się z Bożeną. Nikogo na ślub nie zaprosili, w każdym razie nikogo z Konstancina, wesela też chyba nie było.

– A do domu musiał się przemykać w czapce niewidce – dodałem. – I jeszcze siedzieć tam jak mysz pod miotłą. Zrozumiałbym, gdyby wyglądał jak człowiek-słoń, ale to przecież normalny facet. Domyślasz się, Krzysiu, gdzie mógł mieszkać przed ślubem? Bo meldunek, pod którym figuruje w welu, to lipa.

Oczywiście, że lipa. Na Matejki nie istniała już ceglana rudera, przy również ceglanym mostku nad rzeczką Małą, spod którego waliło tak, że przechodnie musieli nos zatykać. Jednak dziadkowie Fredka Skabasa jakoś nauczyli się ze smrodem koegzystować, a gmina udawała, że nie wie, w jaki sposób pozbywają się nieczystości.

– Coś mi świta, że pracował za granicą – przypomniał sobie Byk. – Ale kiedy zjawił się z powrotem w Konstancinie, to nie mam pojęcia. Jeszcze przed ślubem? Na logikę tak by wyglądało, bo gdzie by ją poznał? Chyba że na jakichś wczasach...

Bardziej prawdopodobne wyjaśnienie przyszło mi do głowy.

– A może w Stocerze? Pacjenci często żenią się z pielęgniarkami. Chociaż dziwne, żeby Aga i Jola niczego nie zauważyły...

– Jeśli był z innego oddziału i romansowali w jego stylu, czyli na maksa dyskretnie...

– Trzeba sprawdzić, czy mieli takiego pacjenta. Na pewno jakaś przyjaciółka twojej żony pracuje w ruchu chorych.

Byk nie wyłapał żartu.

– Halinka Okrasa – odparł rzeczowo i z pełną powagą.

Zanim jednak z tą Okrasą się skontaktowaliśmy, zadzwonił do mnie właśnie Swobo, że po numerze VIN Kominek odszukał poprzedniego właściciela poloneza pickupa. O czym najwyraźniej nie zamierzał mnie informować, jak gdyby była to wiedza na eksport, przeznaczona wyłącznie dla Amerykanów. Tak, miałem rację – troszkę gbur z tego Swobo, ale gra fair, skoro wszystko mi przekazał.

– To stary człowiek z Piły. Już go tamtejsza policja przesłuchała. Sprzedał auto miesiąc temu jakiemuś Italian. Benito Melini. Nie Mussolini, tylko Melini. Jego paszport jest w ewidencji zgubionych i ukradzionych dokumentów. W poloniezie nie zmienił rejestracji.

Kolejny Włoch, pomyślałem, może fałszywy, ale kto wie, czy nie pasuje do układanki? I dlatego opowiedziałem Swobo o Romanie Słomińskim.

TAK SAMO JAK JA BYŁA SAMOTNĄ MATKĄ DWÓJKI DZIECI; szesnastoletni Mar chodził do *high school*, młodsza Monique do klasy skrzypiec w szkole muzycznej. Zdziwiłam się, że tak łatwo zgodziła się na spotkanie, właściwie sama mi je zaproponowała.

– Mów, co u niego? Jak zadzwoniłaś tak nagle, niespodziewanie, pomyślałam, że może zła wiadomość. I przestraszyłam się. Bo wiesz, myśmy się rozstali wiele lat temu, ale on ciągle jest dla mnie ważny.

Pewnie gdyby była trzeźwa, nie mówiłaby tak szczerze; tylko kiedy ona jest trzeźwa? – pomyślałam, patrząc na jej opuchniętą twarz.

Mieszkała na przedmieściach tego swojego Burlington w jednym z identycznych domków z karłowatym ogródkiem, w zwartym szeregu stojących wzdłuż całej ulicy. Wszystkie miały jasnokawową elewację i granatowe drzwi do garaży.

– Żyję z socjału, z tego, co wyrwę od byłego męża, plus dorabiam jako manikiurzystka – powiedziała, gdy polonijnym zwyczajem siadłyśmy na leżakach przed domem. – Ogólnie wiązę koniec z końcem, choć nie tak sobie wyobrażałam ten kanadyjski raj. A w Polsce jak? Byłaś przecież niedawno.

– Tak. Drugi raz. Przedtem babcia zabrała mnie w dziewięćdziesiątym pierwszym na wycieczkę. I powiem ci, że przez te trzynaście lat niesamowicie się zmieniło. Z wyglądu normalny kraj. Tylko zarobki ciągle dziadowskie, więc ludzie szukają pracy za granicą.

– Kiedy wyjeżdżałam, to jeszcze były kartki na mięso, a ludziom płacono w przeliczeniu dwadzieścia dolarów miesięcznie – powiedziała, częstując mnie polską wódką.

Spojrzałam na etykietę i przypomniałam sobie, że taką samą pijała do samej śmierci babcia Hania. „Wiesz, Noiro” – wyznała mi kiedyś. „Odkąd skończyłam siedemnaście lat, cały czas stąпам po linie nad przepaścią alkoholizmu”.

W odróżnieniu od niej pani Lenart z pewnością z liny spadła. Byłam tego pewna, bo u kobiety uzależnienie można poznać już po drugim, trzecim drinku. Nie bardzo umiem precyzyjnie powiedzieć, w jaki sposób, ale można. Głównie to chyba głos i wyraz oczu.

– Nie oszukujmy się, Hanah: kiedy trzeba, każda z nas rozłoży nogi. – Miałam wrażenie, że wypowiadając tę sentencję, patrzy ponuro na swoje grube uda w jasnozielonych rajstopach. – Ale na dłuższą metę, dla kobiety choć odrobinę wrażliwej, jest to nie do zniesienia.

Do opróżnionej w połowie szklanki z drinkiem dołała po brzegi czystej wódki, po czym z miną umierającej na ospę Nany zrobiła smętny gest toastu.

– Piotr był gnojek, ale gdybym go kochała, pewnie bym tego wcale nie zauważyła. Młoda jesteś, więc może nie masz za sobą takiego doświadczenia, ale wierz mi, jakbyś musiała noc w noc dawać facetowi, do którego nic nie czujesz, po jakimś czasie tak by ci obrzydł, że wszystkie jego wady widziałabyś jak przez szkło powiększające. I w ogóle każdy drobiazg w nim by cię wkurwiał. Każdy jeden duperel.

Pół biedy, że mąż był ci obojętny – pomyślałam, patrząc, jak nieporadnie zapala papierosa. Najgorsze, że po wyjeździe nadal kochałaś Andrzeja, a może nawet jeszcze bardziej, bo tęsknota za nim i kontrast z Lenartem musiały podsycać uczucie. Kurwa twoja mać otumaniała cię jak LSD wizją zaatlantyckiego Edenu, wyrwała z łóżka kochanego mężczyzny i sprzedała świeżo upieczonemu Kanadyjczykowi, a ty co? Zamiast wrócić, przyznać się przed sobą do błędu, poszłaś w codzienny, tępy smutek, łagodzony jedynie alkoholem. Przez swą bezwolność mebla spieprzyłaś własne życie i Andrzeja, po dziś dzień samotnego, nie mówiąc już o tym całym Lenarcie, który od świtu do nocy musiał znosić twoją nienawiść. Bo według ciebie, a raczej: według twoich rozchwianych emocji, to on wszystkiemu był winien. Nie, nie tylko on – dowiedziałam się po kolejnym drinku.

– Jeśli cię tu przysłał na zwiady, to może jednak o mnie myśli. Powiedz mu, kiedy go spotkasz, o moich snach. Niech wie, że prawie każdej nocy przyjeżdża po mnie tą swoją małą, słodką syrenką, staje przed domem i woła, żebym pakowała siebie i dzieci, bo wracamy do Polski. A wtedy zjawia się Lenart i próbuje mnie zatrzymać, ale Andrzej tak mu daje z piąchy, że przelatuje przez płotek. I za chwilę już jesteśmy w Warszawie, a po tym skróceniu odległości poznaję, że to znowu sen. Dlaczego tylko sen? Czy on już mnie nie kocha? Ale nawet... nawet jeśli nie potrafi mi wybaczyć, ma przecież dzieci. Nasze dzieci! Naprawdę nic go nie obchodzą? Powiedz, przecież go znasz!

– Żadna znajomość, może dwa razy się widzieliśmy, kiedy byłam w Warszawie – odrzekłam chłodno. – To jego matka chciała ustalić, co się dzieje z wnukiem. Dla niej to robię, bo jest moją krewną.

W oczach Wandy płonie rozpacz. A do mnie dociera, że dwoje mu ukradła, skoro używa liczby mnogiej. Czyli, wylatując do Kanady, była w ciąży. I prawdopodobnie wiedziała o tym.

INFORMACJA Z RUCHU CHORYCH BYŁA INTRYGUJĄCA.

– Mam tu, Krzysiu, adnotację koleżanki, że pacjent o nazwisku Skabas pracował ostatnio we Włoszech i trzeba sprawdzić, czy jego ubezpieczenie jest ważne automatycznie na terenie Polski – powiedziała nam pani Okrasa, po czym zaczęła przeszukiwać plik. – Już znalazłam, wszystko w porządku, jest ekspertyza radcy prawnego, że skoro ten pan pracował w polskiej firmie...

– Halinko, kochanie. Wielkie dzięki – przerwał jej czule Byk – ale mnie interesuje bardziej, co to była za firma? Że jak? Troszkę słabo cię słyszę. Te na końcu czy de? OK, Polbet. Pewnie skrót od Polski Beton.

– Włochy wielki kraj – powiedziałem, kiedy Krzyś skończył gadać. – Ale fakt pozostaje faktem, że obaj panowie w nim bywali. Mogli się tam poznać. A co najważniejsze, obaj byli w bliskich relacjach z Kacperską. Z pierwszym przyjaźniła się w domu dziecka, a za drugiego wyszła za mąż.

– Ni chu chu. Musieli się znać. Może nawet ten Słomiński robił Skabasowi za swata. Cholera, gdybyśmy znali numer telefonu chociaż jednego z nich! Ale muszą używać kart, bo u żadnego operatora nie figurują w spisie abonentów. Właśnie sprawdziłem.

– Dziwne towarzystwo. Kacperska też nie ma abonenckiego numeru. Przynajmniej na swoje nazwisko.

– A telefon?

– Pytałem o to Agi. Widziała parę razy jak gada przez komórkę. Ale nikomu nie podała numeru. Nawet organizatorom tych kolonii

w Łącku, bo kiedy Irek się utopił, dzwonił do niej do Stoceru. Jak w Polsce Ludowej.

JUŻ W KOMISARIACIE OBEJRZELIŚMY STRONĘ TEGO POLBETU. Była to firma z Ciechanowa, pyszniąca się zagranicznymi kontraktami, w tym na budowę stadionu i hali sportowej w Pecetto Turinese, czyli jak nazwa wskazuje, gdzieś niedaleko Turynu. Zapachniało Słomińskim.

– Jeśli byli kumplami, to może przyjeżdżali razem i wspólnie wynajmowali mieszkanie – wysunąłem przypuszczenie, całkiem już w tym momencie prawdopodobne. – A kiedy odkryli, że Kacperska ma prawie pół bańki na koncie, zaczęli kombinować. Cholera, przydałby się nam teraz ten Słomiński...

Chwilami żałowałem, że mamy w Polsce wolność. W słusznie minionych czasach byłoby niemożliwe, żeby policja nie знаła miejsca pobytu cudzoziemca, a już zwłaszcza w sytuacji, gdy przybył z Zachodu.

A dziś nie wiemy nawet, kto i kiedy wjeżdża i wyjeżdża, bo straż graniczna tego nie notuje, więc nie zostaje żaden ślad. No chyba że koleś przyleci, to wtedy figuruje na liście pasażerów. Tyle że linie lotnicze przechowują dokumentację bardzo krótko i niechętnie ją udostępniają.

OK, ale w Stanach Zjednoczonych, gdzie nie ma obowiązku meldunkowego ani nawet dowodów osobistych, policja dość sprawnie łapie bandytów. Natomiast w Związku Sowieckim, kraju totalnej kontroli wszystkiego i wszystkich, niejaki Czikałto spokojnie podróżował sobie lokalnymi pociągami od wioski do wioski, zabijając dziesiątki kobiet i dzieci. Nieuchwytny przez wiele lat, choć śledztwo nadzorowały najwyższe władze partyjne i państwowe.

– Wersja pierwsza: Skabas chciał zabić żonę już z piątku na sobotę – przerwał moje refleksje Byk. – To znaczy na cmentarzu. Ale ponieważ doszło do bójki z Muchą i Burbo, musiał zmienić plany.

Ulotnił się, a jego kompan, właściciel poloneza, zawiózł Kacperską do Łącka. Ksiądz mówił, że się tam wybierała, pamiętasz? W Łącku ją wykrwawił, a potem wrócił z trupem do Konstancina. Skoro zakładamy, że udaje szaleńca, mógł tak zrobić. I co dalej?

– Gdyby Skabas nie zabił Muchy, mógłby spokojnie czekać na spadek po żonie. Ale zrobił to, choć nie wiemy dlaczego, więc musi się teraz ukrywać.

– A czy notariusze i urzędy stanu cywilnego wiedzą, że jest poszukiwany? Przypuszczam, że nie. Dlatego niewykluczone, że po upływie ustawowego terminu zbierze się na odwagę i wystąpi o spadek. Zresztą dostałby go nawet w pierdłu.

– Słusznie, Krzysiu, prawisz. Zabójstwo Muchy nie czyni pana Skabasa, jak to ładnie określa kodeks, niegodnym dziedziczenia. Żeby przepadł mu spadek, musiałby zamordować nie ciecica z cmentarza, tylko żonę.

– Ale właśnie zakładamy, że to zrobił. Z kimś do spółki. – Byk sięgnął po goldena, ale nie zapalił, tylko się zamyślił, śliniąc ustnik i gapiąc się w monitor. – Ty, Andrzej, popatrz na ten ryj. Nie wygląda ci znajomo?

Ryj należał do niejakiego Adama Brodowskiego, prezesa Polbetu, bo wciąż mieliśmy otwartą ich stronę.

„W latach siedemdziesiątych, jeszcze na studiach, wystartowałem z małą firmą wnętrzarską: uszczelnianie okien, tapicerowanie drzwi, montaż karniszy” – tymi słowami facet z wydatnym, jakby indiańskim nosem, zaczynał autolaudację.

Gdzieś, kiedyś ten nochał widziałem. I to nie u mojego imiennika, asa reprezentacji Polski, ale dużo, dużo wcześniej, choć też na piłkarskim boisku. To jasne, że nie przeciw Szarmachowi wtedy grałem, tylko... Cholera, jak się ten chłopaczek z Jeziorny nazywał? Chyba rzeczywiście Adam, ale na pewno nie Brodowski. A skoro nie Brodowski, znaczy, że coś się nam musiało pomełdać.

Chociaż, chwila, moment...

Wpisałem „brodowski” do wyszukiwarki. Wskoczyło dziewięciu Adamów, prezesów ciechanowskiego Polbetu oraz jeden Władysław, dermatolog z Zabrza. I to właśnie on dał mojej pamięci niespodziewanego kopa. Oczami wyobraźni zobaczyłem diagnostyczną latarkę wycelowaną w ohydztwo kojarzące się z nazwiskiem doktora i prezesa.

– Eureka, Krzysiu! Już sobie przypomniałem. Adam Brodawa.

– Czyli wszystko jasne. To on. Nasz koleś od gały. Zmienił tylko nazwisko, bo psuło mu *image*.

– I tak samo jasne, czemu wysłał Skabasa do Włoch. Co wielkiemu panu prezesowi szkodziło zrobić koledze z dzieciństwa drobną przysługę? Zresztą mam wrażenie, że oni się przyjaźnili. OK, nie wiem, czy to dobry trop, ale na wszelki wypadek zadzwonię do ciechanowskiej komendy. Niech spytają Brodowskiego, czy może wie, gdzie jest Skabas, a przy okazji o tego Słomińskiego. A nuż go zna.

Jak powiedziałem, tak zrobiłem, ale niestety szybko zrozumiałem, że bez wsparcia Sieniewicza gównem od nich uzyskam. Po prostu trzęśli portkami przed prezesem Polbetu i by go o cokolwiek zapytać, potrzebowali odgórnej dupokrytki.

Sieniewicz długo miał wyłączony telefon, chyba cztery razy wgrałem mu się na skrzynkę, wreszcie oddzwonił i mnie opieprzył:

– Co tak pan, kurwa, wydzwania, komisarzu? Bin Laden jebnął atomówką w Konstancin? Czy kosmici wylądowali nad Jeziorką?

Wy tłumaczyłem mu, w czym problem.

– Chyba tym razem się pan myli. Moi ludzie uważają, że Skabas jest w Czechach. Nawet nawiązaliśmy w tej sprawie kontakt z... momentem, zaraz panu przeczytam: *Krajské ředitelství policie hlavního města Prahy*. Ten ich język to taki jajeczny, że normalnie sikam ze śmiechu. Wie pan, jak po czesku są skarpetki? Woniejące pristupki. Autentyk – rzucił starym, głupim dowcipem, po czym chwilę jeszcze porechotał z braci Czechów i udobruchał się. – Dobra, komisarzu, pieprzyć tych ciechanowskich, sam do buca zadzwonię.

Buc jednak, podobnie jak jeszcze przed chwilą Sieniewicz, nie odbierał, a około godziny dwudziestej wspólnymi siłami pozyskaliśmy wiadomość, że nie ma go w kraju. Tak oto czas, cenny jak woda na pustyni, wsiąkał nam w piasek.

MONIQUE I MAR SPOGLĄDALI NA MNIE WROGO. Wanda nie zapowiedziała im mojej wizyty, więc byłam dla nich po prostu przygodną kumpelą matki od kielicha. Lody przełamały się dopiero, gdy się zorientowali, że jestem trzeźwa i w dodatku mówię z sensem.

– Nie próbowaliście jej przekonać, żeby podjęła leczenie? – spytałam, kiedy gospodyni padła nieprzytomna na kanapę. – Wiem, z tym wiąże się ryzyko, że jakaś mądra psycholog umieści was w rodzinie zastępczej, ale mam chyba na to sposób.

– Skończę dziewiętnastkę^[14] i będę mógł pieprzyć psychologów. A Moni wtedy przejdzie pod moją opiekę.

Mar już wyglądał na pełnoletniego. Wzrost i bary ojca, broda à la Fidel Castro. Spokojnie można mu było dać nawet dwadzieścia pięć lat. Natomiast Monique sprawiała wrażenie dziecka – chudziutka, z cienkimi nóżkami, i piersiami, które jeszcze ledwie, ledwie odznaczały się pod bluzką. Ani trochę niepodobna do matki, ani z twarzy, ani z budowy.

– A jaki masz sposób? – zaciekawiała się, taksując mnie niespokojnym spojrzeniem.

Prosty był – umieścić Wandę na odwyku, a dzieciaki zabrać do Nevady. Wiadomo, że ktoś się tam nimi zaopiekuje. Tylko jak zareagują na transcendentne radio i kolumbarium? Nie przerażą się, że porwałam je do sekty? Nie uznają Marines za przebierańców?

– Pomyślałam, że w czasie, kiedy mama będzie się leczyć, moglibyście zamieszkać u mnie na farmie. Niestety, moje dzieci są za małe, żeby być dla was towarzystwem. – To drugie zdanie dodałam

tylko po to, by mi zaufały, tak jakby macierzyństwo stanowiło gwarancję, że nie jestem żadną psychopatką.

– Dobrze zrozumiałem, że jesteś córką koleżanki mamy ze szkoły? – upewnił się Mar.

Tak im się przedstawiłam. Wanda w tym czasie już nie mogła wypowiedzieć żadnego zrozumiałego słowa, więc zdana byłam na siebie. Uznałam, że za wcześnie ujawniać się przed nimi jako emisariuszka Andrzeja. Bałam się ich reakcji.

– Dziwne. – Chłopak zajął miejsce na leżaku zwolnionym przez Wandę i podłożywszy ręce pod głowę, wygodnie rozciągnięty, przyglądał mi się z drwiącym uśmiechem. – Według mnie masz około dwudziestu pięciu lat, czyli musiałaś przyjść na świat mniej więcej w roku osiemdziesiątym, co by znaczyło, że twoja mama, jeśli była rówieśniczką mojej, urodziła cię jako czternasto-piętnastolatka. A jeszcze musiała wcześniej wyjechać do jakiegoś egzotycznego kraju, bo przecież jesteś *mixed girl*.

No proszę – pomyślałam – odziedziczył dedukcyjny, policyjny talent po męskich przodkach.

– Wiesz, Mar – powiedziałam, śmiejąc się. – Rozumiesz jak ten sklepikarz ze starego dowcipu, co uważał, że Afryka leży gdzieś blisko, skoro Murzyni pieszo przychodzą do niego na zakupy.

– Co robisz ze mnie głąba?! Wiem, że czarni są na całym świecie. Tyle że akurat w Polsce w tamtym czasie było ich niewielu. – Nie dawał za wygraną.

– Masz rację. Ale żeby zapłodnić dziewczynę, wystarczy jeden. Na przykład native speaker na kursach angielskiego, z którym moja mamcia jako piętnastoletnia gówniara się puściła. Bo miał toyotę, zachodnie ciuchy i portfel pełen baksów. Na takich facetów Polki patrzyły wtedy jak na bogów. To zresztą nie był Afroamerykanin, tylko Anglik, dopiero potem jego firma wysłała go do Stanów – kłamałam jak z nut. – I co, mister Holmes? Jest pan usatysfakcjonowany wyjaśnieniem?

Z miny wnosiłam, że nie do końca, ale ponieważ nie potrafił znaleźć dziury w całym, nic nie odrzekł, tylko w zamyśleniu gładził gęstwinę brody.

– Nasza matka też się sprzedała za dolce – powiedziała Monique, przysiadając u stóp brata na podnóżku. – Nic dziwnego, że się kumpłowała z twoją. Są siebie warte.

OKOŁO PIERWSZEJ ZBUDZIŁ MNIE TELEFONEM FLIP, który miał nocny dyżur.

– Szefie, dzwonił jakiś facet. Powiedział, że Skabas jest w mieszkaniu na Wierzejewskiego. Mam ściągnąć pomoc z Iwicznej, czy sami sobie poradzimy?

– Sami, Flipku, sami. Zanim dojadą, może już być po herbacie. Weź nieoznakowany radiowóz i podskocz po Byka. Spotykamy się za pół godziny przy kościele.

Domyślałem się, że pod podłogą, a może w nogach krzesel jak w *Vabanku*, skitrał gotówkę albo blit. A myśmy dotąd nie przeszukali mieszkania, tak jak się powinno, centymetr po centymetrze, więc gdyby nie donos, spokojnie zabrałby sobie to coś. Jediną ochroną były przecież plomby policyjne.

– Co nie dają nam pospać? – przywitał mnie czerwonooki Byk po zaledwie trzygodzinnej rozłące.

Oprócz Flipa towarzyszył mu Waligóra, trzeci chudy kurdupel w tym trio. Taka karma, że z jakiegoś powodu nie kierowano do naszego komisariatu wysokich, postawnych funkcjonariuszy, a jak niedawno jeden się trafił, to zaraz przy pierwszej poważnej interwencji postrzelił się w udo i zakończył karierę. Nadal więc byłem Wielkim Szefem drobnutkiej załogi. Guliwerem wśród liliputów.

– Patrz, jaki bezczelny – powiedział Byk, gdy stanęliśmy przy płocie, ogradzającym blok od ulicy.

Rzeczywiście, za żaluzjami jak UFO przesuwano się na wszystkie strony światło latarki. Wytrychem otworzyłem zamek furki

i pchnąłem ją ostrożnie, żeby nie zaskrzypiała, a w tym samym momencie w głębi ogrodu rozległo się pohukiwanie sowy. Był to Flip, który potrafił naśladować głosy bodaj piętnastu gatunków ptaków i jako dzieciak wygrał nawet międzynarodowy konkurs. Teraz dawał nam znak, że jest z Waligórą na tyłach bloku, i w razie czego udaremni Skabasowi ucieczkę przez okno w kuchni.

– Drzwi twoje – powiedziałem do Byka, a on bez słowa odbezpieczył glocka i pognął na klatkę schodową; na „klatkowską”, jak nazywaliśmy w szkolnych czasach miejsce konsumpcji tanich win owocowych.

Na wypadek gdyby koleś był uzbrojony, miałem kamizelkę, uznałem więc, że mogę zaryzykować najprostszy sposób – wszedłem na balkon, kolbą pistoletu rozpieprzyłem szybę i starając się nie poharatać ręki, sięgnąłem do wewnątrz do zamka.

Chyba tylko dzięki bramkarskiemu refleksowi cofnąłem dłoń, zanim facet sieknął tasakiem. Ułamek sekundy zadecydował, że na podłogę zamiast moich palców upadła odrąbana klamka. Światło latarki zgasło, a w ciemnościach zamajaczyła postać przemykająca się do przedpokoju.

Wywaliłem z kopa skrzydło balkonowe i wtargnąłem do mieszkania. Dopadłem Skabasa przy drzwiach. W prawej dłoni ścisnął ten swój pieprzony tasak, lewą, dygoczącą jak w napadzie epilepsji, wojował z zamkami.

Dojrzałem na ścianie białą plamę włącznika i zapaliłem w przedpokoju światło. Wtedy odwrócił się i uniósł rękę. Rzuci we mnie – przeleciało mi przez myśl, więc strzeliłem mu w ramię. Zbyt późno; zdążyłem oberwać w splot słoneczny. Aż przysiadłem z bólu, na szczęście ostrze nie przebiło kamizelki.

Odruchowo szurnąłem tasak po podłodze daleko za siebie, była to jednak zbędna ostrożność, bo Skabas nie mógł już po niego sięgnąć. Oparty o ścianę z trudem stał na nogach, a jego bluza miała kolor buraka.

Wpuściłem Byka i we dwóch próbowaliśmy zatamować krwotok, tak jak uczono nas na zajęciach z pierwszej pomocy. Lecz to nie my, tylko bliskość Stoceru uratowała rannego. W pięć minut po moim telefonie przyjechała stamtąd karetka z chirurgiem, który fachowo wyplątał go z macek Kostuchy.

WEDŁUG LEKARZA ALFRED SKABAS MIAŁ BYĆ DO NASZEJ DYSPOZYCJI ZA MNIEJ WIĘCEJ DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY; na ten czas położono go na oddziale pooperacyjnym, gdzie akurat miała dyżur Aga. Myślę, że gdyby do Stoceru trafił ufoludek albo Nessi, nie wzbudziłby w niej takiego zainteresowania jak tajemniczy mąż i zabójca jej koleżanki. Bo oczywiście cały Konstancin wiedział już o śmierci Bożeny i o naszych podejrzeniach. Idę o zakład, że źródłem przecieku była żona Krzysia, a nośnikiem: dziesiątki jej przyjaciółek.

– To on, poznaję go – szepnęła Aga, przyglądając się śpiącemu Skabasowi. – Kurczę, taki zbrodzień, a wygląda na normalnego, zwykłego faceta. Mam nadzieję, że ktoś od was będzie go pilnował, a najlepiej kilku, żeby nie pomordował mnie i pacjentów.

To oczywiste, że posadziłem przed salą dwóch policjantów, a jeszcze ochotniczo wzmocnił wartę ich kumpel, ochroniarz ze Stoceru.

– Wiem, że szef zmęczony, ale... – zaczął nieśmiało Flip, gdy przed szpitalem rozchodziliśmy się już do samochodów.

– Ale co? – zirytowałem się, że jeszcze można czegoś chcieć od niewyspanego faceta z bolącym brzuchem; pod kamizelką, w miejscu, gdzie trafił tasak, miałem czarno-fioletową plamę, a lekarz chciał mnie nawet zatrzymać na USG.

– Nie, nic takiego. Chodzi o nagranie tego dzisiejszego zgłoszenia. Chciałbym, żeby szef rzucił na nie okiem.

– Jeśli na nagranie, to chyba uchem – odpowiedziałem, a Flip jako wzorowy podwładny zarechotał z mojego żarciku.

Ale miał rację, zajmując mi czas. Rzeczywiście zachodziło wyraźne podobieństwo dwóch głosów. Tak silne, że chyba był to po prostu ten sam głos – należący do mężczyzny, który dziś powiadomił nas o Skabasie, a trzydziestego maja o zwłokach w lesie chojnowskim.

– No, Flipku, nieźle cię ptaszyny wytrenowały – pochwaliłem go, i dopiero po chwili zrozumiałem, że raczej było odwrotnie: to idealny słuch pozwalał mu imitować te wszystkie sowy, puchacze, kruki.

– Muszą się jeszcze wypowiedzieć specjaliści – rzekł skromnie. – Oni mają aparaturę o wiele czulszą od ludzkiego ucha. Ale przyzna szef, że...

– Tak. Moje gratulacje, brachu. I nawet wiem, do kogo w tej sprawie zakołatać.

MIAŁEM NA MYŚLI SWOBO, z którym i tak byłem na jutro umówiony. Przyjęli mnie we dwóch z Adelsonem, w tym samym saloniku recepcyjnym, gdzie na początku czerwca ich poznałem. Wtedy była z nimi Hanah, więc ze smutkiem spoglądałem teraz na pusty fotel.

– Śledzisz, mam nadzieję, proces Wertera – zagadnął mnie oschle Adelson.

Odpowiedziałem ni to, ni sio, bo, prawdę mówiąc, w ostatnim czasie moją uwagę absorbował wyłącznie jego *copycat*. I to o nim chciałem z Amerykanami porozmawiać.

– Bardzo, bardzo niedobrze się stało, że sprawa przeciekła do mediów. – Swobo patrzył na mnie z pretensją, jakbym to ja był winien.

– Już wcześniej antyamerykańsko nastawiona część opinii publicznej uważała Wertera za kozła ofiarnego, a teraz, kiedy się okazało, że seryjny nadal grasuje, sąd pod naciskiem ulicy może skurwysyna uniewinnić. – W głosie Adelsona narastała irytacja – A przynajmniej z zabójstwa Rai Stern i Racheli Arnold. Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Andrew: ja tak nie uważam, ale niektóre gazety już

piszą, że morderca Żydówek może liczyć w Polsce na łagodne potraktowanie.

– Takie głosy źle robią przyjaźni naszych krajów. – Sentencjonalnie i ponuro dodał od siebie Swobo, przetłumaczywszy kwestię szefa.

O jakim nacisku ulicy on mówi? – pomyślałem zdziwiony. O ile wiem, pies z kulawą nogą nie domagał się uwolnienia Wertera. Wprost przeciwnie: ledwie powstrzymałem tłum żądający jego głowy.

– Twarde dowody są tylko w sprawie zabicia tej Polki, no tej, co najpierw ją potracił samochodem. – Ton Adelsona nie pozostawiał złudzeń, że ma gdzieś Żanetę Kuchcik. – A niestety przy zwłokach naszych obywaterek nie znaleziono żadnych śladów biologicznych zabójcy.

Było dla mnie jasne, że zależy mu na wyroku skazującym bez względu na to, jak przedstawia się prawda. Byle tylko odfajkować sprawę, dostać premię i pochwałę od pana Muellera; pod tym względem niczym nie różnił się od policjantów z Polski, czy z jakiegokolwiek innego kraju.

– Są dwie możliwości, Dave – powiedziałem dukaną angielszczyzną. – Jedna, że zachodzi *copycat effect*, a druga, że oni są, że oni są... – I tu załała mnie głęboka woda, do której nieopatrznie wskoczyłem.

– Mów po polsku, ja mu przetłumaczę. – Swobo rzucił mi koło ratunkowe.

– TAK, TO SIĘ ZDARZA – POWIEDZIAŁ, KIEDY ODPROWADZAŁ MNIE DO BRAMY. – NAJCZĘŚCIEJ W SLASHERACH, ALE W ŻYCIU NIEKIEDY RÓWNIEŻ. Więc nie wykluczam, że to dwóch albo trzech panów zabawiało się w ten sposób. Jeden jest sądzony i może zacznie sypać, drugiego wczoraj złapałeś, a trzeci to pewnie ten, co dzwonił do was na komisariat. Nasza ekspertka sprawdziła: oba zgłoszenia są od tego samego mężczyzny. Ponad wszelką wątpliwość. Stuprocentowa zgodność czegoś tam, zapomniałem nazwy. – Podając mi na

pożegnanie rękę, uśmiechnął się nagle szeroko. – Czuję, chłopie, że potrzebujesz naszej pomocy – powiedział i klepnął mnie po ramieniu jak starego kumpla ze szkolnej drużyny baseballowej.

–

*Kiedy zwyciężał zemsty generał,
Ktoś inny w celi się poniewierał.
Tak na tym świecie musi być.
Że jeden daje zmarłej pić,
A drugi krwią więziennie poi wszy
Po kres swych dni.*

—

ODCZEKAŁEM NAWET TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ GODZIN, nim poszedłem do Stocera pogadać ze Skabasem. Był po operacji wyjęcia kuli i o własnych siłach chadzał już do kibelka.

– Ej, Skabas, co tak długo? – Kiedy się zjawiłem, ochroniarz właśnie łomotał w drzwi toalety.

– Nic nie kombinuj, bo nie z nami takie numery, Bruner – wtórował mu policjant z odpiętą kaburą.

– Panowie, panowie, dajcie się człowiekowi wysrać – wziął Skabasa w obronę starszy pan bez nogi. – Morderca, nie morderca, ale ma kiszki i kupę musi zrobić. Dobra, idę na hol. – Skrzypiąc protezę, wstał i pokuśtykał w stronę drzwi. – Nie będę przeszkadzał. Widzę, że wyższa szarża przyszła przesłuchać pana Fredka.

Pomyślałem, że dopisało mi szczęście, bo nie wiedziałbym, co robić, gdyby towarzyszami Skabasa na sali byli chorzy przykuci do łóżek. Wystawić wszystkich na korytarz? Tak jak w stanie wojennym mój poprzednik, kapitan MO, który jeszcze poganiał personel.

Gdy rozważałem ten, abstrakcyjny na szczęście, problem, drzwi kibla się otworzyły i wyszedł Skabas, cały od góry obandażowany i z prawą ręką na temblaku.

– Panie komisarzu, niech pan łaskawie przyjmie moje przeprosiny – rzekł na dzień dobry, a ja musiałem ukryć zaskoczenie; nie tyle nawet słowami, co tonem świadczącym, że jest to człowiek z tak zwaną w dawnych czasach kindersztubą.

Dziwne – wnuk ludzi, którzy zasmrodzili Matejki od Warszawskiej do rzeki plus kawał parku.

– Zostawcie nas, chłopaki – powiedziałem do policjantów, a kiedy wyszli, gestem nakazałem Skabasowi powrót do łóżka.

Poczekalem, aż się w nim umości, po czym przysunąłem sobie krzesło, na którym siadłem okrakiem. Czyją twarz widziałem znad

oparcia? Mordercy? Jego współnika? A może faceta przypadkiem zaplątanego w tę całą ponurą sprawę?

– Po prostu się nie zorientowałem, że pan jest z policji. – Skabas zdrową ręką potarł nieogolony policzek. – Ostatnie miesiące żyliśmy przecież cały czas w poczuciu zagrożenia. Najpierw zabójstwo mojego pasierba...

– Zabójstwo? Czemu pan tak sądzi? Eksperci uznali, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Eksperci zawsze stwierdzą, co im wygodnie. Ale ja swoje wiem. I moja świętej pamięci żona też wiedziała. Jeśli Irek dzwonił do niej z tych kolonii i opowiadał, że zaprzyjaźnił się z generałem zemsty...

– Z jakim generałem?

– Zemsty. Wy tłumaczył dzieciakowi, że to piąty, najwyższy stopień generalski. Byliśmy przerażeni. Błagaliśmy, żeby się z tym człowiekiem nie spotykał. Rozmawiałem oczywiście z kierownikiem kolonii, ale on sprawę zbagatelizował. W tej sytuacji postanowiłem zabrać stamtąd Irka, ale już nie zdążyłem.

– Mielicie państwo jakieś domysły, kto to mógł zrobić?

– Bożenka podejrzewała oczywiście rodzinę zmarłego męża. Uważała ich za zdolnych do wszystkiego. Po śmierci synka była pewna, że ją też zamordują. Oczywiście nie własnymi rękami, tylko wynajmą jakichś bandytów. A potem będą próbowali uszczknąć coś z jej majątku. Czyli, w ich mniemaniu, odzyskać.

– Pan podzielał obawy żony?

– Tak. Tylko gdzie indziej widziałem zagrożenie. Zupełnie gdzie indziej.

– Proszę mówić. Być może myślimy o tej samej osobie.

Mimo wszystkich poszlak wtedy to jeszcze było dla mnie tylko „być może”. Dopiero po odpowiedzi Skabasa zmieniło się w pewność.

– Chodzi o Romana Słomińskiego. Zawsze ostrzegałem przed nim Bożenę, ale uważała, że bredzę. Romuś był przecież jej przyjacielem z sierocińca, nazywała go małym braciszkiem.

– Dobrze pan go znał?

– Adam Brodawa, mój kumpel z czasów szkolnych, zatrudnił mnie jako brygadzystę na budowie we Włoszech. A tam ze mną, na podobnym stanowisku, pracował młody Polak mieszkający pod Turynem. Właśnie Słomiński. Zakolegowaliśmy się i pewnego dnia zgadało się przy piwku, że jestem z Konstancina, a on ma tam bliską osobę, pielęgniarkę w Stocerze. No to pojechałem razem z nim na urlop na stare śmieci i w ten sposób poznałem Bożenę. Jej mąż już wtedy nie żył. Ale tak naprawdę związałem się z nią dopiero, kiedy trafiłem do Stocera jako pacjent.

– W ostatnich miesiącach życia Piotra Kacperskiego pani Bożena i Słomiński często się spotykali. Jej były szwagier uważa, że mieli romans.

– Bzdura! To uczucie miało zupełnie inny charakter. Przynajmniej z jej strony.

– Możliwe, że Słomiński zemścił się na niej i dziecku, bo nie odwzajemniła jego miłości?

– Oczywiście. To zły człowiek. Bardzo zły. I według mnie opętany.

– Kiedy pan to odkrył?

– We Włoszech. Przechodziłem z nim kiedyś obok kościoła i nagle napatoczyła się stara żebraczka. „*Prego, prego*”, powtarzała i wyciągała do nas dłoń. Dałem jej dziesięć centów, a Roman... myślałem, że mam koszmarne halucynacje... Pchnął ją z całej siły, aż upadła, i zaczął kopać po całym ciele. A jeszcze się śmiał jak wariat. Pamiętam, że wykrzykiwał taki wierszyk: „Ruchało ją stu chłopów, dostanie tysiąc kopów”. Na szczęście jestem silniejszy, więc go obezwładniłem. I powiedziałem, żeby więcej się do mnie nie zbliżał. Ani we Włoszech, ani w Polsce.

– Opowiedział pan o tym zdarzeniu pani Bożenie?

– Tak. Ale nie uwierzyła. Rozgniewała się, że go oczerniam. Wie pan, ona miała do niego taki niemal macierzyński stosunek.

– Bywał potem jeszcze w Konstancinie?

– Stuprocentowej pewności nie mam, ale przypuszczam, że tak. Mógł się zatrzymać u Madejskich. Swoich znajomych z Turynu. Staszek Madejski też pracował z nami w Polbecie, ale często bywał u rodziny w Chylicach.

– Żona nic panu o tym nie wspominała?

– Przeciwnie. Ukrywała to przede mną. Wie pan, ja gros czasu spędzałem w centrali Polbetu w Ciechanowie, w domu byłem weekendowym gościem, więc spokojnie mogła się z nim spotykać bez mojej wiedzy. Pamiętam, że parę razy nie odebrała przy mnie telefonu, a zaraz potem wyszła niby do sklepu i przez okno widziałem, że do kogoś dzwoni. – Skabas zamilkł i zamyślił się nienawistnie. – Po śmierci Irka powiedziała mi, że Roman przyjechał z Turynu. Oczywiście jako przyjaciel rodziny, żeby wspierać nas w nieszczęściu. Błagałem, żeby uważała na niego, nigdzie z nim sama nie chodziła ani nie jeździła i spotykała się tylko w miejscach publicznych. Wyśmiała mnie, że mam paranoję.

– A według pana mógł się zjawić w Polsce wcześniej i zamordować w Łącku pańskiego pasierba. Czy Irek go znał? Bo jeśli tak, to Słomińskiemu trudno było odegrać przed nim rolę generała.

– Myślę, że widzieli się najwyżej kilka razy. Zresztą jaki problem się przebrać i ucharakteryzować? Przecież wujkowie, dziadkowie, a nawet ojcowie z powodzeniem odgrywają przez dziećmi świętych mikołajów. A stary generalski mundur można za parę stów kupić na Allegro.

Do sali zajrzał beznogi pacjent i zaraz dyskretnie zniknął. Myślałem, że to z niego Skabas się zaśmiał, ale nie. Co innego uznał za zabawne, choć w jego sytuacji była to raczej ostatnia rzecz mogąca budzić wesołość.

– Nie pyta mnie pan, dlaczego zabiłem tego ciecia na cmentarzu? Gadamy już prawie godzinę, a dotąd o nim ani słowa.

Też się uśmiechnąłem. Bo co mu miałem powiedzieć? Że jeszcze pół godziny temu podejrzewałem go o zamordowanie żony i pasierba?

Sam nie wiem, co sprawiło, że uwierzyłem w jego opowieść o Słomińskim. Intuicja? Sympatia, którą mimowolnie do niego poczułem?

– Liczę po prostu, panie Alfredzie, że sam mi pan powie – odparłem tonem pieprzonego psychologa.

GDY W DRODZE POWROTNEJ SAMOLOT WPADŁ W TURBULENCJE, część pasażerów pobladła ze strachu, część się porzygała, a ja z zamkniętymi oczami przywoływałam obraz Myszy i wymyślałam sobie od idiotek, kretynek, debilek, intelektualnych ameb *et cetera* bomba: „Masz, imbecylko, własne dzieci, z którymi powinnaś teraz być, zamiast latać tysiąc mil do cudzych i wpieprzać się w ich życie. A w dodatku co osiągnęłaś? Dowiedziałaś się, że Wanda nie będzie robić Andrzejowi żadnych trudności w kontaktach z nimi. Wprost przeciwnie: Mar i Monique staną się teraz w jej drżących od alkoholu dłoniach przynętą. Wabikiem na swego biologicznego tatę. Tego, głupia, chciałaś? Nie! Tobie się marzyło, że jak Lara Croft uwolnisz je ze smoczej jamy Lenartów, po czym zwrócisz Andrzejowi niby powtórnie urodzone. Tym razem przez ciebie.

A wyszło tak, że Wanda pewnie pójdzie teraz na odwyk, a po nim, odmłodzona i wylaszczona zjawi się w Konstancinie z dziećmi pod pachą. »Andrzeju, przebacz, przez całe życie tylko ciebie jednego kochałam«, poleci tekstem z telenowel i efekt może też się okazać telenowelowy. Wrócą do siebie i będą żyli długo i szczęśliwie”.

Koszmar! – dotarło do mnie w tym momencie. Marzy mi się patchworkowy związek z Andrzejem: moich dwoje, jego dwoje, pewnie jeszcze dorzucilibyśmy jakieś nasze. Lecz, niestety, są Wanda i Diego. Co będzie, jeśli ona przestanie pić i stanie się atrakcyjną, zadbaną czterdziestką, a prezydent Bush, do którego ostatnio wysłałam wzruszający list samotnej matki, ułaskawi mojego męża?

To okropne, że moje szczęście może być zbudowane tylko na tragedii innych ludzi. Ale fakt brutalnie pozostaje faktem, że najlepiej byłoby dla mnie, gdyby Wanda zapłała się na śmierć, a Diego zginął w więzieniu z rąk Czarnych Lordów.

– Babciu, naprawdę nie ma żadnego innego wyjścia?

Ale widocznie w samolocie nie działało połączenie z tamtym światem, bo nie dostałam odpowiedzi.

– PAN WIE, ŻE BOŻENA CZĘSTO CHODZIŁA NA GRÓB IRKA – Skabas jakoś źle się oparł na zranionej, operowanej ręce, więc jęknął, stęknął i się skrzywił, lecz dzielnie mówił dalej: – Można powiedzieć: bardzo często. Co kilka godzin. Nawet w nocy, nawet nad ranem. I jeśli byłem w Konstancinie, zawsze jej towarzyszyłem. Bo, wie pan, cmentarz to miejsce niebezpieczne. Słomiński mógł ją tam napaść. Brałem ze sobą tasak, ten sam, którym omyłkowo pana próbowałem uderzyć.

– A po co były panu ciemne okulary? – spytałem, cały czas mając przed oczami portret pamięciowy według zeznań Burbo. – Duże, plażowe, tak je określił świadek...

– Pomagają mi na ból głowy. Dwa lata temu po pijaku przywaliłem w latarnię i odtąd miewam paskudne migreny. Nie dość, że prawko na pięć lat straciłem, to przy okazji zdrowie.

– OK, to była dygresja. Wróćmy na cmentarz. Kiedy przyszlście tam państwo o świcie, cieć ze swoim kompanem jeszcze biesiadowali. Mam rację?

– Tak. I to właśnie o tego kompana chodziło. O Waldka Burbo. – Skabas przerwał i zapatrzył się tępo gdzieś w przestrzeń. – Trochę dla mnie krępujący temat – rzekł po chwili – ale trudno. Będzie pan pierwszym człowiekiem, któremu się zwierzę z tego obrzydlistwa.

I opowiedział mi o zdarzeniu z siódmej klasy podstawówki, absurdalnym i chorym, które w kilka minut zatrulo jego psychikę

i pamięć na całe życie. Po lekcjach poszedł się wysikać do szkolnej ubikacji, gdzie napatoczył się na Waldka Burbo palącego papierosa.

– Chcesz jabłko? – Dwa albo nawet trzy lata starszy kolega uśmiechnął się przyjaźnie, częstując czerwoną, dojrzałą renetą.

Fredek nie przepadał za jabłkami, ale najgroźniejszemu gitowi w szkole strach było odmówić. Wziął więc, ugryzł. I stało się.

– Nie wiesz, że w bardaszce nie ma szamania? – spytał Burbo. – Właśnie sam się przecweliłeś.

Po czym zaciągnął przerażonego, płaczącego Fredka do kabiny i kazał mu obciągać. Groził, że inaczej obleje go rozpuszczalnikiem i podpali.

– Poprosiłem dziadka, żeby przepisał mnie do podstawówki w Słomczynie – zakończył Skabas. – Co więcej mogłem zrobić? Bałem się, że jeśli pójdę gdzieś na skargę, wszyscy się dowiedzą i zostaną pośmiewiskiem. A Burbo za karę robi mi to samo jeszcze raz, tylko brutalniej.

Wystarczyło mi wyobraźni, żeby zobaczyć scenę z cmentarza, i empatii, by się wczuć w jej bohatera. W świetle poranka Skabas ujrzał nagle człowieka, który przed laty, dla zabawy, psychicznie go okaleczył. Potężnego, bezwzględnego prymitywa z kropką pod lewym okiem. Zwyrodniałego dyktatora konstancińskiej podstawówki.

Ale po latach Waldemar Burbo był wrakiem, kaleką ze sparaliżowanymi rękami. Mógł jedynie chować głowę w ramiona i błagać o litość.

– Zabiłbym go, gdyby mnie Bożena nie odciągnęła. Myślała, że zwariowałem, bo przecież nie powiedziałem jej, czemu to robię.

– A wtedy na pomoc Burbie przybiegł Mucha – domyśliłem się. – I pewnie, jak to ciecie mają w zwyczaju, z jakimś drągiem.

– Z motyką. A ja rzuciłem w niego tasakiem, trafiłem w głowę, no i resztę pan wie.

Rzeczywiście, przypomniałem sobie, była tam na cmentarzu motyka. Leżała za ławką, na której Mucha i Burbo pili. Nie umiałem jej

jednak w żaden sposób powiązać z tym, co się wydarzyło.

– I co dalej, panie Fredku?

– Nic. Uradziliśmy z Bożeną, że pojedę do Ciechanowa, a ona tam pod Płock, gdzie utonął Irek. Byliśmy pewni, że nikt nas nie widział i sprawa rozejdzie się po kościach. Zaglądałem co kilka godzin na Konstancin²⁴, żeby zobaczyć, czy są jakieś wiadomości o postępach śledztwa.

– W ten sposób dowiedział się pan o śmierci żony?

– Nie. To Słomiński do mnie zadzwonił. Powiedział, że wie, kto to zrobił, i może przekazać mi zdjęcia, które dla policji będą dowodem. Zaproponował, żebyśmy się spotkali w jej mieszkaniu na Wierzejewskiego.

– Dziwna propozycja. Przecież na Konstancin²⁴ już napisali, że podejrzanym o zabójstwo Muchy jest partner Bożeny. Obaj mogliście przypuszczać, że w tej sytuacji lokal jest przez nas obserwowany. Nie lepiej było gdzieś w ustronnym, miejscu poza Konstancinem?

– Nie myślałem o tym. Było mi wszystko jedno. Wiedziałem, że te zdjęcia to na pewno fałszywki, a mordercą jest Słomiński. Chciałem go zabić. Gdziekolwiek. Choćby tam na Wierzejewskiego.

OPRÓCZ ZEZNAŃ SKABAS OFIAROWAŁ NAM TAKŻE INNY SKARB – swój telefon na kartę, dzięki czemu, choć aparat Bożeny Kacperskiej zaginął, poznaliśmy jej numer, a co za tym idzie, billingi.

– Trzydziestego pierwszego lipca aż cztery razy dzwoniła do Słomińskiego – powiedziałem, przeglądając wydruk. – To jest na pewno jego numer, bo z niego dzwonił potem do Skabasa.

– Ale do nas na komisariat już z automatu. Konkretnie sprzed Starej Papierni. – Byk w zamyśleniu mazał flamastrem jakieś esy-floresy na marginesie billingu. – A co nam szkodzi? – rzekł nagle i z szelmowskim uśmiechem. – A nuż, widelec.

Słomiński nie odbierał, ale telefon miał włączony.

– OK, dzwoni do tych speców od namierzania. Może śpi sobie spokojnie gdzieś niedaleko.

Miał Krzys rację, bo według fachowca z Ery GSM telefon logował się do sieci na Królewskiej Górze, róg Gąsiorowskiego i Żółkiewskiego

– Obława? Czy dyskretne wejście? – spytał Byk, który oczywiście optował za tym drugim.

Ja również, zwłaszcza że z Iwicznej mogli nam przysłać najwyżej piętnastu do dwudziestu chłopaków, a to stanowczo za mało, żeby osaczyć kogoś w lesie. I aż nadto, żeby go spłoszyć.

PAUL, A WŁAŚCIWIE PABLO, BO TAK KAZAŁ DO SIEBIE MÓWIĆ, ZADZIAŁAŁ EKSPRESOWO. Zatelefonowałam do niego z Toronto przed wizytą u Wandy, a odpowiedział, jak tylko wylądowałam w Nevadzie. Taki był z niego szybki facet. W pewnych sprawach nawet za szybki.

– Cholera z tobą, Hanah. Dzwonisz, a potem wyłączasz telefon.

– Przepraszam, Pablo. Leciałam samolotem. Mów, skarbie, czego się dowiedziałeś.

Podczas wspólnej nauki w Akademii Policyjnej troszkę ze sobą romansowaliśmy, ale włoska mamuśka przekonała go, żeby nie wiązał się z taką jak ja, czyli czarną z dwójką dzieci. Zresztą zaraz po dyplomie wyjechał do Rzymu jako oficer łącznikowy. Żadna strata.

– No więc gość, który cię interesuje, jest w kartotekach Polizia di Stato oznaczony literkami „mp”. *Malato psichico*. Mądrej dziewczynce nie muszą tłumaczyć na angielski. Znęcał się nad żebrakami i bezdomnymi, ale zamiast do pierdła trafił do czubków. Wcześniej, jako szesnastoletni gnojek, prysnął z domu i znaleziono go dopiero w Słowacji albo Słowenii. Jego rodzice to emigranci z Polski. Tak jak mówiłaś, adoptowali go z jakiegoś polskiego sierocińca, kiedy miał dwanaście lat. A teraz niedawno ten pan Słomiński kopnął w kalendarz i zostawił mu spory spadek, według urzędu skarbowego coś koło stu tysięcy euro. Wystarczy, czy mam dalej robić *research*?

– Rób, rób. I wszystko przekazuj mnie albo Swobo. A najlepiej zdjęcia kolesia.

– Tylko że one są sprzed ośmiu lat. Nowszymi włoska policja nie dysponuje.

– Nie szkodzi. Od czego są programy? A, i powiedz makaroniarzom, żeby zatrzymali Słomińskiego, jak tylko się u nich pojawi. W Polsce zamordował kobietę i prawdopodobnie dziecko.

Zapomniałam, że Pablo obrażał się za makaroniarza. „Czy ja używam przy tobie słowa czarnuch?”, darł się podczas naszych kłótni. „Możesz używać”, odpowiadałam. „Mam skórę niewiele ciemniejszą od twojej. Za to ty wyglądasz, jak tłusty właściciel pizzerii z Little Italy”.

– OK, Hanah. Jesteśmy w kontakcie – mruknął i się rozłączył.

ERA PRZYSŁAŁA NAM FAKSEM MAPKĘ Z ZAZNACZONYM DOMNIEMANYM PUNKTEM, Z KTÓREGO TELEFON SŁOMIŃSKIEGO SIĘ LOGOWAŁ. Coś musiało im się popieprzyć, bo najbliższy dom stał daleko stamtąd, oddzielony dwiema niezabudowanymi, za to gęsto zalesionymi dużymi działkami.

– Dryndnij do nich, niech jeszcze raz spróbują go namierzyć – powiedział grzybiarz Krzyś do grzybiarza Andrzeja.

Obaj klęliśmy ten kamuflaż wymagający ciągłego schylenia się i przykucania. Na szczęście nie musieliśmy się wygłupiać i robić pantomimy, bo w przydrożnym lasku aż żółto było od kurek i beżowo od koźlaków. Wkrótce nóżka przy nóżce, kapelusz przy kapeluszu skutecznie zamaskowały w kobiałkach nasze glocki.

Gość z Ery nie odbierał. Na pewno się zorientował, że to znowu ci z konstancińskiej policji zawracają mu dupę.

– Spróbujmy na słuch – powiedziałem do Byka i obaj schowaliśmy się za kępą olszyny.

Krzyś nacisnął w telefonie klawisz, powtarzając swoje ostatnie połączenie, i po chwili z głębi zarośli rozświergotał się sygnał. Jeden,

drugi, trzeci, potem chwila ciszy i komunikat skrzynki dźwiękowej. Nie rozumiałem, co mówi męski głos, zobaczyłem tylko, że Byk gwałtownie pobladł i kurczowo ścisnął słuchawkę.

Mocując się z gałęziami, wtargnęliśmy do leszczyнового kłębu. Tym razem ja zatelefonowałem i zadzwieczało gdzieś dosłownie o krok.

– Dzień dobry. Kłania się odrzucona krew. Moja dawna właścicielka kąpie się w stawie za Mirkowem – poinformował mnie grzecznie Roman Słomiński.

Byk odsunął ostatnią gałąź, która oddzielała nas od głosu, i zobaczyliśmy porzucony telefon. Gdyby nie miał skórzanego pokrowca, z pewnością zamókłby w wielkiej, purpurowej kałuży.

NIE MUSIELIŚMY SZUKAĆ TRUPA. Piętnaście minut później, gdy wydzwaniałem do Sieniewicza i po techników, wstrzelił się między połączenia Flap i zameldował, że strażacy wyciągnęli właśnie z wody zwłoki kobiety na oko pięćdziesięcioletniej.

Na tym stawie, zaraz za mirkowską papiernią, był popularny wyciąg wakeboardowy, więc już koło dziesiątej rano ktoś zauważył denatkę. Czyli wtedy, gdy udawaliśmy z Krzysiem zbieraczy grzybów i obaj mieliśmy ze zrozumiałych względów ściszone telefony.

– Patrz, Krzys, jaka popieprzona chronologia – powiedziałem. – Pamiętasz, za pierwszym razem jego skrzynka się nie odezwała. A pół godziny później, jak zajechaliśmy na Królewską Górę, miał nagrany cały tekst. Niewykluczone, że jeszcze siedział tam w krzakach, kiedy zaczynaliśmy grzybobranie. Czyli w nocy albo wczesnym rankiem zabił ofiarę, wykrwawił, zawiózł do Mirkowa i wrzucił do stawu. A potem wrócił na miejsce zbrodni. Musiał wrócić, skoro tam go zlokalizowali ci z Ery. Po co?

– Wiedział, że po zawinięciu Skabasa znamy jego numer i prędzej czy później go po nim namierzemy. – Byk tak był przejęty, że przez

nieuwagę zapalił dwa papierosy prawie jednocześnie. – Dlatego uznał, że czas się pozbyć komórki.

Wziąłem od niego nadliczbowego goldena.

– A ponieważ ma chłopak poczucie humoru, żegnając się z telefonem, pozwolił sobie na dowcip.

– Czarne poczucie humoru – poprawił mnie Byk. – Dobra, poczekamy na ekipę, a potem zajrzemy do Madejskich.

– Znasz ich? – zdziwiłem się, choć przecież nie powinienem, bo Byk znał w gminie mnóstwo ludzi, a jego żona jeszcze więcej.

– Takie polsko-włoskie małżeństwo. Z nim w podstawówce trenowałem kolarstwo przełajowe. A siostra Staszka przyjaźni się z siostrą mojej Lusi i jest nawet matką chrzestną któregoś z jej dzieciaków. Ale oni chyba już się wynieśli z Chylic. Coś słyszałem, że do Warszawy się przeprowadzili.

Miał Byk rację, ale tylko częściowo. Gdy zjawiliśmy się w przerobionej na budynek mieszkalny dawnej parowozowni, rzeczywiście – trzy z czterech mieszkań stały już puste, w czwartym jednak, na parterze, zastaliśmy starą babinę.

– To chyba babcia Madejskich – powiedział do mnie Byk, a w przekonaniu, że ma do czynienia z przygłuchą, niewiele tylko ściszył głos.

Pomylił się.

– A babcia, pewnie, że babcia – zaskrzeczała staruszka przez próg. – A wy cośta za jedne i czego chceta?

Spytałem o Stanisława Madejskiego, ale tylko machnęła ręką.

– Panie, rok już będzie, jak wyjechały. Wszystkie. Ja ino żem została, bo gdzie mi na starość do jakichś Włochów? Ale z Chylic też się wyprowadziłam. Do Warszawy. Staś kupił mi alegantkie mieszkanie w bloku. Z gazem, ciepłą wodą, nie to, co tu, że trza węglem palić. Mieliśta szczęście, że mnie zastaliśta, bo akuracik przyjechałam podpisać z kwaterunkiem rozwiązanie umowy.

– Zna pani Romana Słomińskiego? – przeszedł do sedna Byk.

– Czego od razu nie mówita, żeśta z milicji? Tak, to znajomek Stasia z Turynu. Nawet był u mnie gdzieś pod koniec maja. Chciał zamieszkać na miesiąc, ale się nie zgodziłam, bo przecie już byłam, jak to mówią, na wylocie. *Arrivederci* Chylice. To jedyne słowo po włosku, którego się nauczyłam od wnuków. – I roześmiała się, szeroko otwierając bezzębne usta.

– Coś jeszcze mówił? – zapytałem.

– Nic szczególnego. Z grzeczności spytał, gdzie się wyprowadzam, to powiedziałam, że na Wiertniczą. Jak umrę, nie trza będzie daleko mnie taszczyć, bo tam zaraz cmentarz. A on na to, żebym nie mówiła głupstw, bo jeszcze wiele lat przede mną. Akurat! Ale zawszeć starej przyjemnie usłyszeć. Miły chłopiec.

– CHCIAŁAM SIĘ OTRUĆ, PRZY NIM OTRUĆ, żeby dotarło do niego, jak bardzo mnie skrzywdził – mówiła Grażyna Werter; po miesięcznym pobycie w szpitalu wyglądała niewiele lepiej niż szkielet, którym byłaby, gdyby przyjęty cyjanek nie okazał się zwietrzały. Wyjaśniła, że kupiła go dawno temu, kiedy podejrzewano u niej raka jajnika i przeleżał się potem w różnych skrytkach, czekając, aż znowu będzie potrzebny.

Rozmawiałyśmy na tarasie pustej kliniki, z której złowrogi cień Jacka Wertera skutecznie wystraszył pacjentów. Nikogo w ogrodzie, tylko jakiś człowiek w roboczym stroju krzątał się przy fontannie i sitkiem na kiju odławiał liście. Śledząc bezwiednie jego ruchy, zastanawiałam się, czemu nie broniła Jacka. Dlaczego nie zeznała przed sądem, że to była próba samobójcza? Sił jej zabrakło, czy chęci, by zaprzeczyć jego skonfabulowanym samooskarżeniom?

Nie o tym jednak przyjechałam z nią rozmawiać. Co innego mnie tu ściągnęło wprost z lotniska.

– Pani Grażyno, o co chodziło z tym chłopcem, który dowiadywał się o krynicki adres Jacka? – spytałam, bojąc się, że za chwilę mi

przyśnie, zemdleje, spadnie z krzesła, tak bardzo zdawała się wycieńczona po zatruciu.

– Przecież Jacek nigdy nie mieszkał w Krynicy – otworzyła oczy i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. – A, już rozumiem, mówi pani o tych tragicznych wakacjach w dziewięćdziesiątym czwartym... Tak, rzeczywiście. W dniu naszego wyjazdu przyszedł młody człowiek i pytał o syna.

– Pani mieszkała wtedy w Warszawie, prawda?

– Dosłownie vis-à-vis liceum, do którego chodził Jacek. Na Polnej. Przepraszam, o co pani pytała? OK, już wypływam na powierzchnię. No więc Jacka nie było wtedy w domu, poszedł chyba na nabożeństwo Karma Kagyu. Wyjaśniłam temu koledze, jaka sytuacja, i że pewnie się już dzisiaj nie spotkają, bo za kilka godzin mamy pociąg do Krynicy. A wtedy on nagle się zainteresował i spytał, do której. Powiedziałam, że do Górskiej... Pani jako Amerykanka pewnie nie wie, że w Polsce są dwie Krynice. Górską i Morską.

Uśmiechnęłam się.

– Człowiek całe życie się uczy. I co było dalej? Poprosił o adres pensjonatu?

– Tak. I wtedy w jego głosie usłyszałam obcy akcent. Powiedział, że też za parę dni przyjedzie do Krynicy.

– Dała mu pani ten adres?

– Oczywiście. Nie jestem z tych matek, które cenzurują i ograniczają kontakty syna. Choć być może akurat w tym wypadku należało odstąpić od wolnościowych zasad.

– Coś panią w tym chłopcu zaniepokoiło?

– Po pierwsze odniosłam wrażenie, że się ucharakteryzował, żeby zmienić wygląd. A po drugie, wie pani, Jacek prawie w ogóle nie miał znajomych. W szkole był nie lubiany, nawet wyśmiewany. Więc się zdziwiłam, że nagle zjawia się ktoś, kto się zachowuje, jakby był jego dobrym kumplem.

– Ale w Krynicy go nie odwiedził?

– Nie. Choć wydawało mi się parę razy, że kręci się niedaleko pensjonatu. Mówiłam o tym prokuratorowi i do dziś brzmi mi w uszach jego odpowiedź: „Wie pani co? To są pani urojenia i nic więcej”. Wydawał z siebie okropny, skrzeczący głos à la Gomułka.

Nie miałam pojęcia, kto to taki; pewnie jakiś polski aktor. Za to doskonale wiedziałam, że muszę Werterowej zadać jeszcze jedno, to najważniejsze pytanie. Tylko jak to zgrabnie zrobić?

TERAZ JUŻ W CAŁEJ POLSCE HUCZAŁO, I NIE TYLKO W POLSCE, bo brat zatelefonował do mnie z Krety, że w ERT idzie na pasku wiadomość o dwóch wampirach grasujących pod Warszawą.

– Błagam cię, nie naśluduj moich ohydnych zbrodni! – mówił następnego dnia we wszystkich polskich stacjach Jacek Werter. – Nie pomnażaj zła, które uczyniłem. Jeśli mordowanie sprawia ci przyjemność, zabij mnie, weź na siebie rolę kata, ale oszczędź niewinne kobiety.

Miliony zgromadzone przed telewizorami musiały odczuwać zawód. Zamiast polskiego Hannibala Lectera, pomagającego policji w walce z innym seryjnym, na ekranie pojawił się człowiek-nikt – z twarzą rozmazaną, rozpadającą się na drobne, drgające kwadraciki i jeszcze przysłoniętą czarnym paskiem. Tak go zresztą od samego początku pokazywano i oczywiście nazywano Jackiem W.

Amerykanie muszą być zadowoleni – pomyślałem – bo w ten sposób *implicite* przyznał się do winy. Pewnie adwokat tak mu doradził, licząc, że to udobrucha opinię publiczną, a co za tym idzie, ośmieli sąd do ewentualnego skorzystania z artykułu trzydzieści jeden. Sędziowie są tylko ludźmi i boją się, żeby ktoś na ulicy nie napluł im w twarz, jeśli uznają Wertera za wariata. Lepiej więc, na ile to możliwe, uspokoić społeczne nastroje.

GRAŻYNA WERTER NIC NIE WIEDZIAŁA O LITERZE „J”. A nie przypuszczam, żeby kłamała, skoro we wszystkim innym była ze mną

szczerą. Miałam wrażenie, że traktuje mnie tak jak rozbitek na bezludnej wyspie pilota samolotu ratunkowego.

– Zjawiała się nagle w nocy z kilkudniowym chłopczykiem na ręku – tak rozpoczęła swoją opowieść. – Mieszkałam wtedy w wieżowcu na Puławskiej, tak zwanym pekaowskim, bo kupowało się w nim mieszkania za walutę, moje oczywiście kupił mi austriacki małżonek. „Wiem, że nie możesz mieć dzieci – powiedziała prosto z mostu – ale za cztery tysiące papieru zrobię cię szczęśliwą mamusią. Nie bój się. On jest totalnie anonimowy, a właściwie w ogóle nie istnieje. Urodziłam w domu i nigdzie tego nie zgłosiłam. Wystarczy, że załatwisz metrykę, a to dla żony bogatego Austriaka *no problem*. Mogę cię umówić ze znajomym kierownikiem USC. To kutas z ubeckiej rodzinki, więc bez strachu bierze łapówki”.

– Skąd pani ją знаła? – zaciekałam się, ale wyjaśnienie okazało się trywialne.

– To moja koleżanka z psychologii. Na pierwszym roku nawet dość bliska. Ale już na drugim zaczęła się staczać przez wódkę i szybko wyleciała ze studiów. Musiała od jakiejś wspólnej znajomej usłyszeć, że leczę się z bezpłodności, i stąd pomysł, żeby sprzedać mi dziecko.

Oskar Werter, mąż Grażyny, radośnie zaakceptował pomysł, łapownik ochrzcił maleńkiego Jacusia państwowo, a ksiądz – już legalnego – religijnie; sąsiedzi i znajomi trochę się może z początku dziwili, ale skoro małżeństwo częściej bywało w Austrii niż w Polsce, to w sumie co nadzwyczajnego? Za granicą zaszła w ciążę, za granicą urodziła. Normalna rzecz.

Zrozumiałam życiowy plan nieszczęsnej alkoholiczki. Pomijając moralny aspekt, na pozór wydawał się OK. Jednego tylko w nim nie uwzględniła – siebie. Nie zrozumiała, że nałóg prędzej czy później ją pokona. A tysiące baksów od Werterowej, choćby nawet je w coś sensownego zainwestowała, koniec końców porwie pijacki cug.

JESZCZE RAZ OBEJRZAŁEM, A RACZEJ POSŁUCHAŁEM SOBIE WERTERA W POWTÓRCE WIADOMOŚCI przed północą. Cholera, czy wypada dzwonić o tej porze do Swobo? Bo po tym, co mi nagle przyszło do głowy, zapragnąłem gwałtownie tej jego dziewczyny od fonoskopii. Chyba jednak nie wypada – doszedłem do wniosku, ochłonąwszy z pierwszego „eureka!”. Zdałem się zatem na mego Flipa, który miał w komisariacie dyżur.

– Słuchałeś, Flipku, orędzia Jacka W.?

– Jasne, szefie. Chodzi panu pewnie, że ma podobny głos do Słomińskiego. Tak, też to zauważyłem. Wygląda, jakby jeden drugiego naśladował. Tylko który którego i po chuj. Ups, wymsknęło się, już płacę karę.

Ulżyło mi. Z fachową ekspertyzą można poczekać do jutra. A na ten moment wiedziałem już, że jest tak, jak myślę. Bo Flip ze swym absolutnym słuchem z pewnością się nie mylił. Który którego naśladował? – powieliłem jego wątpliwość, lecz po chwili wiedziałem już, że nie ma się nad czym zastanawiać. Oczywiście, że Słomiński Wertera. Tak samo jak w zbrodni.

I nagle aż pięścią walnąłem stół, podrywając Azana z legowiska.

– Cholera. A jeśli to on Wertera zrobił – gadałem do siebie jak pomyłony. – Wystarczy przecież, że w jakiś sposób zdobył jego naskórek i nasienie, a dalej poszło już samo: wszystkie zabójstwa z wykrwawieniem zwłok i porzuceniem ich z dala od miejsca zbrodni z automatu przypisaliśmy Jackowi Werterowi. A że Dolly Kapuśniak go rozpoznała? Niedawno podejrzewałem, że Adelson ją nakłonił dolarami. Ale może wcale nie. Może Słomiński ucharakteryzował się na Wertera. To cholernie trudne, ale możliwe. Prawie wszyscy dyktatorzy mieli przecież sobowtórów.

Ledwie urodziłem na głos ostatnią myśl, ktoś cicho zapukał do drzwi, Azan szczeknął, a ja się zawstydzilem, przekonany, że to na pewno sąsiadka z dołu przyszła nieśmiało prosić, bym nie budził jej dzieciątka.

Rzeczywiście, była to kobieta, młoda dziewczyna, ale – nie sąsiadka.

DLA SAMEJ JEGO MINY WARTO BYŁO PRZELECIEĆ ATLANTYK. Miny wielkiego misia, nieporadnego ze wzruszenia. „Maleńka Bebi i duży Bobi kochają się jak my. Niech ktoś laleczce chce krzywdę zrobić, to misio mruczy zły. Jam mała Bebi, tyś duży Bobi, dobrana para z nas” – przypomniała mi się piosenka, podobno jeszcze przedwojenna, którą babcia Hania śpiewała o moich ukochanych przytulankach.

– Hanah, dlaczego wyjechałaś? Czemu wysłałaś tego okropnego SMS-a? – spytał ze skargą jak chłopczyk, który niezasłużenie dostał lanie.

A jego pies siedział mu u nóg i przyglądał mi się, przekrzywiając głowę ze zdziwienia. „No proszę, znowu jest, nie nadążysz za taką”, mówiło spojrzenie brązowych, migdałowych oczu.

BEZ ŁADU I SKŁADU WYPOWIADAŁEM SŁOWA, WYMYŚLONE POD NIEOBECNOŚĆ HANAH przez trzy smętne tygodnie, gdy nadzieja, z braku realnych zwiastunów jej powrotu, karmiła się fantazjami.

Położyła mi palec na ustach.

– Nie gadać, tylko całować – szepnęła.

MIEWAŁAM SPRAWNIEJSZYCH KOCHANKÓW, wytrenowanych seksualnych cwaniaczków, którzy jak świnia trufkę bezbłędnie znajdowali punkt G, a potem, obżarci viagą, fundowali mi seryjne orgazmy; plastikowe, sztuczne i martwe. Bo moja dusza opuszczała wtedy ciało, stała obok i patrzyła na mnie z niesmakiem.

Dlatego zawsze wołałam wulgarnie mówić, że dałam facetowi, a nie że mu się oddałam. To słowo powoli wychodzi z obiegu, staje się archaiczne, zarezerwowane dla bohaterki przedwojennych powieści. Oddać się znaczy tyle, co się powierzyć. Duszą i ciałem. A jak można

powierzyć się któremuś z tych nowoczesnych chłopaków? Obojętne – gangsta czy yuppie, wszystko w nim jest oszukane, fałszywe jak jego kaloryfer wyrzeźbiony sterydami. To jakby powierzyć kasę ćpunowi z Washington Park.

Natomiast Andrzej był niczym solidny, budzący zaufanie bank z wielopokoleniową tradycją. Taki się tu w Konstancinie uchował – facet starej daty.

Pomyślałam, że jestem pieniążkiem bezpiecznie zdeponowanym w mocnym sejfie jego ramion. Kto wie, czy się nie pomnożę?

PRZYSUNĘŁA MI PRZED OCZY TELEFON; na ekranie dwoje dzieciaków, mniej więcej siedmioletnich, obejmowało za szyję osiołka albo muła. Złotowłosa dziewczynka, szczerbata po stracie mleczaków, uśmiechała się szeroko do osoby robiącej zdjęcie, pewnie mamy, a negroidalny chłopczyk z poważną miną całował zwierzaka w ucho.

– Kate i Mick. Czyli Myszka i Myszek – powiedziała tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, czyje to dzieci.

Zanim zebrałem się na odwagę, by zapytać, kto jest tatą, zdążyła zmienić fotografię. Zobaczyłem brodatego, postawnego młodzieńca na leżaku i stojącą obok strzelistą, chudą blond pannicę.

– A to twoje. Mariusz, zwany Mar, i Monika. Tak, tak, głupiutki misiu, córcię sprytna Wanda uwiozła ci do Kanady w brzuchu. Ale nie złość się, no już, już, nie zaciskaj pięści. Bo zaraz zamienisz się w swojego dziadka z kastetem.

Pieściła mój kułak, póki go nie rozwarłem. A ja miałem wrażenie, że ta noc ostatecznie przecina moje życie na pół. Wszystko zaczęło się od podwójnej zbrodni w lesie chojnowskim, już wtedy czułem, że idzie jakieś tajemnicze nowe, potem poznałem Hanah, i teraz finał – jestem ojcem nieznannej mi Moniki z Burlington i ojczymem dwójki amerykańskich szkrabów.

– A CO W SPRAWACH ZAWODOWYCH? – spytałam, gdy nad ranem wyszliśmy z psem na spacer. – Skarżyłeś się Swobo, że utknąłeś w martwym punkcie. Tak to jest, jak się misia zostawi samego.

– Mnóstwo rzeczy zadziało się od twojego wyjazdu – powiedział, jak gdyby tłumaczył się przede mną. – Pewnie wiesz, że pojawił się *copycat* Wertera.

Wiedziałam wszystko. Od Swobo i Adelsona, z którymi codziennie konferowałam przez Skype'a. Pewnie więc moja wiedza była większa niż Andrzeja. Tym bardziej że już odgadłam, co znaczy tajemnicza litera „J”. A on tymczasem kombinował jak koń pod górę i łapał się lewą ręką za prawe ucho.

– Wiesz, kto jest matką Jacka Wertera? – zapytałam, patrząc na fabryczny komin Mirkowa, za łąkami; znaczył miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, krwawoczerwony, zasnuty mgłą ze stawu, z którego przedwczoraj wyłowiono kolejną ofiarę.

– A nie ta psycholożka? – spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Nie. Grażyna Werter kupiła go jako noworodka. Nie przesłyszałeś się: kupiła. Dwadzieścia siedem lat temu od swojej byłej koleżanki ze studiów. Za cztery tysiące baksów. Wtedy w Polsce to była straszna kasa.

– Kawalerka w Warszawie tyle kosztowała – potwierdził Andrzej. – A kto jest biologiczną matką?

– Regina Wojciechowska. Ta bezdomna, co powiesiła się w piwnicy w Mirkowie. Jesteś pewien, że to było samobójstwo?

– Od początku miałem wątpliwości. Chociaż nie kojarzyłem jej śmierci z późniejszymi zbrodniami. Można nawet powiedzieć, że zapomniałem przez nie o Wojciechowskiej.

– Odrzuciła, a raczej sprzedała własną krew. A ta ostatnia ofiara? Ponoć znana malarka.

– Mełżyńska. Renata Mełżyńska. Mówi się, że wojowała z szesnastoletnią córką. Dziewczyna wreszcie nie wytrzymała, uciekła

z domu i od trzech lat bezskutecznie jej szukają. Nie wiadomo nawet, czy żyje.

– Czyli też odrzucona krew. Morderca mógł znać tę sprawę?

– Cała Polska znała. A w Konstancinie każdy wiedział, gdzie jest dom Mełżyńskiej. Właśnie tam na Królewskiej Górze. I było też powszechnie wiadome, że baba ma lekkiego świra i godzinami łązi sama po lesie. Nawet w nocy, przyświecając sobie latarką. Ej, Hanah, czemu się śmiejesz?

A ja z siebie się śmiałam; z tego, że powoli przestaję słyszeć Andrzeja, bo jak pod wodę zanurzam się w fantazję, co zrobimy w domu przed zaśnięciem.

– Andrew, trzeba koniecznie powtórzyć daktyloskopię – powiedziałam ostatnim wysiłkiem umysłu stłamszonego przez libido.

Od Swobo słyszałam, że w lasu na Królewskiej Górze zachował się wyraźny odcisk kciuka. Na zakrwawionej korze, w kropce pod wykrzyknikiem kończącym napis. Słusznie mówili wykładowcy w Akademii Policyjnej: z każdą kolejną zbrodnią seryjny staje się coraz bardziej pewny siebie – i coraz mniej ostrożny.

– MATKA ROMKA PROWADZIŁA WARZYWNIAK, CHYBA W GRÓJCU... – Jadwiga Ćwietkow grzebała pomarszczonymi dłońmi w starej teczce pękatej od maszynopisów i rękopisów. Była dość już sędziwą dyrektorką domu dziecka w Puławach, dokąd wybraliśmy się następnego dnia z Andrzejem i jego psem.

Byłem pewien, że Hanah zna już rozwiązanie zagadki i przyjechała tu jedynie po to, by ostatecznie się w tym upewnić. A ja, który się najwyżej tego rozwiązania domyślałem, przez całą drogę nie miałem śmiałości o nie zapytać. Tak oto po osiemdziesięciu latach odtwarzaliśmy relację mego dziadka i jej babci.

– Nie, przepraszam państwa najmocniej. Nie w Grójcu, tylko w Mszczonowie. – Pani dyrektor opuściła do połowy nosa okulary, widać służyły jej tylko do czytania, i podniosła na nas wzrok. – Dobrze,

że mnie jeszcze państwo zastaliście, bo za dwa tygodnie odchodzę na emeryturę. A śmiem wątpić, czy mój następca albo następczyni orientowałiby się w naszych archiwaliach tak jak ja. Pewnie panią to śmieszy, ale większe zaufanie mam do teczek niż do komputerowych plików. Bo należą do świata rzeczywistego.

Ani trochę mnie nie śmieszyło. Sama po części tak uważałam. To King swoim ospałym, chrapliwym głosem wytłumaczył mi kiedyś, że tradycyjny dokument jest bezpieczniejszy. „Żeby go wykraść, córeczko, złodziej musi przyjechać pod konkretny adres i fizycznie włamać się do biura, często dobrze pilnowanego przez ochroniarzy i alarmy. Natomiast haker może to zrobić z każdego miejsca na kuli ziemskiej, nie ruszając tyłka z fotela i bez ryzyka starcia z kilkoma osiłkami albo stróżującym dobermanem”.

– Romek trafił do nas w lutym osiemdziesiątego drugiego – kontynuowała pani Ćwietkow. – Przywieźli go milicjanci, więc sądziłam, że jest synkiem jakichś internowanych osób. Ale nie. To sąd zdecydował o umieszczeniu go w placówce wychowawczej. Ze względu na alkoholizm i bezdomność jego matki. Rok wcześniej sprzedała kawalerkę w Mszczonowie i zamieszkała z Romkiem w tym swoim warzywniaku. Domyślcie się państwo, jakie tam były warunki.

– Bożena Szaryńska też przebywała w pani ośrodku? – odezwał się Andrzej.

– Chodzi panu pewnie o Szarzyńską? Tę nieszczęsną dziewczynę zamordowaną przez zwyrodnialca. Jak tylko zobaczyłam jej fotografię w Internecie, od razu poznałam, że to ona. Choć po ślubie zmieniła nazwisko. Chyba na Kacperska, prawda? Tak, to nasza wychowanka. Od noworodka do pełnoletności, a właściwie do skończenia szkoły pielęgniarzkiej, bo wtedy podjęła pracę w Stoczerze i dostała w Konstancinie służbowy pokój. Wcześniej pozwalałam jej u nas mieszkać, choć to nie do końca zgodne z przepisami.

Potem pani Ćwietkow opowiedziała nam o przyjaźni szesnastoletniej Bożenki z pięć lat młodszym Romkiem. Byli nierozłączni, ona nazywała go braciszkiem, on ją siostrzyczką. Wzajemnie wypełniali sobie pustkę po bliskich.

– Do dziś mam ich przed oczami. Inne dzieci oglądają telewizję albo grają w ping ponga, a oni siedzą w kącie świetlicy, na jednym fotelu, trzymając się za ręce, zapatrzeni w podręcznik angielskiego leżący na ich na kolanach, z którego razem uczą się słówek. Dla obojga to był dramat, kiedy ich rozdzielono. Niewyobrażalny dramat. Dlatego próbowałam nie dopuścić do tej adopcji. Zresztą ci państwo z Włoch...

– Słomińscy – podpowiedział Andrzej.

– ...byli marnymi kandydatami na rodziców. Schorowani, blisko sześćdziesiątki, musieli według mnie posolić, żeby sąd wyraził zgodę. Wiem od Bożeny, bo Romek cały czas do niej pisał, że stosunki nie układały się najlepiej. Ucieczki z domu, agresja, autoagresja, te sprawy. Kiedy miał szesnaście albo siedemnaście lat przyjechał na dłużej do Polski. Spotkał się z Bożeną i ze swoją matką. Potem policja zatrzymała go na granicy ze Słowacją i odstawiła do domu.

– Rozumiem, że kiedy Słomińscy adoptowali Romka, z automatu dali mu swoje nazwisko. A jakie nosił wcześniej?

Z niejakim zaskoczeniem skonstatowałam, że odpowiedź zdziwiła misia. Czyżby mając tyle danych, nie potrafił rozwiązać zagadki? Jednak mój tata jest bystrzejszy – pomyślałam. Od razu wiedział, dlaczego dwaj panowie nie widzą się przez rurę :-).

– PATRZ, HANAH, A JA W OGÓLE O TYM NIE POMYŚLAŁEM – żalił mi się w drodze powrotnej. – Zdradzisz mi, o co chodzi z tą literą „J”.

– Taka zagadka mojej babci. Zadała mi ją podczas ostatniej rozmowy.

– To musiało być dość dawno – uśmiechnął się niemądrze. – Bo pani Hanna chyba już od dziesięciu lat nie żyje.

Nie chciałam mu tego tłumaczyć z obawy, że weźmie mnie za wariatkę. Nawet na farmie trafiali się przecież niedowiarkowie kwestionujący właściwości transcendentnego radia, choćby moja mama. King również był sceptyczny, póki pewnego wieczoru nie usłyszał w kolumbarium głosu zmarłego, przyrodniego brata. „Mógłbym przysiąc, że to Colin do mnie gada, bo ten ktoś – dyskretnie i z szacunkiem wskazał przepływające obłoki – dokładnie tak samo się jąkał. I jeszcze mnie opieprzał, że mu ciebie zabrałem”, zwrócił się do Tuni, a ona wrzasnęła: „Nie przy Hanah!”. Jakbym nie wiedziała, że mama, King i wujek tworzyli kiedyś trójkę.

– OK. „J” to pierwsza litera słowa jednojajowy. Ale nie chodzi o kolesia połowicznie wykastrowanego, tylko o bliźniaków z tej samej komórki jajowej. DNA mają identyczne, i stąd ta historia z naskórkiem i spermą, a odciski palców bardzo podobne, ale z drobnymi różnicami, których wasi specjaliści nie wyłapali. No i w ogóle są jak dwie krople wody, z tym że Romek umiał zmieniać wygląd. Do tego stopnia, że odwiedził w Warszawie Werterową, a ona nie spostrzegła, że rozmawia z kopią syna.

– Cholera, wszystko przez te idiotyczne zniekształcanie twarzy i zakrywanie czarnymi paskami. Gdyby miliony ludzi zobaczyły Wertera w telewizji, Roman, nawet ucharakteryzowany, nie mógłby się tak swobodnie wszędzie poruszać. I może nie doszłoby do następnych morderstw. A z tymi napisami to jak? Bo grafolog uznał, że były zrobione ręką Wertera...

– Nie wiem. Może w jakiś sposób wszedł w posiadanie rękopisu brata i nauczył się kopiować jego charakter.

– Tuż przed twoim powrotem się zastanawiałem, czy Słomiński po prostu nie wrabia Wertera w te morderstwa. A teraz wiem, że to bardzo prawdopodobne. Nienawidzi go. Uważa, że matka lepiej rozporządziła losem brata.

Choleryk jednak z tego misia. W pół słowa urwał myśl i walnął pięścią w kierownicę.

– To było takie proste, takie oczywiste, a ja, głupi dureń...

– Nie martw się. Inni też nie zgadli. Sieniewicz, Adelson, Swobo, nawet moi rodzice, kiedy im o tym opowiadałam. A głupi dureń to plazma – zakończyłam ironicznie.

Lecz tu dostałam prztyczka.

– Nie plazma, kochanie, ale pleonazm – odgryzł się misio.

SPECE PONOWNIE WZIĘLI PAPILARY POD MIKROSKOP i zgodnie z przewidywaniem Hanah, teraz zauważyli różnice.

– W życiu się z czymś takim nie spotkałem – wyznał mi stary technik od daktyloskopii, niejaki pan Franek, którego odwiedziłem w laboratorium na Wiśniowej. – Normalnie: archiwum Iks. A jak pan wiesz, robię w branży prawie pół wieku. Jeszcze paluchy Paramonowa^[15] oglądałem.

– Nie miał pan żadnych wątpliwości za pierwszym razem?

– Najmniejszych. Ani ja, ani nikt z pracowni. Powiem panu krótko i na temat: to są takie niuanse, że jak ktoś nie wie, to za chuj nie wylapie.

Szacun, dziadek – pogratulowałem mu w myślach, bo przypomniało mi się, że niedawno, gdzieś w Małopolsce, eksperci nie umieli ustalić, która z sióstr jednojajowych zostawiła odciski na kierownicy, więc zabicie pieszego na pasach uszło sprawczynie bezkarnie.

– Na szczęście wszystko wyjaśnia ten ostatni kciuk – dokończył pan Franek, pokazując mi zdjęcie z Królewskiej Góry. – A wie pan czemu? Bo jest z lewej ręki. Na prawej mają papilary identiko, dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent zgodności, a tu na pierwszy rzut oka widać różnice. Ciekawe, co teraz robi prokurator. Wycofa oskarżenie? Jak pan myśli?

JESZCZE NIE WYCOFYWAŁ, choć było oczywiste, że prędzej czy później przyjdzie mu uznać pomyłkę; również moją, więc, oględnie mówiąc, nie chodziłem z dumnie podniesioną głową i pewnie w ogóle ponuro bym ją zwiesił, gdyby nie Hanah. Może nie popisałem się na płaszczyźnie zawodowej, ale za to jako facet odniosłem życiowy sukces. „Sukces to znaczy zamknąć ciebie w swych ramionach, zapomnieć o istnieniu świata i usłyszeć, jak szalone serce drży”, niósł się głos Niemena ze starej, winylowej płyty, gdy nocą na balkonie liczyliśmy sierpniowe, spadające gwiazdy.

BOLAŁO GO, ŻE TO JA PIERWSZA ODKRYŁAM TAJEMNICĘ DNA; sam kombinował coś z sobowtórem, podejrzewał nawet nasze amerykańskie oszustwo, a nie wpadł na najprostsze rozwiązanie. Chociaż, czy ono rzeczywiście było najprostsze? Adelson podjął ten trop. To rutynowe działanie FBI, że sprawdza się, czy podejrzany nie ma jednojajowych bliźniąt, bo od tego zależy ocena śladów biologicznych, ich dowodowej wartości. Ale Werter według dokumentów przyszedł na świat w renomowanej wiedeńskiej klinice położniczej jako dziecko z pojedynczej ciąży. Kto mógł przypuszczać, że to fałszywka opłacona przez męża pani Grażyny?

W ten sposób literka „J” na chwilę się zaświeciła i zaraz zgasła. Dopiero mnie udało się zapalić ją na powrót. Zaczęło się od podejrzeń, a pewności nabrałam, gdy Pablo przysłał mi fotografie Słomińskiego. W ten sposób zyskałam nad Andrzejem przewagę. Może w kategoriach sportowego *fair play* nie było to do końca uczciwe, ale przecież też się mógł wystarać o zdjęcia. Choćby te z domu dziecka. Program tak by je obrobił, że na pewno wyszłoby podobieństwo do Wertera.

Lecz mój miś nawet nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, w jakiej placówce przebywał Słomiński przed adopcją. OK, nasi i Sieniewicz też tego nie zrobili. Ale dla nich on się tak naprawdę nie liczył. Uważali go najwyżej za zabójcę Kacperskiej, a to nie należało do

głównego wątku śledztwa. Seryjnym był przecież Werter. Na nim się zafiksowali.

Trzeba Andrzejowi przyznać, że myślał bardziej elastycznie, tylko się pogubił. Oj, dużo się jeszcze musi nauczyć. A najlepiej, jeśli to ja zostanę jego preceptorką. Tak go wyszkolę, że w duecie rozwiązywać będziemy najtrudniejsze sprawy. Hanah&Andrew. Jak Holmes z Watsonem.

– Kiedy pierwszy raz pomyślałaś, że Werter może być niewinny? – zapytał z nieskrywaną ciekawością. – Bo ja dopiero po zabójstwie Kacperskiej. A ty pewnie znacznie wcześniej, prawda?

– Podczas wizji lokalnej. Było dla mnie oczywiste, że nie zna ani miejsca, ani przebiegu zdarzeń.

– Czemu mi nic nie powiedziałaś? Zupełnie jak twoja babcia mojemu dziadkowi...

– Bo to była tylko taka moja luźna myśl. Zero pewności. Po co miałam ci mącić w głowie? A potem się dowiedziałam, że w tle tej historii jest sierociniec, czyli miejsce, gdzie nieraz trafiają noworodki NN. I zaczęłam snuć fantazję o kobiecie, która porzuciła dwóch chłopczyków w odległych od siebie miejscowościach, tak że każdy trafił do innego domu dziecka. A później jednego adoptowała Grażyna Werter, a drugiego państwo Słomińscy spod Turynu. – Przytuliłam się do Andrzeja i dokończyłam już całkiem innym tonem: – Ale wtedy nie było przy mnie mojego misia i nie miałam komu opowiedzieć bajeczki.

Pies, który się nauczył, że w nocy zabieramy go na spacer, wyszedł do nas na balkon ze smyczą w pysku, więc natychmiast przypięłam mu karabińczyk do obroży. Andrzej natomiast ciągle rozmyślał, oparty o barierkę i zapatrzony w różowy pasek nieba na wschodzie.

– Okazało się, że to nie była bajka – powiedział, a w jego tonie dosłuchałam się smętku i zawiści.

Typowy facet.

– SŁOMIŃSKI ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, ŻE ZNAMY JEGO WYGLĄD, NAZWISKO I ŻYCIORYS, i nie tylko my, ale każdy internauta i telewidz, więc na ulicy od razu zostanie rozpoznany, chyba że się przebierze za Bin Ladena. – Hanah mówiła to wszystko w hiphopowym rytmie, poruszając się jak Gangsta Boo.

Szliśmy drogą pod Grapą w stronę Obór. Moja dziewczyna rapowała, pies turlał pyskiem okrągły kamień, a ja się zastanawiałem, co będzie dalej. Na rozum Słomiński był bez szans. Już wcześniej miał ich niewiele, odkąd po zeznaniach Skabasa stał się głównym podejrzanym o zamordowanie Kacperskiej. Ale jednak jest różnica między kimś, kto być może popełnił jedną zbrodnię, albo nawet dwie (choć śmierć Irka wciąż uważano za wypadek), a seryjnym mordercą, którego sprawstwo potwierdzają miarodajne ekspertyzy. Pierwszego ściga się rutynowo, drugiego – z użyciem wszystkich sił będących w dyspozycji państwa i międzynarodowych organizacji policyjnych.

Specjalne programy znajdą i zablokują jego konta, a jeśli spróbuje skorzystać gdzieś z karty, natychmiast zjawią się tam antyterrorysty. Podobnie z komórką. Wiadomo, że taki ktoś nie jest głupcem i nie używa abonenckiego telefonu, ale nam, glinom, to nie wadzi, bo nauczyliśmy się rozpoznawać i lokalizować rozmówców po głosie. A Słomiński przecież dzwonił dwa razy do komisariatu i jeszcze nagrał wiadomość na temat krwi – było co wrzucić do komputera Interpolu czy innej maszyny kontrolującej sieci komórkowe.

Wiedziałem jednak, że nasza przewaga jest teoretyczna, w znacznej mierze wirtualna. Miażdżyliśmy go na polu elektronicznym, ale przecież on wcale nie musiał przyjmować na nim nierównej walki. Mógł cofnąć się wiele, wiele lat wstecz i w tym skansenie, bez karty i telefonu, za to z mnóstwem dolarów albo złotem zaszytym w gaciach, przeczekać obławę.

A mieszkanie? Tu już większy kłopot. Lecz tylko pozornie. Jeśli potrafi zmieniać wygląd i dysponuje fałszywym paszportem, na

pewno znalazł już jakąś następną Kapuśniakową i się u niej zagnieździł. Za czas jakiś otworzy nią swoją nową serię. Lub zamknie.

—

*Myśleli już, że zwyciężyli generała,
A ich pseudosprawiedliwość zatriumfowała.
Lecz prędzej niebo i ziemia przeminą,
Nim pozwolę się złapać glinom.
Bo póki kogo krwią poić mam,
Nie poddam się wam. Nie poddam się wam.*

—

WYDAWAŁO SIĘ NAM, ŻE SŁOMIŃSKI DBA O WŁASNE BEZPIECZEŃSTWO jak każdy normalny człowiek i dopóki szum wokół niego trochę nie przycichnie, siedzi w mysiej dziurze. Lecz się myliliśmy, a błąd nasz brał się z prostego faktu, że on nie był człowiekiem normalnym.

Dwa dni później zadzwonił w nocy mój telefon.

– Kurwa, nie miał kiedy! – zakląłem, a Hanah, śmiejąc się, zeskoczyła z mojego rumaka.

– Odbierz, misiu, moja cipka nie ucieknie – powiedziała w sobie właściwym stylu.

I jak zwykle miała rację. Wolę nie myśleć, co by było, gdybym nie odebrał.

– Komisarzu... – Usłyszałem kobiecy głos, tak cichy, że nic więcej nie zrozumiałem, po czym połączenie się przerwało.

Ale zaraz zapiszczał SMS: „On jest w domu. Schowałam się. Ratunku. Dolka” – przeczytałem na ekranie.

Nie było czasu zwoływać chłopaków, sami przypieliśmy kabury i na chybcika odziani zbiegliśmy na dół.

– Motorem szybciej – zdecydowała Hanah, odpalając triumpha.

Bezpiecznie stał przed klatką na słowo honoru konstancińskiego mafiosa *number one*, któremu moja dziewczyna, tak samo jak Nowakom, podarowała piłkę z autografem Jordana. Apollo, zabójca kilkunastu konkurencyjnych gangusów, radował się z prezentu jak mały chłopiec.

Wskoczyłem za Hanah na siodełko i wio Wilanowską! Z manetką odkręconą na full, aż drzewa i domy rozmazywały się w oczach. Przeczuwałem, że za parę godzin pierwszy news w porannych wiadomościach będzie o śmierci amerykańskiej porucznik i polskiego komisarza, którzy spieszyli na pomoc napadniętej kobiecie.

Lecz patron policji, Michał Archanioł, najwyraźniej czuwał nad nami, skoro za parę minut w jednym kawałku znaleźliśmy się przed domem Kapuśniaków. Reflektor triumpha wyłowił z ciemności tył jakiegoś vana stojącego na poboczu i dziwnie przekrzywionego.

– Wpieprzył się do kanału. – Hanah zatrzymała motocykl i wyciągnęła z kabury broń.

Chwilę jej się zeszło ze stopką, więc podbiegłem do auta pierwszy. Faktycznie lewymi kołami wpadło do przydrożnego rowu, bokiem waląc w przeciwległy brzeg, a maską w betonowy przepust. Ludzie giną w mniej rozkwaszonych samochodach, spodziewałem się więc znaleźć w środku kogoś w najlepszym wypadku rannego, ale – van był pusty. Dopiero z bliska, przy świetle latarki poznałem, że to wrak ciemnozielonego chryslera.

Rozejrzałem się za Hanah i spostrzegłem ją na ganku rozmawiającą z jakąś dziewczyną, pewnie Dolly. Tak, to była ona. Idąc ku nim, zadzwoniłem do Iwicznej, żeby przeszukali cały rejon z psami, bo Słomiński jeszcze nie mógł zbyt oddalić. Niestety, jedyną korzyścią było ujęcie dilerka z metą. Co zabawne, tego samego, który podczas naszej interwencji nad Jeziorką za sprawą Hanah posrał się ze strachu.

– Ukryłam się w piwnicy, ale on wypatrzył mnie z podwórka przez okienko – opowiadała Dolly, gdy do nich podszedłem. – Próbował się przez nie wcisnąć, na szczęście było za wąskie, więc wrócił się do domu i zaczął kopać w drzwi. Myślałam już, że wyłamie i krzykłam, żeby spierdalał, bo jedzie policja. Powiedział, że go to wali, ale chyba musiał się wystraszyć, co nie? Bo zaraz usłyszałam, jak biegnie po schodach na górę. A potem było głośne bum, takie jak przy zderzeniach, no to nabrałam odwagi, wyszłam z piwnicy i spojrzałam się przez okno. Zobaczyłam, że samochód w rowie, a on wylazi prawymi drzwiami i ucieka w las. Zaraz potem wyście przyjechali.

– A wiesz, w jaki sposób wszedł do domu? – spytałem. – Włamał się?

– Chyba nie. – Dolly z niepokojem przyglądała się drzwiom wejściowym. – Boję się, że matka mogła mu dać klucze. Pani oficer, pani przeprosi ode mnie tego chłopaka. Naprawę taki jest podobny do Romana, że mogłam ich pomylić. No i sorka, że go nożem dziabłam. Mam nadzieję, że już się wygoił.

– Musisz wymienić zamki – powiedziała Hannah. – Jak nie masz kasy, to ja zapłacę siusiarzowi.

– Ślusarzowi – poprawiłem ją, a Dolly omal nie pękła ze śmiechu, zapominając na chwilę o przeżytych dramacie.

– Poza tym dostaniesz ochronę. Co, Andrew, dobrze mówię? Póki nie dorwiemy tego skurwysyna, ktoś musi dziewczyny pilnować. Jakiego bodyguarda sobie życzysz, Dolly? – zadrwiła, zła za jej chichocik z siusiarza. – Pewnie napakowanego strongmena, co nie? Najlepiej z ładnie wydzierganym kaloryferem. OK, postaram ci się takiego znaleźć.

A wtedy oczy Dolores Kapuśniak zasnęła mgłą rozmarzenia.

– Nie, pani oficer, tacy mnie nie kręcą – szepnęła. – Mój typ to romantyk, który lubi Szopena i Liszta. A jeszcze jakby sam grał na fortepianie...

PRZESZUKALIŚMY POTEM ROZBITEGO CHRYSLERA; miał wstawioną kratkę, czyli był zarejestrowany jako ciężarowy, ze wszystkimi tego podatkowymi korzyściami dla właściciela. Pewnie jakiegoś drobnego przedsiębiorcy, który niczego nieświadom sprzedał go Słomińskiemu. Nie spieszy się, zdążymy wszystko ustalić – pomyślałem, bo teraz całkiem co innego mnie zaabsorbowało.

Otóż ta antyfiskalna kratka również dla nas okazała się błogosławieństwem. Gdyby nie ona, Słomiński opuściłby auto wraz ze swoimi walizkami. Bo co z tego, że po kraksie spieprzyły się tylne drzwi, skoro mógł sięgnąć do bagażnika przez oparcie foteli. A tak ni chu-chu. Kratka skutecznie go od dobytku odgradziła. A czasu, żeby ją zdemontować, nie miał, bo już coraz bliżej, coraz groźniej ryczał

motocykl. Uznał więc, że nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, i porzucił walizki na naszą pastwę.

Znalazłem u Dolly schowek na narzędzia, a w nim wielkie nożyce do metalu i rach-ciach unicestwiłem kratkę. Zwracając je dziewczynie, pomyślałem, że pewnie należały do starego Kapuśniaka, tego, co wybył dawno temu do Niemiec i nie przyjechał nawet na pogrzeb żony i córki. A przecież osobiście przekazałem mu przez telefon, co się stało.

– Ciuchy, ciuchy, jednorazówki do golenia. – Hanah okazała się dość silna, żeby bez mojej pomocy zanieść walizki na ganek i teraz, w świetle lampy znad drzwi, na klęczkach je bebeszyła. – Ciuchy, ciuchy, krawaty, o fuj! – wybuchnęła śmiechem i jak piłkę rzuciła mi coś okrągłego i różowego.

Złapałem bramkarskim chwytem i oto miałem w rękach silikonowy tyłek z elastyczną pochwą i odbytnicą.

– Jest jeszcze do kompletu irygator i żel. A to, zobacz, zestaw do charakteryzacji. – Otworzyła pudło pełne farb, flakonów, pędzli, sztucznego zarostu, różnokolorowych naklejek udających znamiona itede, itepe. – Bez tego arsenału czuje się pewnie jak ślimak bez skorupki. Dobra, co tu jeszcze mamy? Nic, znowu ciuchy, ciuchy, ciuchy... A w tej drugiej?

– To samo – powiedziałem, dogrzebawszy się do dna.

I w tym momencie przyjechali radiowozem dwaj policjanci z Iwicznej.

– Jest rozkaz komendanta wojewódzkiego, żeby pilnować tej pani przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – skłamała Hanah, wskazując im Dolly. – Który z panów chętny na dzisiejszą noc? Uprzedzam tylko, że pani lubi Chopina, więc pierwszeństwo ma ten, co się zna na muzyce. Bo nie chodzi o wódkę Chopin, tylko o kompozytora.

Kapuśniakówna, choć bynajmniej piękną nie grzeszyła, miała w sobie jakiś wabik, więc policjanci spojrzeli po sobie jak rywale.

– Mój brat chodzi do podstawówki muzycznej, to czasem słucham jak se w domu brzdąka – powiedział wyższy całkiem serio, na co Dolly parsknęła śmiechem.

– Dobra, to pan robi dziś za bodyguarda, a drugi pan zawiezie te walizki do komisariatu w Konstancinie – zdecydowała Hanah.

Jej kłamstwo o rozkazie komendanta miało akurat długie nogi, identycznie jak jego autorka; było jasne, że za kilka godzin taki rozkaz będzie naprawdę wydany.

– MUSZĘ CI SIĘ, MISIU, DO CZEGOŚ PRYZNAĆ, TYLKO OBIECAJ, ŻE NIE BĘDZIESZ NA MNIE RYCZAŁ – powiedziała, gdy dokończyliśmy to, co przerwał nam telefon Dolly, i kiedy już prawie zasypiałem. – Ukradłam z walizki Słomińskiego takie coś, spójrz. – Zamachała mi przed nosem szkolnym zeszytem, wnosząc z wyglądu i stanu oprawy: mocno leciwym.

– Jakieś jego notatki? – Z lekka się zaciekawilem, choć dalej cholernie morzył mnie sen.

– Raczej dzieło literackie. Ma tytuł: *Cheroiczny poemat o zwycięskich bitwach generała zemsty*. Nie znam dobrze polski ortografia, ale to pierwsze słowo chyba się u was pisze przez „h”, tak samo jak u nas: *hero, Billy, don't be a hero*, co nie?

Przekręciłem się na brzuch, Hanah położyła się obok, otwierając zeszyt na poduszce, i tak czytaliśmy policzek przy policzku. „Są to wspomnienia Wojciechowskiego vel Słomińskiego Romana, człowieka nie śmiertelnego, przez samego Boga mianowanego na generała zemsty, czyli najwyższy we Wszechświacie stopień generalski” – stało na pierwszej stronie. Niewyrobane, po szkolnemu kaligraficzne pismo oraz błędy ortograficzne źle świadczyły o wykształceniu autora.

A dalej było wierszem. Grafomańskim, z częstochowskimi rymami, co jednak w zderzeniu z treścią przydawało zapiskom czarnego humoru i potęgowało grozę.

Powiadam do niej: matko moja miła,

Tyś mnie skrzywdziła,
Krew własną odrzuciła,
Rządzą, byś się powiesiła.
Widzisz pod sufitem rurę,
Przywiążę do niej sznurek,
A ty, matulu, wliziesz na stołek
I tak skończysz swe życie nie wesole.
Chyba że wolisz może,
Bym ci ślipia wydłubał nożem.
Matka Generała
Rozkazu posłuchała
I za chwilę już w pętli drygała.

– Miałaś rację, to nie było samobójstwo – szepnęła Hanah. – Bydlak ją zmusił.

Nie dawała po sobie poznać, jak głęboko jest poruszona. Najbardziej, oczywiście, wstrząsnęły nią opisy zabijania dzieci: „Straszną stoczyłem walkę z jego małym ciałkiem, które wciąż spod wody wypływało, tak bardzo żyć chciało”. I wiele stron wcześniej: „Zatkałem jej ręką usta i zawlokłem, gdzie komnata pusta, a ona była przerażona i zdziwiona, bo myślała, że z rąk Wertera Jacka kona. Dlaczego ją dusi, pytała i rodziców na pomoc wołała. A jej pomyłka tak radowała generała, że pragnął, by jak najdłużej umierała”.

– *American Psycho* to przy tym kaszka z mleczkiem. – Hanah przez chwilę tępo wpatrywała się w poduszkę obok zeszytu. – Nic, ważne, że wiemy, kto zamordował Kasię Pelaiz. Słomiński wykorzystał podobieństwo do brata i swobodnie poruszał się po pensjonacie. A zaatakował ją w momencie, kiedy Jacek wiódł z portierem teologiczną dysputę. Nie mówiłam ci, misiu, ale w NJ spotkałam się z emerytowanym prokuratorem, który prowadził tę sprawę.

Ciekawe, co jeszcze przede mną zataiła – pomyślałem. O śledztwie mi wszystkiego nie mówi, o swoim życiu również. Od dwóch dni

wiem, że ma dzieci. A przecież bociek ich nie przyniósł, ani nie znalazła bajtli w kapuście.

Z delikatności nie dopytywałem, licząc, że sama mi powie. Nie powiedziała.

– Myślisz, że można wierzyć tym zapiskom?

Wzruszyła ramionami.

– Kowalsky niech się wypowie, prześlę jej skan. Ale na mój rozum zna za dużo szczegółów, żeby mógł wszystko skonfabulować.

ZABRALIŚMY POTEM AZANA, I OCZYWIŚCIE ZESZYT, na nasz tradycyjny spacer bladym świtem.

– Zastanawia mnie zakończenie – powiedział Andrzej, oświetlając tekst latarką telefonu. – „Bo póki kogo krwią poić mam, nie poddam się wam. Nie poddam się wam”. Część krwi swoich ofiar daje komuś do picia? Na to, kurwa, wygląda.

Poczułam wokół opary absurdu, jakbym nagle przeniknęła do horroru i została dziewczyną Blade’a, wiecznego łowcy. Ale trzeba było w to brnąć.

– Wcześniej też pojawia się ten motyw. – Wzięłam od niego zeszyt, przerzuciłam kilka kartek i znalazłam właściwy fragment. – „Tak na tym świecie musi być, że jeden daje zmarłej pić, a drugi krwią więzienne poi wszy”. To się odnosi na pewno do niego i do Jacka. Brat, w areszcie śledczym, daje krew wszom, a on, na wolności, jakiejś zmarłej. Zmarłej, nie zmarłemu. Czyli chodzi o kobietę. To niby zawęża krąg możliwości, ale tylko pozornie, bo w życiorysie Słomińskiego i tak nie ma mężczyzn. Oprócz Wertera.

– Nie znamy do końca jego życiorysu. A poza tym, co on rozumie przez pojenie krwią?

– Indianie na przykład swoim zmarłym stawiają na grobach jedzenie i picie. A na ziemną mogiłę po prostu wylewają alkohol. Chyba to ten trop.

– Ale wódka ma nieboszczykowi sprawić przyjemność. A krew? Co Słomiński przekazuje zmarłej takim poczęstunkiem?

– Pamiętaj, że to człowiek chory. Posługuje się sobie tylko znaną logiką. – Mój wzrok padł na ławkę, przydźwiganą tu przez osiedlowych pijaków i obsypaną w krąg identycznymi butelkami po czystej; zauważyłam, że tylko jedna z nich ma inną nalepkę. – Ale zadajmy sobie takie pytanie: w jakim celu Słomiński miałby poić krwią ofiarę, którą wcześniej tej krwi pozbawił? Bezsens, co nie? Zresztą Amerykanki pochowane są w Stanach, a Dolly często odwiedza matkę i siostrę na cmentarzu, więc zauważyłaby na grobie plamy z krwi. Pozostaje tylko Żaneta Kuchcik i Kacperska, ale według mnie chodzi o kogoś, kto umarł w inny sposób.

To ta flaszką, odmienna od pozostałych, posłużyła mi za natchnienie.

A KIEDY TO POWIEDZIAŁA, PRZYPOMNIAŁ MI SIĘ OD RAZU GODZILLA, który rzekomo widział Słomińskiego na jakimś cmentarzu.

– Wojciechowska! – krzyknąłem. – Gdzie ona, do ciężkiej kurwy, jest pochowana?

Hanah parsknęła śmiechem.

– A skąd ja mam wiedzieć? Spytaj w Armii Zbawienia, oni zajmują się pochówkiem nędznych ludzi.

– Nie nędznych, tylko biednych – poprawiłem. – A poza tym u nas nie ma Armii Zbawienia.

– To do władz gminy zadzwoń albo do księdza...

Ale nie skorzystałem z rady i mimo wczesnej pory zatelefonowałem do Byka. Brał akurat prysznic, więc komórkę odebrała przyjaciółka wszystkich konstancinianek.

– Andrzeju, żadna opieka społeczna, żadna gmina. Miała elegancki pogrzeb w Wilanowie, a za wszystko zapłacił jakiś facet z zagranicy, widocznie jej krewny. Od Gosi Drabik słyszałam, że zamówił u nich

nagrobek z trzymetrowym, kamiennym krzyżem. Bo pewnie nie wiesz, ale Gosia rozwiodła się z tym swoim protetykiem i wyszła za kamieniarza...

PRZYCZEPIŁA SIĘ DO MNIE TA CIĘŻKA KURWA i Godzillę też nią potraktowałem. Naczelnik aresztu nie zezwolił na przewiezienie osadzonego do naszego komisariatu, więc musiałem pofatygować się do Grójca. Biedak stanął przede mną skuty niczym więzień Alcatraz. „Nadzwyczajne środki ostrożności, mieliśmy ostatnio samouwolnienie”, wyjaśnił mi klawisz, zastępując prawniczym terminem wstydlive słowo „ucieczka”.

– Godzilla, gdzie spotkałeś tego kolesia? Na którym cmentarzu? No mów do... – I tu wyrzycałem dwa słowa, które później Hanah zobrazowała w swoim szkicowniku.

Narysowała mianowicie puszystą panią w burdelowych majtasach i pończochach, pod którą elektroniczna waga pokazywała dziewięćdziesiąt pięć kilo. Nie wiedziałem, że moje małństwo tak umiejętnie posługuje się ołówkiem.

– Ech, panie komisarzu, w tym pierdłu wszystko mi się już miesza – westchnął Godzilla. – Niedługo zapomnę, jak się nazywam, a pan chce, żebym pamiętał jakieś zdarzenie sprzed miesiąca. – Wyczuł, że sprawa jest dla mnie ważna i zaczął prowadzić swoją grę. Źle mówię: nie wyczuł, a zwyczajnie wiedział. Musiał oglądać w areszcie telewizję, a tam co rusz gadali o Słomińskim. – Wie pan, nawet gdybym nic nie miał na tym zyskać, i tak bym panu pomógł – podlizywał mi się bezczelnie. – Bo takiego zwyroła koniecznie trzeba złapać. Przecież jutro może zabić moją matkę albo pańską. Ale nie pamiętam, żebym tak wolności nie dożył, nie pamiętam.

– OK, Godzilla. Nie chcesz pomóc, twoja strata. A ja dopiero co gadałem z prokuratorem i... – zawiesiłem głos, a on spojrzał na mnie jak pies, któremu bym pomachał przed nosem kiełbasą. – Ale widzę, że niepotrzebnie tracę czas. Halo, panie strażnik...

Klawisz był obeznany z tymi gierkami, więc na razie nie ruszył tyłka z krzesła.

– Nie, nie, panie komisarzu. To nie tak, niech pan nie odchodzi. – Godzilla uderzył w błagalny ton. – Ja wszystko powiem. Tylko... no sam pan rozumie, głupio tak pucować za damski chuj.

Zawsze bawiło mnie to wyrażenie, więc się uśmiechnąłem, co on uznał za dobrą wróżbę. Ale jeszcze potrzymałem go chwilę w niepewności, jeszcze zapaliłem papieroska...

– Prokurator uważa, że dwieście dziewięćdziesiąt cztery można zmienić na dwieście osiemdziesiąt osiem – powiedziałem wreszcie; był to język niezrozumiały dla laika, jak pacierz znany jednak Godzilli.

– Czy ja dobrze kminię? Zamiast kradzieży mienia znacznej wartości, uszkodzenie mienia?

– Tak. Dokładnie tak – potwierdziłem, bo godzinę temu prokurator Keks zapewnił mnie, że jest to możliwe; dodał też, że jeśli oskarżeni pokryją koszty naprawy pomnika, żądać będzie dla nich wyroku bliżej dolnej granicy.

– No to spoko – powiedział Godzilla. – Pan mu powie, żeby mnie rozkuł – ruchem głowy wskazał strażnika – bo jak w kajdanach podpiszę zeznanie?

GDY Z BYKIEM, FLAPEM I DWOMA POŻYCZONYMI ATEKAMI prowadziliśmy go cmentarną aleją, nagle postawił opór, zatrzymał się i zażądał rozmowy ze mną w cztery oczy.

– Panie komisarzu, tak jeszcze dla formalności: jakby się okazało, że była tu jakaś kradzież, to ja z tym nie mam nic wspólnego.

Mogłem w zasadzie już go olać; bez niego znalazłbym grób Reginy Wojciechowskiej, chociażby kierując się na ten trzymetrowy krzyż, dzieło nowego męża pani Gosi. Ale po pierwsze, zawsze przyda się świadek, a po drugie, staram się z moimi klientami grać uczciwie.

– A jakby wikary zeznał, że mnie widział – ciągnął Godzilla nerwowym szeptem – to na pewno nie byłem ja, tylko ktoś podobny.

– Książd ma słaby wzrok – pocieszyłem go. – A tak między nami, co tu zginęło?

– Ech, drobiazg. Dwa wazoni z poliestru. Znaczy się, nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Ale tak mi się o uszy obilo. OK, panie komisarzu. To tam, gdzie ten bolszy krzyż.

Czyli tak, jak się spodziewałem. Wbrew wątpliwościom Hanah na pewniaka obstawiałem, że Godzilla widział Słomińskiego przy grobie matki. Tylko czy to rzeczywiście ona była obiektem tego, jak to nazwać... makabrycznego obrządku?

Była!

– Kurwa jego mać! – zaklął Godzilla, który pierwszy schylił się nad płytą.

Na jasnym marmurze, między mosiężnymi literami i cyframi, czerwieniały napisy zrobione krwią.

Tu leży ta, co wydała
na świat zemsty generała.

Głosił największy, tuż pod imieniem i nazwiskiem.

Pozostałe były identyczne i różniły się jedynie liczbą wykrzykników.
Myślałaś, żeś krew odrzuciła,
lecz zwróci ją tobie mogiła.

Staliśmy w milczeniu, zaczytani w chorych inskrypcjach, totalnie zbici z tropu i otepiali. My, którzy, z wyjątkiem Godzilli, przez lata naoglądaliśmy się w pracy przeróżnych okropności. Jeden Flap zachował przytomność umysłu, bo od razu dojrzał między wieńcami u stóp krzyża gliniany kubek. Do połowy wypełniony zaróżowioną deszczówką i z fusami skrzepłej krwi na dnie.

– Naczynie, z którego ją poił – objaśniłem, a wtedy jeden z ateków, młodziutki chłopaczyna, bezwiednie się przeżegnał. – Odstaw, Flapku, na miejsce. Słomiński nie może zobaczyć, że coś tu było ruszane.

TO BYŁ IMPULS; dowiedziałam się, że wychodzi między trzynastą a czternastą, więc już w samo południe pomknęłam motorem na Ciupagi. Przed bramą zobaczyłam Grażynę Werter, w tym samym złotym, sportowym volvo, w którym kiedyś przestrzeliłam opony.

Na mój widok wysiadła i powoli, jakby somnambulicznie, zaczęła się do mnie zbliżać, a było w tym coś z poetyki teledysku.

– Jak ja się pani odwdzięczę? – W oczach miała łzy, a w spojrzeniu zapowiedź, że zaraz upadnie mi do stóp. – Nawet ja, jego matka, straciłam wiarę, że jest niewinny, a pani jedna do końca walczyła o sprawiedliwość, nawet kiedy cała Polska wydała na niego wyrok. Boże, dlaczego Regina mnie wtedy okłamała? Przecież adoptowałabym ich obu.

– Romka chciała zostawić przy sobie. Liczyła, że pieniądze od pani wystarczą, by zapewnić mu godne życie.

Grażyna mocno ścisnęła moją rękę.

– To prawda, że Jacek nie zamordował Kasi Pelaiz? Rano słyszałam w radio, że znaleźliście pamiątki tego Słomińskiego i on się w nich przyznaje...

Około ósmej przesłałam skan zeszytu Sieniewiczowi i swoim, a godzinę później jego treść była już znana dziennikarzom. Zadzwonili nawet do rodziców zamordowanej dziewczynki, żeby po dziesięciu latach rozdrapać rany.

– Tak, pani Grażyno, tę zbrodnię popełnił Słomiński. Ale musi to stwierdzić sąd, dla którego wiersz w zeszycie może się okazać niewystarczającym dowodem. Dlatego lepiej będzie wystąpić o uniewinnienie dopiero wtedy, kiedy schwytemy prawdziwego sprawcę. Zresztą dobry adwokat wszystko pani wytłumaczy. Ja jestem tylko policjantką.

– OK, PANOWIE, SPADAMY STĄD – zakomenderowałam. – I niech nikt się tu później nie waży kręcić, żeby do gnoja nie doszło, że

poznaliśmy jego słodką tajemnicę. Cholera wie, czy nie przekupił jakiegoś cmentarnego dziada.

A kiedy konwojenci z AT upchnęli już Godzillę do więźniarki i zostaliśmy we własnym gronie, wykonałem telefon do Swobo.

– Podejrzewam, że jesteście w tym lepsi od naszych. Naszpikujcie cmentarz w Wilanowie kamerami i pluskwami. Jak tylko Słomiński pojawi się na grobie matki, ma iść sygnał do wszystkich radiowozów w promieniu trzech kilometrów. A przede wszystkim do ekipy, którą zainstalujemy w jakimś nierzucającym się w oczy dostawczaku. OK, ekipę i dostawczak bierzemy na siebie.

Po rozłączeniu się zauważyłem, że mam SMS-a od Zdzicha z Płocka. Pisał, że właśnie zgłosiło się dwóch świadków, którzy dzień przed śmiercią Irka, niezależnie od siebie, spotkali w pobliżu ośrodka męczyznę podobnego do Słomińskiego. „Szczegóły w mailu” – zakończył.

Dziwne, że tylko dwóch – pomyślałem. Teraz, gdy wizerunek wampira zna już cały kraj, powinno być ich dziesiątki albo i setki. Od dziadka słyszałem, że kiedy przed wojną rozlepiono we wszystkich miastach i wsiach list gończy za Maruszczką^[16], a gazety zamieściły jego zdjęcie, jednego dnia do komendy na Krakowskim Przedmieściu przyszło ponad dwa tysiące listów od ludzi, którzy rzekomo widzieli poszukiwanego. W tej liczbie donosy typu: „Aniela Józwiakówna, zamieszkała na Wierzbowej pod siódmym, uprawia z Maruszczką cielesne stosunki”.

W PIERWSZEJ CHWILI POMYŚLAŁAM, ŻE CHŁOPAKOWI ODBIŁO; zawsze przecież był dziwny, więc po tych wszystkich przejściach mógł do końca ześwirować.

– Nie, mamo. Najpierw muszę pojechać z tą panią na działę. – Odsunął się od volvo, jakby parzyło albo cuchnęło, i podszedł do mnie.

Przedtem nie zdradzał żadnych niepokojących objawów, normalnie porozmawialiśmy parę minut we troje, i dopiero kiedy się z nimi pożegnałam i wsiałam na motor, zaczął robić cyrk.

– Na dziarę! Muszę mieć dziarę! – powtarzał tonem kapryśnego dziecka. – Taką jak pani.

I tu szarpnął w górę mój top, aż miseczki zjechały z cycków.

– Odjechało ci?! – wrzasnęłam, na odlew waląc go w mordę.

Przerażony, zasłonił się rękami.

– Przepraszam! Nie bij mnie! Ja tylko chciałem zobaczyć twój tatuaż. Bo przecież masz, na plecach. Zauważyłem, kiedy obezwładniałaś tę dziewczynę z nożem.

– Jacusiu, chyba powinniśmy pojechać do pana doktora Zawiszy – zwróciła się do niego błagalnie Grażyna. – Po tym, co cię spotkało, jesteś zdenerwowany i taki dziwny... A poza tym to nie trening interpersonalny, więc nie mów do pani porucznik na ty.

– Milcz! – ryknął Jacek Werter, aż strażnik z budki spojrzał się w naszą stronę. – Milcz! Ja żądam dziary! Bez dziary nie mogę żyć na tym przeklętym świecie. Naprawdę żadna z was tego nie rozumie? Przecież muszę mieć jakiś znak, który odróżni mnie od Słomińskiego!

– I CO, ZAWIOZŁAŚ GO DO SALONU TATUAŻU? – spytałem, gdy wieczorem spotkaliśmy się w domu.

– Nie. Kupiłam od nich tylko tusz i pożyczyłam maszynkę. Do jutra. Jutro koniecznie muszę oddać, więc jak chcesz, żebym ci coś wydziergała, to się szybko decyduj.

Byłem jedynym w komisariacie bez dziary i jakoś nigdy nie chciałem tego zmieniać. No ale co innego, zupełnie co innego, jeśli to moje maleństwo ozdobi mi ramię głową tygrysa albo Aliena.

– A gdzie zrobiłaś tatuaż Werterowi? – zapytałem, czując nagle ukłucie zazdrości. – I nie rozumiałem, co ją śmieszy, bo nie dotarła do mnie dwuznaczność pytania.

– W Głodach, na wewnętrznej stronie lewej dłoni. Jego inicjały maleńkimi literkami. A ty pewnie myślałeś, że na fiucie i w hotelu na godziny? Coś podobnego: biały Otello podejrzewa o niewierność czarną Desdemonę. Szekspir się w grobie przewraca.

Zdjęła bluzkę, stanik i pokazała mi swój tatuaż. Pierwszy raz dokładnie mu się przyjrzałem, bo wcześniej czułem, że nie wypada.

– Chciał taki sam, ale wytłumaczyłam mu, że nie wolno, bo to zastrzeżony znak.

– Pewnie inicjał twojej wielkiej miłości – zdobyłem się na odwagę. – Może taty maluchów?

Spojrzała na mnie dziwnie niepewnie, jakby spłoszona.

– Nie. To symbol Black Lords. Gangu, do którego należałam. Usunę, jeśli chcesz.

– NOIRO, POWIEDZ MU PRAWDĘ – radziła mi od kilku dni babcia Hania. – Idę o zakład, że wszystko gładko przełknie. Ładnym dziewczynom panowie nie takie rzeczy wybaczą. Tylko na temat męża troszkę zamotaj, odrobinę rozwodnij, powiedz na przykład, że jesteście w trakcie rozwodu i to musi potrwać.

Miała, jak się okazało, rację. I jednocześnie – nie miała. Bo istotnie poczułam ulgę, ale przecież były to tylko słowa, słowa, słowa. Fakty, niestety, się nie zmieniły. Diego nadal pozostawał w moim życiu. Tkwił w nim jak cierni.

PO JEJ SPOWIEDZI NATYCHMIAST ZASZALELIŚMY POD PRYSZNICEM – nie powiem, miało swój smaczek puknięcie fajterki najgroźniejszego ulicznego gangu w Chicago – a później, objęci jak zakochani nastolatki, poszliśmy na spacer z psem. Gdy wróciliśmy, natychmiast zdjąłem koszulkę i poprosiłem o tatuaż.

Wtedy kazała mi zamknąć oczy.

A gdy je po godzinie otworzyłem, zobaczyłem na ramieniu piętnastocentymetrową Hanah, klęczącą we wdzięcznej pozie

i oczywiście nagusieńką. Co ciekawe, ta nagość, chociaż we wszystkich szczegółach transparentna, ani trochę nie była wulgarna. Pomyślałem, że oprócz talentu ma dziewczyna wycucie smaku.

– Kadzisz – powiedziała, gdy podzieliłem się z nią tą refleksją. – Ale rysować rzeczywiście trochę umiem. Tunia-Kotunia przez sześć lat kazała mi chodzić do specjalnej podstawówki dla plastycznych geniuszy. W końcu mnie stamtąd wyrzucili za sprawowanie. Zapamiętaj, misiu, Tunia-Kotunia to moja mama. Ja mogę wygadywać o niej najgorsze rzeczy, ale nikomu innemu nie pozwalam. Czy to jasne? Myszkę i Myszkę już znasz ze zdjęcia, więc teraz kolej na Kinga. – Pokazała mi w telefonie zdjęcie gargantuicznego czarnego faceta. – To właśnie on. Zwany także King Kongiem, mój tata.

– Dalej bije pasem twoich chłopaków? – rzuciłem, ot niby tak dla żartu.

– Tylko jeśli mu się na któregoś poskarżę – odrzekła w tej samej konwencji. – Zresztą niedługo się poznacie osobiście, bo zamierzam zabrać cię do Stanów.

Za piękne, żeby było prawdziwe! Do głowy natychmiast wkradła się nieufność, ale serce wydało dźwięk jak taraban.

– To nie takie proste – zauważyłem, by trochę pohamować radość po jej słowach.

– Proste, proste. Nie zapominaj, że jestem z FBI. – I nagle się zamyśliła, by po chwili dźgnąć mnie palcem w pierś. – Ty, Andrew. A czemu jeszcze nie przedstawiłeś mnie swojej rodzinie?

SZESNASTOTONOWY MAN Z NAPISEM „B. KRUPSKI – WYROBY MIĘSNE” przez wiele lat służył w rzeczonyj firmie jako chłodnia, dopóki nie został odkupiony przez CBS. „Oho, kielbaski jadą”, mawiali warszawscy i podwarszawscy gangsterzy na jego widok i natychmiast „krańcowali nawijkę”.

A teraz „kielbaski” zaparkowały nieopodal wilanowskiego cmentarza, oczekując sygnału z pluskwy na grobie Wojciechowskiej. W środku, oprócz speców od podstuchu, ścieśniło się dziesięciu panów w kominiarkach i w kamizelkach kuloodpornych, wszyscy z glauberytami, a jeden dodatkowo z wilczurem.

– Tylko miasto wie, że to policyjny wóz. A nikt z miastowych go nie ostrzeże, bo akurat w tej sprawie wam kibicujemy. Najchętniej sami odstrzelilibyśmy degenerata – zapewnił mnie Apollo, gdy podczas spaceru z Azanem spotkałem go nad Jeziorką puszczającego latawce własnej konstrukcji. Takie miał pocziwe hobby oprócz amfetaminy i luksusowych dziwek.

Cóż, w dwa tysiące czwartym byłem jeszcze na niego za krótki, więc musiałem traktować go jak sympatycznego, choć z lekka szemranego właściciela sklepu z armaturą. Nieświadomie potrafił też dostarczać mi rozrywki; gdy dwa lata temu ktoś podpalił mu w tym sklepie drzwi, zupełnie serio twierdził, że to przez zawiść.

– Nie lubią mnie, bo jestem od nich bogatszy i sto razy przystojniejszy. Ja mam za darmo, jaką chcę kobietę, a te pokraki muszą płacić za seks – tłumaczył mi, ukradkiem popatrując w stare, kieszonkowe lusterko z gołą Bardotką na odwrocie. Jego ojciec w latach sześćdziesiątych sprzedawał takie na konstancińskim bazarze.

– Panie Andrzeju – powiedziałem do niego na pożegnanie, bo to bydle było moim imiennikiem. – Gdyby Słomiński jakimś cudem pojawił się w Konstancinie, bardzo proszę go nie zabijać, tylko odstawić na komisariat.

Apollo majstrował coś przy lince latawca; roześmiał się.

– Lubię pana, komisarzy, więc szczerze odpowiadam: gdybym dorwał gnoja, musieliby go ode mnie Jankesi wykupić za milion baksów. Takiej nagrody bym zażądał od wuja Sama.

Cóż, kochał swoje projekty, siebie, i ksywkę nadaną mu dla beki przez inteligentniejszych gangsterów.

NA RAZIE JEDNAK MÓGŁ SOBIE APOLLO O TYM MILIONIE POMARZYĆ, tak jak załoga „kielbasek” o zakończeniu misji, a Swobo o powrocie do Stanów. Mijały dni, zleciał tydzień, a alarmy na cmentarzu milczały, nie było też informacji, by ktokolwiek, gdziekolwiek widział Słomińskiego. Miałam wrażenie, jakby ta przerażająca historia urwała się nagle niby sen, bez żadnego dalszego ciągu.

– Oby tylko się nie skończyło jak w tej powieści Dürrenmatta – powiedziałam do Andrzeja przy porannej kawusi. – Pamiętasz? Policjant czekał na seryjnego mordercę pewny, że przyjedzie na stację benzynową po upatrzoną dziewczynkę, córeczkę właścicielki. Minęły lata, z dziewczynki zrobiła się laska, policjant poślubił jej matkę, a seryjnego jak nie było, tak nie było.

– Bo zginął w wypadku samochodowym – przypomniał sobie Andrzej. – OK, możemy we dwoje czatować na tym cmentarzu aż do diamentowych godów. Nie mam nic przeciwko temu.

Pewnie rzeczywiście byłoby uroczo i nastrojowo, gdyby nie nasi zwierzchnicy. A ci żyć nam nie dawali. Jak nie Sieniewicz do Andrzeja, to do mnie Adelson. Nasze telefony leżały przytulone do siebie na stole jak my na wersalce i co chwila rozlegał się albo *Dom wschodzącego słońca* z jego Nokii, albo rap z mojej Motoroli. W końcu dostaliśmy od tego głupawy i chichraliśmy się jak po maryśce. A biedny Azan wtórował nam zirytowanym popiskiwaniami.

Nie wiem, jakim cudem mamie Andrzeja udało się wbić między naszych szefów. Musiała na pewno próbować wiele razy, a skoro tak, to znaczy, że bardzo chciała mnie poznać. Co najmniej w równym stopniu, jak Andrzej był temu przeciwny. To jasne, że nie powiedział jej o mojej przeszłości, bał się jednak kobiecej, matczynej intuicji jak rentgen zdolnej prześwietlić kandydatkę na synową.

Miał się czego bać :-). My, kobiety, jesteśmy pod tym względem niebezpieczne jak CIA i Mossad do spółki. Ja też za parę lat będę

przeświała dziewczyny Micka, a potem szeptała mu na stronie: „OK, sympatyczna jest, seksowna, ale może jeszcze się zastanów, rozejrzyj, przecież tego kwiatu jest pół świata”.

Zatem takiego szeptu na stronie Andrzej się obawiał; szeptu, który jest naszym, matczynym, obowiązkiem, podobnie jak dla stróżującego psa szczekanie i warczenie na obcych.

NA DŻINSY ZAŁOŻYŁA RÓŻOWĄ SUKIENKĘ W GROSZKI, CZY RACZEJ FARTUSZEK MYSZKI MINNIE, i wyglądała słodko jak pączus z nadzieniem z róży. Gdzieś tam jednak miałem z tyłu głowy, że moje spojrzenie jest czysto męskie, natomiast mama i bratowa są kobietami, a co za tym idzie – wnikliwymi, krytycznymi i niekoniecznie życzliwymi obserwatorkami innej kobiety.

Z tyłu głowy, a nawet z przodu miała to również Hanah, i by się bronić, przedsięwzięła środki, które tak mnie wkurzyły, że w przeddzień wizyty omal się ciężko nie pokłóciliśmy.

– Czy ty podejrzewasz moją rodzinę o rasizm?! – ryknąłem na biedaczkę, widząc, że pomalowała włosy na blond, a jeszcze przyszykowała sobie jakieś kremy i pudry do rozjaśniania cery.

– Nie o to chodzi – wytłumaczyła mi. – To dla mojego samopoczucia. Kiedy się spotykałam z Lordami, zawsze używałam samoopalaczy i obowiązkowo robiłam sobie afro. Taki mimetyzm, rozumiesz? A potem, jak wyszłam za Torresę, to odwrotnie: na wszystkie sposoby starałam się wybielić, żeby kumple się go nie czepiali. – Po czym spojrzała na mnie z takim wyrzutem, jakbym to ja podzielił ludzi podług ras i jeszcze był z tego zadowolony. – Pewnie wolałbyś prawdziwą czarną kobietę, najlepiej z ogromną pupą – powiedziała, a właściwie parsknęła jak rozzłoszczony kot. – Wiem, was, białasów, to kręci. Jeszcze od czasów niewolnictwa.

Tu kłótnia się urwała, bo niczym Wehrmacht z niemieckich komunikatów wojennych, wycofałem się na z góry upatrzone pozycje.

PRZEZ RESZTĘ DNIA BOLAŁA MNIE MYŚL, która nie wiedzieć skąd się przyplątała. Myśl, że Andrzej może preferować białe dziewczyny lub na zasadzie przyciągających się przeciwieństw – jakąś *black magic woman* pod muzykę Santany :-).

– Biedny kotek – powiedziała babcia Hania. – Zakochał się i zwariował.

SŁOMIŃSKI SKUTECZNIE GDZIEŚ SIĘ ZASZYŁ, za to jego duch, można powiedzieć, był honorowym gościem na naszym rodzinnym spotkaniu. W Ameryce podobno, i Hanah to potwierdziła, ludzie mają świra na punkcie seryjnych, powstają nawet ich fankluby. Polskę ta paskudna moda ominęła, co nie znaczy, że brak u nas zainteresowania tematem. Wprost przeciwnie. Także, okazuje się, w mojej rodzinie.

– Andrzej, a ty czytałeś ten jego pamiętnik? – spytał mój brat, Bodzio, ledwie wymieniliśmy wszystkie powitalne uprzejmości.

– Bardzo straszny? – Chciała wiedzieć Teresa, jego żona, tak opalona po sześciotygodniowym smażeniu się na Balos, że moje małeństwo wyglądało przy niej na albinoskę.

Mama wzdragała się i teatralnie zatykała uszy, a tata poważnym tonem stwierdził, że to musi być interesujące poznawczo, tak wniknąć na chwilę w tajniki zbrodniczej duszy. I tylko ich dzieciaki, trzynastoletni Igor i dwa lata młodsza Lidka, olały sprawę.

– W telewizji mówili, że to jest rymowane – powiedział mój bratanek takim tonem, jakby wiersz był synonimem niewyobrażalnej nudy, czymś, co czyni tekst niestrawnym. Nie wiem wobec tego, jak się zapatrywał na rap.

– Mama, mogę iść do Moniki? – pisnęła Lidzia, a uzyskawszy pozwolenie, momentalnie nas opuściła.

Gdy zostali sami dorośli, zrobiliśmy głosowanie, i większość, czyli mój tata i brat z bratową, demokratycznie zdecydowała, że mamy im opowiedzieć, co zawiera zeszyt Słomińskiego.

– Jeśli państwo chcą, możemy nawet przeczytać – powiedziała Hanah, wyjmując z torebki ksero zapisek.

Wyczuła, cwaniaczka, że się przydadzą, więc wzięła je ze sobą.

– Tylko, błagam, po obiedzie – prosiła mama. – Żeby nikt nie stracił apetytu.

– Ja uważam, że lepiej przed – zaproponowałem. – Ta lektura może wywołać odruch wymiotny, więc szkoda tych wszystkich przysmaków.

– Andrzejku, jesteś okropny! Zaraz wytargam cię za uszy! – Mama, ilekroć czymś ją zdenerwowałem, jakby cofała się w czasie i zupełnie serio formułowała tę groźbę.

Nigdy mnie nie biła, tata zresztą też nie, natomiast za uszy byłem targany notorycznie. „Ty durny, zły gówniarzu!”, krzyczała, wpijając mi się palcami w małżowinę i boleśnie ją wykręcając. Obiektywnie muszę przyznać, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć – bezdyskusyjnie mi się należało.

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił się tata. – Nikt tu nie ma aż tak wrażliwego żołądka. Rzeczywiście, najpierw zjedzmy, a potem przy kielonku i kawce posłuchamy sobie wyznań wampirka.

Mówiąc to, zatarł ręce, skrzywił twarz w okropnym grymasie i wydał z siebie szatański chichot.

– Pan ma niesamowity talent aktorski! – zawołała Hanah z niekłamany zachwytem.

– Tylko dość wąskie emploi – odparł tata. – Moja jedyna rola to diabeł w jasełkach. Rok Pański czterdziesty pierwszy. Nawet Szkopy, które przyszły z nudów do kościoła, biły mi brawo. Wołali potem za mną: „Teufelsjunge”. I nie rewidowali, kiedy chadzałem z gazetkami pod kurtką.

MNIE PRZYPADŁA ROLA LEKTORA i miałem wrażenie, jakbym w rodzinnym domu między najbliższymi osobami rozrzucał jakieś cuchnące, toksyczne paskudztwo.

– Przez Austrię i Słowację

w trzech tirach jechałem
odebrać nominację
i zostać generałem
zemsty, czyli stopnia tajnego, piątego, najwyższego
lecz wysłannik Boga rzekł mi: nic z tego, kolego
Nic z tego póki w słusznej sprawie
Życia kogoś nie pozbawię.
I kazał mi szukać mej mamusi,
By ją do wyznań zmusić.
Więc, gdy ją torturowałem,
prawdy się od niej dowiedziałem,
że wydała
na świat dwa identyczne ciała,
Jednym byłem ja, Roman, a drugie, imieniem Jacek, adoptowała
kobieta, co się Werter Grażyna nazywała.
Pojechałem za nimi do Krynicy i tam podstępnie
w kawiarni przy winie
nakarmiłem Jacka, śmierdzącą świnię,
narkotykiem „bonzo”, który działa dopiero po godzinie.
A gdy już był zamroczony, to ja następnie
tam u niego w pensjonacie
udusiłem dziecko, dziesięcioletnią Pelaiz Kasię.
A zrobiłem to wszystko tak zgrabnie,
Że oskarżenie na brata padnie.
I będzie uznany za zbrodzenia
I pójdzie na osiem lat do więzienia.
A teraz, jeśli pozwolicie,
opowiem, jak gasiłem to młode życie.

– Nie, nie! – wszyscy przy stole gwałtownie zaprotestowali, a mój tata ze swoim charakterystycznym poczuciem humoru dodał: zachowaj pan to dla siebie, Monsieur Wampir. Oczywiście w drugim słowie także z francuskim akcentem na końcowej sylabie.

– Ok, w takim razie opuszczam ten fragment – powiedziałem z ulgą i przeszedłem do części bodaj szóstej poematu, noszącej tytuł *Moja następna wyprawa do Polski*:

Już jako nominowany
znów w bój zostałem posłany,
znowu do Konstancina,
bo tam moja rodzina.
To znaczy matka wyrodna
Oraz inna suka jej godna,
Bożena, co siostrą mi była,
Lecz bratnią krew odrzuciła.
Tam też pracował mój brat,
Który już wyszedł z za krat.
Lecz generał tak wszystko obróci,
Że jeszcze tam wróci, jeszcze wróci.

Stop. Nie będę was dłużej katował tą grafomanią. Powiem tylko, że Słomiński zmusił do samobójstwa swoją matkę, a następnie...

– ...stał się seryjnym mordercą – dokończył za mnie Bodzio.

Zobaczyłem, że mama idzie z Hanah do kuchni i zanim zniknęły za progiem, doleciał mnie fragment rozmowy:

– Widzę, że tylko my dwie w tym gronie odczuwamy wstręt do tego pamiętnika. Ale pani przecież jest policjantką. Osobą na co dzień obcującą z okropnościami. Jak udało się pani w tej profesji zachować taką wrażliwość?

– Pani Emilio, proszę mi mówić po imieniu – odpowiedziała Hanah jak przykładna przyszła synowa.

– Dobrze. Ale pozwolisz, że będę mówiła: Hania. Po prostu: Hania. Po naszymu, nie z cudzoziemska.

WYSZLIŚMY OD RODZICÓW DOPIERO WIECZOREM i oczywiście – pierwsza rzecz po powrocie – wyprowadziliśmy Azana. Na Jaworskiego nie można go było zabrać, bo Lidka miała uczulenie na

psią sierść, więc męczył się, biedny i smutny. Nigdy nie lubił na dłużej zostawać sam, który pies lubi?, ale, mam wrażenie, że odkąd związałem się z Hanah, jeszcze silniej zapragnął towarzystwa człowieka, podwójnego człowieka, czyli – według jego pojęcia – prawdziwego stada, a w ludzkim języku – rodziny.

– Czułam, że twoja mama będzie nazywać mnie Hanią – powiedziała, gdy zbiegliśmy z Grapy na dół.

Za mego dzieciństwa ta skarpa była wyższa, kojarzyła się mi z nadbałtyckim klifem; ryj bym rozkwasił temu, kto kazał ją zniwelować, pieprzonemu psujowi krajobrazu.

– Andrzej, ty też tak do mnie mów. Hanko. Jak twój dziadek do mojej babci.

– Wiesz, szkoda, że oni się ani razu ze sobą nie przespali. Bylibyśmy wtedy trochę jak rodzina. Prawda, Hanko?

Roześmiała się i niespodziewanie zaczęła rapować. Totalna wariatka :-).

– Zamieszkałem u kobiety z dwiema córkami,
Wszystkie trzy oddawały mi się dniami i nocami.
Lecz generała zemsty nie można w ten sposób przekupić,
Dlatego dwie zabiłem, a trzeciej udało się uciec.
I na policji zeznała,
Że Wertera rozpoznała,
Wiec on teraz się nie wywinie,
W Ameryce od zastrzyku zginie.
A generał tymczasem pokara wiarołomną gadzinę,
Rozprawi się z jej małym synem,
A gdy chłopczyk już spocznie w jeziorze na dnie,
Wtedy i matkę dopadnie.

Jak myślisz, Andrzej. Może przetłumaczę to na angielski i pošlę jakiemuś raperowi? Kilku znam jeszcze ze starych szlaków. Wyznania seryjnego mordercy. To powinno się sprzedać. Trzeba tylko dopisać mu więcej ofiar. Bo dziesięć nie zrobi w Stanach wrażenia.

Z jakimś dziwnym napięciem patrzyła mi w oczy.

– Obrzydlistwo. – Aż się otrząsałem. – Jak w ogóle mogło ci coś takiego przyjść do głowy?

Jej twarz się rozluźniła, wzrok uspokoił. Zrozumiałem, że to był test, który szczęśliwie zdałem.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś się zgodził – powiedziała, całując mnie w szyję. – Chyba odeszłabym od ciebie.

BYŁEM WYŁĄCZONY Z MOICH NORMALNYCH OBOWIĄZKÓW, w roli komendanta komisariatu zastępował mnie Byk. Wspólną polsko-amerykańską decyzją tworzyliśmy z Hanah samodzielny duet, mający wyłącznie za zadanie ścigać Słomińskiego. Nigdy mi tego nie powiedziała, ale podejrzewam, że to była jej robota; że to ona wydebiła u swoich tę decyzję. Znała przecież najważniejszych dyrektorów.

– Nie wierzę, żeby zrezygnował ze swojego rytuału – tłumaczyła nam przez telefon Sharon Kowalsky. – To już część jego osobowości. Prędzej obciąłby sobie nogę albo rękę.

– W takim razie dlaczego nie przychodzi na cmentarz? – warknąłem, dodatkowo zirytowany tym psychologicznym mędrkowaniem.

Jej odpowiedź była okropna, jak wylosowanie w Pucharze Polski drużyny z ekstraklasy. Właściwie odbierała nadzieję.

– Mógł znaleźć symboliczny ekwiwalent. Na przykład wyciska kilka kropel krwi z własnego palca na fotografię grobu. Albo nawet na kartkę z jej nazwiskiem. W tym celu nie potrzebuje opuszczać mieszkania.

To, niestety, możliwe – pomyślałem. Płytę nagrobną też wysmarował własną krwią, tak przynajmniej ustaliło laboratorium. W takim razie teraz jej zaoszczędzi.

– Sharon, dołujesz nas! – powiedziała Hanah z pretensją w głosie. – Ten cmentarz to nasz jedyny trop!

– Na ten moment. Bo już niedługo pojawi się mnóstwo nowych. Słomiński może znaleźć ekwiwalent dla pojenia krwią, ale nie dla zbrodni. Jego morderczy popęd lada chwila każe mu opuścić kryjówkę. Nie uczono cię tego na akademii?

– Uczono też, że seryjni potrafią zasypiać na wiele lat – odcięła się jej Hanah.

MINAŁ JESZCZE JEDEN TYDZIEŃ, uwożąc gdzieś w zaświaty następną porcję nadziei; Słomiński na wolności w każdej chwili mógł znów zaatakować, lecz my nie tylko tym się martwiliśmy. Nie tylko, a nawet nie przede wszystkim. Wstyd przyznać, ale najbardziej bolało nas, że sukces przechodzi koło nosa. Nie, nie byliśmy żadnymi arywistami i nie o karierę tu szło, lecz o to, że szybkie ujęcie Słomińskiego oznaczało naszą, równie szybką, podróż do Stanów, o której oboje marzyliśmy. Bez formalności i urzędowych utrudnień, bo któż śmiałby je piętrzyć przed polskim policjantem, mającym odebrać order z rąk szefa FBI?

Dlatego snem mi się wydał wieczorny telefon od komisarza Grobelnego, dowódcy „kielbasek”. Właśnie obejrzeliśmy *Gdzie jest Nemo?* i chcieliśmy jeszcze jak małolaty przekąsić coś w McDonalddie, kiedy w kieszeni mojej kurtki rozległ się schrypnięty wokal Burtona.

Nim odebrałem, zdążyłem pokazać ekran Hanah.

– Kielbaski, mniam! – roześmiała się podekscytowana.

Bo i było się czym ekscytować.

– Słuchaj, bramkarz. – Grobelny zwracał się tak do mnie, bo chadzał kiedyś na mecze Gwardii. – Wreszcie go mamy. Przyjeżdżaj szybko, żeby zdążyć przed Sieniem, wiesz, o co się rozchodzi?

Sieniem nazywał Sieniewicza, a „rozchodziło się o to”, że go nie lubił, a mnie uważał za kumpla.

No to kogut na dach, noga na gaz i fru na Wilanów. A że na *Nemo* byliśmy w Sadyba Best Mall, droga zajęła nam cztery minuty. Przy grobie Wojciechowskiej zastaliśmy Grobelnego z watahą

w kominiarkach i dobermanem, który z jakiegoś powodu zastąpił wilczura. Obok parkował rozświetlony ambulans, a w jego wnętrzu, jak wielkie akwariowe ryby, żwawo poruszali się ratownicy w czerwonych strojach.

– Kuskus ugryzł go w dupsko – wyjaśnił mi Grobelny. – Wkurwił się, że gośćk przypierdolił mu w pysk kwiatami. Ty, bramkarz, też byś się wkurwił, co nie? O, *sorry* za nieparlamentarny język – zreflektował się, widząc Hanah, która dopiero teraz do nas podeszła; wcześniej jej uwagę przykuwała ściana drzew rosnących przy murze cmentarnym i sąsiedni grób z rzeźbą anioła. – To pani jest pewnie tą policjantką podobną do Shakiry. Chociaż mnie pani bardziej przypomina Angelinę Jolie, obie jesteście takie seksyary, że facet normalnie zapomina, jak się nazywa. Oj, przyfarcilo ci się, bramkarz.

– Dobrze zrozumiałam? – Hanah ostro mu przerwała. – Uderzył psa kwiatami?

– No. Tymi. – Jeden z ateków podniósł z płyty ozdobiony wstążkami bukiet w folii. – Sześć białych róż i sześć czerwonych. Plus przybranie. Musiał nieźle z kaski wyskoczyć.

– Do ciężkiej kurwy! – Moje maleństwo z moim przekleństwem na ustach wtuliło się we mnie i ze złości zaczęło okładać piąstką. – To nie on. Słomiński nie przyszedłby tu z bukietem.

– Przepraszam, o czym pani mówi? – spytał skonsternowany Grobelny.

– A o tym, że znowu zwinęliśmy nie tego, co trzeba! Idź, misiek, do ambulansu i obejrzyj jego lewą dłoń.

Szczyście trwało krótko. Z wyżyn sukcesu tym boleśniej zlecieliśmy na mordy. Tak, człowiek, któremu właśnie skończono zszywać ranę na pośladku, był Jackiem Werterem. Podpisanym wytatuowanymi przez Hanah literami.

– JEDNAK MIAŁEM DOBRY POMYSŁ Z TĄ DZIARĄ – rzekł do mnie, wysiadając z pomocą Andrzeja z ambulansu. – Inaczej

przesiedziałbym pewnie tydzień w areszcie, zanim sprawę łaskawie by wyjaśniono.

Uniósł teatralnie ręce.

– Ludzie! Przez tego degenerata spędziłem osiem lat w pierdlu za niepopelnione morderstwo! A potem jeszcze trzy miesiące w areszcie śledczym, okrzyczany przez media polskim Czikatilo. Do tego dostałem nożem, ugryzł mnie pies... Pytam się, co będzie dalej. Co jeszcze mnie czeka, jeśli nie złapiecie Słomińskiego?

– Spoko, panie Werter, złapiemy – zapewnił go Grobelny. – I przepraszamy za pomyłkę.

– Ech, Jacuś, Jacuś, po coś ty tu przylazł? – westchnęłam, gładząc jego rozpalony, zalany łzami policzek. – Tylko biedy narobiłeś. Sobie i nam.

Słabo jakoś do mnie docierało, że przecież Werter, wybierając się na wilanowski cmentarz, nie miał pojęcia o krwawych bazgrołach i zaczajonych „kiełbaskach”. Po prostu – od kobiety, która go adoptowała, wreszcie usłyszał prawdę, i w odruchu serca postanowił odwiedzić grób biologicznej matki. Siadł więc przy komputerze i wyszukał w sieci, gdzie jest pochowana.

– Słabo mi się zrobiło, kiedy zobaczyłem te napisy. Zrozumiałem, że on tu przychodzi i chciałem zadzwonić na policję, powiedzieć wam o tym, ale mnie ubiegliście. No nic, co się stało, to się nie odstanie. Przepraszam, czy jestem już wolny?

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Jasne – powiedziałam. – Ale po pierwsze, nie powinieneś teraz prowadzić, a po drugie, w Głodach musi być ochrona. Dla twojego bezpieczeństwa i twojej matki. Panie Grobelny, zajmie się pan tematem. A jak potrzebna podkładka, to silvuple: rozkaz komendanta głównego, że grupa do sprawy Słomińskiego jest decyzyjna w zakresie środków ochrony.

Andrzej potem mi gratulował, że tak szybko nauczyłam się posługiwać polską, półinteligentką nowomową :-).

INFO O WPADCE „KIEŁBASEK” OCZYWIŚCIE trafiło do mediów, na pewno za sprawą którejś z nich, bo przecież żadnych innych świadków nie było. Dziwnym trafem newsy pomijały jednak okoliczności zdarzenia, więc opinia publiczna dowiedziała się tylko, że Cebeś dał ciała, a psy policyjne pokąsały Jacka W., brata poszukiwanego wampira. Mogliśmy z Hanah spekulować, jakie wnioski z tych okastrowanych doniesień wysnuł Słomiński; superopcją byłoby, że żadne, a najgorszą, że odgadł, gdzie to się stało, i będzie omijał wilanowski cmentarz szerokim łukiem. Co zresztą na razie i tak robił.

Rozmyślaliśmy, czekaliśmy, uczyłem się nazywać Hanah Hanką, otwierając skarbczyk pełen czułych zdrobnień, których amerykańskie imię nie posiadało. A po trzech albo czterech dniach zatelefonowała do nas Grażyna Werter, prosząc o pilną rozmowę.

– Poldek czy motor? – spytała Hanah, chytrze niby to zapominając, że niedawno, po długiej serii miłosnych uniesień, przysięgła mi nigdy więcej nie wsiadać na motocykl; chyba że na tej swojej farmie w Nevadzie, z dziećmi w koszu i z tyłu jako antidotum na szaleństwo.

– Wiadomo, że auto – burknąłem jak nadąsany pan mąż, a Hanah, jak żoneczka z dawnych, dobrych czasów, posłusznie wsiadła ze mną do poldka.

W GŁODACH OD PROGĘ POCZUŁAM AURĘ NIENORMALNOŚCI. Spytałam panią Werter, gdzie Jacek, a ona na to, że zamknęła go w dawnej sali zajęciowej. Taka kara za odwiedzenie grobu Wojciechowskiej bez jej wiedzy i zgody. Nie jedyna zresztą.

– O tydzień przełożyłam wizytę tej Kapuśniak – powiedziała mi szeptem na ucho, bo to było tylko do mojej wiadomości; ot tak między kobietami i matkami. – Ona ma wyrzuty sumienia, że skaleczyła go nożem, i chce mu to wynagrodzić. Domyśla się pani, w jaki sposób. Jacek bardzo się ucieszył, kiedy dostał od niej maila. Wprost skakał

z radości. – Grażyna Werter, ku konsternacji Andrzeja, który nie wiedział, o czym gadamy, sama wykonała dwa podskoki. – A tu nie! A tu wała, jak Polska cała! Będzie musiał siedem długich dni poczekać. I siedem nocy zadowolić się... – śmiejąc się do rozpuku, zademonstrowała gest onanisty.

Byłam pewna, że niedługo przed naszym przyjazdem ostro wciągała speed.

– A dała mu pani lanie? – spytałam niby to serio.

– No co też pani mówi? – odparła serio naprawdę. – Przecież kary cielesne to relikty średniowiecza, a ja jestem nowoczesną matką. – Po chwili dodała: – Jak pani myśli? Czy ta Dolores nadaje się na stałą partnerkę Jacka? Bo wywaliłam tę ćpunkę Edytę na zbity pysk i muszę w jej miejsce kogoś zatrudnić. Pani ją chyba zna, prawda? Dla mnie ważne jest, żeby była uczciwą kurwą, czyli nie kradła i broń Boże nie zadurzyła się w Jacku.

Pomyślałam, że gdyby nie ustalone, niezbite fakty, dalej podejrzewałabym Wertera o te morderstwa. W każdym razie – motyw miał na pewno. Wychowany przez taką kobietę mógł znienawidzić całą naszą płęć.

– OK, podobno chciała pani z nami porozmawiać – przerwał nam oschle mój misiek. – No to słuchamy.

Siedzieliśmy w tym samym pokoju, gdzie ją znaleźliśmy, jak się nam zdawało, martwą; teraz żywa i żwawa podeszła do biblioteczki, wspięła się na palce i wyciągnęła kopertę spomiędzy tomów Prousta.

– Schowałam to przed Jackiem, żeby się nie denerwował – wyjaśniła. – Niby jest zamknięty, ale, wiedzą państwo, skoro tam ze szpitala uciekł, to tym bardziej może teraz. W każdym razie lepiej na zimne dmuchać.

– Kto jest zamknięty? – spytał ostro Andrzej, ale ukradkowym dotknięciem dłoni przekazałam mu, że nieważne, i ma nie drążyć tematu.

– Pani Grażyno, pęsetką nie palcami – pouczyłam ją, widząc, że próbuje coś wyjąć z koperty.

Sama też naprędce przyszykowałam prowizoryczne utensylia – taką samą pęsetę do brwi i torebkę po melonie, którego zjadłam w czasie podróży. Za chwilę jego miejsce zajęła kartka formatu A4 zadrukowana dużym fontem, pięćdziesiątką albo nawet większym, tak, że krótka treść zajęła ją od góry do dołu i ledwie wystarczyło miejsca na podpis.

– Dzisiaj listonosz wrzucił do skrzynki – powiedziała Werterowa, gdy czytaliśmy z Andrzejem wierszowany list.

Cieszę się, bracie ukochany,

Żeś został pokąsany

Przez dobermana, psa chudego jak Kostucha – Szkarada,

Która już się do ciebie skrada.

A pod jej wyrokiem ja też się podpisałem,

Bom jest Zemsty Generałem.

Rzeczywiście – podpisał się. Własnym imieniem, nazwiskiem. I krwią, miałam nadzieję, że także własną.

– To on – stwierdził Andrzej. – Nie wierzę, żeby ktoś umiał podrobić tę grafomanię.

– Nie przesadzaj. Dla mnie na przykład *no problem*. Chcesz dalszy ciąg? To słuchaj: na skrzydłach przeznaczenia przyfrunę i na ohydny twój łeb runę, i jak pisuar młotkiem go potłukę, całemu światu na naukę. Misiu, ja godzinami rapowałam przed marketem, a jak ktoś się na chwilę zatrzymał i nie dał mi dolara, to moi kumple z B.L... – przerwałam, widząc, że Werterowa słucha.

PRZY FONTANNIE SPOTKALIŚMY FACIA W KAMIZELCE
KULOODPORNEJ POD CZARNĄ BLUZĄ I Z GLAUBERYTEM
W KABURZE MORO U PASA. Był to policjant z oddziału Grobelnego.
Odniosłem wrażenie, że na nas czekał – i miałem rację.

– Dobrze, że państwo jesteście – powiedział na powitanie, a jego głos wskazywał na to, że chce przekazać coś ważnego. – Kapral Słowik. Wczoraj meldowałem o tym szefostwu, ale chyba za bardzo się nie przejęli. Mówię to państwu oczywiście w zaufaniu, bo nie mam zwyczaju krytykować przełożonych.

– Jasne, kapralu. A konkretnie, co się stało?

Zamiast odpowiedzieć, dał znak, byśmy podeszli z nim do ogrodzenia. Tam pokazał nam, że farba na siatce jest w kilku miejscach zdrapana. A mówiąc precyzyjniej: w zieleń drutów wrzyna się srebrny rowek, uczyniony przez nożyce, które napoczęły metal lecz później musiały skapitulować.

– To specjalny stop i cztery milimetry grubości, byle czym nie ciachniesz – powiedział kapral z taką dumą, jakby sam ten płot zbudował.

– Kiedy pan to zauważył? – zapytała Hanah.

– Dziś w nocy. Nawet widziałem go w akcji. Z wyglądu miejscowy wieśniak. Tłumaczył się, że potrzebował kawał porządnej siatki, bo robi klatkę dla królików.

– Nie zatrzymał go pan?

– A niby jak? Ja po jednej stronie płotu, on po drugiej. Wycelowałem w niego giwerę i kazałem iść do furtki, ale wskoczył na rower i pojechał w las. Strzeliłem pojedynczym w górę, to tylko mocniej zaczął pedałować.

Kapral natychmiast zawiadomił Grobelnego i poprosił, żeby przysłano ekipę z psem, może pójdzie tropem rowerzysty. Niestety, aż do rana nikt w Głodach się nie zjawił, a o ósmej zerwała się ulewa i zmyła ślady.

– Potrzebujesz wsparcia – powiedziałem. – Jeden facet to w tej sytuacji za mało. Zaraz zadzwonię do Cebesiu.

Wszyscy, jak staliśmy we troje przy pokancerowanym płocie, zdawaliśmy sobie sprawę, że tym na rowerze na pewno nie był hodowca królików.

– Nie o siatkę mu szło, tylko o ludzi za nią – streściła Hanah naszą myśl.

W DRODZE POWROTNEJ MILCZAŁA, ZADUMANA, aż nagle, gdy dojeżdżaliśmy już do Góry Kalwarii, spytała mnie, jakie psy najczęściej służą w polskiej policji. Pomyślałem w pierwszej chwili, że to w związku z naszą rozmową z kapralem Słowikiem, lecz jak zwykle nie rozszyfrowałem Hanah.

– Bo chyba nie dobermany? Dobermany to w Niemczech i w Anglii. A u was wilczury, co nie?

– No tak. Ten Kuskus jest raczej wyjątkiem. Zastąpił owczarka, którego posłano do tropienia jakichś uciekinierów z aresztu. A czemu cię to zainteresowało?

– Bo jeśli żadne media tego nie podały, a nie podały, to skąd Słomiński mógł wiedzieć, że to był doberman?

– Dobrze pytanie. – Z wrażenia aż zjechałem na pobocze i zapaliłem goldena.

– A ja? – odezwało się moje maleństwo.

Była na etapie odzwyczajania się poprzez palenie wyłącznie cudzych papierosów. Czyli musiałem kupować dziennie dwie paczki.

– Zobacz, misiek. Zrobiłam parę zdjęć na tym cmentarzu. – Podsunęła mi pod nos telefon. – Tu masz dom po drugiej stronie ulicy. Ledwie wystaje zza drzew, co nie? One muszą zasłaniać widok z okien, to jasne, ale nie na dwóch ostatnich piętrach. Stamtąd na pewno można zobaczyć cały cmentarz, a przez lornetkę nawet niektóre kamery. – Pokazała mi następną fotografię i zaraz sparodiowała komisarza Kominka: – Jeśli to moi instalowali, przepraszam was za Stany Zjednoczone.

Faktycznie, każdy przechodzień łatwo mógł dostrzec na anielskim skrzydle kamerę skierowaną na grób Wojciechowskiej.

– Myślisz, że Słomiński ukrywa się w tym bloku? – Mimo lat pracujących w policji, poczułem niezły dreszcz.

– A masz inne wytłumaczenie, skąd wiedział o dobermanie? Po prostu zobaczył całe zdarzenie przez okno.

– Mógł też widzieć, jak byłem tam z Godzillą. A potem tych waszych speców, kiedy montowali elektronikę.

Hanah spojrzała na zegarek w komórce.

– Dopiero siedemnasta dwadzieścia. Zrobimy relaksacyjny spacer z Azanem, a potem...

– Nie, nie, Haneczko. Tu nie możemy działać tylko we dwoje. Za duże ryzyko, że nam się wymknie. Na razie pogadajmy z cieciem, powinien znać lokatorów. Może uda się w ten sposób namierzyć mieszkanie Słomińskiego. Wtedy wyślemy tam ateków.

CIEĆ, O PIĘKNYM I HISTORYCZNYM NAZWISKU PUŁASKI, BYŁ JAK REKWIZYT Z MUZEUM PEERELU; sprytny, wszechwiedzący, pewny siebie, wypisz, wymaluj Anioł z serialu *Alternatywy*. Pan i władca bloku. A zarazem sługa uniżony policji.

– Rozchodzi się o mieszkania z oknami na cmentarz? – upewnił się, żeby nie rozgniewać nas później jakąś gafą. – Więc na każdym jednym piętrze są trzy. A na dwóch ostatnich to już państwu mówię: pod trzydziestym szóstym pan Skóra, emerytowany dyrektor poczty z małżonką, pod trzydziestym siódmym taka śpiewaczka, co występowała jeszcze przed wojną, wyleciało mi nazwisko z głowy, a pod trzydziestym ósmym państwo Słupscy, religijni Żydzi, on nawet czasem wkłada myckę. Też już swoje lata mają.

– Widzę, że ten pana blok to taki trochę dom starców – zauważyła Hanah.

Ciec smętnie pokiwał głową.

– Ano, prawda, święta prawda. Młodzi, zamożni budują sobie domy za Warszawą albo kupują mieszkania w apartamentowcach. A tu zostają sami starzy, bidni, chorzy. Jak przykładowo ta babcia spod czterdzieści dwa, co się niedawno wprowadziła. Ledwie już łązi, chyba wcale nie wychodzi z domu. Najęła chłopaczkę z bloku obok, żeby za

parę złotych robił jej zakupy. A mojej żonie mówiła, że ma rodzinę we Włoszech. Nie mogą jej wziąć do siebie? Mnie to się bynajmniej w głowie nie mieści taka zniczulica.

Nie mówiłem Hanah o mojej wizycie u Madejskich, bo uważałem to za drobiazg bez znaczenia, nie rozumiała więc, czemu tak gwałtownie zareagowałem na słowa ciecia o schorowanej staruszce.

– Nazywa się Madejska? – Wykonałem gest, jakbym chciał chwycić go za klapy, aż odruchowo cofnął się za próg mieszkania.

Ale zaraz twarz mu zajaśniała na myśl, że może być władzy przydatny.

– Tak, tak, panie komisarzu. Madejska. Chyba Genowefa. Żonie mówiła, że wcześniej mieszkała gdzieś pod Piasecznem.

– Bywa ktoś u niej? – spytała Hanah, odgadując, że w niezrozumiały dla niej sposób namierzyłem kryjówkę Słomińskiego.

– No już mówiłem: ten dzieciak, co jej przynosi zakupy. A poza nim nikogo zębem nie widział. Ej, Zośka! – krzyknął w głąb mieszkania, przywołując niebrzydką żonę. – Państwo są z policji. Chcą wiedzieć, kto bywa u tej Madejowej z siódmego piętra.

– Chyba Madejskiej – poprawiła go pani Pułaska. – A kto ma u niej bywać? Najwyżej duch nieboszczyka męża.

– Hanka, błagam cię – powiedziałem, kiedy wyszliśmy z bloku.

Oczywiście udaliśmy się na jego tył, tak by Słomiński, jeśli rzeczywiście tu mieszkał, nie mógł nas zobaczyć.

– O czym ty mówisz, misiek? – rzuciła z kpiącym uśmiechem.

– O tym, że mnie kuszysz i zaraz ci ulegnę. A wiem, że to będzie piramidalne głupstwo.

– Albo piramidalny sukces – szepnęła. – Ale OK, dzwoń do tych swoich „kielbasek”. Tym razem doberman zeżre staruszkę, a Słomiński ucieknie. Jak nie stąd, to podczas transportu.

– Widzę, że nie darzysz zaufaniem polskiej policji.

– Bo ja ufam tylko Panu Bogu i sobie.

– A mi? – zapytałem przymilnie.

Lecz odpowiedź była jak strzał z liścia.

– Szczerze? Facet, który się boi, traci w moich oczach.

– Haniu. Ja się nie boję. Ja tylko staram się być rozsądny.

– Ja też. I dlatego musimy się przygotować. Na Borsuczej pożyczę z magazynu pompkę albo dwie, więc bez trudu przestrzelimy każdy zamek. Na wypadek gdyby był uzbrojony, choć w to wątpię, założymy kamizelki... Misiek, mamy dokładnie taki sam sprzęt jak ateczy. A raczej sporo lepszy. Poradzimy sobie!

NIE BYŁEM PIERWSZYM ANI OSTATNIM, który dał się namówić dziewczynie na coś ryzykownego i bezsensownego. Najbardziej jednak bałem się tego, że owszem, wszystko się uda, a i tak różne Sieniewiczze mnie opieprzą, że działałem samowolnie, i zamiast nagrody będzie kara. A podróż z Hanah do Stanów pozostanie w sferze marzeń.

Zresztą ona sama mnie wtedy oleje, bo laski tej klasy nie lubią przegrywów.

ZAGRAŁAM NA JEGO MĘSKIEJ AMBICJI i się udało! Nie oddamy naszego sukcesu anonimowym antyterrorystom, skazując się na zapomnienie. Przecież już za kilka tygodni nikt nie powiąże nazwisk Kulesza i Słomiński, jeśli Andrzej osobiście nie założy wampirowi kajdanek. Policja aresztowała – takie zdanie dla ludzi gównu znaczy. Ludzie kochają indywidualnych bohaterów, a media wręcz za nimi szaleją. To o nich robi się filmy, śpiewa piosenki, a VIP-y na wyprzódki przypinają im order i medale, łase na odblask ich sławy. Może krótkiej, może nietrwalej, ale jednak.

Jasne, to dla dziewczyny przyjemne, jeśli jej facet jest podziwiany. Ale to tylko środek. Szczebelek. Celem jest nasz wyjazd. Żeby nie musiał starać się o wizę, płaszczyć przed głupim, niezyczliwym konsulem. Żebyśmy po prostu we dwoje wsiedli do cessny FBI

i przelecieli Atlantyk. Przepraszam, we troje, bo jeszcze z jego psem. Więc na miejsce dla Azana musi Andrzej dodatkowo zasłużyć.

Dobrze, że się mnie posłuchał – pomyślałam, kwitując na Borsuczej odbiór dwóch potężnych strzelb. A także dwóch kamizelek, bo bardziej ufałam naszym, amerykańskim, przetestowanym w Iraku i Afganistanie, niż polskim, jeszcze pewnie pamiętającym głęboką komunę.

DRUGI WRZEŚNIA, CZWARTEK, OSIEMNASTA, do śmierci będę pamiętał tę datę i godzinę. To wtedy właśnie stanęliśmy z Hanah pod drzwiami mieszkania, w którym, jak wszystko wskazywało, przebywał morderca dziesięciu osób.

Powie ktoś, że głupota, lecz ja to bez żadnego „ktosia” wiedziałem.

Pierwszy błąd – nikt nie obserwował okien, bo niby jak, skoro byliśmy tylko we dwoje. Myślałem, żeby ściągnąć pod blok „kiełbaski” ze skokochronem, ale przecież to spłoszyłoby Słomińskiego; mógłby na widok dziesięciu chłopca w kominiarkach łyknąć cyjanek lub w inny sposób uciec tam, skąd już nikogo nie idzie wyciągnąć. Seryjni mają czasem zwyczaj nosić przy sobie kapsułkę z trucizną.

Drugi błąd – brak ambulansu w pobliżu. Powód ten sam: nie spłoszyć. Super! A w razie kłopotów, kto będzie nas albo Słomińskiego reanimował?

I wreszcie błąd numer trzy. Akcja bez rozpoznania. Pojęcia nie mieliśmy, co jest w środku. A może dwadzieścia granatów i drugie tyle lasek dynamitu, tak że cały blok pierdut? Pewnie trzeba było najpierw złapać i przesłuchać chłopaczka, który robił Madejskiej zakupy. Tylko że to strata cennego czasu i ryzyko. Bo a nuż gnojek ma jakiś sposób, żeby ostrzec Słomińskiego. Komórkę można mu zabrać, ale co, jeśli sygnałem jest na przykład brak SMS-a o ustalonej porze?

O tym wszystkim myślałem, naciskając dzwonek mieszkania numer czterdzieści dwa. Gdyby otworzyła Madejska, mieliśmy udawać członków kółka różańcowego, którzy zapraszają nową

parafiankę do wspólnych modlitw. A jeśli Słomiński, to bez udawania – na głębę i w kajdany.

Ale żadne z nich nie otworzyło. Musiały to zrobić nasze strzelby pompki.

– O, do ciężkiej kurwy! – wymsknęło mi się na widok rezultatu: w miejscach zamków widniały dwie killkunastocentymetrowe wyrwy; potężny nabój potraktował grubą stal jak tekturę.

Potem omal się nie pobiliśmy, bo Hanah się rwała, by wejść pierwsza, a ja próbowałem ją powstrzymać.

– Nie wiesz, szarmancki Polaku, że kobiety przepuszcza się w drzwiach? – szeptała nienawistnie, usiłując uwolnić się z mego chwytu.

– Tak. Ale nie wszędzie – odpowiedziałem, czując, że zaraz mnie pogryzie jak tych policjantów w Chicago. – Do knajpy facet wchodzi pierwszy.

– Ale to nie knajpa! – To stwierdziwszy, jakoś mi się wyślizgnęła, i z przeładowaną strzelbą wbiegła do mieszkania.

A ja za nią.

W DUŻYM POKOJU NIE BYŁO NIKOGO, W SYPIALNI TEŻ, Andrzej wszedł do kuchni i oznajmił: „Pusto”.

– Żywego ducha – stwierdził, zaglądając na balkon. Dopiero z łazienki usłyszałam jego ulubione przekleństwo i za sekundę sama je powtórzyłam.

Bo nawet święty na taki widok by zaklął.

W napełnionej do połowy wannie leżała w czarnej, trumiennej sukni stara kobieta. Siwe włosy skręcone papilotami krwawych skrzepów, cała twarz pokryta fioletowym obrzękiem. Wnosząc z różowego koloru wody, reszta ciała również musiała ucierpieć.

Mimo wszystko żyła jeszcze i wydawała z siebie dźwięk podobny do gulgotania indyka.

– Gdzie jest ten człowiek? Ten, co panią pobił? – spytał Andrzej, gdy za nogi i ręce zanieśliśmy ją na wersalkę.

Lecz odpowiedzią było tylko rytmiczne otwieranie bezzębnych ust, jakbyśmy z wanny wyciągnęli nie człowieka, ale wigilijnego karpia. No i gulgot, gulgot, gulgot. Raz cichszy, raz głośniejszy, jak w agonii.

– Jest nieprzytomna. Dzwon po karetkę – nakazałam Andrzejowi, przechodząc do sypialni.

Zrobił to, choć wiedziałam, że bardziej niż losem staruszki martwił się naszą porażką. Mieliśmy rację. Słomiński tu był, pewnie nawet przez dłuższy czas. Potem z jakiegoś powodu skatował Madejską i opuścił mieszkanie. Czy jeszcze wróci? Odruchowo spojrzałam na widoczne z sypialni drzwi wejściowe, choć mało prawdopodobnie, żeby nagle się w nich ukazał; z pewnością odstraszyłyby go dziury po zamkach.

– Gdybyśmy wczoraj zrobili wjazd, byłby nasz. – Biedny misiek dosłownie rwał sobie włosy z głowy.

Ja w tym czasie zaczęłam rewizję w pachnących naftaliną szafach i komodach.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Pomóż mi. Może znajdziemy jakiś trop.

Bebeszyłam biedermeierowską szafę, ale na wszystkich półkach były tylko jej ciuchy. Andrzej dołączył do mnie i zajął się bieliźniarką. Miał więcej szczęścia. Już w pierwszej szufladzie znalazł dwie pary dżinsów, polar i sweter. Piętro niżej była męska bielizna, a pod nią ukraiński paszport.

– Nazywa się teraz Igor Vasylenko. – Pokazał mi pierwszą stronę z fotografią Słomińskiego. – Zdolny koleś. I charakteryzować się potrafi, i fałszuje dokumenty. Ciekawe, gdzie się tego nauczył?

– Pewnie na boskim kursie dla generałów zemsty. – Uśmiechnęłam się, choć nastrój miałam paskudny.

Teraz, gdy znaleźliśmy ten dokument, było już na sto procent pewne, że jesteśmy pod właściwym adresem, więc tym bardziej bolała

świadomość, że za późno. Chociaż...

– Nie dziwi cię, że wyszedł z domu bez paszportu? – zapytałam, bo nagle strzeliło mi do głowy coś niedorzecznego. – Może się musiał błyskawicznie ewakuować?

Nie czekając na odpowiedź Andrzeja, przebiegłam do dużego pokoju i tam mój absurdalny domysł się zmaterializował. Był antropomorficzną plamą po Madejskiej. Odciskiem jej mokrej sukni na wersalce.

NA DOLE SKAMLAŁA SYRENA I BŁYSKAŁ KOGUT AMBULANSU, a stara, siwa kobieta, jak pająk na nici, zsuwała się wzdłuż ściany bloku. Staliśmy z Hanah na balkonie, przechyleni przez boczną burtę, z której zwisała sznurowa drabinka, i nie bardzo wiedzieliśmy, co robić. Strzelać? Postraszyć przecięciem linek? Biec na dół? Teraz naprawdę żałowałam, że przed klatką nie ma „kiełbasek”. Błąd się mścił.

Hanah przerzuciła nogę na zewnątrz i stopą szukała szczebla.

– Nie! – wrzasnąłem, jak kociaka łapiąc ją za włosy nad karkiem.

Lecz nie musiałem z nią walczyć, bo zaraz było po wszystkim. Na czwartym piętrze jakaś kobieta, widząc przy swym balkonie postać rodem z horroru, krzyknęła przeraźliwie i cisnęła w nią doniczką.

Nie trafiła, ale człowiek-pająk, odruchowo się zasłonił, wypuszczając z ręki sznur. To wystarczyło, by stracił równowagę i odpadł od drabinki. W okamgnieniu z trzaskiem przebił daszek nad drzwiami klatki schodowej i znikł nam z oczu.

ANDRZEJ POGNAŁ NA DÓŁ, a ja zajrzałam do wersalki, a potem w sypialni otworzyłam tapczan. Nie było w mieszkaniu innych miejsc nadających się do ukrycia zwłok, i w tym drugim rzeczywiście ujrzałam ciało. Na szczęście – od razu się poruszyło.

– M-m-m! M-m-m! – Usłyszałam rozpaczliwe postękiwanie.

Zerwałam taśmę z jej ust i wyjęłam zwiniętą skarpetkę. Potem przyniosłam z kuchni nóż do chleba i uwolniłam staruszkę z płątaniny więzów. Była chyba po środkach nasennych, mimo to jako tako kontaktowała.

– Niech pani uważa, bo on cały czas tu jest – ostrzegła mnie szeptem. – Słyszałam pani głos i jakiegoś mężczyzny, ale bałam się poruszyć, żeby nas wszystkich nie pozabijał. Skąd miałam wiedzieć, że pani uzbrojona? – I opowiedziała, że Słomiński najpierw chciał wynająć u niej pokój. – „U pani, koniecznie u pani. Bo tu na cmentarzu matka moja leży i chcę być przy niej blisko. W zamian nie tylko zapłacę, ale i zakupy będę robił, i w ogóle się panią zaopiekuję lepiej niż Stasio”. Boże Święty, po co ja żem mu wtedy mówiła, że mieszkam naprzeciwko cmentarza?

– Nie zgodziła się pani?

– A pewnie. Bo mi na wariata wyglądał. Tak jakoś dziwnie o tym grobie gadał. A jak mu już ostro powiedziałam: fora ze dwora, to mnie związał, zakneblował i zamknął w tapczanie. Nie wiem, ile tam przeleżałam, bo straciłam rachubę czasu. Tylko za potrzebą mnie wypuszczał. Dobrze chociaż, że dawał jeść i pić.

Kiedy wnuki dzwoniły do starszej pani, kazał jej odbierać telefon i mówić, że wszystko jest OK. Stał nad nią z nożem i pilnował, żeby nie przemyciła żadnej informacji o swoim losie. Obie zrozumialiśmy, czemu zostawił ją przy życiu – ze strachu, że Madejski, nie mogąc się do babci dodzwonić, poprosi jakichś znajomych albo wręcz policję o sprawdzenie, co się dzieje.

– Pani. A jeszcze maskę sobie na twarz zmajstrował. Taką, żeby być do mnie podobny. Chory na umyśle, co nie? Jaki młody chłopak chce być podobny do starej baby? A on nawet coś sobie do gęby wsadził, żeby wyglądało, jakby nie miał zębów. No i pomalował wszystko na fioletowo, że niby to siniaki. Bądź grzeczna, mówił, bo ci takie same zrobię, ino prawdziwe.

NA PARTERZE ODSUNĄŁEM GAPIÓW, otworzyłem przeszklone drzwi i stanąłem w progu. U moich stóp rozgrywała się dziwaczna scena: załoga ambulansu, skacząc w kucki po podeście, usiłowała przytroczyć Słomińskiego do noszy, a on wyrywał się, pluł i błagał o minutę spokoju.

– Minutę! Jedną minutę! Czy to naprawdę tak dużo? Proszę, puśćcie mnie!

Czarna suknia podwinęła mu się aż pod pachy, więc rychło w czas spostrzegłem, że zamiast bielizny ma strój do joggingu, widać wodoodporny, skoro nie zamókł w wannie. Dotarło do mnie, jak niewiele brakowało, żeby biegł w nim teraz labiryntem osiedlowych uliczek. Bez maski, bez przebrania, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnie by się nam wymknął.

– Facet, ta minuta może decydować o twoim życiu – mądrzyli się ratownicy, sapiąc z wysiłku.

Lecz nie dali rady, wyslizgnął się, przeturlał pod ścianę i palcem umocowanym w zmasakrowanej skroni zaczął coś bazgrać. Gdy za chwilę przykleknąłem obok, zobaczyłem kikut pierwszego słowa – „gen” i pół litery „e”. Dalej, jak pusta kartka, był już tylko biały tynk.

Pozostało mi dyskretnym ukłonem podziękować – śmierci.

–

Przypisy

[1] Robert Swan Mueller III (ur. 7 sierpnia 1944 w Nowym Jorku) – amerykański prawnik, dyrektor Federalnego Biura Śledczego Stanów Zjednoczonych od 2001 do 2013 roku.

[2] MoMA – popularna skrótowa nazwa Muzeum Sztuki Współczesnej w Nowym Jorku.

[3] Przy ulicy Podchorążych w Warszawie mieści się siedziba Centralnego Biura Śledczego.

[4] DSC – Distinguished Service Cross (ang.) – Krzyż Wybitnej Służby. Wysokie amerykańskie odznaczenie wojskowe, przyznawane za nadzwyczajną odwagę i czyny na polu walki oraz w obliczu wroga.

[5] Chodzi o niejakiego Marviną Heemeyera, który za pomocą specjalnie wyposażonego buldożera zrównał z ziemią siedzibę władz miasteczka Granby w Kolorado oraz domy ludzi, których uważał za wrogów.

[6] W Iwicznej koło Piaseczna mieści się baza policyjnych oddziałów prewencji.

[7] John Wayne Gacy – seryjny zabójca nieletnich chłopców, ujęty w Chicago w grudniu 1978 roku.

[8] James Alan Fox – wybitny amerykański kryminolog.

[9] Czasy się zmieniają i my zmieniamy się wraz z nimi (łac.)

[10] CSiS – kanadyjski odpowiednik CIA.

[11] Gdzie nie ma ptaków, tam i dupa słowik. Rosyjski wulgarny odpowiednik polskiego „na bezrybiu i rak ryba”.

[12] Chodzi o fragment *Fortepianu Chopina*: „I – oto – jak ciało Orfeja, Tysiąc Pasyj rozdziera go w części. A każda wyje: »Nie ja!...«, »Nie ja!« – zębami chrzęści”.

[13] W 2003 roku w Grybowie dziewiętnastolatek zamordował kobietę, która go adoptowała. Następnie rozkawałkował zwłoki, z których część ugotował lub spalił, a resztę ukrył pod schodami w pojemnikach.

[14] W Kanadzie pełnoletność uzyskuje się w wieku dziewiętnastu lat.

[15] Paramonow Jerzy – osławiony polski bandyta, sprawca licznych napadów z bronią w ręku oraz zabójca milicjanta. Stracony z wyroku sądu pod koniec 1955 roku. Pozostały po nim piosenki, a także wiersz Andrzeja Bursy.

[16] Maruszczyk Nikifor – wielokrotny morderca, jeden z najgroźniejszych przedwojennych polskich przestępców. Stracony w roku 1938 roku.